



# GRAHAM MASTERTON

## TAŃCZĄCE MARTWE DZIEWCZYNKI

Thriller  
z Katie  
Maguire

**TAM, GDZIE INNI WIDZĄ NIESZCZĘŚLIWY WYPADEK,  
NADKOMISARZ KATIE MAGUIRE WIDZI MORDERSTWO.**

Nie po raz pierwszy w Cork wybucha pożar. Żaden jednak nie pochłonął tylu ofiar: siedemnaścioro młodych tancerzy należących do zespołu tańca irlandzkiego. I w żadnym ludzie nie zginęli, jeszcze zanim pojawiły się płomienie. Jediną osobą cudem ocalałą z pożogi jest dziewczynka, która nie chce mówić. Katie musi więc znaleźć inny sposób na odkrycie motywów sprawcy. Tymczasem Davy'emu Dorganowi, który przybył do Cork, by przejąć interes zabitego przywódcy gangu, przyświecają zupełnie inne cele niż jego poprzednikowi. Tamten chciał się po prostu wzbogacić, Davy zamierza wykorzystać brexit do obudzenia w Irlandczykach narodowego ducha, i to w najbardziej krwawy sposób.

GRAHAM  
MASTERTON  
TAŃCZĄCE MARTWE  
DZIEWCZYNKI

Z angielskiego przełożyli

PAWEŁ KOROMBEL  
ANNA DOBRZAŃSKA



Wydanie elektroniczne

Tytuł oryginału:  
*DEAD GIRLS DANCING*

Copyright © Graham Masterton 2017  
Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2018  
Polish translation  
copyright © Paweł Korombel & Anna Dobrzańska 2018

Redakcja:  
Katarzyna Kumaszevska

Zdjęcie na okładce:  
© Karina Vegas/Arcangel Images

Projekt graficzny okładki:  
Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Skład:  
Laguna

ISBN 978-83-8125-432-8

Wydawca  
WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.  
Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa  
[www.wydawnictwoalbatros.com](http://www.wydawnictwoalbatros.com)  
[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://Facebook.com/WydawnictwoAlbatros) |  
[Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://Instagram.com/wydawnictwoalbatros)

*Dla Dana i Caroline,  
Samuela i Lucy,  
z wyrazami miłości*

*Ná lasadh tine go bhfuil tú féin nach féidir a mhúchadh.  
Nie rozniecaj ognia, którego nie mógłbyś sam ugasić.*

Irlandzkie porzekadło

## ROZDZIAŁ 1

Ledwie zaczęli tańczyć do Blackthorn Stick, Catriona potknęła się i zatrzymała. Szarpnęła Brendana za rękaw, zmuszając go, by również się zatrzymał. Mała Aoife, która była tuż za nimi, omal na niego nie wpadła.

– Co jest?! – krzyknął na nią Brendan. Musiał podnosić głos, żeby przekrzyczeć płynące z głośników dźwięki piszczałek i skrzypiec oraz stukot butów pozostałych czternastu tancerzy na parkiecie, który wracał odbity echem od ścian pomieszczenia.

– Nie macie wrażenia, że coś się pali?! – zawołała Catriona.

Brendan i Aoife kilka razy pociągnęli nosami.

– Nie, Cat, to tylko spaliny – odparł chłopak.

– Jasne! To ten koleś, Noonan, z zakładu pogrzebowego obok! Zawsze zostawia swój stary karawan na uruchomionym silniku, żeby nie wyzionął ducha, zanim on będzie musiał pojechać na cmentarz! Rano, jak wszedłem do studia, mało się nie udusiłem!

– Brendan? Catriona? Macie jakiś problem?! – zawołał Nicholas, nauczyciel tańca. Stał obok odtwarzacza płyt w drugim końcu sali; jedną rękę opierał na biodrze, w drugiej trzymał przy uchu telefon. Był łysy, miał starannie przystrzyżoną siwą kozią bródkę i kolczyk z brylantem w jednym uchu.

– Nie, nie, Nicholasie, wszystko w porządku! – odparł Brendan. Parę razy tupnął nogami, żeby wpaść w rytm, i podjął przerwany taniec. Aoife dołączyła do niego, lecz po chwili znów stanęła i marszcząc nos, zaczęła węszyć w powietrzu.

– Chyba masz rację! – krzyknęła, nachylając się w stronę Catriony. – Coś tu śmierdzi i według mnie nie jest to karawan Noonana! Zresztą, jakim cudem spaliny dostałyby się na klatkę schodową?

Catriona raz i drugi nabrała głęboko powietrza i pokiwała głową.

– I jakby był mocniejszy, co nie? Sama nie wiem. Pachnie jak dym z

Browaru Murphy'ego, tyle że wyraźniej czuje się spaleniznę.

Zamierzała pomachać do Nicholasa, zobaczyła jednak, że ten klęczy przed Sinéad i pomaga jej zawiązać sznurowadło. Wyglądał, jakby się jej oświadczał, choć to – oczywiście – nie wchodziło w grę, bo Nicholas wziął przecież ślub ze swoim partnerem Tadhgem.

– Pójdę się rozejrzeć – rzuciła do Aoife.

Żwawym krokiem przecięła salę i podeszła do drzwi prowadzących na klatkę schodową; blachy na podeszwach butów stuknęły o podłogę. Była wysoką, chudą dziewczyną, bladą i piegowatą, z grzywą rudych włosów, które związywała wstążką na czubku głowy, przez co nie musiała zakładać peruki. Tego ranka miała na sobie prostą, szmaragdowozieloną sukienkę do tańca i żadnego makijażu – w końcu to była tylko próba.

Kiedy podeszła do drzwi, Nicholas wstał i wyłączył muzykę. Wraz z nią ustał stukot butów na parkiecie.

– Tańczycie nierówno! – oburzył się. – Chryste, brzmicie jak stado królików na blaszanym dachu! Wszystko przez to, że niektórzy z was przy podwójnym stuknięciu nie dość wysoko unoszą nogi. No już, przecież wiecie, na co was stać! Zaczynamy od nowa!

Teraz, kiedy w studiu panowała cisza, Catriona słyszała dobiegający zza drzwi dziwny dźwięk. Przypominał oddychanie, któremu towarzyszy szelest, jakby wiatr nawiewał do tunelu suche liście.

– Cat?! Dokąd to?! – zawołał Nicholas. – Chyba nas nie opuszczasz?!

– Czuć tu dym – powiedziała. – Chciałam zobaczyć, skąd ten zapach.

Nicholas wciągnął powietrze.

– Nie – odparł. – Nic nie czuję. Ale dalej mam jeszcze zatłoczone nos.

– Mówiłem ci – odezwał się Brendan. – To Noonan grzeje swój karawan. Chce nas wszystkich potruć, żeby mieć więcej klientów.

Catriona chwyciła za klamkę.

– Święty Józefie – bąknęła i gwałtownie cofnęła rękę, klamka była bowiem gorąca jak czajnik z wrzątkiem.

– Czekamy na ciebie, Catriono! – przypomniał jej Nicholas.



Naciągnęła rękaw sukienki, tak że zakrywał jej dłoń, nacisnęła klamkę i szarpnięciem otworzyła drzwi. W tej samej chwili poczuła za plecami gwałtowny podmuch powietrza, jak gdyby horda rozjuszonych duchów próbowała minąć ją i wypaść na klatkę schodową. Jej sukienka załopotała, a rude loki pofrunęły do góry z osobliwym świstem, który miał w sobie coś smętnego, a zarazem triumfalnego.

Klatkę schodową wypełniał jasnoszary dym, który w zetknięciu z powietrzem wysanym ze studia świsnął ogłuszająco i eksplodował pomarańczowym piekłem. Ogień z rykiem wdarł się przez drzwi i wzbił pod sam sufit. Rozszalałe płomienie zamknęły się wokół krzyczącej Catriony i pomknęły ku pozostałym tancerzom. Niektórzy upadli na kolana, inni zakrywali twarze dłońmi, wpadając na siebie nawzajem.

W ciągu zaledwie kilku sekund wewnątrz studia stanęło w ogniu, a w panującym żarze tancerze mieli wrażenie, że ktoś leje im w płuca płynne żelazo. Zielone nylonowe zasłony zwinęły się w zetknięciu z żywiołem, stojące pod ścianami wyściełane krzesła tliły się i kopcily, nawet lakier na parkiecie zaczął skwierczeć. Lustro na ścianie w drugim końcu sali zatrzęszczało i pękło po skosie.

Catryonę od stóp do głów spowijał ognisty całun. Próbowwała ugasić płomienie, machając rękami jak mała doboszka i skacząc dookoła w budzącej grozę parodii potrójnej gigi. Jej rude loki skurczyły się i zwinęły, poza kilkoma kosmykami na czubku głowy, gdzie było ich najwięcej. Te płonęły teraz niczym świeczki na torcie urodzinowym. Upstrzona piegami blada twarz zmieniła się w czarną, demoniczną maskę z głębokimi szkarłatnymi bruzdami na czole i wokół oczu. Szmaragdowozielona sukienka zetliła się i nawet ciężkie czarne buty Catriony płonęły.

Powietrze w studiu było nie tylko piekielnie gorące, ale szybko wypełniało się gęstym, duszącym dymem. Przerażeni tancerze biegali bez ładu i składu, a ich buty stuknęły o drewniany parkiet.

– Trzymajcie się razem! – wrzeszczał schrypniętym głosem Nicholas. – Chwyćcie się za ręce! Trzymajcie się razem!

Brendan, zanosząc się kaszlem i z trudem oddychając, zdjął zawiązany w talii jasnoniebieski bawełniany sweter i trzymając go przed sobą, próbował przedrzeć się do Catriony, by pomóc jej zduścić płomień. W pewnej chwili zobaczył, że dziewczyna zachwiała się i upadła na bok; jej głowa z głuchym łupnięciem uderzyła o podłogę. Gdy dziewczyna przewróciła się na plecy, na jej poczerwiałym ciele tliły się resztki materiału, nogi drżały, a ręce spoczywały na piersi złożone jak do modlitwy.

Przyklęknął obok niej i ostrożnie wyciągnął do niej rękę. Z nabiegłych krwią oczu Catriony wyczytał, że go nie widzi; była zbyt bliska śmierci, by mógł ją ocalić. Przeżegnał się i kaszłąc, zerwał się z podłogi. Zakrył twarz swetrem i niezdarnie ruszył przez kłęby dymu i tańczące iskry ku reszcie grupy.

– Na poddasze! Wszyscy! – krzyknął Nicholas schrypniętym głosem.  
– Nie możemy zejść po schodach. Musimy iść na górę! Patrick! Pomóż Niamh, dobrze? Ciara, skarbie, tędy! No już, ruszajcie się! I trzymajcie się razem!

Machał rękami, kierując wszystkich w drugi koniec sali ku prowadzącym na strych małym drzwiom. Brendan był tam kiedyś – pomagał Nicholasowi wnosić pudła ze starymi kostiumami – wiedział więc, że jest tam okno mansardowe z widokiem na róg Shandon Street, które będą mogli otworzyć, by wezwać pomoc.

Jeszcze raz obejrzał się na Catrionę. Wśród kłębow dymu zobaczył, że wciąż leży na plecach, nieruchoma i otoczona płomieniami, jak gdyby jej ciało złożono na stosie pogrzebowym.

Obok niego mały Duncan ze sterczącymi czarnymi włosami zgiął się wpół i odkastywał długie nitki gęstej flegmy. Widząc to, Brendan chwycił chłopca za pasek i rękaw koszuli i potykając się, na wpół zaniósł, na wpół zawłókł go w drugi koniec studia. Pozostali tancerze zbili się w ciasną gromadę i przerażeni czekali, aż Nicholas wśród pęku kluczy znajdzie ten, który otwierał drzwi na poddasze. Słychać było stłumione jęki i szloch, nikt jednak nie krzyczał ani nie zanosił się płaczem. Dym był zbyt gryzący, by mogli swobodnie oddychać, i większość z nich zakrywała usta rękami, jak gdyby nigdy więcej nie

zamierzali się odzywać.

W chwili gdy Nicholas znalazł pasujący klucz, płomień w studiu przygasł, przez co przypominały sforę agresywnych psów, którym kazano warować. Skwierczenie lakieru przycichło i tylko od czasu do czasu rozlegały się pojedyncze trzaski. W sali zapadła pełna napięcia cisza, którą przerwał szczęk klucza w zamku.

Święta Panienko, pomyślał Brendan. Zdawało się, że ogień się wypalił i nic im nie grozi. Z płucami obolałymi od wstrzymywania oddechu postawił Duncana pod drzwiami, które Nicholas pchnięciem otworzył na oścież.

Do studia z niemal radosnym świstem wpadło powietrze z poddasza. Ogień buchnął z jeszcze większą zajadłością, a ryczące płomień sięgnęły pod sam sufit. Brendan poczuł na karku podmuch gorąca, a jego włosy stanęły w ogniu, choć on nie miał o tym pojęcia. W ciągu zaledwie kilku sekund pomarańczowe płomień spowiły Nicholasa i jego uczniów od stóp do głów, zmieniając ich w rozwrzeszczane, machające ramionami żywe pochodnie.

Tańczyli przerażającą parodię Blackthorn Stick, podczas gdy ich włosy ulatywały z dymem, kopące strzępy ubrań wzbijały się w powietrze, a buty niczym rżężenie konającego stukwały o parkiet. Wyglądali jak tancerze z piekła rodem.

Jeden po drugim potykali się, wpadali na siebie i padali na podłogę, by tam już pozostać. Zdawało się, że ogień karmi się nimi, a jego apetyt rośnie wraz z każdym strawionym ciałem. Z rykiem przetoczył się po nich i zaczął piąć się po schodach na poddasze, paląc sizalowy chodnik, jak gdyby wyczuwał, że ktoś jeszcze kryje się na górze, i zamierzał go odnaleźć.

## ROZDZIAŁ 2

Katie wraz z komendantem MacCostagáinem przeglądała kwartalny budżet, kiedy usłyszała dźwięk syren dobiegający z pobliskiej remizy.

Z początku nie zwróciła na nie uwagi, starając się ustalić harmonogram dyżurów swoich ludzi tak, by możliwie jak najbardziej ograniczyć wydatki. Musiała też zatrudnić nowych detektywów, ponieważ detektyw sierżant Lynch i detektyw Ó Broin wiosną przechodzili na emeryturę, a żaden ze świeżo upieczonych funkcjonariuszy Garda Síochána nie mógł ich zastąpić.

– Nic nie zrobimy, Katie, ministerstwo obcięło nam koszty i tyle – powiedział komendant. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i głośno wydmuchał nos. – Tak czy siak, musimy znaleźć sposób, żeby trochę przyszczędzić, nawet gdybyśmy mieli sprzedać radiowozy i jeździć domowej roboty wózkami dla dzieci.

– Mnie to nie przeszkadza. – Katie się uśmiechnęła. – Mój pierwszy chłopak woził mnie po okolicy w takim wózku i cholernie mi się to podobało. Ja miałam cztery lata, a on sześć. Dalaigh, tak miał na imię. Pamiętam, że pachniał toffi. A może to były siuśki, tylko go idealizowałam.

Gdy chwilę później usłyszeli kolejną syrenę, a tuż po niej jeszcze jedną, MacCostagáin spojrzął na Katie i uniósł krzaczastą siwą brew.

– Szykują się kłopoty – mruknął.

Sięgnął po stojący na biurku telefon, lecz w tej samej chwili z komórki Katie popłynęły dźwięki *Fear a' Bháta*. Wyjęła telefon z wewnętrznej kieszeni żakietu i przyłożyła do ucha. Dzwonił detektyw sierżant Begley.

– Pewnie słyszała pani te syreny. W szkole tańca Toirneach Damhsa wybuchł pożar. To w dole Shandon Street, niedaleko Farren's Quay, zaraz przy zakładzie pogrzebowym Jera Noonana. Właśnie dzwonił

do mnie dyżurny; podobno w środku są uwięzieni ludzie.

– Powiedział ilu?

– Nie wie dokładnie, ale wygląda na to, że pożar wybuchł w trakcie zajęć, więc myślę, że co najmniej osiem osób. Wysłali tam sześć jednostek. Whalen, zastępca komendanta straży, jest już w drodze.

– Nadkomisarz Pearse wie o tym?

– Tak. Wysłał na miejsce inspektora Cafferty'ego. Wezwano pogotowie i Czerwony Krzyż, w razie gdyby potrzebowali więcej karettek.

Katie zakryła ręką głośnik iPhone'a i zwróciła się do komendanta:

– W szkole tańca na końcu Shandon Street wybuchł pożar. Podobno w budynku są ludzie. Może nawet osiem osób. – Cofnęła rękę i spytała Begleya: – Wiadomo, kto powiadomił służby?

– Dyżurny mówi, że któryś z przechodniów. Zobaczył ogień w oknach i kłęby dymu na dachu. W sumie siedemnaście osób zadzwoniło pod sto dwanaście, niemal w tym samym czasie. Mamy ich numery, gdyby trzeba było później sprawdzić tych ludzi.

– Dobra, Sean, dzięki. Wybierasz się tam?

– Tak. Wezmę ze sobą O'Donovana i Markeya.

– Informuj mnie na bieżąco, dobrze? – Katie zamknęła księgę rachunkową i wstała. – Lepiej tam pojedę. Na miejscu będą pewnie dziennikarze. Skoro zastępca komendanta straży pofatygował się osobiście, chyba też powinnam się pokazać.

– Chryste – mruknął MacCostagáin. – Jedyne, co mnie przeraża, to myśl, że mógłbym utknąć w płonącym budynku. Tak zginął mój wujek Phelim. Co prawda nie utknął, tylko przysnął, ale rezultat był ten sam.

– Co się z nim stało? – spytała Katie, sięgając po torebkę, długopis i notatnik.

– Był zalany w trupa. Położył się, zapalił papierosa i zasnął. Był potężnym facetem, ale ciotka mówiła, że kiedy go znaleźli, wyglądał jak małe truchło.

– Zjrzę do pana później – rzuciła, wychodząc. W pośpiechu poszła do swojego gabinetu i zdjęła z wieszaka wściekle żółtą kurtkę

odblaskową. Dzień był szary i wietrzny, chociaż nie padało. Na dachu budynku po drugiej stronie ulicy przycupnęło kilka wron z piórami nastroszonymi od wiatru. Katie nie była przesądna, nie lubiła jednak takich wronich zgromadzeń – miała wrażenie, że zwiastują nieszczęście.

Idąc do wyjścia, zjrzała do sali odpraw i zawołała do detektywa Dooleya:

– Robert! Jadę do tego pożaru na Shandon Street! Skoczysz ze mną? – Widząc, że Dooley sięga po kamizelkę odblaskową, powiedziała: – Opuść sobie. Nie chcę, żebyś się rzucał w oczy.

Detektyw Dooley był najmłodszym mężczyzną detektywem w jej grupie. Ubrany w jegginsy, z włosami zaczesanymi do góry, wyglądał jak student college’u, choć niedawno obchodził dwudzieste czwarte urodziny. Jednym z powodów, dla których Katie chciała wziąć go ze sobą, było to, że potrafił zniknąć w każdym tłumie, zwłaszcza wśród młodych ludzi. W przypadku dużych pożarów strażacy walczyli z ogniem, a detektywi Katie skupiali uwagę na stojących w tłumie ludziach. Ponad siedemdziesiąt pięć procent podpalaczy kręciło się wokół budynków, które podpalili, bo lubili patrzeć, jak płoną.

Detektyw Dooley ruszył za Katie w kierunku windy; przyspieszył kroku, by ją dogonić.

– Na RedFM nadają na żywo z miejsca pożaru – poinformował ją, kiedy zjeżdżali na parter. – Rozmawiali przez telefon z gościem, który prowadzi grupę tancerzy. Nazywa się Danny Coffey czy jakoś tak. Powiedział, że w budynku było co najmniej szesnaście osób, plus nauczyciel. Byli w trakcie próby generalnej przed festiwalem, który ma się odbyć w przyszłym tygodniu.

– Danny Coffey, tak – upewniła się Katie. – Słyszałam o nim. Jeśli dobrze pamiętam, zaczynał razem z Michaelem Flatleyem. Co mówili? Czy któryś z tancerzy zdołał wydostać się z budynku?

– Na razie nic nie wiemy. Nie mamy też żadnych wieści od inspektora Cafferty’ego.

Szybkim krokiem przecięli lśniąca czystością recepcję i skierowali się w stronę wyjścia na parking. Mieli już opuścić budynek, gdy Katie

kątem oka zauważyła błysk otwieranych szklanych drzwi, a gdy się odwróciła, zobaczyła Conora Ó Máille'a wchodzącego do komendy.

Matko Boska, pomyślała. Tylko nie teraz. I nie przy Dooleyeu.

Zobaczywszy ją, Conor minął biurko oficera dyżurnego. Jego ciemna broda była świeżo przystrzyżona; miał na sobie długi, oliwkowy płaszcz przeciwdeszczowy i wyglansowane, jasnobrązowe półbuty. Katie zatrzymała się, podczas gdy detektyw Dooley cofnął się o kilka kroków. Jak wszyscy na komendzie przy Anglesea Street, on również wiedział, że między Katie a tym mężczyzną coś się wydarzyło. Słyszał też, że żona Conora szukała go tutaj.

– Katie? – zaczął Conor. Na jego twarzy skrucha mieszała się ze złością. Sześćoletni Dalaigh ze swoim wózkiem mógł pachnieć toffi albo siuskami, ale Conor Ó Máille pachniał wodą po goleniu Chanel Bleu. Jego oczy miały barwę mahoni.

– Jadę do pilnej sprawy – mruknęła Katie i na potwierdzenie swych słów podniosła klapy kurtki odblaskowej. – Pewnie słyszałeś syreny.

– Tak, oczywiście. Po prostu muszę z tobą porozmawiać.

– Ja z tobą też. Głównie o walkach psów. Ale ta rozmowa będzie musiała poczekać do mojego powrotu. Mamy ludzi uwięzionych w płonąącym budynku.

– Dobrze – odparł Conor. – Zadzwońisz do mnie?

– Nadal mieszkasz w pensjonacie Gabriel House?

– Tak, ale jutro wracam do Limerick.

– Do pani Ó Máille? – spytała Katie i natychmiast tego pożałowała.

– Katie... – zaczął i wyciągnął do niej rękę.

– Zadzwonię później – rzuciła. – Teraz muszę iść. Są ludzie, których sytuacja jest znacznie bardziej dramatyczna niż moja czy twoja.

\* \* \*

Skręciwszy w Merchants Quay, zobaczyli wiszącą nad rzeką czarną chmurę dymu, a przejeżdżając przez Patrick's Bridge, dostrzegli błyskające niebieskie światła i sześć wozów strażackich zaparkowanych w strefie zamkniętej dla ruchu kołowego przed szkołą tańca Toirneach Damhsa. Jer Noonan, przedsiębiorca

pogrzebowy, przeparkował karawan nieco dalej na Shandon Street, żeby nie blokować drogi; zostawił go na rogu North Abbey Street z widoczną w środku ciemną dębową trumną i wieńcem białych róż, oraz szarfą z napisem TATUSIOWI. Po drugiej stronie Griffith Bridge zebrał się spory tłum, ponad dwieście osób, a kolejni gapie tłoczyli się wzdłuż North Mall po tej stronie rzeki. Drogię zagradały im radiowozy zaparkowane na skos po drugiej stronie ulicy. Pod drzewami czekały cztery ambulansy, a dwa następne były w drodze. Ich niebieskie światła błyskały wzdłuż Bachelor's Quay.

Pomalowany na niebiesko pub Friary został ewakuowany, choć jeden z gości stał w otwartych drzwiach, z papierosem w jednej dłoni i kuflem portera w drugiej, zupełnie jakby nie zważał na panujący dookoła chaos.

Kiedy Katie wysiadła z samochodu, przytłoczył ją hałas silników Diesla, pokrzykiwania strażaków i ryk wody tryskającej pod wysokim ciśnieniem z węży strażackich. Kłęby szarego dymu płynęły na drugą stronę rzeki, niosąc ze sobą gryzącą woń palonego drewna i plastiku, i inny osobliwy zapach, kojarzący się Katie z grillem. O białą fasadę budynku, w którym mieściła się szkoła tańca, oparto trzy drabiny – dwie od frontu i jedną w bocznej uliczce. Strażacy od frontu wybili szyby i zalewali wnętrze budynku strumieniami wody. Ten, który stał na drabinie w bocznej uliczce, siłował się z zasłaniającą okno przerdzewiałą siatką drucianą, żeby dostać się na półpiętro.

Z okien i dachu waliły kłęby dymu upstrzone pomarańczowymi iskrami. Katie zauważyła, że niektóre krokwie musiały spalić się do cna, bo szare dachówki zapadły się do środka. Na jej oczach okno mansardowe runęło za fasadę budynku.

Widziała, jak detektyw Dooley przechodzi na drugą stronę ulicy, by wmieszać się w tłum; sama przeszła ostrożnie między zwojami czerwonych węży i dołączyła do zastępcy komendanta straży pożarnej, stojącego nieopodal w towarzystwie dwóch inspektorów ochrony przeciwpożarowej. Wśród dziennikarzy zgromadzonych na rogu Farren's Quay zobaczyła Fionnualę Sweeney z RTÉ, Fergusa O'Farella z RedFM, Jean Mulligan z „Evening Echo” i pracującego



jako wolny strzelec Jimmy'ego McCrackena, który prawdopodobnie będzie relacjonował telefonicznie dla „Examinera”. Pojawienie się Katie było dowodem na to, jak poważna jest sytuacja.

– Co się dzieje, Matthew? – zwróciła się do zastępcy komendanta straży pożarnej.

Matthew Whalen był roslym, tęgim mężczyzną, którego szyja wylewała się z kołnierzyka koszuli, a pas munduru wrzynał się w pokaźny brzuch. Policzki miał tak czerwone, że wyglądały, jakby lata walki z pożarami przypiekły je na dobre, a rude wąsy i brwi tak zjeżone, jak gdyby chwilę temu stanęły w ogniu. Choć sprawiał wrażenie wybuchowego, Katie współpracowała z nim przy okazji kilku poważnych spraw, między innymi powodzi, wycieków gazu i zawalonych budynków, i wiedziała, że jest człowiekiem spokojnym, opanowanym i bardzo doświadczonym.

– O, Katie, jak leci? Na razie wiemy tylko, że w szkole tańca na pierwszym piętrze było w sumie siedemnaście osób. Szesnaścioro tancerzy i nauczyciel. Na razie nie mamy żadnego z nich. Niebywale gwałtowny ten pożar. Minie jeszcze kilka minut, zanim będziemy mogli wejść do środka. Problem w tym, że schody się zawaliły, więc będziemy zmuszeni wejść przez okna, a to znaczy, że wpuścimy do środka kolejną porcję tlenu.

Katie widziała płomienie, raz przygasające, raz strzelające w górę z nową siłą, jakby szydziły ze strażaków, którzy próbowali je ugasić.

– Wiecie już, co go mogło zaprószyć?

Matthew Whalen wzruszył ramionami.

– Wolę nie wyciągać pochopnych wniosków. Te stare budynki mają to do siebie, że podczas pożaru nagrzewają się jak piece hutnicze. Zewnętrzne ściany są grube, ale cały środek to spróchniałe drewno, lakier i wypaczone drzwi. Ale, jak mówię, ten pożar jest wyjątkowo gwałtowny. Tak między nami, wcale bym się nie zdziwił, gdyby się okazało, że ktoś celowo podłożył ogień.

W kłębach szarego dymu Katie zobaczyła, że strażak w bocznej alejce uporał się z oknem; przy wtórze tłuczonego szkła spadło na ulicę w dole. Z aparatem tlenowym na twarzy, podsadzany przez

dwóch innych strażaków, przeszedł przez wnękę okienną i znalazł się na półpiętrze.

Pracujący z przodu budynku strażacy zalewali strumieniami wody ostatnie płomienie w budynku. Kłęby dymu walące z okien szkoły były tak gęste, że chwilami na dobre przesłaniały widoczność.

– Wątpię, by ktokolwiek przeżył – odezwał się Matthew Whalen. – Zaraz po przyjeździe Jim rozmawiał ze świadkami. Nikt nie widział, by ktokolwiek stał w oknach i machał... w ogóle nikogo nie widzieli.

Jeden z inspektorów, niejaki Phelan, pokiwał głową.

– Widzieli tylko płomienie. Jakiś świadek stwierdził, że rozpętało się tu prawdziwe piekło. Nie słyszeli żadnych krzyków ani wołania o pomoc.

Inspektor Cafferty nadzorujący tłum gapiów podszedł do nich i stanął obok Katie. Był szczupłym, tyczkowatym mężczyzną o poważnej twarzy, haczykowatym nosie i pieprzyku na brodzie.

– Co słyszać, pani nadkomisarz? – zagadnął Katie. – Matko Boska, koszmarne sprawę. To bez wątpienia najgorszy pożar, z jakim miałem do czynienia. Ten w N-Steak House przed miesiącem był fatalny, ale przynajmniej nikomu nic się nie stało. Mam nadzieję, że któryś z tych biedaków wyjdzie z tego z życiem, ale szanse są marne.

Zaczęło się siąpić, więc kiedy Katie zadarła głowę, by spojrzeć na szczyt budynku; musiała przesłonić ręką oczy. Sama nie wiedziała, dlaczego podniosła wzrok. Może usłyszała trzask pękających belek i grzechot dachówek wpadających na poddasze. Ale była pewna, że nad krawędzią gzymsu dostrzegła głowę z ciemnymi włosami. W pierwszej chwili pomyślała, że to gołąb, choć było mało prawdopodobne, by ptak przysiadł na szczycie płonącego budynku. Może jej się zdawało i w rzeczywistości zobaczyła końcówkę poczerńiałej od ognia krokwi, choć kształt wydawał się bardziej zaokrąglony. Równie dobrze mogła to być nasada kominowa.

Zamierzała się odwrócić, żeby zobaczyć, jak detektyw Dooley radzi sobie w tłumie, kiedy ciemny kształt znów się pojawił, i tym razem pozostał w zasięgu wzroku. Ku swemu przerażeniu Katie zobaczyła, że to głowa dziecka, małej dziewczynki o twarzy białej jak płótno,

ciemnych oczach i ciemnych włosach splecionych w warkocz. Uwaga wszystkich była skupiona na oknach pierwszego piętra, gdzie pięciu strażaków w aparatach tlenowych wchodziło do budynku, ciągnąc za sobą węże. Tymczasem dziewczynka spoglądała w dół na Katie, nieruchoma i milcząca.

– Matthew! Patrz! – Katie szarpnęła Whalena za rękaw i wskazała na gzyms.

– Jezu Chryste! – jęknął zastępca komendanta straży. – Jim! Patrick! Tam jest dziecko!

Phelan natychmiast sięgnął po krótkofalówkę.

– Charlie Dwa! Charlie Dwa! Podjedź pod budynek od frontu i wysuń podnośnik koszowy! I pospiesz się! Na dachu jest jakiś dzieciak!

Strażacy natychmiast oczyścili chodnik przed budynkiem. Zaparkowany nieco dalej mercedes z podnośnikiem koszowym ruszył powoli i cofając się, podjechał niemal pod drzwi wejściowe; zatrzymał się między dwiema drabinami opartymi o okna. Z hydraulicznym sykiem kosz i stojący w nim dwaj strażacy ruszyli w górę i niespełna dwie minuty później zatrzymali się przy krawędzi dachu. Katie cofnęła się, żeby mieć lepszy widok, jednak ulatujące z okien kłęby dymu niemal całkowicie przesłaniały widoczność.

W końcu zobaczyła, że jeden ze strażaków wchodzi na dach. Chwilę później wziął na ręce dziewczynkę, która kuliła się w rynnie za gzymsem, i ostrożnie wrócił z nią do kosza. Kiedy wszyscy troje wrócili na dół, wśród zgromadzonego na nabrzeżu tłumu rozległy się oklaski i okrzyki uznania.

Dwaj sanitariusze ze Szpitala Miłosierdzia pospieszyli ku dziewczynce z noszami na kółkach i położyli ją na nich. Katie przypuszczała, że mała ma mniej więcej dziewięć lat. Była chudziutka i długonoga, ubrana w czarne obcisłe getry i luźną różową tunikę z aplikacją w kształcie smutnego królika. Twarz miała umazaną sadzą i zanosila się kaszlem, więc sanitariusze założyli jej maskę tlenową.

Katie pochyliła się nad nią, ujęła ją za rękę i uśmiechnęła się

pocieszająco. Dziewczynka patrzyła na nią dużymi brązowymi oczami, opuchniętymi i czerwonymi od dymu. Okalające je długie rzęsy były zlepione od łez.

– Jesteś bezpieczna, skarbie – odezwała się łagodnie Katie. – Ci mili ludzie zajmą się tobą. Zabiorą cię do szpitala i zadbają, żebyś mogła swobodnie oddychać. Porozmawiam z tobą później, kiedy poczujesz się lepiej.

Mała przyglądała się jej, nie przestając kasłać.

– Myślisz, że możesz coś dla mnie zrobić? – spytała Katie. – Powiesz mi, jak masz na imię?

Jeden z sanitariuszy podniósł maskę, tak by dziewczynka mogła mówić, ale ona wpatrywała się w Katie bez słowa. Chwilę później znowu się rozkaślała, więc mężczyzna nałożył jej maskę z powrotem.

– To nic – zapewniła ją Katie. – Zaczekamy, aż wyzdrowiejesz. Do zobaczenia.

Sanitariusze wsunęli nosze do karetki. Pozostałe ambulansy czekały w pogotowiu, ale choć dym stopniowo się przerzedzał, było coraz mniej prawdopodobne, by ktoś jeszcze miał trafić do szpitala.

– Chryste, jest mniej więcej w tym samym wieku co moja córka Orla – odezwał się Cafferty, odprowadzając wzrokiem odjeżdżającą karetkę. – Bóg jeden wie, jak się tam uchowała.

– Jak to możliwe, że ona jedna wydostała się na dach? – zastanawiała się na głos Katie. – Może pozostali zamknęli się w jakimś pomieszczeniu i nic im nie jest? Miejmy nadzieję.

Ledwie to powiedziała, a podszedł do nich Matthew Whalen. Twarz miał posępną.

– Złe wieści, Katie – rzucił, podnosząc krótkofalówkę. – Moi ludzie znaleźli ciała i z tego, co wiem, doliczyli się siedemnastu. Wygląda na to, że próbowali uciec na poddasze, ale im się nie udało.

– Siedemnaście? – wtrącił się Cafferty. – To praktycznie cały zespół. Matko Boska, nie dalej jak latem byliśmy na występie Toirneach Damhsa w Operze. Byli fantastyczni.

– Cóż, inspektorze, obawiam się, że więcej już nie zatańczą – powiedział zastępca komendanta straży. Zdjął czapkę i wierzchem

dłoni wytarł spocone czoło. – Ostatni raz będą występować przed patologiem.

## ROZDZIAŁ 3

– Powiedziałbym, że jara się jak diabli, nie? – odezwał się Liam O’Breen. – Wcałe bym się nie dziwił, gdyby strażakom od tego żaru popękały parówki.

Niall Gleeson nie odezwał się ani słowem. Ostatni raz zaciągnął się papierosem i pstryknięciem posłał niedopałek w drugi koniec stromeego parkingu.

Stali przed Templegate Tavern przy Gurrabraher Road, patrząc na ciemnoszare kłęby dymu unoszące się znad widocznej w dole Farren’s Quay. Liam był pulchnym dwudziestojednoletkiem o bladej twarzy. Głowę miał ogoloną po bokach, przez co jego drobne uszy wydawały się odstające, a w pozostawionych na czubku kręconych kasztanowych włosach widać było białe płatki łupieżu. Miał na sobie zieloną bluzę z logo GAA<sup>1</sup> i szare workowate spodnie dresowe Champion Sports.

Niall był po trzydziestce, ale krótko przycięte siwiejące włosy go postarzały. Tego dnia miał na sobie tweedową marynarkę w kolorze butelkowej zieleni, czarną kamizelkę i ciemnoszare spodnie z mankietami. Był niskim mężczyzną z grubą szyją i wiecznie zmrużonymi oczami, jak gdyby nieustannie się nad czymś zastanawiał albo skupiał wzrok na punkcie w oddali.

– Davy powinien niedługo wrócić – rzucił Liam. Zaczynało mżyć, wyciągnął więc rękę i spojrzał w niebo.

– Mówił, że wraca? – spytał Niall. – Z Davym nigdy nic nie wiadomo. Ten koleś to niezły cwaniaczek.

– Jest w porządku. Obiecał, że załatwi mi glocka.

– Że co? Glocka? Nie dałbym ci pistoletu na wodę pełnego szczyń, a co dopiero pieprzonego glocka.

---

1 GAA, Gaelic Athletic Association (irlandzka i międzynarodowa organizacja sportowa i kulturalna z siedzibą w Dublinie).

– Wal się. – Liam wyszczerzył zęby w uśmiechu, ale twarz Nialla pozostała niewzruszona.

Słup dymu bijący znad szkoły tańca sięgał prawie na wysokość trzystu metrów i mieszał się z niskimi szarymi chmurami. Z chwilą gdy Liam i Niall mieli wrócić do pubu, z północnego wschodu nadleciał biały helikopter Gardy i z monotonnym terkotem zaczął kołować nad nabrzeżem.

– Jedno trzeba przyznać Davy’emu – odezwał się Liam. – Nie robi niczego po łebkach.

– Jak dla mnie to pieprzony wariat.

– Może, ale dla odmiany potrzebujemy świra. A do tego ma pierdolca na punkcie polityki. Bobby też był świrem, tylko jego interesował wyłącznie szmal. Dla Bobby’ego polityka była pretekstem. A dla Davy’ego nie.

– Co ty, kurwa, wiesz o polityce? I nie mów źle o zmarłych. Bobby Quilty był łebskim narwańcem. Za głupi jesteś, żeby się z nim porównywać.

– Wiem o wielkim głodzie, powstaniu wielkanocnym i irlandzkiej wojnie o niepodległość. Uczyłem się o tym w liceum.

– No to najwyższy czas przestać udawać pieprzonego mądralę i zamknąć cholerną jadaczkę.

Szli w stronę pubu, gdy zza zakrętu od strony Cathedral Road wyjechał srebrnoszary kabriolet Mercedesa i zaparkował przed mieszczącym się po sąsiedzku bukmacherem Paddy Power. Wysiadł z niego młody mężczyzna w eleganckiej czarnej kurtce przeciwdeszczowej, sięgnął po leżącą na tylnym siedzeniu aktówkę i chwilę później ruszył w ich stronę. Nie uśmiechał się ani nie podniósł ręki na powitanie.

– Jak leci, chłopaki? – rzucił tylko, gdy był wystarczająco blisko.

– Świetnie, Davy – odparł Liam. – A co u ciebie?

Niall milczał. Był starszy od Davy’ego o co najmniej siedem lat i nie lubił, gdy nazywano go „chłopakiem”.

Davy był przystojnym brunetem o kościstej twarzy, prostym nosie i regularnych rysach modela, z sięgającymi do ramion zmierzwionymi

włosami i modnym kilkudniowym zarostem. Jego szare oczy nie miały w sobie uwodzicielskiego błysku; patrzyły na świat wyzywająco, niemal agresywnie, jasne i twarde niczym główki gwoździ. Rzadko stał spokojnie – Niall skarżył się, że pozostaje w ciągłym ruchu jak łokieć skrzypka – ale emanował pewnością siebie, która bardziej przerażała Nialla, niż go irytowała. Sposób, w jaki Davy się poruszał, zdradzał, że jest niezwykle wysportowany. Nie palił i w przeciwieństwie do pozostałych nie przesiadywał godzinami w pubie, grając w bilard, żłopiając piwo i whiskey i opowiadając pikantne historyjki.

W Cork czuł się jak w domu. Dorastał w Gurra i Niall znał go od dzieciaka. Obaj chodzili do szkoły podstawowej Ojca Pio. Kiedy Davy miał dziewięć, dziesięć lat, jego rodzina przeniosła się do Larne w hrabstwie Antrim w Irlandii Północnej; wrócił do Cork niespełna siedem miesięcy temu, a krewni i przyjaciele z Mount Nebo Avenue przywitali go, jakby był na dwutygodniowych wakacjach.

– Wszystko poszło zgodnie z planem? – zapytał Niall.

– Co? – bąknął rozkojarzony Davy, zerkając na ekran telefonu.

– Pytałem, czy wszystko poszło zgodnie z planem.

Davy dźgnął palcem ekran i wskazał głową unoszącą się nad miastem chmurę dymu.

– Chyba sam widzisz, koleś.

– Nie miałeś żadnych problemów? Nikt cię nie widział?

– Myślisz, że jestem jakimś pieprzonym amatorem?

– Wyluzuj, dobra? Pytam tylko, czy miałeś jakieś problemy.

– Gdybym miał problemy, nie byłoby mnie tu, to chyba jasne, nie? Wszystko załatwione. Nie znajduję żadnych dowodów, więc możemy zacząć planować.

Weszli do pubu i usiedli przy okrągłym stoliku w kącie, przy mahoniowej ścianie z witrażowymi szybami. Wnętrze pubu było ciemne, cuchnące zwietrzałym piwem i hałaśliwe, choć klientów było tu niewielu. Dwaj miejscowi chłopcy grali w bilard i krzyczeli za każdym razem, gdy któraś z bil wpadała do tuzy, a w radiu ustawionym na Cork Music Station Nathan Carter śpiewał *Don't*



## *Know Lonely.*

Przy stoliku siedzieli, popijając piwo, dwaj mężczyźni – Murtagh McCourt, ubrany w szary przyciasny polar łyśy mężczyzna o kamiennej twarzy i brakujących czterech przednich zębach, oraz Billy Ó Griobhta, który wyglądał jak Elvis Presley z zapadniętymi policzkami i zaczesanymi do góry włosami układającymi się w kaczy kuper.

Pozornie nieokrzesany Murtagh mówił z miłym dla ucha akcentem z Montenotte. Billy Ó Griobhta rzadko się odzywał, tylko przytakiwał za każdym razem, gdy Davy, Murtagh czy Niall zabierali głos, a czub na jego głowie kołysał się w przód i w tył, jak gdyby na potwierdzenie, że rozumie, co się do niego mówi.

– No, panowie, mamy czyste konto – rzucił Davy. – Sprawy są zapięte na ostatni guzik, a ci, co kłapali dziobami, zostali uciszeni. Pozbyliśmy się gliniarzy i wszystko chodzi jak w zegarku. Teraz możemy zacząć obmyślać strategię.

Młody barman przyniósł cztery kufle piwa Murphy's i butelkę jabłkowo-gruszkowego soku MiWadi dla Davy'ego – żadnego alkoholu i żadnych kalorii – choć nikt go o to nie prosił.

– Dzięki, dobry człowieku – rzucił do niego Davy. Nie zaproponował pieniędzy, zresztą barman wcale o nie nie prosił.

– Pewnie, że możemy zacząć obmyślać strategię – zgodził się Niall.

– Ale póki co lepiej zrobimy, jeśli nie będziemy się wychylać. Możemy stopniowo gromadzić fundusze i broń, no i przydałoby się nam kilku ochotników. Po tym, jak kropnęli Bobby'ego, co najmniej dwunastu naszych ludzi z Cork ulotniło się, a w Belfaście dwa razy tyle.

Davy upił łyk soku z butelki.

– Ulotnili się, bo byli wyrachowanymi skurwielami – powiedział. – Robili to dla kasy, nie dla polityki.

– Davy ma rację – przyznał Murtagh. Z powodu braku zębów jego oschły głos był lekko świszczący i przywodził na myśl wiatr nawiewający piasek na Kinsale Beach. – Nie można ufać takim łajzom, zwłaszcza jeśli wyniuchają ich ci ze Specjalnego Biura

Śledczego. W życiu nie powiedzą tego na głos, ale rocznie dostają ponad milion euro na opłacanie informatorów. A jak myślicie, co zrobią te mendy, jeśli będą musiały wybierać: kilka tysięcy więcej na koncie czy kilka lat w pierdlu przy Rathmore Road? Ani się obejrzysz, jak zaczną sypać.

– I tak myślę, że powinniśmy zaczekać – powiedział Niall. – Cokolwiek postanowimy, będziemy potrzebowali więcej fachowców, nie mówiąc o transporcie, wymianie informacji, obserwacji i planie awaryjnym w sytuacji, gdyby sprawy się posypały. Daj spokój, Davy, to nie jest tak jak kiedyś, w latach siedemdziesiątych. Teraz wszystko opiera się na technologii. W dzisiejszych czasach gliniarze mogą podsłuchiwać twoje rozmowy telefoniczne, zanim zdecydujesz, do kogo chcesz zadzwonić.

– Jasne, masz rację, że to nie lata siedemdziesiąte – zgodził się Davy. – Ale technologia działa w obie strony. Możemy zrobić z niej taki sam użytek jak gliniarze. Nie potrzebujemy połowy ludzi, których potrzebowaliśmy wtedy. Wiemy, kiedy ktoś nas namierza, i możemy zakłócić ich sygnał. Możemy korzystać z telefonów, których nie da się namierzyć, i używać broni i środków chemicznych nie do wykrycia nawet przez najlepszych lekarzy sądowych. Nie jesteśmy już rolnikami w płaszczach przeciwdeszczowych i ze śrutówkami.

– Nie twierdzę, że tak jest – odparł Niall. – Mówię tylko, że musimy być ostrożni i nie możemy podejmować pochopnych decyzji jak bliźniacy Doyle'owie. Chodzili z tobą do klasy, pamiętasz? Teraz jeden z nich jest trupem, a drugi częściej bywa w pierdlu niż na wolności.

– Wszystko przez to, że jeden był głupszy od drugiego. Eddie Doyle myślał, że Freddie Mercury wynalazł termometr<sup>2</sup>.

– Ale po co się spieszyć? Toczymy tę bitwę od tysiąc dziewięćset dwudziestego pierwszego roku. Kilka miesięcy więcej nic nie zmieni.

Davy upił kolejny łyk napoju i otarł usta wierzchem ręki.

– Nic nie rozumiesz. Kiedy Anglicy zagłosowali za wyjściem z Unii Europejskiej, wszystko się zmieniło. Irlandia Północna głosowała za

---

<sup>2</sup> Mercury (ang.) – rtęć.

pozostaniem, podobnie jak my, ale będą zmuszeni opuścić wspólnotę, chociaż wcale tego nie chcą. To znaczy, że granicy między nami nie będą już wyznaczały znaki drogowe z kilometrami zmienionymi na mile. Nie, to będzie prawdziwa granica między Unią Europejską a Wielką Brytanią, z posterunkami celnymi i strażnikami. To pieprzony bezsens, pod względem politycznym, ekonomicznym i każdym innym.

Pochylił się i wlepił wzrok w Nialla, jakby przemawiał do wyjątkowo tępego dziecka.

– Nie masz, kurwa, pojęcia, jaki to ważny historyczny moment? To czas, kiedy Północ i Południe może powiedzieć, że wszyscy jesteśmy Irlandczykami i nie chcemy między nami takiej bariery. Pierwszy raz od dawna możemy stanąć ramię w ramię. Taka okazja może się nie powtórzyć przez kolejne kilkadziesiąt lat, długo po tym, jak ty i ja trafimy do piachu. Skoro Angole mogli odzyskać swój kraj, to i my możemy. Ale musimy uderzyć teraz. Musimy kuć żelazo, póki gorące i póki mamy poparcie opinii publicznej.

– No już, chłopcze, masz jakiś plan, tak? – Murtagh popukał się w czoło palcem pożółkłym od nikotyny i posłał Davy’emu szczerbaty uśmiech.

Davy potaknął ochoczo.

– Wczoraj wieczorem mówili w wiadomościach, że brytyjski minister obrony w przyszłym tygodniu przylatuje do Dublina, by omówić kwestie granic. Potem ma przyjechać do Cork, żeby przeprowadzić inspekcję bazy marynarki wojennej w Haulbowline i rozmawiać o NATO.

– No i co?

– No i to, że rozmawialiśmy już ze starym kumplem Bobby’ego, Royem McCreeshem z Andersonstown. Mógłby przysłać kilku gości, których nikt nie rozpozna.

– Roy McCreesh? – Niall zmarszczył nos. – Ten kanciarz?

– Nazywaj go sobie, jak chcesz, ale facet ma kontakty, zwłaszcza w policji Irlandii Północnej.

– Czy mi się zdaje, czy chcesz zrobić to, co mi się zdaje, że chcesz

zrobić? Bo jeśli tak, to chyba cię, kurwa, pojechało.

– Co innego może zjednoczyć ten kraj za jednym zamachem? Proszę cię bardzo: mów. Tyle że odpowiedź brzmi: nic. Jak myślisz, co powiedzieliby chłopcy ze starej brygady, gdybyśmy zrobili coś takiego? Gdybyśmy dokonali tego, co nie udało się Liamowi Lynchowi, Mary MacSwiney ani Éamonowi de Valerze, ani Martinowi McGuinnessowi, ani Gerry'emu Adamsowi, ani żadnemu innemu irlandzkiemu patriocie?

– Odbiło ci – warknął Niall. – Myślisz, że brytyjski minister obrony przyjedzie tu bez ochrony? Nie zbliżysz się do niego na kilometr. A nawet gdyby, to wyobrażasz sobie, co by się stało później? Gliny przetrząsnęłyby cały kraj, byle nas dorwać, kawałek po kawałku, i zadbałyby o to, żebyśmy dostali kulkę w łeb, zanim dotrzemy do sądu.

– Znowu zaczynasz, stary – rzucił Davy. – Mówisz do mnie jak do gówniarza, który wciąż ma mleko pod nosem...

Ale Niall, wyraźnie rozgniewany, nie pozwolił mu dokończyć.

– Nie! – ryknął. – Nie wydaje mi się, że masz mleko pod nosem! Myślę, że jesteś stuknięty! Pozwól, że coś ci powiem, Davy. Wiem, że jesteś zaangażowany politycznie, i podpisuję się pod tym obiema rękami. Wiem, że twój dziadek był na górze Knockmealdown, kiedy zastrzelili Liama Lyncha. I wiem, że krew Lyncha zbryzgała jego twarz. Wystarczająco często mi to powtarzałeś. Ale mamy dwudziesty pierwszy wiek i nie rozwiązujemy sporów politycznych, wydając wyroki śmierci na polityków, tak jak to było w przeszłości. Ja w to nie wchodzę i coś ci powiem: jeśli się dowiem, że ty i McCreesh kombinujecie coś razem, zrobię wszystko, żeby pokrzyżować wam plany. Uwierz mi.

Davy otworzył usta i unióśł palec, jakby zamierzał się odgryźć, ale rozmyślił się i odprężony odchylił się na krześle.

– W porządku, Niall. Jak sobie chcesz. Skoro tak czujesz. Nie mam zamiaru się z tobą wykłócać. Kłócąc się między sobą, nie osiągniemy tego, na czym nam zależy.

– Tak jak nie osiągniemy tego, wysadzając w powietrze brytyjskich

polityków.

– Co ty na to, żebym postawił ci jeszcze kolejkę? – spytał Davy. Uśmiechał się, ale spojrzenie miał nawet chłodniejsze niż chwilę temu.

Niall dopił piwo i zerknął na zegarek.

– Nie, muszę lecieć. Obiecałem Mairead, że odbiorę Sinead z przedszkola.

– Ja też będę się związał – rzucił Davy. – Zadzwoń i pogadamy.

– Nie zmienię zdania – oświadczył Niall. – Dawne czasy minęły. Musimy walczyć o swoje siłą perswazji, nie kulami.

– Tak jak mówię, pogadamy o tym innym razem – powiedział Davy.

Obaj wstali od stołu, a Murtagh dał znać barmanowi, by przyniósł kolejne trzy kufle.

\* \* \*

Łało jak z cebra, gdy Niall wsiadał do swojego granatowego forda mondeo zaparkowanego przed wejściem do pubu. Davy zasalutował mu i postawiwszy kołnierz kurtki, pobiegł do mercedesa. Niall uruchomił silnik, wycofał na Gurrabraher Road i ruszył na północ. Kilka sekund później Davy ruszył jego śladem.

Niall zwolnił na rondzie na końcu Gurrabraher Road i wjechał w Knockfree Avenue. Davy trzymał się pięćdziesiąt, sześćdziesiąt metrów za nim, ale dojeżdżając do przedszkola, mrugnął światłami.

Z początku Niall tego nie zauważył, Davy mrugnął więc jeszcze raz, a gdy Niall zjechał na pobocze, zatrzymał się za nim. Po lewej stronie drogi nie było niczego poza działkami, a po prawej znajdował się nieogrodzony rozległy park. Deszcz przybrał na sile i zarówno na działkach, jak i w parku nie było żywego ducha. Szare chmury sunęły po niebie, jak gdyby były spóźnione na pilne spotkanie.

Davy wysiadł z mercedesa i przygarbiony podszedł do mondeo. Kiedy zapukał w szybę, Niall ją opuścił.

– Coś nie tak? – spytał, rzucając Davy'emu srogie spojrzenie.

– Ty, koleś – odparł Davy. – Ty jesteś nie tak.

– O czym ty, kurwa, gadasz? Muszę odebrać Sinead, jestem

spóźniony.

– Ujmijmy to tak: Liam Lynch nie zginął po to, żeby takie pajace jak ty go zawiodły.

– Pierdol się, dobra? Rzygać mi się chce, jak słyszę o Lynchu.

Davy wyprostował się i rozejrzał po okolicy. Upewniwszy się, że nikt ich nie widzi, wyciągnął z wewnętrznej kieszeni glocka, wycelował w głowę Nialla i pociągnął za spust. Pistolet miał tłumik, ale wystrzał i tak był głośny. Kula trafiła Nialla między brwi i tył jego głowy eksplodował, ochlapując szybę od strony pasażera mieszaniną krwi i mózgu.

Spojrzenie Nialla natychmiast złagodniało; wyglądał teraz, jakby patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem. Po chwili osunął się na bok, jedną ręką wciąż ściskając kierownicę.

Davy wrócił do samochodu i odjechał. Kiedy dotarł do Fair Hill, zatrzymał się na chwilę i spojrzął na siebie w lusterku wstecznym. Wiedział, że po tym, co zrobił, nie będzie odwrotu. Nawet stąd widział chmurę dymu ulatującą w niebo znad budynku Toirneach Damhsa.

Wrócił na Mount Nebo Avenue, pogwizdując cicho *The Broad Black Brimmer*, piosenkę o mundurze IRA, wciąż wiszącym w pokoju jego ojca. Jedynymi słowami, które wyszeptał, parkując przed domem wuja Christy'ego, były ostatnie słowa refrenu: *kabura pusta przez wiele dni... lecz już niedługo!*

## ROZDZIAŁ 4

Dochodziła północ, gdy strażacy i inżynierowie nadzoru budowlanego uznali, że budynek, w którym mieściła się szkoła tańca, jest na tyle bezpieczny, by można było do niego wejść. Ulewny deszcz pomógł schłodzić zgliszcza, ale dach budynku przykryto plastikową folią, by zabezpieczyć ciała i dowody. Dźwięk kropli tłukących o plastik brzmiał upiornie, jak gdyby martwi tancerze nadal tańczyli do *Blackthorn Stick*.

Katie i jej ludzie zostali na miejscu i czekali w pubie Friary. Siedzieli przy stoliku koło okna, skąd mogli obserwować strażaków, a właściciel postawił przed nimi kanapki z serem i szynką i kubki z herbatą.

Około wpół do pierwszej do pubu wszedł Bill Phinner, szef sekcji technicznej, ubrany w biały szeleszczący kombinezon z kapturem. Wydawał się równie chudy i nieszczęśliwy jak zawsze, ale Katie od dawna wiedziała, że przygnębienie jest maską, którą przywdziewa w sytuacjach awaryjnych.

– No i jak, Bill? – zwróciła się do niego.

– Paskudny widok. W życiu nie widziałem tak potwornego pożaru.

– Domyślasz się, co mogło go spowodować?

– Za wcześnie na jakiegokolwiek przypuszczenia. Możliwe, że będziemy potrzebować kilku tygodni, żeby to ustalić. Ale już teraz mogę stwierdzić, że prawie na pewno to nie wypadek. Przyczyną nie była wadliwa instalacja elektryczna. Ogień rozprzestrzenił się zbyt szybko i zbyt gwałtownie, a z tego, co udało nam się ustalić, w budynku nie przechowywano żadnych butli z gazem, kanistrów z benzyną ani puszek z farbą. Przypuszczam, że użyto jakiegoś środka łatwopalnego. Matt Whalen jest tego samego zdania.

Chwilę później do środka wszedł detektyw sierżant Begley pachnący deszczem i gorzkim dymem.

– Dziennikarze chcą, żeby przekazać im najświeższe wieści – zwrócił się do Katie. – Gość z „Examinera” jęczy, że zawałił jutrzejszy termin, a Fionnuala Sweeney pyta, czy jest coś, o czym im nie mówimy.

Katie pokręciła głową.

– Ona wszędzie węszy spisek. Obawiam się jednak, że dziennikarze będą musieli zaczekać. Chcę obejrzeć budynek, zanim wydam w tej sprawie jakiegokolwiek oświadczenie.

– Dobrze – zgodził się z nią Bill Phinner. – Obfotografujemy wszystko, nagrywamy materiał dowodowy i robimy zdjęcia w podczerwieni, ale myślę, że powinniście zobaczyć ofiary na miejscu zdarzenia. Dzięki temu będziecie mieli pojęcie, co tam się wydarzyło i jak ogromny musiał być ten pożar. Powiem Jamiemu, żeby przyniósł wam kombinezony z tyveku. Pewnie nie chcielibyście się pobrudzić.

Kiedy wyszedł z baru, Katie znów poczuła woń deszczu i dymu. Chwilę później detektyw sierżant Begley podał jej podkładkę z przypiętą do niej listą nazwisk.

– To wszyscy tancerze z Toirneach Damhsa. W sumie osiemnaście osób. Do tej pory znaleźliśmy siedemnaście ciał i zakładamy, że jedno z nich to prawdopodobnie nauczyciel tańca, Nicholas O’Grady.

– Kontaktowaliście się z rodzinami?

– Z tymi, których udało nam się namierzyć. Odhaczyliśmy ich nazwiska. Rodziny dwojga są na wakacjach, a pod jednym z adresów nie zastaliśmy nikogo. Pięcioro mieszka w wynajętych pokojach i na chwilę obecną nie jesteśmy w stanie powiedzieć, kto z nich był na zajęciach, a kto nie. Musimy poczekać, aż ciała zostaną zidentyfikowane.

– Wiecie już, kim była ta dziewczynka i co tam robiła?

– Zakładamy, że była przyjaciółką albo krewną któregoś z tancerzy, ale żadna z osób, z którymi udało nam się skontaktować, jej nie zna.

– Rano pojedę do niej. Miejmy nadzieję, że przez noc otrząśnie się z szoku i powie mi, jak się nazywa.

Do pubu wszedł młody technik z przewieszonymi przez ramię trzema kombinezonami: dla Katie i detektywów O’Donovana i



Markeya. Katie zdjęła kurtkę odblaskową i Begley pomógł jej włożyć kombinezon. Kiedy go zapinała, do pubu wszedł detektyw Dooley, przemoczony i wyczerpany. Miał minę jak jej seter irlandzki Barney, gdy w ulewnym deszczu zabrała go na długi spacer, aż do przystani promowej Passage West.

– Sam nie wiem – rzucił, przeczesując palcami ociekające wodą włosy. – Postąłem w tłumie i nadstawiałem ucha, ale nie zauważyłem nikogo, kogo kręciłby widok płomieni, ani nie słyszałem, żeby ktoś coś mówił. Wszyscy wiedzieli, że w środku są ludzie, a ci, co nie zagryzali warg, płakali.

– Dobra, to nie problem – powiedziała Katie. – Będziemy mieli mnóstwo nagrań z monitoringu. Rano możesz zacząć je przeglądać; może ktoś jednak rzuci ci się w oczy. A teraz jedź do domu i zdrzemnij się trochę. Zrobię to samo, tylko najpierw rzucę okiem na ofiary.

– Chryste. Dobrze, że nie muszę tego robić. Po czymś takim zawsze mam koszmary. Jestem tylko ciekawy, kto, na Boga, chciałby podpalać szkołę tańca? Rozumiem: burdel, metę, bar. Nawet kościół. Ale jaką krzywdę mogła wyrządzić komuś grupa tancerzy?

– Może to ci z dołu? – wtrącił detektyw Markey. – Może wkurzało ich to całe tupanie nad głową? Przepraszam – dodał pośpiesznie, czując na sobie pełne dezaprobaty spojrzenie Katie. – To nie było śmieszne.

\* \* \*

W miejscu zawalonych schodów strażnicy ustawili drabinę. Katie wchodziła pierwsza. Tuż za nią szedł detektyw O'Donovan, ubezpieczając ją, na wypadek gdyby straciła równowagę. Na butach miała niebieskie osłonki z tyneku z antypoślizgowymi podeszwami, ale szczeble drabiny były mokre i śliskie.

Ściany klatki schodowej poczerniały od dymu jak komin w krematorium. Z górnych pięter nadal ściekały strużki wody, a w panującej dookoła ciszy od czasu do czasu słychać było szcęk rusztowania wznoszonego w celu zabezpieczenia sufitu, odbijający

się echem od ścian budynku. Kiedy dotarła na pierwsze piętro, dwaj strażacy wyciągnęli ręce, by pomóc jej zejść z drabiny.

– Dam sobie radę, dzięki – odparła.

– Nie chcemy, żeby pani spadła – powiedział jeden z nich. – Dość ludzi zginęło dziś w tym budynku.

Jeszcze nigdy nie widziała tak poważnych strażaków. Nawet gdy wycinali ofiary wypadków na N7 czy wyciągali topielców z rzeki Lee, zwykle trzymały się ich upiorne żarty. Rozumiała ich; zachowywali się tak, by nie oszaleć. Dziś jednak było inaczej.

Opuściła maskę na twarz i przeszedłszy ostrożnie nad przewróconą balustradą, weszła do studia tańca. Tuż za nią podążyli detektywi O'Donovan i Markey, a także Bill Phinner. Studio było jasno oświetlone sześcioma reflektorami ledowymi, które technicy ustawili na trójnogach, przez co bardziej przypominało plan filmowy niż miejsce zbrodni.

Wypaczony parkiet pokryty był bąblami. Resztki zasłon zwisały smętnie w szarych strzępach, a krzesła zmieniły się w szkielety z kłębkami brązowej stopionej pianki w miejscu siedzisk. Katie spojrzała na sufit; znajdujące się na nim kręgi sadzy przywodziły na myśl czarne burzowe chmury. Dwa żyrandole pękły pod wpływem temperatury, a to, co z nich zostało, przypominało dwa gigantyczne pająki.

Ciało Catriony leżało na plecach tuż obok drzwi. Było zwęglone do tego stopnia, że kości policzkowe przeświecały przez czarną łuszczącą się skórę, podobnie jak kości palców. Ręce i nogi wyglądały jak długie kawałki węgla, a sukienka zmieniła się w popiół.

– Podejrzewamy, że ta dziewczyna spłonęła pierwsza – odezwał się Bill Phinner. – Potwierdzą to wyniki ekspertyzy sądowej, ale prawdopodobnie pożar wybuchł na klatce schodowej i kiedy otworzyła drzwi, uderzył ją ognisty podmuch.

Katie spojrzała na to, co zostało z Catriony, przeżegnała się i szepnęła:

– Kimkolwiek jesteś, spoczywaj w pokoju.

Chwilę później odwróciła się i popatrzyła w drugi koniec

pomieszczenia, na szesnaście ciał piętrzących się przy otwartych drzwiach. Wszystkie były zwęglone i tworzyły upiorną płataninę rąk i nóg, tak że z początku trudno było określić, ile ich jest. Kiedy Katie podeszła bliżej, technicy rozstąpili się, żeby mogła się lepiej przyjrzeć. Ujrzała kępki spalonych włosów i twarze wykrzywione z bólu i przerażenia. Wyglądało to tak, jakby ktoś cisnął do ogniska karnawałowe maski.

Rozpoznała wśród techników Eithne O'Neill, młodą specjalistkę od tworzenia portretów pamięciowych i rekonstrukcji ciężko okaleczonych twarzy. Ubrana w biały kombinezon, robiła zdjęcia tancerzy pod różnym kątem, uważając przy tym, by nie dotykać ciał. W pewnej chwili podniosła wzrok i pozdrowiła Katie skinieniem głowy. Minę miała posępną.

– Oddzielenie ich trochę potrwa – odezwał się Bill Phinner. – Niektóre niemal stopiły się ze sobą. A dopiero wtedy będziemy mogli ułożyć je jak należy i zidentyfikować. Wszystkie dziewczęta mają na sobie sukienki do tańca, a chłopcy koszule i spodnie. Portfele i torebki zostawili w szatni. Będziemy musieli się nieźle natrudzić, żeby to wszystko dopasować.

Do sali wszedł zastępca komendanta straży pożarnej.

– Co za tragedia – powiedział, kręcąc głową. – Nie mieli szans, żeby ująć stąd z życiem. Żadne z nich.

– Wygląda, jakby próbowali uciec tymi drzwiami – zauważyła Katie.

– Dokąd one prowadzą? Na poddasze?

– Tak. Nie mogliśmy tam wejść, bo dach się zawalił. Ale wydaje mi się, że otwarcie tych drzwi miało taki sam skutek jak otworzenie drzwi na klatkę schodową. Napływ powietrza spowodował ognisty podmuch. Równie dobrze mogli się oblać benzyną.

– I obaj jesteście zdania, że ktoś celowo podłożył ogień?

Bill Phinner i Matthew Whalen spojrzeli na stertę zwęglonych ciał i zgodnie pokiwali głowami.

– Nie ma wątpliwości – odparł Whalen. – Zbyt często oglądałem podobny scenariusz. Pamiętacie pożar, który wybuchł w październiku w Reedy's przy Oliver Plunkett Street? Ucierpiała

wtedy tylko jedna osoba, facet z mieszkania nad sklepem, ale tam też doszło do podwójnego rozgorzenia. Gość próbował uciec przez strych, ale kiedy otworzył klapę, cały budynek eksplodował niczym bomba.

Katie nie mogła nie zauważyć przykurczonej dłoni, która spoczywała na podłodze tuż obok jej stopy w niebieskim ochraniaczu z tyteku. Była to dziewczęca dłoń, czerwona jak ugotowany krab, ze srebrnym pierścieniem zaręczynowym zmatowiałym od gorąca. Na ten widok Katie znów się przeżegnała. Cokolwiek się tu wydarzyło, ktokolwiek podpalił budynek, czuła, że zawiodła tych biedaków, bo nie dotarły do nich żadne pogłoski o planowanym ataku. W mieście toczyła się ciągła walka między gangami narkotykowymi, alfonsami i przemytnikami ludzi, nie słyszała jednak, by ktokolwiek groził Toirneach Damhsa czy innej irlandzkiej grupie tanecznej.

– Muszę porozmawiać z dziennikarzami – zwróciła się do Billa Phinnera i Matthew Whalena. – Nie powiem im o naszych podejrzeniach, że to celowe działanie. Po pierwsze, wolę mieć stuprocentową pewność, że było to podpalenie, a nie jakiś dziwny wypadek, który tylko tak wygląda. Po drugie, jeśli doszło do podpalenia, chcę, by sprawca myślał, że mu się upiekło.

– W takim razie co im pani powie? – spytał Matthew Whalen.

– Nic, czego by już nie wiedzieli. Doszło do potwornego pożaru, w którym zginęła większość, jeśli nie wszyscy członkowie grupy tanecznej Toirneach Damhsa. Technicy policyjni we współpracy z ekspertami ze straży pożarnej badają jego przyczyny.

– Nie sądzę, żeby byli zadowoleni – wtrącił się Bill Phinner.

– Spłonęło tu siedemnaścioro młodych ludzi, Bill – odparła Katie. – W tej chwili interesuje mnie tylko to, żeby dowiedzieć się, kto ich zabił, i ukarać sprawcę. Media... cóż, media mogą zaczekać.

## ROZDZIAŁ 5

Resztę nocy Katie spędziła w hotelu River Lee. Mogła się zdrzemnąć na komendzie, ale tam zawsze panował hałas, słychać było trzask drzwi, dźwięk pospiesznych kroków, dzwonienie telefonów i śpiew pijaków wleczonych z ulicy. Zresztą za każdym razem, gdy spała przy Anglesea Street, budziła się wcześniej i zamiast zjeść porządne śniadanie, siadała przy biurku i wrzucała w siebie kanapkę z serem i pomidorem albo batonik musli.

Chciała pomyśleć w spokoju o tym, kto i dlaczego mógł zrobić coś takiego, i zaplanować śledztwo. Wzięła długi, gorący prysznic, żeby zmyć z siebie zapach dymu, i o trzeciej piętnaście położyła się spać. Leżała w łóżku, słuchając ruchu ulicznego na Western Road i deszczu podzwaniającego o szyby.

Nauczyła się wyłączać umysł i zasypiać głębokim snem, kiedy tylko chciała, lecz tej nocy miała wyrazisty sen – nie o czarnych zwęglonych ciałach w szkole tańca, lecz o Conorze. Było słoneczne popołudnie, a on siedział w ogrodzie na tyłach jej domu odwrócony do niej plecami i tarosił Barneya za uszy. Miał na sobie brązowy kapelusz z miękkim rondem i białą koszulkę z krótkimi rękawami, odsłaniającymi tatuaże na przedramionach, których nie widziała, gdy byli razem w łóżku. Syrenę o falujących, rudych włosach – zawsze nazywał ją swoją piękną syrenką.

Wciąż powtarzał: „Nie rozumiesz, Katie. Nie masz o niczym pojęcia”.

Budzik obudził ją o szóstej trzydzieści. Chociaż musiała włożyć rdzawy kostium i musztardowy sweter, które miała na sobie poprzedniego dnia, w torebce zawsze nosiła zapasowe rajstopy i stringi. O siódmej wzięła notatnik, zeszła na dół na oszklony taras i zajęła stolik z widokiem na rzekę. Zaczynało się rozwidniać, ale choć przestało padać, poranek był szary, a rzeka – mętna jak zaparowane

lustro. Zamówiła kaszanke, jajka sadzone na grzance, lemoniadę truskawkowo-miętową i podwójne espresso. W domu zaczynała zawsze dzień od musli z jogurtem, ale dziś miała przeczucie, że do wieczora może nie mieć czasu nic zjeść.

Czekając na zamówienie, popijała lemoniadę i sporządzała listę. Detektyw Dooley zadał najważniejsze pytanie: „Kto, na Boga, chciałby podpalać szkołę tańca?”. Istniało kilka możliwych odpowiedzi, ale zważywszy na to, że zginęło siedemnaście osób – na skutek czyjegoś celowego działania lub przez przypadek – pomyślała, że niektóre z nich są niezwykle mało prawdopodobne. Wciąż jednak miała w pamięci słowa, które powiedział jej ojciec, doświadczony inspektor Gardy: „Cały świat jest niezwykle mało prawdopodobny, skarbie, a Cork jest najbardziej nieprawdopodobnym miejscem zaraz po Waterford”.

Mimo działalności gangów, a może za ich sprawą, Cork miało najmniejszy wskaźnik przestępczości w całej Irlandii, choć nigdzie indziej nie było tylu zabójstw. Te zdaniem Katie również były zasługą gangów.

Ale czy pożar w szkole tańca mógł mieć związek z którymś z gangów? Może chodziło o spór, do kogo należy nieruchomość? Może sprawca zamierzał po prostu spalić budynek i nie wiedział, że w środku są uwięzieni ludzie?

Albo chował urazę do któregoś z tancerzy. Albo do wszystkich? Może miał na pieńku z ich nauczycielem Nicholasem O’Gradym lub z Dannym Coffeyem, właścicielem i menedżerem grupy? Przed południem Danny Coffey miał wrócić do Cork z Dublina i Katie zamierzała go przesłuchać.

Może zespół miał problemy finansowe i Danny Coffey zaplanował pożar, by dostać pieniądze z ubezpieczenia.

Wiedziała, że Nicholas O’Grady był gejem, bo przed kilkoma miesiącami poślubił swojego partnera podczas wystawnej imprezy w hotelu Ambassador. Może któryś z zazdrosnych byłych kochanków postanowił go ukarać albo jakiś fanatyk religijny chciał wyrazić dezaprobatę dla małżeństw homoseksualnych.

Może ogień podłożył członek którejś z konkurencyjnych grup tanecznych. W przyszłą sobotę w gmachu Opery w Cork miał się odbyć finał regionalnego konkursu tańca, a rywalizacja była zacięta, zwłaszcza między półprofesjonalnymi zespołami. Zwycięstwo oznaczało rozgłos i gwarantowało występy w całej Irlandii i poza nią. Z tego, co Katie wyczytała na temat Toirneach Damhsa, byli jedną z najlepszych grup tanecznych w kraju. Zamierzała wysłać detektywa Scanlan do An Coimisiún Le Rincí Gaelacha, Irlandzkiej Komisji Tańca, by dowiedziała się, czy między zespołami dochodziło do animozji.

Odłożyła długopis, gdy rudowłosa kelnerka postawiła przed nią talerz z kaszanką i drugi z jajkami na grzance. Katie kusiło, żeby zadzwonić do detektywa sierżanta Begleya i zapytać, na jakim etapie jest rozdzielanie zwęglonych zwłok, ale nakazała sobie spokój i zmusiła się do zjedzenia śniadania. Gdyby były jakieś problemy, Begley albo Bill Phinner zadzwoniliby do niej.

Krojąc kaszankę, uświadomiła sobie, jak bardzo przypomina poczerńiałe zwłoki pierwszej tancerki, która leżała na plecach przy wejściu do studia. Nabrała odrobinę na czubek widelca i zbeształa się w duchu za swoją wrażliwość. Raz widziała kobietę, którą mąż zaatakował w kuchni nożem do porcjowania mięsa, tak że wnętrzności wylały się z brzucha, ale widok ten nie sprawił, że przestała lubić flaczki.

Po chwili uznała jednak, że nie będzie w stanie przetłknąć kaszanki. Odłożyła widelec i odsunęła talerz. Właściwie odechciało jej się jeść, nie miała nawet ochoty na kawałek placka owsianego, który oderwała i posmarowała masłem.

– Coś nie tak, proszę pani? – spytała kelnerka.

– Tak. Nie. Nie. Nie chodzi o jedzenie. Jest pyszne. To moja wina. Nagle straciłam apetyt.

– Może podać coś innego? Owsiankę z whisky i śmietanką?

– Nie, dziękuję. Dopiję tylko kawę. Proszę powiedzieć szefowi kuchni, że to nie jego wina. Mój układ trawienny daje mi się we znaki.

– Może przynieść alka-seltzer?

Katie uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– To miłe z pani strony, ale obawiam się, że w tym przypadku alka-seltzer nic nie pomoże.

\* \* \*

Niebo roz pogodziło się, kiedy szła z hotelu River Lee na Anglesea Street, mijając po drodze Hanover Street i nadrzeczną Sullivan's Quay. iPhone zabrzączał kilka razy, a z głośnika w kółko płynęły dźwięki *Fear a' Bháta*, ale Katie je ignorowała. Dotarcie na komendę zajmie trochę ponad dwadzieścia minut, a czuła, że potrzebuje ruchu i świeżego powietrza.

Chciała też pomyśleć o Conorze. Nie była w nim zakochana, lecz bardzo go lubiła. Był zabawny, interesujący i wyrozumiały, a do tego świetny w łóżku. Seks z nim fascynował ją i sprawiał, że czuła się wyzwolona. Miała wrażenie, że przy nim może robić, co tylko chce, i bez skrępowania opowiadać mu o swoich potrzebach i fantazjach.

Poza tym był jednym z zaledwie garstki profesjonalnych psych detektywów, którzy zajmowali się odnajdywaniem zaginionych lub skradzionych kotów i psów, a jego podejście do zwierząt czyniło go jeszcze bardziej atrakcyjnym.

Byli razem w Tipperary, gdzie szukali skradzionych psów przygotowywanych do walk, które organizował cieszący się złą sławą Zezowaty Guzz McManus. Nie mieli wystarczających dowodów, by go aresztować, dowiedzieli się jednak, że szykuje się jakaś większa walka, i Katie miała nadzieję, że Conor pomoże jej wnieść oskarżenie przeciwko McManusowi i na dobre zamknąć jego biznes. Każda walka psów przynosiła trzykrotnie większe zyski niż dostawa narkotyków czy napad na bank.

Tylko co teraz? Choć niełatwo było jej się do tego przyznać, wciąż miała iskierkę nadziei, że ich związek potrwa nieco dłużej niż kilka tygodni i okaże się czymś poważniejszym niż hotelowe schadzki w trakcie pracy nad sprawą McManusa. Tak było, zanim wysoka, atrakcyjna kobieta weszła na komendę i przedstawiła się jako żona



Conora. Tamtego wieczoru Katie wróciła do domu ze łzami w oczach i od tego czasu nie rozmawiała z Conorem, aż do wczoraj, kiedy przyszedł na Anglesea Street.

Oczywiście mogła kontynuować śledztwo w sprawie walk psów bez niego, choć byłoby to dużo trudniejsze. Conor miał rozległą sieć kontaktów z podejrzanymi weterynarzami, właścicielami hoteli dla psów i ludźmi zamieszkanymi w kradzież psów i szkolenie ich do walk. Zezowaty Guzz był wpływową osobistością w środowisku irlandzkich Travellersów<sup>3</sup> i nie lubił, gdy ktoś wtrącał się w jego sprawy. Policja z Tipperary podejrzewała, że miał związek z zabójstwem Seana Moody'ego, tresera psów, którego ciało znaleziono we wrześniu w rowie nieopodal Saintpatricksrock. Moody'emu odcięto genitalia i wepchnięto do ust na znak, że rozmawiał z ludźmi, z którymi nie powinien był rozmawiać.

Tak, Kathleen, kapuję, rozmawiała sama ze sobą, przechodząc przez kamienny most nad południową odnogą rzeki. Pospieszyłam się z Conorem. Wciąż jednak nie mogła dojść do siebie po śmierci byłego chłopaka, Johna, a Conor poświęcał jej wiele uwagi i dodawał sił w chwilach, gdy najbardziej tego potrzebowała. Czy jednak mogła dalej z nim pracować, wiedząc, że jest żonaty i zdradzał z nią żonę? Czuła nadciągające problemy niczym skłębione, szare chmury, które przetaczały się po niebie za jej plecami.

Chwilę po tym, jak weszła do biura i odwiesiła kurtkę odblaskową, w drzwiach stanęła Moirin. Była niską, pulchną kobietą o twarzy w kształcie serca jak u królowej Śnieżki i wyglądała, jakby niedawno ukończyła szkołę, choć była samotną matką z dwójką dzieci i jedną z najlepszych asystentek, z jakimi Katie miała okazję współpracować.

– Nadkomisarz Pearse i komisarz Mulliken pytali o panią. Obaj mówili, że to pilne. Napije się pani herbaty?

Katie usiadła przy biurku i dźgnęła palcem ekran telefonu.

– Od rana nie odbierałam żadnych połączeń – przyznała. – W drodze do pracy chciałam oczyścić umysł.

---

3 Koczownicza grupa etniczna pochodzenia irlandzkiego, posiadająca odrębny język i kulturę.

– Gdyby tylko tak się dało. – Moirin westchnęła. – Moje dzieci nie robią nic, tylko drą się, biją i płaczą. Od rana do nocy. I tak dzień w dzień.

– Czyli mniej więcej tak jak tu – zauważyła Katie. – Jeśli nie masz nic przeciwko, skuszę się na cappuccino. I parę tych ciastek z żurawiną, jeśli jeszcze jakieś zostały.

Zadzwoiła do nadkomisarza Pearse’a.

– Wpadnę do ciebie – oświadczył. – Trochę ruchu dobrze mi robi.

Następnie wybrała numer komisarza Mullikena.

– Moirin mówiła, że chciałeś ze mną rozmawiać. Podobno to coś pilnego.

– Tak. W Gurra doszło do strzelaniny. Niall Gleeson, dasz wiarę?

– Co? Ten Niall Gleeson? Prawa ręka Bobby’ego Quilty’ego? Nie żyje?

– Jeszcze jak. Dostał kulkę między oczy. Nie wiemy, kiedy dokładnie się to stało, bo znaleziono go dziś rano o siódmej trzydzieści. Jego samochód stał zaparkowany przy Knockfree Avenue, a ci, co go mijali, myśleli, że uciął sobie drzemkę. Dopiero jakaś przedszkolanka zauważyła na szybie zaschniętą krew.

– Zawiadomiłeś techników i koronera?

– Tak. Technicy są już na miejscu, ale biuro koronera otwarte jest od dziewiątej.

Podczas rozmowy Katie sprawdziła iPhone’a i zobaczyła, że ma nieodebrane SMS-y i wiadomości głosowe od nadkomisarza Pearse’a, komisarza Mullikena i Billa Phinnera. Matko Boska, pomyślała, człowiek chce mieć dwadzieścia minut spokoju, a tymczasem wszystko się wali.

– Pearse zaraz tu będzie – powiedziała. – Rozumiem, że chce mi powiedzieć o Niallu Gleesonie. Może też wpadniesz?

– Dobra. Będę za minutę.

Odsłuchiwała wiadomości głosowe, które nagrał jej Bill Phinner. Głos miał zmęczony. „Będziemy potrzebować co najmniej trzydziestu sześciu godzin, żeby usunąć ze studia wszystkie ciała – poinformował ją w pierwszej wiadomości. – Niektóre z nich

dosłownie stopiły się ze sobą, więc musimy być wyjątkowo ostrożni. Na razie pobraliśmy do analizy chemicznej próbki ze ścian, z podłogi i ubrań ofiar”.

„Pewnie słyszałaś już o Niallu Gleesonie – powiedział w drugiej wiadomości. – Dla jego własnego dobra miejmy nadzieję, że diabeł nie dowiedział się o jego śmierci. Wysłałem do Gurra czterech swoich ludzi. Wygląda na to, że żadne z nas nie wyśpi się porządnie w ciągu najbliższych kilku dni. Niall Gleeson... święty Józefie. Nie wiem, kto będzie następny, ale możesz być pewna, że jeszcze przed Bożym Narodzeniem będziemy mieli zabójstwo w odwecie”.

Odsłuchawszy wiadomości, Katie zadzwoniła do detektywa O'Donovana, który przeglądał nagrania z kamer przemysłowych, a na nich tłum gapiów zgromadzony przed szkołą tańca Toirneach Damhsa.

– Kiepsko to widzę – rzucił. – Wiatr nawiewa dym tak, że prawie całkowicie przesłania obraz. Ale i tak je przejrzę. Mamy prawie sześć godzin nagrań z monitoringu, plus kilka godzin materiału nagranych przez strażaków.

Nadkomisarz Pearse zapukał do drzwi i wszedł do gabinetu z posępną miną. Był niskim, przysadzistym mężczyzną z błyszczącymi oczami, krzaczastymi brwiami i wydatną dolną wargą. Słynął z porywczosci, ale Katie nie знаła człowieka, który lepiej radziłby sobie z działaniami na rzecz egzekwowania prawa, a zwłaszcza z patrołowaniem ulic. Nie tolerował głupców i niekompetencji, choć przy Anglesea Street wszyscy wiedzieli, że jego żona jest jeszcze bardziej porywczą. Detektyw Dooley żartował, że pewnie codziennie rano posypuje płatki śniadaniowe semtexem.

– Domyślam się, że chce pan porozmawiać o Niallu Gleesonie – zaczęła. – Właśnie się dowiedziałam.

– Wybacz, Katie – bąknął nadkomisarz Pearse. – Myślałem, że słyszałaś.

– O co chodzi? IRA siedziła cicho, odkąd Bobby Quilty udał się na spotkanie ze Stwórcą. Myślałam nawet, że zaprzestali działalności. Pana zdaniem to zabójstwo polityczne czy sprawa osobista?

– Trudno powiedzieć. Ale jeden z naszych funkcjonariuszy, Duffy, mieszka blisko niego w Bride Valley Park i słyszał, że Gleeson wdał się w romans z żoną jakiegoś faceta. Powiedział, że dyskretnie popyta i spróbuje się dowiedzieć, o kogo chodzi. To może być motyw.

W chwili gdy to powiedział, do gabinetu wszedł komisarz Mulliken. Był wysokim, szczupłym mężczyzną, łysiejącym – choć miał dopiero czterdzieści jeden lat – z dużym nosem i nastroszonymi ciemnymi wąsami. Miał na sobie jasnobrązowy garnitur, który wisiał na nim, jakby kupił go, gdy ważył pięć kilo więcej. Jednym z jego obowiązków było obserwowanie działających na terenie Cork odłamów IRA, takich jak Autentyczna IRA, Tymczasowa IRA, Nowa IRA i Óglaigh na hÉireann. Ta pierwsza została założona przez nieżyjącego Bobby’ego Quilty’ego i była finansowana w głównej mierze z pieniędzy, które zarabiał na szmuglowaniu papierosów, bardziej jednak przypominała prywatną armię, która miała chronić jego działalność przestępczą, niż prawdziwy ruch republikański.

– Nadkomisarz Pearse uważa, że Gleesona mógł zastrzelić zazdrosny mąż – powiedziała Katie.

– To całkiem możliwe – przyznał Mulliken. – Już dwa, trzy lata temu miał kłopoty, kiedy zrobił dziecko właścicielce pubu. Nie mógł utrzymać ptaszka na uwięzi. Mam wrażenie, że mówiąc o zjednoczonej Irlandii, miał na myśli siebie jednoczącego się z każdą napotkaną kobietą.

– Więc twoim zdaniem to nie była sprawa polityczna? – spytała Katie.

– Nie jestem pewien. Od czasu do czasu dostaję cynk od gościa, który pracuje na pół etatu w Templegate Tavern przy Gurrabraher Road. Kiedy widziałem się z nim tydzień temu, mówił, że stara gwardia z Autentycznej ostatnio spotyka się nieco częściej. Widział z nimi Gleesona i jakiegoś nowego gościa.

– Słyszał, o czym rozmawiają?

Mulliken pokręcił głową.

– Powiedział tylko, że chłopcy z Autentycznej traktują tego nowego

z szacunkiem. Mówił też, że nowy nigdy nie zamawia alkoholu, tylko napoje bezalkoholowe.

– Abstynent? – spytał nadkomisarz Pearse. – Jak dla mnie już samo to czyni go podejrzanym.

Katie się uśmiechnęła.

– Nie mamy świadków? Kogoś, kto słyszał strzały i mógłby nam powiedzieć, kiedy to było?

– Mój informator mówi, że Gleeson przyjechał około wpół do trzeciej. W pubie było trzech gości z Autentycznej. Później, mniej więcej koło czwartej, pojawił się ten nowy. Po krótkiej rozmowie Gleeson wyszedł. Zaraz po nim wyszedł ten nowy. Gleeson miał odebrać z przedszkola wnuczkę, ale nie dotarł na miejsce, więc jedna z matek odwiozła ją do domu. Możemy więc założyć, że to wtedy zarobił kulkę, dlatego się nie pojawił. Jego córka niespecjalnie się tym przejęła, bo rzadko można było na nim polegać i nie pierwszy raz zapomniał odebrać wnuczkę. Jak zwykle w takich sytuacjach chodzimy od drzwi do drzwi, ale na razie nie mamy żadnych świadków.

– Dobra – rzuciła Katie. – Jak tylko dowiem się czegoś od Billa Phinnera, poproszę Mathew z biura prasowego, żeby wydał w mediach oświadczenie, że poszukujemy świadków. Tony, może wyślesz kogoś do Templegate Tavern, żeby nadstawił ucha? Nie chcę przesłuchiwać tych z Autentycznej. Jeszcze nie teraz. Zanim do tego dojdzie, wolałabym wiedzieć, co knują, jeśli w ogóle coś knują. Czy nadal działają, czy spotykają się towarzysko. No i chciałabym wiedzieć, kim jest ten nowy, ten abstynent, którego traktują z takim szacunkiem.

– Ja też – przyznał komisarz Mulliken. – Mogę wystać Kynę Ni Nuallán. Potrafi nakłonić do mówienia nawet tych, którzy nie mają ochoty na rozmowę.

– Świetny pomysł – przyznała Katie. – Tylko uprzedź ją, że jadąc do Gurra, musi wyglądać jak bezdomna albo zdzira. Zero makijażu, wełniana czapka i rozwleczony dres albo tony eyelinera i szminki, a do tego miniówka w panterkę. Albo to, albo to, i wtedy nikt w Gurra

nie zwróci na nią uwagi.

Moirin przyniosła cappuccino i talerz ciastek z żurawiną i migdałami.

– Proszę się poczęstować – powiedziała Katie, widząc, że nadkomisarz Pearse mierzy je wygłodniałym wzrokiem. – Żona nie daje panu jeść?

– Uznała, że powinniśmy zdrowiej się odżywiać, więc przez ostatnie trzy tygodnie jadłem wyłącznie sałatę i piersi z kurczaka. Żadnych ciast. Żadnych burgerów. Ani chińszczyzny na wynos. Ja tam wolę umrzeć z pełnym żołądkiem niż być zdrowy jak ryba i głodny.

Za drzwiami zadzwonił telefon i chwilę później Moirin weszła do gabinetu.

– Dzwonił pan Coffey. Jego pierwszy pociąg z Dublina został odwołany, ale około dwunastej trzydzieści powinien być na dworcu w Kent.

– Danny Coffey jest właścicielem i menedżerem Toirneach Damhsa – poinformowała Katie Mullikena. – A przynajmniej był, zanim wszyscy jego tancerze zginęli w pożarze... niech Bóg ma ich w swojej opiece – dodała, po czym zwróciła się do swojej asystentki: – W porządku, Moirin, nic się nie stanie, jeśli się spóźni. Dzięki temu będę miała czas, żeby pojechać do Szpitala Miłosierdzia i odwiedzić tę małą, którą znaleźli na dachu. – Popatrzyła na Mullikena. – Tony, po drodze chciałabym zobaczyć miejsce, w którym zastrzelono Gleesona. Wezmę ze sobą Kynę, żeby wybadła sytuację. Zresztą i tak miałam ją prosić, żeby jechała ze mną do szpitala.

– Jeśli zabójstwo Gleesona było polityczne, obawiam się odwetu – odezwał się nadkomisarz Pearse z ustami pełnymi ciastka. – Sęk w tym, że dopóki nie wiemy, kto za tym stoi, nie dowiemy się, na kim wezmą odwet. Kto ma najbardziej na pieńku z Autentyczną IRA? Nowa IRA? Mafia Callahanów?

– Bill Phinner mówi to samo – powiedziała Katie. – Dlatego uważam, że to dobry pomysł, żeby posłać Kynę do pubu. Zobaczymy, czego się dowie.

– Może chodzić o porachunki gangów – odezwał się Mulliken. –

Odkąd usłyszeli, że Bobby Quilty wypadł z obiegu, Litwini próbują przejąć jego biznes papierosowy. Najwyraźniej mają dość zbierania spod drzwi worków z używanymi rzeczami, zanim zrobią to pracownicy organizacji charytatywnych.

– Matko Boska. – Katie westchnęła ciężko. – Myślałam, że to będzie spokojny tydzień. Zastanawiałam się nawet, czy nie wziąć kilku dni wolnego i nie odwiedzić siostry w Youghal. Dopiję tylko kawę, rzucę okiem na papiery i zaraz do ciebie dołączę, Tony. Możesz poprosić Kynę, żeby się przygotowała?

## ROZDZIAŁ 6

Katie miała jeszcze jeden powód, by zabrać ze sobą detektyw sierżant Ni Nuallán, poza tym, że chciała obejrzeć miejsce zdarzenia i zapoznać się z okolicą Gurranabraher.

Zatrzymała się na światłach przy Merchants Quay, tuż przed Patrick's Bridge, i powiedziała:

– Conor przyszedł wczoraj rano na komendę, żeby się ze mną zobaczyć.

– Co miał na swoją obronę? – spytała Kyna. Poprawiała swoje krótkie blond włosy, przeglądając się w lusterku osłony przeciwstónczej, ale przerwała to i z trzaskiem załoniła lusterko.

– Nic. Nie było czasu. Spieszyłam się do pożaru w Toirneach Damhsa.

– Oddzwonił rano?

Katie pokręciła głową. Światła zmieniły się już na zielone, ale cierpliwie czekała, aż przejdzie staruszka z balkonikiem. Nikt jej nie poganiał, nie trąbił. Wyglądało na to, że kiedy w Cork zapalały się zielone, rytuał nakazywał przed wrzuceniem pierwszego biegu krótką nowennę i ruszenie dopiero na czerwonym.

– Co zrobisz? – spytała Kyna. – Bez niego nie będzie łatwo zamknąć McManusa i reszty tych skurwieli od walk psów.

– Szczerze mówiąc, nie wiem – wyznała Katie. – Dlaczego mi nie powiedział, że jest żonaty? Przynajmniej miałabym rozeznanie, czy iść z nim do łóżka, czy nie.

– A poszłabyś, gdybyś wiedziała? Bo do tego to się sprowadza, prawda?

Katie skręciła w lewo w Camden Quay. Niebo poczerniało i kilka kropli deszczu spadło na przednią szybę. Rzeka lśniła jak ołów.

– Nie wiem. W tym sęk. Lubię go. Nawet zaczęłam sobie mgliście wyobrażać jakąś wspólną przyszłość.



Kyna łagodnym gestem położyła dłoń na ramieniu Katie.

– Co ci mogę powiedzieć poza tym, że wiem, co czujesz? Ale zawsze będziesz mieć mnie.

Dojechały do Knockfree Avenue. Samochód Nialla Gleesona okryto niebieskim namiotem z lekkiego sztucznego materiału. Przy nim parkowały trzy radiowozy, dwie furgonetki laboratorium kryminalistycznego i jeszcze karetka. Niewielki tłumek gapiów chronił się przed deszczem pod wielkim drzewem przed przedszkolem Before 5. Katie dojrzała Dana Keane’a z „Examinera” i Jean Mulligan z „Evening Echo”. Ani wóz transmisyjny RTÉ, ani Fionnuala Sweeney jeszcze się nie pokazali.

Dan Keane przygasił papierosa, wsadził go za ucho i podszedł do Katie, gdy tylko wysiadła z wozu. Jean Mulligan deptała mu po piętach.

– Jak się posuwa śledztwo, pani nadkomisarz? – spytał Keane. – Słyszę plotki, że to robota Tymczasowej IRA.

– Tak? – zbyła go Katie, szybko idąc do namiotu. – A gdzie dokładnie je słyszałeś?

– Wie pani równie dobrze jak ja, że nie mogę ujawniać swoich źródeł.

– Pewnie, pewnie. A ty wiesz równie dobrze jak ja, że nie mogę komentować plotek wyssanych z palca.

– Czy ktoś już przyznał się do podpalenia? – spytała Mulligan.

– Dotąd nie.

– Czy nie uważa pani, że to przekreśla motyw polityczny? Jeśli IRA ma coś przeciwko komuś i daje to odczuć, zwykle trąbi o tym na lewo i prawo, zanim ktoś ją ubiegnie.

– Jak do tej pory nie widziałam ofiary, więc naprawdę nie mam żadnych komentarzy.

– Rozmawiałam z sąsiadkami pani Gleeson – nie ustawiała w wysiłkach Mulligan. – Wszystkie potwierdzają, że Niall regularnie składał wizyty pewnej pani przy Nash’s Boreen, kiedy jej mąż był w pracy. Może ten mąż się dowiedział.

– Będziemy rozmawiać ze wszystkimi podejrzanymi – zapewniła ją

Katie. Mundurowy trzymał podniesioną zasłonę namiotu, ale zanim Katie weszła do środka, zatrzymała się i spytała: – Te sąsiadki nie wiedzą przypadkiem, jak nazywa się ta pani?

– Nie, nie wiedzą. Ale jej mąż jeździ zielonym golfem. Jak tylko zielony golf odjeżdżał rano z Nash's Boreen, podjeżdżał samochód Gleesona. Zmiana warty, że tak powiem.

– Dzięki, Jean. To może nam oszczędzić masę czasu.

Weszła do namiotu, a Kyna za nią. W środku było oślepiająco jasno i tłoczno. Czterech techników, używając lamp emitujących ultrafioletowe światło, szukało odcisków palców i tkanek; fotograf robił zdjęcia ze wszystkich możliwych kątów, a dwaj znudzeni ratownicy medyczni czekali, aż tamci skończą, by mogli zabrać ciało na sekcję w kostnicy szpitala uniwersyteckiego.

Katie zajrzała do samochodu i poczuła stęchły smród alkoholu i ekskrementów. Zdziwiło ją, że przechodnie uznali, że Gleeson po prostu śpi. Oprócz zaschniętej krwi barwy melasy, rozprysniętej na oknie pasażera, nie dało się nie zauważyć dziury w czole, dziwnie pochylonego pod kątem czterdziestu pięciu stopni ciała i twarzy o szarym odcieniu, jak cement. Nadal wpatrywał się otwartymi oczami w dal, jak pewnie za życia, ale już nie mrugał.

Katie odchyliła płachtę namiotu i wyszła na deszcz.

– Co myślisz? – spytał inspektor Mulliken. Otarł kroplę deszczu z nosa i pociągnął nim.

– Tak na gorąco? Ślady krwi wskazują, że siedział za kierownicą, kiedy został zastrzelony, więc nie zabito go w innym miejscu i nie przestawiono samochodu. Wszystko świadczy o tym, że to on prowadził, a skoro o czwartej nie przyjechał do przedszkola po wnuczkę, pewnie zjawił się tu prosto z pubu. Ale zaparkował dokładnie przy krawężniku, jakby z jakiegoś powodu. Żadna z opon nie jest przebita i silnik wciąż działa, prawda?

– Sprawdziliśmy. Tak, odpala jak nówka.

– Poza tym szyba po stronie ofiary jest opuszczona. Wczoraj o tej porze padało, więc raczej nie jeździłby z opuszczoną szybą. Przypuszczam, że zatrzymał się z jakiegoś powodu i opuścił szybę,

żeby z kimś porozmawiać, i wtedy tamten go zastrzelił.

– Jest też prawdopodobne, że był to ktoś, kogo znał, albo przynajmniej ktoś, kogo nie miał powodu się obawiać. Inaczej nie parkowałby i nie opuszczałby szyby. Dałby gaz do dechy i zniknąłby jak sen złoty.

– Może nadkomisarz Pearse miał rację. Może zastrzelił go mąż tej kobiety z Nash's Boreen.

– Porozmawiamy o tym potem. Szczerze mówiąc, modłę się, żeby chodziło o zdradę małżeńską. Mielibyśmy Gleesona z głowy. Jeśli sprawa ma podłoże polityczne, zrobi się niezłe szambo, mogę wam to obiecać.

\* \* \*

Szpital Uniwersytecki Miłosierdzia Bożego był tylko pięć minut drogi dalej, nad rzeką Lee, przy Henry Street, ale zanim Katie tam dotarła, powoli przejechała przed Templegate Tavern. Stało tam kilku mężczyzn. Palili, rozmawiali i od czasu do czasu wskazywali w górę Knockfree Avenue.

– Nietrudno zgadnąć, o czym ci faceci gadają – powiedziała.

– Porządna knajpa, wcale nie wygląda na szemrany pub – zauważyła Kyna. – Kiedy działałam pod przykrywką, musiałam odwiedzać znacznie gorsze lokale. W McDonalddie w Balbriggan koleś sprzedawał kokę między jednym a drugim cheeseburgerem. Nigdy więcej. Nie wiem, co było gorsze, koka czy cheeseburgery.

Przed wejściem do szpitala czekała na nich detektyw sierżant Scanlan w rdzawym trzyczęściowym garniturze z lnu i masywnych płaskich sandałach. Wyglądała, jakby tej nocy niewiele spała; pod oczami miała sińce, a włosy prosiły się o umycie.

– Potem możesz jechać do domu, Padragain – powiedziała jej Katie, wysiadając z samochodu.

– Dzięki, ale wątpię, żebym dała radę zasnąć. Od północy wypitałam z dwadzieścia kaw.

– Jak dziewczynka? Już wiemy, jak się nazywa?

– Nie powiedziała ani słowa. Na razie pielęgniarki mówią na nią

Adeen, „płomyczek”. To bardzo dziwne, ale nikt się nie zgłosił, więc nie mogliśmy jej zidentyfikować. Matthew zrobił jej więcej zdjęć. Opublikują je dziś w „Echu” i pokażą w wieczornych wiadomościach. Ale jak do tej pory nikt nie zadzwonił i jeśli do poniedziałku nie będzie odzewu, pokażą ją w naszym programie w telewizji.

– Może jej jedyni krewni zginęli w pożarze – wtrąciła Kyna.

– No, jest taka możliwość – przyznała Katie. – Jak się ma fizycznie?

– Częściowe zczadzenie, głębokie zadrapania na dłoniach, ramionach i oparzenie łydki. Lekarz chce ją zatrzymać na obserwacji co najmniej kilka dni, ale jeśli nie ujawni się infekcja płucna, będzie można ją wypisać... pod warunkiem że ktoś się po nią zgłosi. Skontaktowałam się z wydziałem nieletnich opieki społecznej, gdyby trzeba było się nią zająć. Corinne Daley już do niej zajrzała.

Scanlan zaprowadziła Katie i Kynę na koniec korytarza pierwszego piętra, gdzie na plastikowym krzeselku siedziała mundurowa, walcząc ze snem. Dziewczynka nazwana Adeen leżała w małej izolatce z bladozielonymi ścianami i ciemnozieloną wykładziną. Okno wychodziło na Millerd Street na tyłach szpitala, ale żaluzje były spuszczone, a światło włączono.

– Kiedy pielęgniarka próbowała rano podnieść żaluzje, mała bardzo się wystraszyła, jakby bała się kogoś z zewnątrz, więc zostawiliśmy spuszczone.

„Adeen” siedziała na łóżku podparta poduszkami. Wyglądała na młodszą i chudsza niż wtedy, gdy Katie widziała ją podczas akcji ratunkowej na dachu pogorzeliska, pewnie dlatego, że jej ciemne warkoczki rozczesano i umyło i ubrano ją w szpitalną koszulę nocną w grochy, dwa rozmiary za dużą.

Miała założoną maskę tlenową, czujnik pracy serca i kroplówkę. Jej lewa gałka oczna nadal była nabiegła krwią, ale prawą – ciemnopiwną i uroczą, niemal jak u postaci z Disneyowskiej kreskówki – wpatrywała się znad maski w Katie.

Kiedy Katie, Kyna i Scanlan weszły, pielęgniarka – niska, pulchna, ogniście ruda i piegowata – siedziała przy stoliku i zawzięcie waliła dwoma palcami w laptop.

– Proszę, minutę, dobrze? – powiedziała. – Laboratorium właśnie dostało najświeższe wyniki osadu dymu w dole płuc matęj.

– I? – spytała Katie.

– Jak do tej pory drogi oddechowe wyglądają całkiem czysto. Na szczęście była wysoko, na dachu, na wolnym powietrzu. Gdyby uwięzła w środku, byłoby zupełnie inaczej.

Po drugiej stronie łóżka stało krzesło, więc Katie okrążyła łóżko i usiadła. Łagodnie uściskała rękę dziewczynki.

– Jak się czujesz? – spytała z ciepłym uśmiechem. – Jestem Kathleen, ale wszyscy znajomi zwracają się do mnie Katie. Nauczycielka mówiła na mnie Molly, bo nazywam się Maguire i zawsze byłam bardzo odważna<sup>4</sup>.

Odwróciła się do pielęgniarki i spytała:

– Czy może choć na chwilę zdjąć maskę?

Pielęgniarka podeszła i zsunęła ją. Chociaż dziewczynka miała siniak na policzku, Katie spostrzegła, że jest całkiem ładna. Błada, owalna twarz, zadarty nosek i leciutko sterczące dolne zęby. Ta wada natychmiast zdradziła Katie, że dziewczynka prawdopodobnie nie pochodzi z zamożnej rodziny, bo inaczej w tym wieku miałyby już skorygowany zgryz. Jej rodzice albo byli prostymi ludźmi, albo ją zaniedbywali.

– Założę się, że nie jesteś nawet w połowie tak odważna w szkole jak ja – ciągnęła Katie. – Więcej, założę się, że jesteś pupilką nauczycieli.

Kiedy przesłuchiwała dzieci, te słowa zawsze powodowały burzliwe protesty, nawet prymusów i bardzo grzecznych uczniów. Ale dziewczynka nadal milczała, okazując tylko... Jak to nazwać? – myślała Katie. Ostrożność, podejrzliwość? Niezależnie od tego, jak to dziecko wpadło w pułapkę na płonącym dachu, nadal musiało być w szoku.

– Powiedziałam ci, jak się nazywam, skarbie, więc może mogłabyś mi zdradzić, jak masz na imię? Wiem, że tu nazywają cię Adeen, ale

---

<sup>4</sup> Molly Maguires – tajna organizacja działająca od XIX w. w Irlandii, Szkocji i USA, która stawiała sobie za cel walkę z wielkimi posiadaczami ziemskimi.

bardzo by mi pomogło, gdybym poznała twoje prawdziwe imię i nazwisko. Jeżeli nie chcesz, żeby ktoś jeszcze je usłyszał, wystarczy, że szepniesz mi na ucho.

Dziewczynka nadal milczała. Jej mina nie zdradzała, czy słyszała pytanie, a jeśli nawet, to czy je zrozumiała.

– Może ona jest imigrantką – zasugerowała Kyna. – Może mówi tylko po rumuńsku albo w jakimś innym języku.

– Odpytywano ją w dziesięciu językach najczęściej używanych przez imigrantów – wtrąciła Scanlan. – Nie zareagowała.

Katie podniosła rękę dziewczynki. Nosila zieloną plecioną opaskę z plastikowym zapięciem imitującym złoto.

– Czy to wam coś mówi? – spytała Katie.

Kyna i Scanlan pokręciły głową.

– Zwykle nie pozwalamy tu nosić biżuterii – odezwała się pielęgniarka – ale kiedy próbowałyśmy jej zdjąć tę bransoletkę, tak się miotła, że dałyśmy spokój.

– Więc najwyraźniej jest dla niej ważna – stwierdziła Katie. – Kyna, sfotografuj to, proszę, wrzuć w Google'a i daj zdjęcie do mediów. Nigdy nie wiadomo. To może mieć jakieś wyjątkowe znaczenie w jej kraju pochodzenia.

– Wszystko, co miała na sobie, kupiono w Irlandii – poinformowała ją Scanlan. – Sweter i džinsy w Penneys, a bluzę w Dunnes.

To utwierdziło Katie w przekonaniu, że rodzina dziewczynki prawdopodobnie pochodzi z klasy niższej. Nie robiła zakupów w Mischief Makers ani Brown Thomas. W Penneys para džinsów dla dziewczynki w jej wieku kosztowałaby najwyżej osiemnaście euro.

Znów ścisnęła rękę dziewczynki.

– Teraz jadę, skarbie, ale moje biuro jest niedaleko stąd – powiedziała. – Jak zdecydujesz się ze mną pomówić, poproś pielęgniarkę. Zadzwoń do mnie i będę tu w pięć minut. Nieważne, o czym będziesz chciała porozmawiać. O czym tylko zechcesz. Masz tu telewizor, więc możesz oglądać swoje ulubione filmy. Lubisz *Krainę lodu*? To jeden z moich ulubionych. I *Gdzie jest Dory*? Widziałaś *Gdzie jest Dory*?

Czekała, uśmiechając się do dziewczynki, ale ta nadal nie odpowiadała.

– Jeśli pani nie przeszkadza, muszę znów nałożyć maskę – powiedziała pielęgniarka, podchodząc do łóżka.

Katie puściła rękę dziewczynki i wstała. Miała do czynienia z wieloma ofiarami pożarów, wypadków lub napaści – osobami, które przeżyły tak głęboki wstrząs, że nie były w stanie rozmawiać o swoich przeżyciach – ale po raz pierwszy trafiła na kogoś, kto doznał tak ogromnego szoku, że w ogóle nie potrafił się odezwać.

Idąc do windy, zwierzyła się Kynie:

– Znasz mnie. Nie wierzę w przeczucia. Ale mam na sto procent wrażenie, że ta biedna dziewczynka może nam powiedzieć wszystko o tamtym pożarze. Kto go spowodował i dlaczego. Muszę tylko nad nią popracować i sprawdzić, czy da się nakłonić do mówienia.

– Nie licz na to – rzuciła Kyna. – Kiedyś w Dublinie musiałam się zajmować facetem, któremu zabito córkę i wnuka. Na progu jego własnego domu, kiedy otwierał im drzwi, więc widział to na własne oczy.

– O rany.

– No, wyobraź sobie. Zabójca strzelał z broni długolufowej i to facet miał dostać, co tylko pogorszyło sprawę. Po tym odebrało mu mowę. Przez pół roku wpadałam do niego niemal dzień w dzień, jadąc rano na posterunek, ale nie potrafiłam wydusić z niego słowa. W końcu wziął śmiertelną dawkę kodeiny. Oczywiście doskonale wiedzieliśmy, kto strzelał, ale jedyny świadek, który mógł zidentyfikować sprawcę, stracił mowę.

IPhone Katie odegrał *Fear a' Bháta*. Dzwonił detektyw sierżant Begley. Sądząc po głosie, też był zmęczony.

– Pani nadkomisarz, przyjechał Danny Coffey i... wybaczy pani moje słowa, ale zionie ogniem z tyłka, taki jest wściekły. Chce wiedzieć, czemu do tej pory nie zwinęliśmy nikogo za spalenie jego studia, nie osądziliśmy i nie wsadziliśmy do końca życia. Mówi, że i tak jest pewien, kto to zrobił.

Katie nabrała głęboko powietrza i wypuściła je.

– Dziękuję, Sean. Jestem u ciebie za pięć minut. Będziesz tak uprzejmy i poprosisz Moirin, żeby przygotowała mi cappuccino?  
Dzięki.



## ROZDZIAŁ 7

Detektyw sierżant Begley miał rację. Danny Coffey był w okropnym humorze. Siedział w poczekalni przy biurku dyżurnego i kiedy tylko Katie i Kyna weszły na komendę, zerwał się na równe nogi i spytał Begleya:

– To ona?

Katie podeszła do niego, wyciągając rękę.

– Dzień dobry, panie Coffey. Dzięki za przybycie. Jestem nadkomisarz Maguire, a to detektyw sierżant Ni Nuallán. Przykro mi słyszeć, że miał pan kłopoty z pociągami.

Danny Coffey był liczącym sobie jakieś czterdzieści pięć lat mężczyzną o okrągłej twarzy i wyblakłych zielonych oczach; miał mniej niż metr siedemdziesiąt wzrostu. Łysiał i cesał się na pożyczkę, przyklejając włosy do czaszki błyszczącym żelem. Nie miał brwi, co sprawiało, że jego twarz była w niepokojący sposób pozbawiona wyrazu. Był w beżowym garniturze z kamizelką, tak ciasnym, że odnosiło się wrażenie, jakby lada chwila miał popękać w szwach.

– Kłopoty z pociągami? – zapalczywie powtórzył zdartym, piskliwym głosem. – Nie nazwałbym tego kłopotami. To normalna udręka, której nie szczczędzą nam irlandzkie koleje. Przysięgam na Boga, że powinni je przechrzcić na „ostatni pociąg do piekła”.

– No, ale ma pan już za sobą tę udrękę – powiedziała Katie. – Może przejdziemy do mojego gabinetu? Co pan powie na herbatę? Albo kawę?

– Nie przyszedłem tu na poczęstunek, pani nadkomisarz. Przyszedłem, bo podpalono moje studio tańca i szesnaścioro moich tancerzy i mój instruktor tańca spłonęli żywcem. Więc chciałbym wiedzieć, dlaczego do tej pory nie zamknęła pani typa, który za to odpowiada.

Katie wzięła Coffeya pod łokieć, żeby pokierować go do windy, ale wyrwał się z irytacją.

– Panie Coffey, nie dokonaliśmy jeszcze aresztowania, bo śledztwo jest w fazie przedwstępnej. Nawet nie wiemy na pewno, czy pożar wywołano celowo.

– Ma mnie pani za durnia? – zaprotestował, wchodząc do windy. – Znaczy się, za wielkiego durnia? Na świętego Judę! Co to było pani zdaniem? Samozapalenie?!

– Będę bardzo wdzięczna za dostarczenie nam nazwisk i telefonów kontaktowych wszystkich pana tancerzy – mitygowała go Katie. – Mamy nadzieję, że zidentyfikujemy ich ostatecznie do końca dnia. Zespół liczy w sumie osiemnaście osób, czy tak?

– Tak. Ale Nicholas zadzwonił do mnie i powiedział, że na próbie pokazało się tylko szesnaście. Połączenie zostało przerwane, zanim mógł mi powiedzieć, kogo brakuje. Ale przecież nie musi pani znać ich nazwisk, zanim wpakuje pani za kratki gościa, który ich zabił. Nie żyje siedemnaścioro niewinnych ludzi i nieważne, kim dokładnie byli.

– Jest, jak powiedziałam, panie Coffey. Nie mamy jeszcze wystarczających dowodów, żeby dokonać aresztowania.

– Jak pani powiem, kto za tym stoi, będzie pani mogła go aresztować?

– Wie pan, kto to zrobił?

Tymczasem doszli do gabinetu Katie. Na biurku czekało cappuccino i trzy segregatory notatek, wiadomości i korespondencja. Czasem odnosiła wrażenie, że awansowano ją na nadkomisarza tylko dlatego, że funkcjonariusze płci męskiej chcieli zrzucić na jej barki całą papierkową robotę i zamienić sławną koleżankę w sekretarkę.

Cała czwórka usiadła na jasnobieżowych kanapach pod oknem. Weszła Moirin i spytała, czy ktoś chce czegoś do picia. Begley wyznał, że po słonym bekonie, który zjadł na śniadanie, marzy o filiżance herbaty. Kyna poprosiła o sok jabłkowy. Coffey pokręcił głową.

– Chyba wyraziłem się jasno – rzucił. – Nie przyszedłem tu na poczęstunek.

– A więc kto pańskim zdaniem za to odpowiada? – spytała Katie.

– To oczywiste. Steven Joyce. Kto inny miałby coś do zyskania?

– Panie Coffey, nie mam najmniejszego pojęcia, o kim pan mówi. Kim jest Steven Joyce?

– Właścicielem i menedżerem zespołu Laethanta na Rince, Dni Tańca. Jakies dziesięć lat temu byliśmy dobrymi kumplami. Po tym, jak rozstałem się z Michaeliem Flatleyem, ja i Steven założyliśmy Toirneach Damhsa. Ale kiedy zaczęliśmy odnosić prawdziwe sukcesy i rosły nam notowania, Steven zażądał siedemdziesięciu pięciu procent zysków. Uznał, że to on jest twórczą siłą firmy, a ja tylko facetem od telefonów, rachunków i prowadzenia autobusu, kiedy trzeba jechać na konkurs.

– Więc rozstaliście się?

– Owszem, z hukiem. Ale na szczęście dla mnie zarejestrowałem nazwę Toirneach Damhsa na siebie, więc Steven nie mógł jej wykorzystać. Ale co ważniejsze, Nicholas, nasz instruktor tańca, jest... hm... był geniuszem czystej wody, jeśli chodzi o choreografię. W każdym razie Nicholas został ze mną i z jego powodu większość tancerzy nie odeszła.

– Ale Steven założył własny zespół, Laethanta na Rince?

– Zgadza się. To prawie wykończyło go finansowo, ale się wygrzebał. Pierwszy raz walczyliśmy przeciwko niemu w konkursie w Killarney, trzy lata temu. Jego tancerze byli dobrzy, muszę przyznać, chociaż w końcu ich pobiliśmy. Poszedłem mu pogratulować z nadzieją, że co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr, rozumie pani?

– Zakładam, że nie wykazał się pojednawczością?

Danny Coffey zamrugał i Katie nie była pewna, czy wie, co to długie słowo znaczy.

– Nie był skłonny do przebaczenia – dodała.

– Do przebaczenia? Powiedział, że ma nadzieję, że jakiś świr wpadnie mi do studia i piłą łańcuchową odetnie wszystkim tancerzom stopy. I że jeszcze odetnie mi klejnoty i zmusi mnie, żebym je zjadł w kanapce.

– Rozumiem. Czy ma to pan jakoś udokumentowane?

– O co pani chodzi? Nie wierzy mi pani?

– Nie twierdzą, że panu nie wierzę, panie Coffey. Pytam tylko, czy ma pan jakiś materiał dowodowy potwierdzający pańskie słowa. Coś na piśmie albo na taśmie, co miałoby wartość w sądzie.

– Nie, nie mam. Ale wypowiedział te słowa na tyłach pubu O’Connora przy High Street w Killarney, jedząc kanapkę z wołowiną.

– Czy ktoś jeszcze słyszał, jak to mówił?

– Na wszystkie świętości, skąd miałbym wiedzieć? Obok nas stała jakaś baba i chrumkała jak stado świń, które utknęło w bramce. Na litość boską, czy nie wystarczy to, że mi groził? Jeśli martwi się pani sądem, stanę przed każdym sędzią, jakiego tylko pani sobie zażyczy, i przysięgnę na Pismo Święte, że to powiedział.

– W porządku. Ale czy przychodzi panu do głowy ktoś jeszcze poza Joyce’em, kto chciałby pańskiej krzywdy? Ktoś z innych zespołów tańca?

– Wszyscy walczyliśmy między sobą, bo jak się wygra konkurs, ma się bilety wysprzedane na wieki naprzód. Można nawet mieć własny show w telewizji, jeżeli na widowni trafi się właściwy producent, a po czymś takim człowieka stać na rezydencję za dwadzieścia milionów euro jak Michaela Flatleya.

Danny Coffey urwał i pracował szczękami, jakby jadł i trafił mu się szczególnie twardy kawałek mięsa.

– Nie – wreszcie znów się odezwał. – W tym interesie jest paru drani, żaden z nich nie posunąłby się jednak tak daleko, żeby mordować. Tylko Stevenowi Joyce’owi tak założyłem za skórę. Założę się o wszystko, co pani chce, że teraz tłucze łbem w ścianę, bo nie byłem w studiu i nie spaliłem się z innymi.

Znów przerwał i mocno zacisnął ręce. Chociaż twarz miał pozbawioną wyrazu, Katie ze zdziwieniem dostrzegła w kącikach jego oczu łzy. Kiedy się odezwał, jego chrapliwy głos przycichł do tego stopnia, że był ledwo słyszalny.

– Tak się składa, że to on zabił Nicholasa – wychrypiał. – Równie dobrze mógł zabić i mnie.

Katie zerknęła na Kynę i zobaczyła, że ona też zauważyła moment

wzruszenia Coffeya. W tej sprawie jest więcej, niż się wydaje na pierwszy rzut oka, pomyślała. Może powodem, dla którego Nicholas O'Grady został z Dannym Coffeyem, kiedy ten zerwał ze Stevenem Joyce'em, była nie tylko zawodowa lojalność?

– Czy Steven Joyce kontaktował się z panem od czasu pożaru? – spytała.

Coffey odchrząknął.

– Czemu miałby się kontaktować, poza tym, żeby się napawać moim nieszczęściem?

– Jak do tej pory nie mamy dowodów, że to on wywołał pożar, nie mówiąc o tym, że pożar w ogóle mógł wybuchnąć przypadkowo. A jeśli Joyce nie był sprawcą, mógł pomyśleć o złożeniu panu kondolencji, chociaż w przeszłości darliście ze sobą koty.

– To był on! Mówię pani. I to nie był przypadek. Z tego, co widziałem w telewizji, budynek zgorzał jak ognisko na Halloween. To nie wina spięcia w tosterze ani zaproszenie ognia z niedopałka.

– Co racja, to racja. Znalezienie ogniska pożaru trochę potrwa, ale laboratorium kryminalistyczne i eksperci straży pożarnej nad tym pracują. A tymczasem, czy mógłby pan pojechać do Szpitala Miłosierdzia i pomóc nam zidentyfikować niektóre ofiary? Udało się nam ustalić nazwiska większości dzięki krewnym, którzy nawiązali z nami kontakt, i dzięki zdjęciom, ale oczywiście niewiele osób miało przy sobie dokument tożsamości, a część ofiar spłonęła w stopniu uniemożliwiającym rozpoznanie.

– Nie mogę powiedzieć, że to dla mnie upojna wizja. Ale jeśli mogę pomóc, to tak, pojedę. Czy Nicholas jest między nimi? Czy jego ciało bardzo ucierpiało?

Katie odwróciła się do sierżanta Begleya, a ten potwierdził:

– Tak, panie Coffey, przykro to mówić, ale jego zwłoki są w bardzo złym stanie. Wygląda na to, że otwierał drzwi na strych, szukając drogi ucieczki przed pierwotnym ogniskiem pożaru, tak to sobie wyobrażam. Ale kiedy uchylił drzwi, wsteczny ciąg płomienia uderzył w niego z całą siłą.

Coffey zacisnął kurczowo powieki i jeszcze mocniej splótł ręce.

– O Jezu – zajęczał.

Katie wyciągnęła rękę, chcąc ją położyć na jego ramieniu, ale w tej samej chwili zadzwoniła komórka. Był to Bill Phinner, zapewne z Lower Shandon Street.

– Hej, Bill, jak idzie ćwiartowanie?

– Będziesz musiała sama się tu pofatygować – powiedział tonem jak zawsze pozbawionym wyrazu. Mógłby mówić o czymś równie ekscytującym jak wyprzedaż płynu do zmiękczenia tkanin. – Właśnie dźwignęli dach koparką wyburzeniową dużego zasięgu i uwierzysz? Pod tymi wszystkimi dachówkami i krokwiami odkryli jeszcze dwa ciała, mężczyzny i kobiety.

– O dobry Boże – szepnęła Katie i przeżegnała się. – Jak byli ubrani?

– Normalnie, nie w stroje do tańca. Ciała zwęgliły się nie do poznania, szcerniały, jakby się przeleżały na grillu. Ale ofiara płci męskiej miała przy sobie portfel z prawem jazdy i dało się odczytać dane. Ronan John Barrett urodzony szesnastego stycznia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego.

– A kobieta?

– Nie miała przy sobie dokumentów, ale nosiła bransoletkę z charmsami od Pandory, którą ktoś powinien rozpoznać. Jeśliby to nie wypaliło, zawsze można ją zidentyfikować po uzębieniu i DNA.

– Możesz chwilę zaczekać, Bill? Jest tu u mnie Danny Coffey, właściciel Toirneach Damhsa. – Opuściła komórkę i zapytała Coffeya:

– Czy nazwisko Barrett, Ronan John Barrett, coś panu mówi?

Coffey wytrzeszczył oczy.

– Co?! To jeden z naszych tancerzy. Drugi na liście, jak nie pierwszy. Ma trochę przewrócone w głowie na własnym punkcie, ale nikt nie zaprzeczy, że jest niesamowity, zwłaszcza w solówkach sean-nós.

– Przykro mi, panie Coffey, ale na strychu znaleziono ciało mężczyzny i to prawdopodobnie Barrett. Była z nim kobieta, której nie zidentyfikowano. Jak do tej pory wiadomo tylko, że nosiła bransoletkę z charmsami od Pandory.

– Matko Chrystusowa, założę się, że to Saoirse MacAuliffe.

– To też jedna z pańskich tancerek?

– Tak i też jest fantastyczna. Och, Jezu. W przyszłym tygodniu miała wyjść za mąż. Jej narzeczony jest chyba architektem... w każdym razie ma coś wspólnego z budową Capitol Cinema przy Saint Patrick's Street. Ale zdawało mi się, że ostatnio ona i Ronan ze sobą kręcą... Kojarzy pani, co myślę? Na litość boską, co oni robili na tym strychu? To musiało być tych dwoje, co nie przyszli na próbę.

Coffey zawahał się i popatrzył na obecnych na nich, jakby właśnie sobie coś uświadomił.

– To znaczy, że wszyscy nie żyją na amen – powiedział. – Cały Toirneach Damhsa. Przepadł. Nigdy więcej nie zatańczy.

– Teraz ja i moi koledzy musimy jechać do studia i obejrzyć ofiary – oznajmiła Katie. – Proszę, żeby pozostał pan w Cork przynajmniej do zakończenia wstępnej fazy śledztwa. Czy mamy pana adres i dane kontaktowe?

– Pewnie, że macie. Mieszkam w starym domku mojej świętej pamięci matki przy Ard ná Laoí, tuż za Middle Glanmire Road.

– W takim razie w porządku. Jeśli coś jeszcze wpadnie panu do głowy, proszę zadzwonić bezpośrednio do detektywa sierżanta Begleya, choćby nawet pańskim zdaniem był to zupełny drobiazg, dobrze? Skontaktujemy się z panem, kiedy będziemy mogli zabrać pana do kliniki, i może zdoła pan ustalić nazwiska pańskich tancerzy.

Wstała, a z nią Kyna i Begley. Ale Coffey, wciąż siedząc, zwrócił się do Katie:

– Zdarzyło się kiedyś pani coś takiego, pani nadkomisarz? Że jednego dnia całe życie rozleciało się pani na kawałki?

Zawahała się. Nie mogła się opędzić od myśli o Johnie. Kochała go, chociaż zdarzało mu się przegiąć pałkę. Po tym, jak porwał go Bobby Quilty i okaleczył mu nogi do tego stopnia, że John stracił je do kolan, wyrzuty sumienia doskwierały jej tak bardzo, że czuła głęboki, wręcz fizyczny ból. Przecież nie porwano by go, gdyby nie był jej kochankiem, i Quilty nie wpadłby na pomysł, żeby tak go dręczyć.

Mimo wyrzutów sumienia przestała kochać Johna, a poczucie winy nie mogło zastąpić miłości. John zginął, usiłując ją odzyskać, lecz jej dokuczało bardziej sumienie niż smutek.

Chociaż pytanie Coffeya wzbudziło wspomnienia Katie, to w jeszcze większym stopniu ujawniło emocje pytającego. Kątem oka dostrzegła, że Kyna również zwróciła na to uwagę i że sama, bez jej polecenia prześwietli prywatne życie Coffeya.

– Tak, panie Coffey, niestety przytrafiło mi się coś takiego, i to nie jeden raz. – Westchnęła ciężko. – Wątpliwy bonus służby.

Ale w duchu zadała sobie pytanie: czy on też czuje się winny, a jeśli tak, to czego?



## ROZDZIAŁ 8

Kiedy Davy Dorgan wszedł do Templegate Tavern, trzej zajmujący stół mężczyźni wyraźnie się skulili, jak posypane solą ślimaki.

– Co jest? – spytał Davy, odstawiając krzesło i siadając.

– Pewnie słyszałeś o Niallu – powiedział Murtagh. – Dzwoniłem do ciebie na komórkę, ale nie odbierałeś. Dziś wszystko było pokazane dokumentnie w telewizji.

– Oczywiście, że słyszałem. Co jest? Kombinujecie, że to ja go stuknąłem?

– Kurwa, nie mówiłem, że ty. Tyle że Niall był w porzo jak mało kto. Pyskował, jasne, ale nigdy nie wyciął ci żadnego numeru za plecami, kiedyś się nie spodziewał.

– Musiał komuś podpaść, to więcej niż pewne – zauważył Billy. – Nie sądzicie, że to mógł być ten gość, ten Dennehy, którego starą posuwał Niall?

– Tak bym obstawiał – rzucił Liam. – Opowiadał mi, że w zeszłym tygodniu Dennehy wparował wcześniej do domu, bo zapomniał kanapki do roboty. Niall musiał się zmywać tylnym oknem i przez pół godziny kryć w sraczu za domem.

– No, kto wie? – powiedział Murtagh. – Niall otarł się o wielu takich, o których nigdy nie gadał. Kiedy był młody, trzymał z O'Flynnami, to pewne. Moja Brenda wczoraj wieczorem zadzwoniła do wdowy po nim... wiecie, do Patty... żeby złożyć kondolencje, ale nikt nie odebrał. Jak Patty ma choć trochę pod kopułą, zmieni nazwisko i całkiem się zwinie z kraju.

– To mogła być Nowa IRA – orzekł Billy. – Mieli w końcu trochę pretensji do Bobby'ego w zeszłym roku, bo nazywał nas Autentyczna IRA i zabierał się za handel prochami.

– To straszna tragedia, nieważne, kto go zabił – wtrącił Davy. – On i ja nie zawsze jedliśmy sobie z dziobków, ale był w porzo, jak

mówicie, i znał się na robocie.

– Jasne, no nie – potwierdził Billy. – Teraz, jak nie ma już Bobby’ego i Nialla... niech Bóg ma w opiece ich dusze... to jak, na Chrystusa, mamy rozprowadzać fajki? Przecież to Niall miał na głowie cały zakup i sprzedaż. Tyle się na tym wszystkim znam co nic.

– Spokojna czaszka, Billy – uspokoił go Davy. – Mogę przejąć organizowanie wszystkiego. Mam kontakty w urzędzie celnym w Ringaskiddy i w Larne, więc spada cały kłopot z wwozem towaru.

– No a detal? – spytał Murtagh. – Od kiedy Bobby odwalił kitę, straciliśmy więcej niż połowę tych, co nam pchali detal. Pewnie, że możemy przeszmyglować wszystkie wolnoctowe fajki z całej zachodniej półkuli, ale co z tego, jak nie będziemy mieli nikogo, kto by je dla nas opychał?

– Dobrze prawisz, Murtagh, trzeba będzie się przyłożyć do organizacji, macie to u mnie jak w banku, ale znam paru chłopaków z Knocka, którzy mogą nam podesłać kilku gówniarzy. Spokojna czaszka. Ani się obejrzyjecie, a wrócimy do interesu, pełna para naprzód i koniec z wyrzucaniem zysków na wypasione samochody i dziwki... Wybacz, że to mówię, Bobby, jeśli patrzysz na nas z góry. Albo z dołu, gdziekolwiek jesteś.

Murtagh pociągnął łyk piwa i otarł usta ręką.

– Więc co teraz?

– Nie rozumiem pytania. – Davy się nachmurzył. – Jedziemy jak do tej pory, tylko z większym szwungiem.

– Nie uważasz, że Niall miał trochę racji, radząc poczekać i zobaczyć, jak się sprawy ułożą... wiesz, chodzi mi o stronę polityczną.

– Mamy już masę gnatów, Murtagh, i więcej niż wystarczająco dużo plastiku, dzięki... wiecie komu. Ale myślałem o tym zeszłej nocy i tak... muszę przyznać, że Niall miał rację co do kilku spraw. Przydałoby się nam trochę więcej zasobów finansowych i jeszcze paru gości, którzy znają się na zbieraniu informacji. Za każdym razem, kiedy szliśmy na Angoli, dawali nam popalić, bo mieli lepszy wywiad. Tym razem my musimy ich wyrolować. Nie chcemy powtórki masakry w Clonmult.

– Dla mnie to wcale nie takie śmieszne – powiedział Murtagh. – Zastrzelili mi dziadka w Clonmult, bezbronnego i z rękami do góry. I na dodatek zerwali mu Oznakę Serca Bożego.

– Wiem o tym, Murtagh, i dlatego to mówię. Chciałem, żebyś pamiętał, dlaczego to robimy, i żebyś nie trząśł gaciami.

– Nie ma mowy, żebym trząśł gaciami, Davy. Chodzi o to, że pojawiaasz się nie wiadomo skąd i bierzesz się za rządzenie, a nie pamiętam, żebyś został wybrany na przywódcę.

– Mam kontakty, tylko tyle. Jeśli myślisz, że tobie pójdzie lepiej, to świetnie, śmiało. Nigdy nie będę głuchy na dobre rady. Ale jak szykujemy się podjąć akcję, to musimy uderzyć teraz, i to mocno, zanim wszyscy zapomną, o co w tym wszystkim chodzi. Tydzień to długo w polityce, mądralo, i lepiej, żeby ludzie nie gadali: „Gdzie oni się, kurwa, wyrwali i po co?”.

– Myślę... – zaczął Liam głosem o pół oktawy wyższym niż zwykle, prawie jak chórzysta, który pociągnął pierwszego papierosa. – Myślę, że jak na razie powinniśmy całkiem dać na wstrzymanie.

Davy odwrócił się do niego i zmierzył go spojrzeniem wyrażającym w połowie teatralne zaciekawienie, w połowie wrogość.

– Dlaczego tak myślisz, Liam?

– No, wciąż nie wiemy, kto kropnął Nialla, nie? W telewizji mówili, że Garda wciąż nie ma pojęcia, kto mógł to zrobić. Jeśli to robota tego Dennehy, to gra, nie mamy się czym przejmować, bo żaden z nas nie obracał jego starej, no nie? Ale jeżeli to była Nowa IRA albo któryś z gangów, możemy mieć przesrane.

– Więc sugerujesz, żebyśmy siedzieli na dupie i nic nie robili?

– Niall został zabity, Davy – powiedział Liam jeszcze bardziej piskliwym głosem. – On nie żyje. Nie wiem jak ty ani ty, Murtagh, ani ty, Billy, ale ja nie chcę być następny. W przyszłym miesiącu mamy zaplanowane wakacje w Santa Ponsa. Kurwa, nie chcę leżeć na cmentarzu Świętego Michała z wielką dziurą w głowie.

Wstał, przewrócił szklanke, rozlewając resztkę piwa, i poinformował pozostałych:

– Idę się odpryskać, a potem zjeżdżam stąd.

Davy Dorgan nie odezwał się słowem, gdy Liam ruszył do toalety.

– Więc co o tym myślisz? – spytał Murtagh.

– Jest młody – rzucił Davy, wruszając ramionami. – I tyle. Nie widział tego co my. Jestem pewien, że pójdzie po rozum do głowy, jak tylko pogadam z nim na spokojnie. – Odsunął krzesło i wstał. – Też muszę się odlać.

Przeszedł zygzakiem między stolikami, w głąb baru, do męskiej toalety. Wnętrze było ciemne, wypełnione odgłosami ciekących spłuczek i wonią cytrynowych kostek dezynfekcyjnych. Liam stał przed jednym z trzech pisuarów. Rozstawił szeroko nogi, odchylił głowę. Poza nim nie było nikogo.

Davy zaszedł go od tyłu i klepnął w ramię. Liam się obejrzał.

– Jezu, Davy. Ja tu tylko się odpryskuję.

– No, co ty nie powiesz – łagodnie zamruczał Davy. Sięgnął do kieszeni kurtki, wyjął sprężynowiec i uwolnił ostrze. Potem podsunął się tak blisko Liama, że przylgnął klatką piersiową do jego pleców. Objął go, wciąż sikającego, i złapał lewą ręką jego członek. Mocno zacisnął rękę. Strumień moczu oblał mu palce, gdy odciągnął członek Liama.

– Kurwa, co je...! – zaskrzeczał Liam, ale w tej samej chwili poczuł ostrość i zimno noża pod członkiem. Usiłował stać tak nieruchomo jak to możliwe, ale dygotał, łapiąc powietrze krótkimi, płytkimi oddechami.

– Wygląda na to, że coś ci umknęło. – Davy cedził słowa tak blisko ucha Liama, że ten czuł jego oddech. – Nazywamy się Autentyczna IRA dlatego, że jesteśmy armią, Irlandzką Armią Republikańską. A skoro jesteśmy armią, to jesteśmy na wojnie. Walczymy o proklamację z tysiąc dziewięćset szesnastego: „Ogłaszamy prawo ludu Irlandii do władania Irlandią”. I nigdy nie przestaniemy o to walczyć, dopóki nie osiągniemy celu.

– Błagam cię, Davy, nie zrób mi krzywdy – wyszeptał Liam.

– Prowadzimy wojnę, przypominam ci to, i jeśli facet postanawia odstawić broń i opuścić towarzyszy broni, kiedy wojna wciąż trwa, to wiesz, jak go nazywamy? Nazywamy go dezserterem. A dezserterzy są

zawsze karani, karani surowo, nawet jak nie są ustawiani pod murem i rozstrzeliwani.

Davy mocniej przycisnął sprężynowiec do członka Liama. Mocz wysychał i kleił mu się do ręki.

– Błagam – prosił Liam.

– Ale możesz mi powiedzieć, że zmieniłeś zdanie co do tej mówki, którą palnąłeś przy stoliku, i że zdecydowałeś się zostać i nas wspierać. Albo możesz powiedzieć, że trwasz przy swoim, odchodzisz i zostawiasz walkę nam, pozostałym. W tym drugim przypadku oderżnę ci fiuta i spuszczę go ze szczochemi. Będzie to mniejsza kara, niż na to zasługujesz jako dezertier, ale mówią o mnie, że jestem litościwy.

– Co zrobisz...?! – Liam zagubił się w oparach strachu i równie dobrze Davy mógłby do niego przemawiać w jakimś niepojętym obcym języku.

– Głuchys, głupis, czy jedno i drugie? – zasyczał Davy. – Jak będziesz się upierał, że nas zostawiasz, przerobię cię na miękką cipę, bo zagrywasz jak miękka cipa. To wszystko. I nie przyszyją ci z powrotem fiuta, bo będzie w połowie drogi do oczyszczalni ścieków Carrigrenan, zanim dojedzie tu karetka.

Liam zacisnął powieki. Nadal dygotał.

– To nie sen – dodał Davy Dorgan. – To dzieje się naprawdę. Daję ci pięć sekund, a potem możesz wypełnić formularz zgłoszeniowy do stowarzyszenia lesb, ciot i transów.

– W porządku – zajęczał Liam, nie otwierając oczu. – Jestem z tobą, chłopie.

Davy wykręcił członek Liama takim ruchem, jakby wyżył ścierkę, i mocno szarpnął nim w górę.

– Świetny wybór – rzucił. – Teraz wracajmy i walnijmy jeszcze jeden browar na wiwat. Wszyscy jak jeden mąż.

Rozluźnił uścisk i podszedł do umywalki optukać ręce. Kiedy trzymał je pod suszarką z gorącym nawiewem, patrzył w pocętkowane plamkami lustro, nie spuszczać z oka Liama.

Ten się nie ruszył, dopóki Davy nie wyszedł z toalety i nie zamknęły

się za nim drzwi. Potem, drżąc, opuścił wzrok na zasikane dżinsy i rozplakał się, poniżony i całkowicie bezsilny.

## ROZDZIAŁ 9

Bill Phinner czekał przy Farren's Quay, gdy pojawiła się Katie w asyście Kyny i Begleya. Stał przy kamiennym murze wychodzącym na rzekę ubrany w srebrzysty kombinezon z tyveku, jak astronauta świeżo z kosmosu, i palił e-papierosa.

Media też czekały i kiedy Katie, pochylając się, przeszła pod niebiesko-białą taśmą odgradzającą, Fionnuala Sweeney krzyknęła:

– Pani nadkomisarz Maguire! Rozumiemy, że odkryto więcej ciał! Czy to prawda? Jeśli tak, to ile w sumie?

Katie nawet się nie odwróciła, żeby na nią spojrzeć, i nie zareagowała na inne nagabywania reporterów. Zwykle wychodziła ze skóry, by pomóc mediom, ale dzisiaj nie miała nastroju na pogaduszki. Przed nią jeszcze jazda do kostnicy, ocena postępów sekcji szesnastu spalonych trupów i identyfikacji. Czekają ją też pocieszenie rozpaczających krewnych ofiar, co było naprawdę ciężkim zadaniem, bo zawsze pytali: „Dlaczego? Dlaczego mój syn”, „Dlaczego moja córka?”.

Po rozpoznaniu wszystkich zmarłych zaplanowano konferencję prasową przy Anglesea Street i kolejną prośbę pod adresem ewentualnych świadków o informacje. Zamierzała też zwrócić się do przewielebnego Eoina Whooleya, by pomodlił się za ofiary i tych, którzy je optakują.

– Rzuciłeś fajki, Bill? – spytał Begley.

– Ano rzuciłem. Tak jak ta parka, którą znaleźliśmy na strychu, tyle że oni w najbliższej przyszłości nie pociągną e-papieroska. Czy raczej już nigdy.

Katie to nie rozbawiło. Kiedy była młodsza i ojciec chciał dać do zrozumienia, że ktoś nie żyje, mówił: „Rzucił fajki”, z prózną nadzieją, że Katie i pozostałe córki się nie potapiają.

– Nie musisz wkładać kombinezonu – zwrócił się do niej Bill. –

Przejrzeliliśmy wszystko przy użyciu ultrafioletu i zebraliśmy wszystkie potrzebne próbki. Tylko ostrzegam, patrz dobrze pod nogi. Jest cała masa gruzu, a podłoga strychu wcale nie jest taka stabilna.

Zaprowadził ją do spalonego budynku. Stał tam zastępca komendanta straży pożarnej, rozmawiając z dwoma poważnie wyglądającymi mężczyznami z Irlandzkiego Stowarzyszenia Śledczych Pożarowych. Ujrawszy Katie, pozdrowił ją uniesieniem brwi. Stowarzyszenie miało wyłącznie ustalić źródło pożaru. Gdyby się jednak okazało, że doszło do podpalenia, to ustalanie, kto za nim stoi, znalezienie sprawcy czy sprawców i przeprowadzenie udanego śledztwa było zadaniem Katie. Jak wynikało z jej doświadczeń, miała na to mniej niż siedem procent szans.

Weszli na chyboczną drabinę i wspięli się na pierwsze piętro. Z każdym szczeblem wzrastał smród kwaśnego dymu. Gdy znaleźli się na podeście, Katie musiała wysiąkać nos, bo zapchał się sadzą.

Ciała tancerzy i tancerek zabrano, ale gdy chodziła po podłodze studia, widziała, że złuszczony parkiet zachował zarys zwłok. To przypomniało jej opowieści o Hiroszimie, gdzie wybuch bomby atomowej był tak potężny, że cienie ludzi na wieczność utrwaliły się na murach, chociaż dosłownie wyparowali, zniknęli.

– Teraz ostrożnie – ostrzegł Bill, prowadząc ją stromą, wąską klatką schodową na strych. Ściany były pokryte przedziwnie poskręcanyimi malunkami z osadu dymu, a z wykładziny został tylko chrzęszczący pod butami czarny popiół.

Z klatki schodowej wyszli na powietrze i nie licząc szarego, chmurnego nieba, nie mieli już nic nad głowami. Rozległa płachta niebieskiego plastiku na środku strychu zakrywała dwa ciała znalezione, gdy koparka wyburzeniowa zerwała krokwie. Folia cicho szeleściła na wietrze, jakby osłonięci nią mężczyzna i kobieta nadal się poruszali.

Należało jeszcze przesiać całą lawinę purpurowo-szarych dachówek, a także popalone skrzynki pełne kostiumów tanecznych, książek i rupieci – suszarki do włosów, prawidła do butów, wieszaki czy szmaciana lalka, tak spalona, że wyglądała jak rasistowska lalka



Golliwog.

W głębi, obok kominka z ceglanym gzymsem, stała duża skrzynia z sosnowego drewna. Ogień nadwęglił jeden bok, ale poza tym wydawała się nietknięta.

– Co jest w tej skrzyni? – spytała Phinnera Katie.

– Niewiele. Trochę starych nut i księgi rachunkowe, to wszystko.

– Nie mam pojęcia, jak ta mała Adeen przeżyła – odezwała się Kyna, która stanęła za Katie. – Tu musiało być morze ognia.

– Jakieś tysiąc sto stopni – wtrącił Phinner. – Mniej więcej tyle co w dobrze rozpalonym żeliwnym wkładzie kominkowym.

Jeden z jego techników stał przy płachcie – chudy dwudziestopięciolatek w okrągłych okularach. Miał rzadki rudy wąsik, a jego kombinezon wydawał się dwa rozmiary za duży.

– Podnieś tę płachtę, Ruari, dobrze? – polecił mu Phinner.

Młody człowiek odwiązał linkę zabezpieczającą płachtę przed odfrunięciem i odsłonił spalone ciała.

Leżały twarzą do siebie, objęte w pasie. Na pierwszy rzut oka nie dało się ustalić płci, bo ogień szernił skórę, pokrył pęcherzami i obkurczył wargi, odsłaniając zęby w upiornym uśmiechu. Mimo tego koszmarnego widoku Katie poczuła głębokie wzruszenie, widząc, jak się obejmują. Trwali przy sobie, chociaż ogień pożerał ich żywcem.

Leżeli na spalonym materacu; wypełniacz z puchowca spłonął, sprężyny wyszły na wierzch.

Kyna wyjęła notatnik i otworzyła.

– Ustaliliście, że mężczyzna to Ronan John Barrett, a Coffey uważa, że dziewczyną może być jedna z tancerek, Saoirse MacAuliffe. Zaręczyła się z innym facetem, ale wygląda na to, że ona i Barrett ostatnio ze sobą flirtowali.

– Więc możemy założyć, że weszli tu na małe bara-bara, żeby się nie rzucać w oczy – zasugerował Begley. – To się nazywa wybrać zły moment.

– Dooley zabrał jej bransoletkę do sklepu Pandory przy Winthrop Street, żeby sprawdzić, czy mają ją w wykazie – powiedział Phinner.

Katie skinęła głową.

– Dobrze. Nie możemy prosić o jej identyfikację, dopóki nie rozdzielicie ciał i nie zabierzecie ich do kostnicy.

– Nie zamierzam ich tu rozdzielać – poinformował ją Phinner. – Praktycznie biorąc, są jak zespawani. Myślę, że najlepiej zostawić to doktor Kelley.

– Jak idzie z innymi ofiarami? – spytała go Katie.

– Nieźle. Mamy karty dentystyczne prawie wszystkich członków Toirneach Damhsa, brakuje tylko trzech, i wszystkich prześwietlono, żeby sprawdzić, czy mieli wcześniej jakieś złamania. Dziś rano dwaj moi ludzie byli w kostnicy. Sfotografowali wszystkie rzeczy osobiste ofiar, zegarki, bransoletki, kolczyki i tym podobne, a potem zdjęli je i zewidencjonowali, żebyśmy mogli pokazać dowody krewnym. Co najmniej dwie trzecie ofiar spłonęły w stopniu wykluczającym identyfikację komputerową na podstawie rysów twarzy, część utraciła ponad sześćdziesiąt procent masy ciała i skurczyła się, tracąc kilka centymetrów wzrostu.

Katie rozejrzała się po gruzowisku. Próbowwała sobie wyobrazić, jak zareagowało tych dwoje, kiedy nagle pochłonął ich pożar. Zakładała, że stało się to nagle, bo w dachu był świetlik i gdyby mieli czas, z pewnością krzyczeliby i machali rękami, dając znaki przechodniom, a może nawet przeszliby przez świetlik do sąsiedniego budynku, chociaż musieliby pokonać dwumetrowy ceglany mur spojony cementem.

Podeszła na skraj dachu i spojrzała w dół, na Farren's Quay, Lower Shandon Street i szarą rzekę Lee. Pojazdy pełzły w obu kierunkach ulicami i mostem. Cork wyglądało jak miniatuurka miasta, którego nigdy nie dotknęła żadna tragedia. Kyna dołączyła do Katie. Wiatr zdmuchnął na jej czoło puszyste blond włosy. Kyna *Aes Sidh*, duszek.

– O czym myślisz? – spytała.

– O tym, że kochankowie zawsze w końcu płoną. Tak czy inaczej.

Na twarzy Kyny pojawił się wąły uśmiech.

– Oczywiście, że płoną. Bo miłość jest niezwykle łatwopalna, jak przyspieszacz spalania, który doprowadził do pożaru tego budynku.

Katie nie mogła się powstrzymać od uśmiechu.

– Tylko ktoś, kto pracuje w Garda Síochána, może powiedzieć, że miłość to przyspieszacz spalania.

– A nie jest tak? Czy nie płoniesz cała mocniej i szybciej, kiedy jesteś zakochana?

– Jasne, że tak. Ale mam wrażenie, że wszystko zawsze źle się kończy. To dlatego między innymi zgłosiłam się do Gardy.

Na chwilę umilkła. Radiowóz z włączonym niebieskim kogutem pędził Patrick's Bridge, ale bez syreny.

– Cokolwiek zrobisz, Kyno, wszystko źle się kończy. Miłość, szczęście... to tylko preludium tragedii. Im bardziej kochasz, im jesteś szczęśliwsza, tym bardziej boli, kiedy przychodzi koniec.

Kyna nic na to nie powiedziała, ale stała tuż przy Katie, patrząc na nią z wyrazem twarzy mówiącym, że wie, że nie może jej uściskać. Przynajmniej nie teraz.

Odezwał się iPhone Katie. SMS od Conora. *Jak myślisz, kiedy będziesz wolna? Muszę z tobą pogadać.*

*Późno*, odpisała.

*Mogę przyjechać do Cobh nawet bardzo późno.*

Katie opuściła komórkę i zakryła ręką usta.

– Coś się stało? – spytała Kyna.

– To Conor. Chce się spotkać.

– Super. Spotkaj się z nim. Pogadaj. Oczyszczyć atmosferę. Jeśli to koniec, to koniec. Przynajmniej będziesz wiedzieć na pewno.

Katie się odwróciła i zdążyła zobaczyć, jak Ruari zakrywa szerniałe trupy.

Chwilę się wahała, a potem wysłała SMS-a: *OK. 23.00 u mnie.* Nie miała pojęcia, w co się wdaje, ale Kyna miała rację. Ona i Conor muszą oczyścić atmosferę choćby dlatego, że niezależnie od pożądanego, jakie wobec siebie czuli, nigdy nie powinni zostawać kochankami i było po wszystkim.

\* \* \*

Kiedy jechały do szpitala, zaczęło padać, nie mocno, ale na tyle, że przednia szyba focusa Katie wyglądała jak z mlecznego szkła. Zanim

weszły do kostnicy, umyły ręce i włożyły długie, niebieskie fartuchy chirurgiczne, bawełniane czepki i lateksowe rękawiczki.

– Wcale się do tego nie palę – narzekała Kyna. – Kiedy ostatni raz byłam przy sekcji, rzygałam dalej, niż widziałam. Cieszę się, że na śniadanie zjadłam tylko grzanekę.

Katie uściskała jej ręce.

– Spokojnie, dasz radę. Potem postawię ci drinka.

Weszły do kostnicy. Chociaż wysokie jak w kościele okna dawały dużo światła, włączono wszystkie sufitowe lampy i siedmiosegmentowe lampy ledowe nad stołem sekcyjnym. Było tak jasno, że nie ostał się ani jeden cień i wszystko wydawało się dwuwymiarowe, jakby nie tylko szpitalne łóżka i stoły sekcyjne, ale też pracowników wycięto z kartonu. Katie czuła odór etanolu i zwęglonych ciał, który mogła porównać tylko z wonią czyszczonego piekarnika.

Nigdy wcześniej nie oglądała tak wielu ciał jednocześnie. Piętnaście z szesnastu ofiar pożaru leżało na łóżkach na kółkach w czterech równoległych rzędach, były okryte wykrochmalonymi zielonymi prześcieradłami. Szesnasta ofiara, chuda, wyglądająca na siedemnaście lat dziewczyna, spoczywała naga na stole sekcyjnym. Pod lewą ścianą stały jeszcze cztery łóżka. Katie domyśliła się, że na trzech leżą ofiary czołowego zderzenia, do którego doszło poprzedniego dnia po południu na N20 w Killeens – matka, siedmioletni chłopczyk i niemowlę płci żeńskiej.

Czwarte łóżko zajmowało chyba ciało Nialla Gleesona, które czekało na oględziny rany postrzałowej głowy.

Zastępca patologa krajowego, doktor Mary Kelley, pochylona nad trupem dziewczyny szybko zszywała klatkę piersiową. Prawa strona ciała spaliła się makabrycznie, skóra pofalowała się, pokryła pęcherzami, zgrubieniami i pęknięciami; w większości była ciemnografitowa i czarna, a tam, gdzie częściowo osłonił ją leżący obok tancerz, nabrała wiśniowego koloru. Z palców prawej dłoni zostały tylko kościste szpony, wykończona paznokciami rękawiczka ciała odpadła. Prawą stronę twarzy spalił żar tak intensywny, że

dziewczyna wyglądała, jakby miała makijaż do roli w horrorze – opalizująca wytrzeszczona gałka oczna, rozdarte nozdrze, kącik ust uniesiony w sarkastycznym, szaleńczym grymasie.

Doktor Kelley skończyła szew węzłem motylkowym i szarpnęła bezwładne ciało, by upewnić się, że wiązanie trzyma. Zsunęła z twarzy maskę i wezwała dwóch młodych sanitariuszy. Ci podeszli, przełożyli ciało na łóżko, okryli prześcieradłem i dołączyli łóżko do pozostałych ofiar pożaru. Lekarka podeszła do Katie i Kyny, energicznie zrywając rękawiczki.

– No dobrze. Wiem już, co mnie tu czeka – powiedziała. – Postaram się zrobić to tak szybko, jak się da, ale nie zdziwcie się, jeśli nie dostaniecie wstępnego raportu przed poniedziałkiem.

– Ale przyczyna śmierci wszystkich jest ta sama, prawda? – spytała Kyna.

– Wszystko na to wskazuje, ale nigdy nie wiadomo. Jedno z nich mogło dostać zawału mięśnia sercowego, zanim płomienie dopadły jego lub ją, albo umarło wskutek wstrząsu. Muszę uważać i dokładnie zidentyfikować przyczynę śmierci w każdym przypadku.

Uniosła okulary ochronne. Była krągłą, niską kobietą o podwójnym podbródku, ale miała urodę laleczki. Katie zauważyła, że od ostatniego spotkania zrobiła regulację brwi. Kiedyś były grube, męskie, teraz cienkie, ostro zarysowane jak w wyrazie zaskoczenia.

– Jak do tej pory zbadałam trójkę – ciągnęła doktor Kelley. – Jeszcze nie mogę postawić końcowych wniosków, ale w przypadku każdej z tych trzech ofiar przyczyną śmierci był bezpośredni kontakt z ogniem. Mają oparzenia jamy ustnej, przewodu nosowego, krtani i dróg oddechowych. Nabłonek strun głosowych uległ zniszczeniu i doszło do ostrego obrzęku krtani i płuc.

– Więc pożar rozszerzył się błyskawicznie? – wtrąciła Katie.

– Na to wygląda. I powiedziałaabym, że osiągnął bardzo wysoką temperaturę. Temperatura przeciętnego pożaru domu mieszkalnego to sześćset pięćdziesiąt stopni. Dla porównania w krematorium ciała są spalane w temperaturze tysiąca stopni przez półtorej godziny. W przypadku tych ofiar skutek był taki, jakby użyto ogromnego palnika.

Same widziałyście skórę tamtej dziewczyny. Przypomina wierzchnią warstwę crème brûlée skarmelizowaną przez kucharza.

– Teraz to naprawdę się cieszę, że zjadłam tylko grzanekę – wyznała Kyna.

– Pobrałam próbki ubrań wszystkich ofiar i wysłałam do analizy w laboratorium kryminalistycznym – dodała Kelley. – Powinniśmy się dowiedzieć, czy pożar został spowodowany środkiem chemicznym, a jeśli tak, to jakiego rodzaju.

– Widziała pani wcześniej podobne oparzenia?

– Zeszłego roku wybuchł przypadkowo pożar w fabryce farb na osiedlu Sandyford w Dublinie. Zginęło trzech robotników i ich oparzenia były bardzo podobne do tych tutaj. Tam przyczyną był sproszkowany siarczek żelaza, który jest piroforem, czyli substancją, która może ulec samozapaleniu w zetknięciu z powietrzem. Ale muszę przyznać, że nigdy nie widziałam czegoś podobnego w takiej skali.

– Zakładam, że siarczek żelaza jest używany do wyrobu farb – powiedziała Katie.

– Owszem, jako pigment. Używa się go też do robienia farb do włosów.

– Ale ten pożar wybuchł w studiu tańca i o ile wiemy, nikt nie produkował tam farb ani niczego podobnego. Farby do włosów mogły tam być, ale nie w ilościach mogących spowodować tak gwałtowny pożar.

Kelley skinęła głową raz i drugi.

– W najmniejszym stopniu nie wątpię, że to było celowe podpalenie, chociaż oficjalnie nie powołujcie się na mnie. Jestem bardzo ciekawa, co dokładnie powiedzą eksperci techniczni, jakie chemikalia wykryją i co będą mieli do powiedzenia na temat przyczyn pożaru. To nie wygląda na działanie jakiegoś rozdrażnionego osobnika, który wlewa benzynę do skrzynki na listy. To zrobił ktoś dysponujący doświadczeniem, ktoś, kto dokładnie wiedział, czego chce. Stawiam na wyszkolonego terrorystę.

– Ale to zupełnie nie ma sensu – rzuciła Kyna. – Dlaczego

wyszkolony terrorysta miałby palić studio tańca pełne młodych tancerzy?

Katie popatrzyła na cztery rzędy łóżek na kótkach i pokręciła głową.

– W tej chwili absolutnie nie mam pojęcia. Ale jestem pewna, że kiedy dowiemy się „dlaczego”, będziemy wiedzieli „kto”.

Szła od łóżka do łóżka, podnosząc prześcieradła, żeby przyjrzeć się twarzom martwych tancerzy. Część była tak zwęglona, że głowy wyglądały jak grubo ociosane bryły węgla. Inni byli prawie nietknięci, w tym urocza młodzianka dziewczyna z lśniącymi niebieskimi cieniami na powiekach, wyglądająca, jakby po prostu spała. Jedynym widocznym śladem jej losu był osad sadzy w nozdrzach.

Katie opuściła prześcieradło na ostatnią spaloną twarz i skinieniem głowy wskazała w głąb kostnicy.

– Domyślam się, że tam ma pani Gleesona – powiedziała.

– Tak, to on – potwierdziła Kelley. – Już dokonałam wstępnych oględzin, żeby tylko się upewnić, że rana postrzałowa głowy to jedyny uraz. Raport dotyczący tego przypadku spiszę jeszcze dzisiaj, tak by najpóźniej jutro do południa można było wydać ciało.

– Świetnie. Chociaż jak do tej pory nikt się po niego nie zgłosił.

Doktor Kelley uniosła mocno wyskubane brwi.

– Pani nadkomisarz, jeśli czegoś się nauczyłam w tym zawodzie, to tego, że nie każdy ma kogoś, kto go kocha.

\* \* \*

Przed opuszczeniem szpitala Katie i Kyna poszły na górę, do poczekalni krewnych ofiar. Nadal przebywało tam siedmioro czy ośmioro rodziców, załamanych, wyczerpanych i we łzach.

Katie przedstawiła siebie i Kynę.

– Wiem, że wszyscy państwo czekacie na identyfikację waszych dzieci i oczywiście nie ma najmniejszych przeszkód, abyście zostali tu, jeśli chcecie – powiedziała. – Muszę jednak potwierdzić, że nikt z zespołu Toirneach Damhsa nie przeżył pożaru i że w większości przypadków obrażenia są tak ciężkie, że nie będziecie mogli

zobaczyć szczątków.

Rudowłosa kobieta w kącie naprzeciwko wydała okrzyk rozpacz, po czym ugryzła się w kłykcie, próbując nad sobą zapanować. Mąż objął ją i mocno przytulił, ale też miał w oczach łzy.

– Patolog nadal ma wiele do zrobienia, zanim będziemy mogli wydać ciała do pochówku – dodała Katie. – Również nasi eksperci techniczni muszą jeszcze przeprowadzić wiele badań. Jest mi niezwykle przykro z powodu tej zwłoki, ale musimy potwierdzić przyczyny zgonów i upewnić się, że wszyscy zmarli zostali właściwie zidentyfikowani.

– Przyniosłam trochę zdjęć córki – zgłosiła kobieta w średnim wieku ubrana w powyciągany zapinany sweter. – Możecie ją po nich zidentyfikować?

– Prawdopodobnie tak – odparła Katie. – Ale nie będę udawać, że identyfikacja zapowiada się łatwo. Opieramy się głównie na rzeczach osobistych znalezionych przy zmarłych, jak bransoletki i zegarki, ale też na kartach dentystycznych i wynikach DNA.

– Matko Boska – powiedziała kobieta, gdy zaczęło do niej docierać, co oznaczają słowa Katie.

– Laboratorium kryminalistyczne już zaczęło wysyłać prośby o przedmioty, z których da się wyizolować DNA. W stosownym czasie ktoś od nich zgłosi się i do państwa. Poza tym jutro albo, co bardziej prawdopodobne, za kilka dni na komendzie przy Anglesea Street będę miała konferencję prasową, na którą wszyscy jesteście zaproszeni. Tymczasem w imieniu Garda Síochána pragnę wyrazić nasze najgłębsze współczucie z powodu niezwykle bolesnych strat, które państwo ponieśliście.

Obeszła pomieszczenie i ucisnęła wszystkim dłonie, dołączając krótkie kondolencje. Krewni ofiar stopniowo dochodzili do siebie po wstrząsie, gdy usłyszeli, że ich dzieci zginęły, ale tego wstrząsu nie zastąpił jeszcze smutek ani tym bardziej pogodzenie się z losem. Opanował ich stan niedowierzania, jakby to wszystko nie działo się naprawdę i jutro rano mieli zastać swoje dzieci leżące w sypialni, śpiące, żywe.



Kiedy wracały samochodem na Anglesea Street, Kyna powiedziała:  
– Wiesz, co zawsze mówiła moja babcia? *Cén fáth go bhfuil bás teacht i gcónaí ró-luath?* To było po tym, jak umarł dziadek, a miał osiemdziesiąt sześć lat. „Dlaczego śmierć zawsze przychodzi za wcześnie?”.

## ROZDZIAŁ 10

Była prawie północ, gdy Katie wrócił do siebie, na Carragh View. Rozpadało się tak, że przez całą drogę od Anglesea Street do Cobh wycieraczki pracowały na maksimum. Dla uspokojenia słuchała z odtwarzacza CD *Fairytales* Ludovico Einaudiego i starała się wymazać z pamięci upiorny widok całej galerii szerniałych twarzy oglądanych w kostnicy. Podczas służby widziała zastępy trupów – ludzi zastrzelonych, utopionych, zmiądzonych, nieżyjących od kilku tygodni i rozdętych jak bładozielony ludzik Michelina – ale smutek i oczywisty bezsens śmierci młodych tancerzy sprawiły, że nie mogła przestać o nich myśleć.

Jak to powiedziała Kyna: „Ale to zupełnie nie ma sensu. Dlaczego wyszkolony terrorysta miałby palić studio tańca pełne młodych tancerzy?”.

Kiedy dotarła do domu, zobaczyła parkującą przy krawężniku szkarłatną toyotę. Tak była zajęta koszmarem Toirneach Damhsa, że prawie zapomniała o Conorze. Gdy wjechała na podjazd, drzwi toyoty się otworzyły i wysiadł Conor. Podniósł kołnierz kurtki przeciwdeszczowej i szybkim krokiem podszedł do Katie.

Otworzył drzwi jej samochodu.

– Cześć, Katie.

– Przepraszam za spóźnienie. Pewnie słyszałeś, że ci wszyscy młodzi tancerze się spalili.

– Oczywiście, że słyszałem. Był reportaż w wieczornych wiadomościach. Pomyślałem o tobie, kiedy go oglądałem.

Katie wzięła z tylnego siedzenia teczkę, zamknęła samochód i ruszyła do domu. Conor szedł tuż za nią.

– Nie jesteś za bardzo zmęczona? – spytał, gdy wkładała klucz do zamka. – Jeśli chcesz, pojedę i może spotkamy się jutro.

– Nie, całkiem miło cię widzieć – odparła. Kiedy tylko otworzyła

drzwi, Barney, jej seter irlandzki, przybiegł w te pędy, tłukąc ogonem o grzejnik. Na widok Conora okazał niemal równie wielki entuzjazm. Pies bardzo się z nim zaprzyjaźnił. Wyglądało na to, że Conor potrafi nawiązać ze zwierzętami niemal czarodziejską więź; pewnie właśnie dlatego został detektywem od psów – szukał zagubionych zwierząt. I pewnie dlatego tak podzielał na Katie.

Miała na końcu języka: „No, nie jesteś tu tak zupełnie niemile widziany”, ale się powstrzymała. Powiesiła płaszcz, otworzyła drzwi do salonu i zapaliła wszystkie światła. Po przeżyciach tego dnia kusiło ją, by walnąć drinka, ale nie miała ochoty pić z Conorem we własnym domu, a poza tym nie jadła kolacji i było o wiele za późno na wódkę na pusty żołądek.

Conor wszedł za nią do pokoju i stali twarzą w twarz jak bohaterowie sztuki teatralnej.

– Więc co chciałeś mi powiedzieć? – spytała. Wkurzało ją do granic możliwości, że wciąż jest tak samo przystojny jak wtedy, kiedy po raz pierwszy go zobaczyła, i że nadal roztacza ten sam wyrazisty zapach Chanel Bleu. Czemu nie wydawało jej się, że ma bulwiasty nos, przetłuszczoną brodę, a jego woda toaletowa nie kojarzyła jej się z rozczarowaniem? No, ale nic takiego nie nastąpiło. Prezentował się świetnie i pachniał bosko.

Sama wyglądała jak półtora nieszczęścia. Jej włosom przydałaby się szczotka, na rękawie jasnokremowego sweterka miała plamę po majonezie, a ciemnozielona lniana spódnica wygniotła się, gdy Katie siedziała przy biurku. Nie mogła zrzucić z nóg butów, bo się bała, że zapach, który roztoczy, nie będzie upojny.

– Chodzi o Clodagh? – spytał Conor. – Czy to z jej powodu nie odbierałaś moich telefonów i nie odpowiadałaś na esemesy?

– Jeśli Clodagh to twoja żona, to owszem.

– Dlaczego nie dałaś mi szansy się wytłumaczyć?

– Dlaczego mi nie powiedziałeś, że jesteście małżeństwem, zanim zaciągnąłeś mnie do łóżka? Myślę, że to istotniejsze, nie uważasz?

– Tak, Katie, jestem żonaty, ale tylko na papierze. Rozstaliśmy się z Clodagh półtora roku temu i przeprowadzamy rozwód. Sprawa

rozbija się o prawo własności do domu, w innym wypadku już bylibyśmy rozwiedzeni. Ale kiedy cię spotkałem, nie chciałem czekać dnia dłużej. Bo mogłaś odfrunąć z innym facetem. Bałem się, że cię stracę.

– Jasne! Długa kolejka napalonych facetów czyha pod drzwiami mojego gabinetu, żeby się do mnie dostać. Jestem nadkomisarzem dochodzeniówki, Conor. Każdy mój dzień od brzasku do zmroku jest wypełniony ściganiem dilerów narkotyków, oszustów, alfonsów i innych drani, przesiadywaniem w zatęchłych salach sądowych i przewalaniem stosów papierkowej roboty, przy których góra Knockboy wygląda jak kreci kopczyk.

Siliła się na ton urazy, ale po słowach Conora ogarnęła ją taka ulga, że zanim skończyła swoją tyradę, już się uśmiechała. Barney pił w kuchni wodę, ale na gwar podniesionych głosów przyszedł z mokrym pyskiem do salonu. I Conor, i pies patrzyli na nią z takim wyrazem oczekiwania, że Katie uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Powinienem ci powiedzieć, jak się ma sprawa z Clodagh – przyznał Conor. – Ale jeśli o mnie chodzi, nasze małżeństwo dawno się skończyło i wiem na pewno, że ona też się z kimś spotyka, z jakimś gościem, który pracuje dla przedsiębiorstwa wyrębu lasów.

Uśmiechnął się i wyciągnął rękę.

– Katie, według mnie jesteś najładniejszą, najseksowniejszą i najoryginalniejszą kobietą, jaką znam. I masz w sobie więcej życia niż ktokolwiek inny. Teraz, kiedy cię spotkałem, nie mogę znieść myśli, że mógłbym cię stracić. Nie z takiego głupiego powodu, że zapomniałem ci powiedzieć, że jeszcze całkiem się nie rozwiodłem.

Na chwilę zamknęła oczy. Nagle poczuła się okropnie zmęczona. Miała tak wymagającą pracę, że czasem zapomniała, że tak samo potrzebuje emocjonalnego wsparcia jak zespołu ofiarnych detektywów. Kyna zawsze była blisko, gotowa dodać jej odwagi i wyrazić swoją solidarność, a w dodatku była niezwykle atrakcyjna, ale Katie wiedziała, że komplikacje, które pojawiłyby się wraz z rozpoczęciem ich związku, w końcu wykończyłyby jedną z nich albo obie, nie tylko w życiu osobistym, lecz również zawodowym.

Barney polizał jej rękę i znów otworzyła oczy. Conor nadal czekał, wyciągając ramiona. Podeszła do niego i przytuliła ją mocno. Chłoneła jego zapach, nie tylko wody po goleniu, ale ubrania, ciała. Dawał jej coś więcej niż emocjonalne wsparcie. Zniknął gdzieś nieludzki ciężar ostatnich kilku dni i czuła się podniesiona na duchu.

Gdy pogładził ją po głowie, podniosła wzrok. W oczach miał taki spokój, taką łagodność, że jeszcze mocniej przytuliła głowę do piersi Conora i poczuła bicie jego serca. Nie musiał jej pytać, czy mu wybaczła. Ten uścisk powiedział więcej niż słowa. Była tak blisko niego, że poczuła ruch w jego spodniach.

– Chyba muszę się napić – wyznała w końcu. – A ty?

– Cołę, jeśli masz, albo tonik. Nie chcę wpaść, jadąc po pijaku.

– Nie musisz jechać. Możesz zostać na noc.

Przyjrzał jej się uważnie.

– Jesteś pewna?

– Oczywiście, że jestem pewna. Słuchaj... może zrobisz nam drinki, a ja szybko wezmę prysznic? Byłam dzisiaj w kostnicy i wciąż czuję na sobie trupią woń.

– Katie... – zaczął.

– Co? – Stanęła na palcach, żeby go pocałować.

Całowali się i całowali, i wciąż nie mogła się od niego oderwać. Uwielbiała jego delikatny, czysty, świeży zarost, pieśzczotę języka w jej ustach, kiedy po kolei muskał jej zęby jak pletwonurek badający podwodną grotę.

Dalsze słowa były zbędne. Conor poszedł z Barneyem do kuchni po lód do drinków, podczas gdy Katie poszła do sypialni, włączyła światła i rozebrała się. Kiedy zsunęła majtki, zobaczyła wilgoć, a gdy dotknęła krocza, zdała sobie sprawę, że pocałunki bardzo ją podnieciły. Przyjrzała się sobie w lustrze garderoby i pomyślała, że wygląda, jakby przepuszczono ją przez wyżymaczkę, ale uśmiechnęła się do swojego odbicia, bo była szczęśliwa i nie obchodziło jej, jak wygląda.

Kiedy w grubym, różowym szlafroku z frotté wróciła do salonu, Conor siedział na kanapie, drapiąc Barneya za uchem, a pies wpatrywał się w niego kompletnie oczarowany.

– Jestem pewna, że ma erogenne uszy – powiedziała Katie, siadając obok Conora i sięgając po przygotowaną przez niego wódkę z tonikiem. – Więcej, cały jest jedną wielką strefą erogenną, co widać po tym, jak ugania się za wszystkimi tutejszymi sukami. Zastanawiałam się, czy nie za późno, żeby go wysterylizować.

Conor pokręcił głową.

– Jeśli chce się to zrobić, trzeba sterylizować szczeniaka. To zmniejsza ryzyko raka jąder i kłopotów z prostatą, a poza tym wtedy psy całkowicie tracą zainteresowanie suczkami. A poza tym szczególnie setery irlandzkie są narażone na utratę pięknej, rudej sierści i w jej miejsce wyrasta słaba, skołtuniona i delikatna. Moja rada: daj Barneyowi być sobą. Ma znakomitą sierść, jest jurny i lepiej, żeby się nie zamienił w bezpłciowy dywanik przed kominkiem.

Katie ucałowała go i ułożyła się jeszcze bliżej. Była świadoma, że szlafrok się rozchylił, tak że Conor może zapuścić żurawia w rowek między piersiami, ale chciała go podniecić. Wiedziała też, że ładnie pachnie, po to się popsikała Daisy Blush.

Na komendzie codziennie musiała decydować i rządzić, nawet mężczyznomi, którzy nie ukrywali, że uważają ją za atrakcyjną, jak komendant Denis MacCostagáin czy nadkomisarz Michael Pearse. Ale Conor sprawiał, że była uległa i posłuszna, jakby jedynym jej pragnieniem było go zadowalać i podniecać. Nic tak jej nie kręciło w stosunkach z nim, jak zrzeczenie się odpowiedzialności.

– Może pójdziemy z tymi drinkami do sypialni – zaproponowała. – Wiesz, że kocham Barneya, ale niekoniecznie musimy to robić na oczach psa.

– Skoro o psie mowa, muszę ci coś powiedzieć. Jeden z moich informatorów od szemranych weterynarzy doniósł, że Zezowaty McManus urządza w Ballyknock w czwartek w przyszłym tygodniu specjalne psie walki, pięćdziesiąt pojedynków na swoje pięćdziesiąte urodziny. Psy mają być dostarczone z całego kraju, zwłaszcza z Cork i

Kerry. Stawki są astronomiczne, tak przynajmniej twierdzi mój człowiek. Sam postawił pięćset euro na swoje dwa pitbule.

– To fantastyczny cynk.

– Zamierzałem ci go przekazać niezależnie od tego, jak ułożą się stosunki między nami. Nie byłem pewien, ale domyśliłem się, że to, że nie dzwonicz, ma związek z Clodagh. Twoja sierżant Scanlan powiedziała mi, że widziała, jak szukała mnie na komendzie, i że zamieniła z tobą kilka słów.

– Nie klóciłyśmy się, nic z tych rzeczy. Tylko jej powiedziałam, gdzie cię znaleźć. Ale nie będę ukrywać, że czułam się tak, jakbym dostała kowalskim młotem w serce.

– Katie...

Uśmiechnęła się i pocałowała go.

– Po sprawie. Zapomnij. Gdybym była zamężna, ale w separacji, tak jak ty, pewnie też bym o tym nie wspomniała. Mam wystarczająco dużo wyrzutów sumienia po tym, jak biedny John został ze mną i oczekiwał, że kiedy dostanie protezy, wrócimy do dawnego życia. To... to było tak bolesne, że trudno mi o tym mówić. Dręczy mnie, że go zdradziłam. Ale dostałam kręcka na twoim punkcie, Conor. Dawno żaden facet tak na mnie nie działał. I nie wiem, co w sobie masz, że tak się dzieje.

Znów nie mogła się powstrzymać od uśmiechu.

– Może to dlatego, że tak bardzo lubisz zwierzęta – dodała i pocałowała go. – A może dlatego, że masz w sobie trochę zwierzęcia. Tak czy siak... Jutro zaraz z rana zadzwonię do inspektora Carrola w Tipperary Town. Skoro McManus szykuje taką wielką ustawkę, to jeśli zaplanujemy wszystko jak należy będziemy mogli oprócz niego zwinąć jeszcze całą masę hodowców psów do walk. Więcej, możemy zadać temu procederowi cios tak silny jak rzadko dotąd w tym kraju.

– Ale będziecie musieli dobrze zamaskować tę waszą operację – ostrzegł ją Conor. – McManus ma wtyki wszędzie. Dlatego prowadzi te walki od tyłu lat i ani razu nie trafił za kratki. Nie mówiąc o tym, że wszyscy się go boją. Mówi się, że przywiązał faceta, który go oszukał,

do dwóch SUV-ów, i kazał, żeby się rozjechały każdy w inną stronę.

– Dajmy sobie spokój z takimi koszmarnymi opowiastkami. Miałam wystarczająco zły dzień. Jestem zmęczona i chcę tylko się przytulić.

– Pozwolisz, że też szybko wezmę prysznic? Zasuwałem w kółko jak świnia na haju.

– Dla mnie pachniesz bosko. Ale oczywiście.

Sprawdziła, czy Barney ma wodę na noc, i zabrała drinka do sypialni. Zdjęła szlafrok i weszła do łóżka. Poprawiła włosy i poduszki. Już na początku pracy w Garda Síochána nauczyła się, idąc spać, wymazywać z pamięci całodzienny stres, bez względu na rozmiar przeżytej traumy. Teraz, czekając na Conora, poczuła coś, czego się doświadcza, gdy odnajduje się zagubiony kolczyk ze szmaragdem, o którym się myślało, że zgubiło się go na zawsze, albo kiedy kończy się powieść, w której wszystkich bohaterów spotyka happy end. Czuła się tak, jakby w końcu zdołała przewyciężyć wieczne rozczarowanie – ale to uczucie zawierało również dawkę podniecenia, bo Conor wkrótce miał ją wziąć w ramiona.

Pociągnęła łyk drinka, słuchając szumu wody i odgłosów, jakie bose stopy Conora wydawały na podłodze kabiny prysznic. Wyszepiała krótką modlitwę, którą powtarzała, gdy matka kładła ją wieczorem do łóżka.

– Dzięki Ci, żeś strzegł mnie, Panie, i żeś widział to, co mi nie było widzieć dane. Dzięki, że tylko wystarczy mi rozewrzeć oczy, a słodką niespodzianką życie mnie zaskoczy. Dzięki, że miłość i szczęście idą zawsze w parze, byleśmy tylko modlili się z wiarą. I dzięki, że nawet w środku mrocznej nocy światło Twoje, Panie, blaskiem nas otoczy.

Po chwili Conor wszedł z mokrą głową do sypialni; miał na sobie tylko bordowy ręcznik na biodrach.

– Mogę użyć twojej szczoteczki do zębów? – spytał.

Katie nie odpowiedziała. Już spała. Rozchyliła lekko usta; jej powieki drżały, gdy śniła sen, którego następnego dnia sobie nie przypomni. Conor stał i przyglądał jej się chwilę, zanim wrócił do łazienki, odwiesił ręcznik i umył zęby palcem.

Położył się obok Katie i zgasił lampki nocne. Objął ją w pasie



ramieniem i przytulił, przyciskając do jej bioder nabrzmiąły członek. Ale nie był zawiedziony. Czuł podobną ulgę jak ta, której doznała Katie – że raz w życiu los okazał się łaskawy, przyniósł słodką niespodziankę, o którą Katie modliła się od dziecka.

\* \* \*

Cyfrowy budzik przy łóżku wskazywał 6:11, gdy Katie się obudziła. Zamrugła i popatrzyła w sufit. Jak powiedziałby detektyw Ó Doibhilin, usta miała wyschnięte jak klapki Gandhiego. W tej samej chwili poczuła dotyk nagiego ramienia Conora, usłyszała równy oddech mężczyzny, a kiedy przewróciła się na bok, zobaczyła, że śpi niczym figura świętego na sarkofagu.

Na dworze lało jak z cebra. Deszczówka chlupotała w rynnie przy oknie sypialni. Ale ten dźwięk zamiast wzbudzić depresję, uspokajał i napawał otuchą, bo oto leżała w łóżku przytulona do Conora.

Czubkami palców pogładziła go po ramieniu, lecz się nie obudził; lekko się poruszył i sapnął. Sięgnęła więc pod kołdrę i przebiegła palcami po włosach na jego klatce piersiowej. Był niezłe umięśniony; powiedział jej, że należy do drużyny wioślarskiej klubu St Michael's Rowing i kiedy tylko może, pływa po rzece Shannon. Brzuch miał lekko zaokrąglony, ale to się jej podobało.

Pocałowała go w bark, dwa razy, trzy.

– Co? – zamruczał. – Nie chciałem... – I spał dalej.

Katie uśmiechnęła się do siebie, zastanawiając się, o czym Conor myśli.

Nie mogła się oprzeć, żeby nie ująć jego członka i nie popieścić, a potem powoli przesuwać po nim dłońią w górę i w dół, opuszką palca wskazującego krążąc wokół czubka. Nie mogła ocenić, czy Conor się budzi, czy nie, ale jego penis był coraz sztywniejszy i wystarczyło kilka ruchów jej ręki, by osiągnął pełny wzwód. Uwielbiała tę część ciała Conora, tak cudownie grubą i długą, lekko się wyginającą, kiedy całkiem sztywniała. Lubiła też masować jego jądra, aż robiły się twarde i pomarszczone, wielkie jak dwie śliwy.

– Uff... co? – wymamrotał, otwierając oczy.

Katie znów pocałowała go w ramię i ścisnęła członek.

– Co to za „uff”? – spytała ze śmiechem. – Nie mówiłam, że masz w sobie zwierzę?

– Jezu. Przez chwilę myślałem, że umarłem i poszedłem do nieba.

– Hm, nie umarłeś, kochanie, ale mam nadzieję, że w połowie drogi do nieba to jesteś.

Dźwignął z poduszki głowę tak, że mógł pocałować Katie. Równocześnie ujął jej pierś i delikatnie obracał w palcach brodawkę. Kiedy zeszytniała, próbował się podnieść, zamierzając położyć się na Katie, ale ona usiadła i zmusiła go, by leżał na plecach.

– Nie – rozkazała. – To moja robota, wyrównanie za to, co złego o tobie myślałam.

– Daj spokój, Katie, to był mój błąd. Powinienem być ci powiedzieć.

– Mimo to coś ci się ode mnie należy.

Dosiadła go, przyciskając jego nadgarstki do materaca.

– To nie jest pół drogi do nieba – powiedział z uśmiechem. – Jestem w niebie. Mam nadzieję, że święty Piotr nie podgląda.

– Posłuchaj i zapamiętaj: kiedy ktoś przeprosza, wypada przyjąć. A to są właśnie moje przeprosiny.

Pochyliła się i pocałowała go w czoło, powieki i usta, muskając ciężkimi piersiami jego włosy na torsie. Sięgnęła w dół, między uda, uchwyciła pobudzony członek i wsunęła żołądz między gładkie jak nawoskowane wargi sromowe. Była już bardzo mokra i śliska, ale jeszcze nie pozwoliła mu wejść, choć rozpaczliwie próbował to zrobić, ale kiedy unosił biodra, Katie tym mocniej przyciskała go do łóżka, rozkoszując się tarciem żołądzi członka o wargi sromowe i władzą, jaką nad nim miała. Chociaż zdawała sobie sprawę, że drażni się z nim jak doświadczona kurwa.

Rytmicznie zaciskała mięśnie waginy, równocześnie kontrolując reakcje Conora, patrząc mu w oczy i uśmiechając się wyzywająco.

– Boże Wszzechmogący – wyrzęził. – Gdybyś wiedziała, co przez ciebie czuję.

W końcu cofnęła rękę i opadła na niego tak, że penis znalazł się w niej najgłębiej, jak to możliwe, i poczuła włosy łonowe Conora na

swoim wzgórkowi Wenery. Wyciągnął ręce i masował jej piersi, przyciskając jedną do drugiej i bawił się brodawkami. Pochyliła się tak nisko, że członek ledwo się w niej utrzymywał, i pocałowali się; ich języki błędziły, jakby każde chciało dowieść, że jest bardziej podniecone. Znowu usiadła na nim z wyprostowanymi plecami i to, co poczuła, kiedy członek ponownie cały się w niej zagłębił, sprawiło, że zamknęła oczy.

Ich miłosne zmagania stawały się coraz bardziej gorączkowe. Katie chciała narzucić powolny, regularny rytm aż do chwili szczytowania, ale nie zdołali nad sobą zapanować. Conor podtrzymywał pośladki Katie, wsuwając palce w jej odbył, podczas gdy ona go ujeżdżała. W końcu zaczęli szczytować. Było to jak wielka, ślepa siła wzbijająca się z dna oceanu. Katie drżała spazmatycznie i krzyczała jak jeszcze nigdy w życiu.

Po wszystkim oprócz ich nierównych oddechów słychać było tylko odgłosy deszczu.

Stoczyła się z Conora i spoceni leżeli obok siebie, próbując wyrównać oddech. Popatrzyła na budzik, wskazywał 6:31.

– Niecałe dwadzieścia minut. – Uśmiechnęła się. Czują na udach spływające ciepłe nasienie. – Moja wina, byłam za bardzo roztrzęsiona.

– Zawsze możemy postarać się poprawić wynik – powiedział Conor, całując ją.

– Niestety, nie mam czasu. Mam konferencję prasową w sprawie Toirneach Damhsa i jeszcze sto innych rzeczy na głowie.

– Szkoda. Naprawdę szkoda. Chociaż ja też muszę wrócić do Limeric. Clodagh i ja jesteśmy umówieni z adwokatami, a poza tym mam do załatwienia kilka spraw zawodowych. Ale pewnie mógłbym wrócić do Cork jutro albo pojutrze.

– Możesz się u mnie zatrzymać.

– Jesteś pewna?

– Bez ciebie nie załatwię tej sprawy z walkami psów, nie mówiąc o tym, że potrzebuję cię do łóżka. I zaoszczędzi się pieniądze, jeśli Garda Síochána nie będzie musiała płacić za twój pokój w

pensjonacie.

– No proszę. Nie wiem, co bardziej u ciebie podziwiam, logikę czy seksapil. Tego właśnie brakowało Clodagh. I z jakiegoś powodu nigdy nie mogłem jej zadowolić. Pewnie dlatego, że pochodzi z Cavan<sup>5</sup>.

– Ale teraz jest jej dobrze z tym facetem z Coilte, tak?

– Tak twierdzi. Zarządzają większością lasów w kraju, więc zawsze może się pocierać o jakiś pień.

Katie trzepnęła go w ramię.

– Ale ty masz wysublimowane poczucie humoru! Jesteś gorszy niż niektórzy na komendzie. Będziesz moją zgubą, Conorze Ó Máille.

\* \* \*

Zrobiła śniadanie: jajecznicę, pomidory z grilla i grzanki z pełnoziarnistego pieczywa. Tuż po wpół do ósmej najbliższa sąsiadka, Jenny Tierney, zadzwoniła do drzwi, by zabrać Barneya na poranny spacer. Weszła do kuchni w mokrym płaszczu przeciwdeszczowym, powiedziała „Hm... dzień dobry” i nie przestawała wpatrywać się w Conora z dezaprobatą, dopóki Katie nie założyła psu obroży i nie przypięła smyczy.

– Pani też pięknego poranka – powiedział Conor, unosząc jak do toastu kubek z kawą.

Po śniadaniu Katie podrzuciła go do miasta. Zatrzymywał się na Summerhill, w pensjonacie Gabriel House, od kiedy jako ekspert od odnajdywania psów przyjechał do Cork pomagać Katie w śledztwie. Deszcz bębnił o dach samochodu, a oni siedzieli w środku, ściskali się za ręce i całowali.

– Przyślę ci esemesa, kiedy wrócę – powiedział.

– Przyślij albo zadzwoń, jak wolisz.

– Myślę, że chyba się w tobie zakochuję, Kathleen Maguire.

– Nie mów takich rzeczy. Diabeł ma długie uszy. Wiesz, zawsze miałam pieskie szczęście, nie chcę ryzykować następnej katastrofy.

---

<sup>5</sup> Miasto i hrabstwo Cavan są z niewyjaśnionych powodów obiektami drwin i szyderstw Irlandczyków.

Więc zobaczymy się, kiedy wrócisz z Limerick. Uważaj na siebie i nie pozwól tej uroczej Clodagh, żeby puściła cię z torbami.

– Och, jużem nauczył się o siebie dboć – zapewnił ją Conor silnym północnym akcentem. – Tyleżem się w Cork nasiedzioł, że teraz cwany ze mnie typ. Cwany jak uosa, co mo w zadku ogień.

Katie trzepnęła go w ramię, pocałowała, ale musiała się zbierać.

Jechała do centrum, czując w sercu ciepło i radość większą niż kiedykolwiek od niepamiętnych czasów. Conor sprawił, że czuła się niebywale atrakcyjna, i nie mogła odżałować, że nie zobaczy go co najmniej dobę. Dlaczego takie cudowne noce zawsze muszą się kończyć? Dlaczego szczęście tak szybko się rozptywa, a ból dręczy wiecznie?

Kiedy przejeżdżała przez Brian Boru Bridge, minęła pchającą wózek młodą matkę z parasolką i powróciła pamięć o jej synku, Seamusie, o tym, co czuła, tuląc go w ramionach i kołyszając do snu. Nawet pamiętała jego zapach, mleka i zasyпки dla niemowląt, dotyk rączki owiniętej wokół jej palca. Chodziłby teraz do pierwszej klasy, gdyby żył; wracałby do domu i pokazywał rysunki. Ale nie żył, jak jej pierwszy mąż Paul i kochanek John, i jak ostatniej nocy nie było ludzkiej siły, która powstrzymałaby świt kolejnego deszczowego dnia.

Kiedy zaparkowała przy Anglesea Street, musiała wyjąć chusteczkę i wytrzeć łzy. Sprawdziła w lusterku makijaż i poprawiła usta kredką Blushed Nude. Matko Boska, Katie, na starość robisz się ponurym koszmarem, pomyślała, mocno zaciskając usta.

## ROZDZIAŁ 11

Jeszcze szła korytarzem do gabinetu, kiedy odezwała się komórka. Dzwoniła doktor Kelley z kostnicy.

– Dzień dobry, pani nadkomisarz. Dziś od świtu zajmuję się tymi dwiema ofiarami znalezionymi na strychu. Wciąż jeszcze ich nie rozdzieliłam, bo dosłownie stopiły się razem i trzeba będzie bardzo delikatnie operować skalpelem, żeby je rozciąć. Ale zrobiłam rentgen i nie zgadnie pani, co wyszło.

– Proszę mnie zaskoczyć. – Katie weszła do gabinetu i pozdrowiła gestem Moirin, która już siedziała w swoim pokoiku zgarbiona nad komputerem. – Czego nie zgadnę?

– Zginęli od strzału w głowę, oboje.

– Zostali zastrzeleni?

– Owszem. Kobieta ma ranę wlotową i wylotową po lewej i prawej stronie czaszki, a mężczyzna ranę wlotową w prawej skroni i fragmenty pocisku w czaszce.

– Matko Boża, nie mogę w to uwierzyć. Żadna z pozostałych ofiar nie ma ran postrzałowych, prawda?

– Nie ma, tylko tych dwoje. Kiedy przywieziono ich ciała, pomyślałam, że to coś niezwykłego. Wydało mi się nieprawdopodobne, żeby ofiary pożaru tak do siebie przylgnęły. Ofiara pożaru myśli tylko o tym, żeby zerwać z siebie płonące ubranie. Dochodzi wtedy do charakterystycznego skurczu ścięgien ramion, jak podczas grania na werbelku. Jestem niemal pewna, że ci dwoje nie żyli, zanim ogarnęły ich płomienie.

– Przyjadę przed południem i sama ich obejrzę. Zakładam, że skontaktowała się pani z Billem Phinnerem.

– Oczywiście. Jeden z jego ekspertów balistycznych jedzie tutaj zrobić skany czaszek i pobrać fragmenty pocisku. Spalili się do tego stopnia, że nie będzie łatwo ustalić, z jakiej odległości do nich

strzelano. Jak pani wie, na podstawie strefy osmalenia zwykle potrafimy rozpoznać, czy zabójstwa dokonano z przystawienia. Ale oceniając z grubsza rozmiary ran wlotowych, powiedziałabym, że strzały oddano z odległości mniejszej niż piętnaście centymetrów, jeśli nie z przystawienia.

– To ma sens. Strych jest bardzo niewielki i niemal na pewno był miejscem zbrodni, na co wskazuje pozycja, w jakiej ich znaleźliśmy. Nie potrafię sobie wyobrazić, że strzelec wniósł kolejno ciała na górę, a potem tak je ułożył, żeby się obejmowały.

– Będę dalej panią informować. Ach, no i proszę, oto ekspert balistyczny. Jezu, w dzisiejszych czasach wszyscy wydają się tacy młodzi... Czasem odnoszę wrażenie, że pracuję z bandą zażartych mądrali w krótkich spodenkach.

– Odezwę się potem – zakończyła rozmowę Katie.

W trakcie wymiany zdań z patolożką Moirin przyniosła cappuccino, a w drzwiach stanął detektyw Dooley i czekał, aż Katie skończy.

– Cześć, Robert – powiedziała, zapraszając go do środka skinieniem ręki. – Jak idzie praca?

Wyglądał na wypoczętego. Włosy miał postawione pionowo, jak postać z komiksu, i roztaczał woń dezodorantu Lynx. Katie zauważyła, że dostał drobnej wysypki na czole. Miała nadzieję, że nie wymaga od niego zbyt wiele i nie naraża go na zbyt ni stres.

– Zidentyfikowałem dziewczynę ze strychu – zameldował. – To na pewno Saoirse MacAuliffe. Zabrałem jej bransoletkę do sklepu Pandory, mają kwity wszystkich charmsów, które kupiła. Jeszcze coś. Nosiła różowy zegarek Lipsy i rodzice potwierdzili, że dostała go od nich na ostatnie urodziny, tak jak tenisówki, które miała na sobie. Prawie całe się spaliły, ale zostało trochę różowego płótna i metka Wedge w środku. Poza tym laboratorium kryminalistyczne wzięło próbki DNA, żeby mieć sto dziesięć procent pewności. Dzisiaj powinniśmy mieć wyniki.

– Była zaręczona, prawda? – spytała Katie. – Czy jej rodzice wiedzieli o jakichś jej relacjach z tym facetem z zespołu tańca... Jak on się nazywał?

– Ronan Barrett. Nie, nie wiedzieli. Ostatnio powiedziała im, że się przyjaźnią i że pomaga jej dopracować niektóre elementy tańca *céili*, ale za Boga nic nie mówiła o żadnym związku.

– A co z jej narzeczonym? Architekt, zgadza się?

Dooley wyjął z kieszeni marynarki notatnik i otworzył.

– Tak. Douglas Cleary. Pracuje dla Leaside, projektanta inwestycji Capitol Cinema, chociaż nie wiem, czy projekt przyjęto. Ostatnie dwa dni był w Manchesterze na zjeździe architektów, ale skrócić wyjazd i późnym wieczorem będzie w Cork.

– Więc powiadomiono go, że Saoirse nie żyje?

– Jej rodzice wysłali mu maila, ale ostrzegłem ich, żeby go nie informowali, że została znaleziona na strychu razem z Ronanem Barrettem. I oczywiście nawet oni jeszcze nie wiedzą, że ich córka i Barrett tak się ściskali, kiedy ich znaleziono. Nawet mediom o tym nie wspomnieliśmy.

– No, sprawa się komplikuje. Doktor Kelley przystąpiła rano do sekcji i pierwsze, co wykryła, to to, że Saoirse i Ronan dostali po kulce w głowę.

– Żartuje pani! Poważnie? Więc ktoś ich zamordował i podpalił budynek.

– No, nie wyciągajmy pochopnych wniosków. Myślę, że bezpiecznie będzie założyć, że zostali zamordowani przed wybuchem pożaru, ale nie wiemy na pewno, kto ich zastrzelił. Może podpalacz... albo podpalacze. Może ktoś zupełnie inny. Dopóki się nie dowiemy od kryminalistyków, nawet nie możemy być pewni, czy pożar wzniecono celowo, czy nie.

– Och, pani nadkomisarz, da pani spokój! Jeśli to był wypadek, to przysięgam na Boga, że może mi pani mówić, że jestem dwugłowym żółwiem.

Katie nie mogła się powstrzymać od uśmiechu.

– Teraz tym bardziej chciałabym, żeby to był wypadek. Ale zgadzam się z tobą: szanse, żeby tak niszczycielski pożar był przypadkowy, są prawie zerowe – przyznała. – Coś jeszcze? Jak wyniki z monitoringu?

– No właśnie, to kolejna sprawa, z którą do pani przyszedłem.



Skończyłem przeglądać wszystkie nagrania pożaru na monitoringu i wideo straży pożarnej.

– Zauważyłeś coś podejrzanego?

– Nie ma nic pewnego. Ale zwróciłem uwagę na czterech facetów w tłumie i dwie dziewczyny. Wszyscy zaliczyli odsiadki albo zawiasy za wandalizm, albo takie czy inne niespołeczne zachowanie. Wysłałem pani całą listę mailem. Jak się pani jej przyjrzy, może będziemy mogli zdecydować, czy warto ich zgarnąć na przesłuchanie. Poza tym był tam jeden gość, trzymał się z tyłu tłumy, i kiedy tylko zajrzałem, co to za typek, coś mi zaświtało. To Dara Coughlan z Mayfield. Byłem w ekipie, która zwinęła go jakieś trzy lata temu. Wtedy miałem tam przydział.

– O co z nim chodzi? – spytała Katie. Równocześnie włączyła stacjonarny komputer i znalazła przygotowaną przez Dooleya listę sześciu nazwisk. Chciała sprawdzić, czy sama kogoś rozpozna.

– Ten Dara Coughlan to wielokrotny podpalacz. Totalny świr. Trzyma z zaćpanymi gówniarzami, którzy kręcą się po Barnavara Crescent. Podpalił pięć wozów i tłumaczył się w sądzie, że należały do gości, którzy nie pozwalali córkom iść z nim na imprezkę. Miał wtedy tylko szesnaście lat, więc skończyło się na odwyku, ale z zerowym skutkiem. Równie dobrze mogliby uczyć małpę z epilepsją manier przy stole. Nie minęło pół roku, a próbował spalić masarnię na rogu Iona Park i powiedział, że z tego samego powodu. Kręcił się wokół jednej z córek rzeźnika, więc gość kazał mu zmiatać i zagroził, że odrąbie mu fiuta i przerobi na mielone. Więc Dara wlał mu benzynę do skrzynki na listy.

– Co za to dostał?

– Znów go zwinęliśmy i sąd wysłał go do Zakładu Wychowawczego Świętej Trójcy. Miał tam przebywać, dopóki nie skończy siedemnastu lat. Ja wtedy zaliczałem w Templemore szkolenie na detektywa, więc już go nie spotkałem... do czasu, aż zobaczyłem go na tym nagraniu z monitoringu. Razem z jakąś zdzirą gapił się na pożar i szczyrzył zęby jak małpa z epilepsją, której totalnie odbiło.

– Jeśli przeczucie coś ci mówi, powinieneś go wezwać na

przesłuchanie. I pomyśl: skoro w przeszłości podpałał, żeby się zemścić, bo kazano mu trzymać się z dala od jakiejś dziewczyny, warto by sprawdzić, czy nie dostawiał się do którejś z tancerek Toirneach Damhsa. Może ktoś z zespołu go pogonił i Dara poczuł urazę. Zwróć tylko uwagę, że pożaru nie wzniecono tak zwykłym środkiem jak benzyna.

Przejrzała listę nazwisk na ekranie komputera. Rozpoznała jedno z nich – muzyka Johnnny’ego Dunne’a, Travellersa aresztowanego za wyrzucenie telewizora z czwartego piętra hotelu Jurys Inn, co doprowadziło do poważnego zranienia kobiety przechodzącej Anderson’s Quay. Jednak z tego, co Katie słyszała, rzucił picie i podpisał kontrakt z dublińską wytwórnią Heresy Records.

– Nikt z pozostałych nie jest wielokrotnym podpalaczem pokroju Dary – powiedział Dooley. – Niemniej jednak wszyscy byli zatrzymywani z powodu poważnych aktów wandalizmu. Te dwie dziewczyny na przykład... przyłapano je na kradzieży swetrów wynoszonych z Olivia’s Boutique przy Oliver Plunkett Street. Zaalarmował właściciel. Po kilku wieczorach wróciły, rozbiły witrynę, wrzuciły do środka puszkę z farbą i politurą i spaliły trochę ubrań. Spowodowały straty na mniej więcej trzydzieści pięć tysięcy euro.

– Czyli za całą szóstką coś się wlecze i wszyscy byli obecni przy pożarze Toirneach Damhsa, więc ich przesłuchaj. Wątpię, żeby ktoś z nich był winny, bo mamy do czynienia z postrzeleniem i podpaleniem, ale wolę mieć pewność. Jak sam wiesz, czasem społeczne zachowania nasilają się z wiekiem, zwłaszcza gdy sprawy cierpią na nielezione choroby psychiczne.

– Cała sprawa nabrała nowego wymiaru, kiedy się okazało, że tamtych dwoje zostało zastrzelonych. To coś więcej niż bezmyślny wandalizm albo zagrywka innych tancerzy, żeby pogrzebać szanse Toirneach Damhsa w przyszłotygodniowym konkursie.

– Tego nie da się jeszcze stwierdzić. Chociaż po tym, co Coffey opowiedział o swoim byłym współniku i o tym, jak tamten mu groził, nie wykluczyłabym, że odpowiedzialny jest członek innego zespołu. Muszę przyznać, że do tej pory nie miałam pojęcia, że rywalizacja

między tancerzami może być tak zawzięta. Tancerze? Jezu, to prędzej ISIS.

– A z tym Joyce’em? – spytał Dooley. – Ściągamy go na przesłuchanie?

– Tak, pewnie, kiedy będziemy mieli więcej materiału dowodowego, ale nie wcześniej. Nie chcę zacząć od oskarżania go tylko na podstawie słów Coffeya. Wiemy, gdzie mieszka. Przy Connaught Avenue. I nie sądzę, żeby się dokądś wybierał. Konkurs jest za tydzień. Joyce naraziłby się na poważne podejrzenia.

– W porządku. Zacznę od Dary Coughlana. Małego świra. Oby to był on. Byłbym w siódmym niebie, gdybyśmy go posadzili po kres jego żalosnej wegetacji.

\* \* \*

Katie zadzwoniła do inspektora Carrola w Tipperary i powiedziała mu o wielkich walkach psów, którymi Zezowaty McManus planował uświetnić swoje pięćdziesiąte urodziny.

– Skąd to wiesz? – spytał inspektor i rozkaszał się, jakby go przyłapała w połowie kanapki. – Słyszeliśmy plotki, ale wiesz, jak zamknięta jest społeczność Travellersów, zwłaszcza ta zgraja w Ballyknock. Nie powiedzieliby ci, gdzie są twoje duże palce u nóg, nawet gdyby je przydeptali.

– Mam to z bardzo dobrego źródła, Kenny, przysięgam – zapewniła go Katie. – Kiedy tylko poznamy więcej szczegółów, dam ci znać. Ale jeśli McManus naprawdę planuje walkę na pięćdziesiąt psów, musimy zorganizować poważną operację uwzględniającą teren. Kto wie, ilu funkcjonariuszy i ile pojazdów przyjdzie nam wyznaczyć. Będziemy też potrzebowali jakiejś pomocy z ISPCA<sup>6</sup>. Tam będzie całe stado psów bojowych, którymi trzeba będzie się zająć i które pewnie trzeba będzie uspokoić po tym, jak zgarniemy właścicieli. Zaraz pogadam z komendantem MacCostagáinem. Powinniśmy najszybciej jak to możliwe opracować połączony plan awaryjny.

---

6 ISPCA, Irish Society for the Prevention of Cruelty to Animals (Irlandzkie Stowarzyszenie Zapobiegania Okrucieństwu Wobec Zwierząt).

– Znakomicie, Katie. Porozmawiam z sierżantem Kehoe. Domyślam się, że z twojej strony łącznikiem będzie Michael Pearse.

– Na początku tak. Odezwę się, kiedy będziemy wiedzieć więcej.

Katie zabrała kawę do gabinetu komendanta. Kiedy zapukała, rozmawiał przez telefon, ale zaprosił ją gestem i dał znak, by usiadła. Jak zwykle nie miał na sobie kurtki mundurowej i nosił spodnie na szelkach, a gdy rozmawiał, przeczesywał dłonią rzadkie siwe włosy i kiwał głową.

– Tak, proszę pani – powiedział do słuchawki. – Oczywiście, proszę pani. To niezwykle miło słyszeć. Jak najbardziej. Nie, jestem niezwykle zachwycony.

Katie nigdy nie słyszała, by wyrażał się tak entuzjastycznie i z równym szacunkiem.

Kiedy skończył, przysiadł na krawędzi biurka.

– No, proszę! – rzucił. – Nigdy nie zgadniesz, kto to był.

– Znów dzisiaj słyszę, że nigdy czegoś nie zgadnę. Założę się, że pan nie zgadnie, czego wcześniej nie mogłam zgadnąć.

– Zgadza się, nie zgadnę. – Zwykle wyglądał jak ubogi zrzedliwy krewny, co podkreślały blisko osadzone oczy, ale tego przedpołudnia wydawał się o wiele pogodniejszy niż zwykle.

– Ta para młodych ludzi, którą znaleźliśmy na strychu po pożarze Toirneach Damhsa – wypaliła Katie. – Nie zginęła od ognia, każde dostało kulę w głowę.

Komendant zamrugał z niedowierzaniem.

– Święty Jezu. To komplikuje sprawę.

Katie poinformowała go, że ekspert balistyczny już jest w kostnicy, i zapoznała go z postętami w śledztwie.

– Ale nadal nie mamy sprawcy – dodała. – Nie mamy nawet głównego podejrzanego, chyba że uwierzyć Danny’emu Coffeyowi.

– No tak, jeszcze jesteśmy w lesie. A co z tym zastrzeleniem Nialla Gleesona? W jakim kierunku rozwija się ta sprawa?

– Chwilowo w żadnym. Tutaj też ekspert balistyczny zajmie się pociskiem, ale nie jestem przekonana, że wiele się dowie, zwłaszcza gdyby strzelała Nowa IRA – odparła i po krótkiej przerwie spytała: –

Więc z kim pan rozmawiał? Co to za osoba, na którą bym nie wpadła?

– Sama komendant główna Nóirín O’Sullivan. Chciała mi powiedzieć, że rząd wyznaczył jej nowego zastępcę na Region Południowy, po Jimmym O’Reillym... niech jego udręczona dusza spoczywa w spokoju.

– Amen – rzuciła Katie, chociaż O’Reilly stawał na głowie, żeby ją wykończyć zawodowo. A kiedy nie zdołał zniszczyć jej reputacji, nieskutecznie wrabiając Katie w handel bronią, a na domiar wszystkiego rzucił go pozbawiony skrupułów, łasy na pieniądze kochanek, zastrzelił się. Katie nie potrafiła sobie wyobrazić, że nowy zastępca komendant głównej mógłby być gorszy. – Więc go znam... czy ją?

– Powinnaś. Frank Magorian, szef naszej uczelni, Garda College.

– Och, znam świetnie Magoriana. Zarządzał Templemore, kiedy byłam na kursie na starszego oficera śledczego. Zawsze bardzo grzeczny, opanowany. Będzie z niego idealny zastępca komendant głównej. Gdyby nawet sufit spadł mu na głowę, powiedziałby tylko coś w rodzaju: „Och! Nie ma się czym przejmować, chwała Bogu, że deszcz nie pada”.

– Zjawi się tutaj, Katie, więc zadzwonię, żebyś mogła odnowić znajomość. Czy to wszystko? Masz taką minę, jakby chodziło o coś jeszcze.

– O psy, panie komendantce. Zezowaty McManus znów szczyrzy kły.

Opowiedziała o przygotowywanych walkach i podczas jej relacji MacCostagáin posepniał coraz bardziej, przybierając swój zwykły wyraz twarzy, i przygarbił się.

– Daj spokój, Katie. Wiesz, jak przekroczyliśmy budżet. Niektóre z tych psów czeka śmierć. Oczywiście, to okrutne, wcale nie mówię, że tak nie jest. To nieludzkie. Ale zgodnie z ustawą o kontroli psów i tak bylibyśmy zmuszeni je uspić, jeśli to określone rasy i złapałibyśmy je w miejscu publicznym bez smyczy albo kagańca. A w ogóle, na miłość boską, masz pojęcie, ile nas będzie kosztować

zorganizowanie takiej operacji?

– Taki ma pan do tego stosunek? Nie kiwnąć palcem? Wie pan, że co najmniej część tych psów ukradziono, są ofiarami barbarzyńskiego traktowania w trakcie szkolenia. Poza tym jest jeszcze sprawa dochodów organizatorów psich walk, takich jak McManus. Jestem przekonana, że Biuro Mienia Pochodzącego z Działalności Przestępczej będzie zainteresowane jego zyskami.

MacCostagáin wstał, obszedł biurko i otworzył pękaty segregator, jakby dawał do zrozumienia, że ma na głowie sprawy ważniejsze niż walki psów.

– Mówię tylko, że oczywiście możesz mieć oko na tego McManusa, ale to nie tyle nasza sprawa, ile ISPCA. Mają swoich inspektorów, chyba co najmniej ośmiu. Mają spory budżet. I całe ich zadanie polega na ochronie psów wykorzystywanych do celów sportowych. Jasne, możemy z nimi współpracować i dać im wsparcie w razie zagrożenia, ale komisariaty Gardy nie są wyściełane banknotami, Katie, i naszym pierwszym obowiązkiem jest strzec ludzi, nie zwierząt.

– Rozumiem. W porządku. Świetnie – rzuciła Katie i też wstała. – Przekażę to inspektorowi Carrollowi. Nie jestem pewna, jak to przyjmie. Jest masa innych przestępstw związanych z walkami psów, jak kradzieże i wymuszenia, zwłaszcza w Tipperary. Carroll był cały na tak, żeby zwinąć McManusa i niektórych jego koleżków.

– Jak powiedziałem, jeśli chcesz współpracować z inspektorem Carrollem w Tipperary i jechać jako obserwator na te walki psów, świetnie. Jak uda ci się nagrać duży materiał dowodowy, możesz go pokazać w komendzie głównej podczas konferencji w sprawie budżetu i przedstawić swoje stanowisko co do operacji wymierzonej przeciwko walkom psów.

Zamierzał jeszcze coś powiedzieć, gdy odezwała się komórka Katie. Dzwonił Bill Phinner z laboratorium kryminalistycznego.

– Bill? Co się dzieje?

– Przeprowadziliśmy badania powierzchni ciał i ubrań ofiar pożaru. Poza tym osadów na ścianach i podłodze. Jeszcze nie dokonaliśmy

końcowej analizy, ale myślę, że mamy całkiem dobre wyobrażenie na temat tego, co roznieciło pożar i jak go zaplanowano.

– Kiedy mówisz „zaplanowano”, jesteś teraz pewien, że wzniecono go celowo?

– Jak najbardziej. Nie ma najmniejszych wątpliwości. Ten, kto spalił budynek, dokładnie wiedział, do czego zmierza. Powiedziałbym nawet, że sprawca mógł dopuścić się podobnej zbrodni już wcześniej. Matthew Whalen doszedł do takich samych wniosków. Przejrzy akta straży pożarnej i sprawdzi, czy uda mu się znaleźć jakieś przypadki podpalenia, w których scenariusz był podobny i użyto tego samego środka piroforycznego.

– Świetnie, Bill. Z niecierpliwością czekam na twój raport. A co z Niallem Gleesonem? Jak wygląda ta sprawa?

– Tu też mam wiadomości, które mogą nam pomóc. Pocisk przeszył głowę i uderzył o słupek drzwi samochodu, więc uległ niemal całkowitemu spłaszczeniu. Niemniej jednak obejrzelismy go pod mikroskopem i ma odrobinę śladów powystrzałowych, więc jeśli znajdzie się broń, z której go wystrzelono, można będzie zrobić porównanie. Ale to nie wszystko. Udało nam się znaleźć łuskę. Stoczyła się do najbliższej studzienki odpływowej. To łuska pełnopłaszczowego pocisku Magtech. Sprawdzamy również pocisk i fragmenty pocisku, od których zginęły ofiary na strychu studia. To też pociski dziewięćmimilimetrowe, lecz nie znaleźliśmy łusek.

– Czy na wszelki wypadek moglibyście porównać pocisk wystrzelony do Gleesona z tymi, które znaleźliśmy w tamtych dwóch ofiarach?

– Myśli pani, że może chodzić o jednego sprawcę?

– Na razie nic nie myślę, Bill. Ale tych troje ludzi zginęło od strzału w głowę jednego dnia w odległości niecałych dwóch kilometrów.

– Racja. Ale kiedy tak pani słucham, mam wrażenie, że w Northside robi się jak w tych starych filmach z Johnem Wayne’em.

– A było kiedyś inaczej?

## ROZDZIAŁ 12

Ledwie wróciła z kawą do swojego gabinetu, zadzwonił inspektor Mulliken.

– O co chodzi, Tom?

– Mamy tu w pokoju przesłuchań gościa, którego żonę uszcześliwił Niall Gleeson, kiedy on był w pracy. Jest kierowcą autobusu. Zachowuje się bardzo agresywnie i myślałem, że może zechciałabyś przyjść i sama go oceniła.

– No... jeśli naprawdę sądzisz, że powinnam...

– Wydaje mi się, że kobiece podejście mogłoby go trochę uspokoić – odparł Mulliken i Katie rozpoznała w jego głosie proszący ton. – Próbowałem złapać sierżant Ni Nuallán, zanim odstawiła się przed wyjściem do Templegate Tavern, ale już się zwinęła, a Padragain Scanlan wyszła w sprawie napadu na jubilera przy French Church Street.

– Nie jestem jedyną kobietą na komendzie, Tony. Co z Shelagh Brogan? Nie przepada za agresywnymi mężczyznami.

– Wiem, ale jak wypuszczę na faceta detektyw Brogan, pewnie się to skończy boksem na gołe pięści. Jak zejdiesz z nim pogadać, sama zobaczysz, o co mi chodzi.

Katie zerknęła na zegarek. Miała nadzieję, że pojedzie do szpitala i sprawdzi, czy poprawia się stan małej Adeen, ale pewnie mogła poświęcić dziesięć minut, by pomóc inspektorowi Mullikenowi z jego wojowniczym przestuchiwaniem. Przecież możliwe, że to on zastrzelił Nialla Gleesona, a nie Nowa IRA ani żadna z działających w Cork band przemytników papierosów, która chciała się upewnić, że interes Bobby’ego Quilty’ego należy do przeszłości.

Przełknęła cappuccino, chociaż było już letnie i pianka zamieniła się w paskudny biały kożuch. Zeszła do pokoju przesłuchań. Już w połowie drogi usłyszała krzyki mężczyzny i walenie pięścią w stół.



Kiedy otworzyła drzwi i weszła do środka, zastała tam inspektora Mullikena, który stał ze skrzyżowanymi na piersi rękami i zaciśniętymi ustami, podczas gdy detektyw Ó Doibhilin tkwił obok przy stoliku, zdenerwowany i jednocześnie rozbawiony. Po drugiej stronie pomieszczenia siedział rudowłosy mundurowy, czerwony na twarzy, ale wyglądało to raczej na świeżą opaleniznę po tygodniu na Gran Canarii niż na oznakę hamowanej wściekłości.

Naprzeciwno Ó Doibhilina siedział wysoki, otyły mężczyzna w brudnym dresie z JD Sports. Był łysy, miał wielkie, mięsiste uszy i twarz tak wykrzywioną wściekłością, że jego świńskie oczka niemal zniknęły, a na wydatnych ustach lśniła ślina. Wrzeszczał z silnym północnym akcentem i walił w stół pięścią, akcentując każde słowo.

– Kuźwa, jak myślicie, co bym miał do niego, gdybym wiedział? Nie powiem wam, jak długo żeśmy się kumplowali, ale kupę lat. A teraz mówicie, że walił mi żonę, kiedy ja byłem w robocie! Jaja se ze mnie robicie czy jak?

Gdy Katie się pojawiła, przestał wrzeszczeć i demolować stół. Otarł rękawem usta, spoczone czoło i głośno pociągnął nosem.

– Panie Dennehy, to jest nadkomisarz Maguire – przedstawił ją Mulliken. – Pani nadkomisarz, to pan Bernard Dennehy.

– Bernie, kuźwa – poprawił go ze złością mężczyzna. – Nie jestem pierdolony pies z baryłką brandy na szyi. I nie wiem, po co mnie tu ściągnęliście, nie zrobiłem nic złego poza tym, że mi teraz mówicie, że mój najlepszy kumpel Nick posuwał za moimi plecami Maggie. Więc, co wy mi, kuźwa, wmawiacie, że co? Że to ja go zastrzeliłem? Nie miałem nawet pojęcia, co oni tam kręcą! I skąd, kuźwa, miałem wziąć broń, nawet jakbym o nich wiedział?

Katie usiadła naprzeciwko Berniego Dennehy'ego i uśmiechnęła się do niego krzepiąco. Śmierdział papierosami, potem i jeszcze czymś słodkawym, czego nie potrafiła nazwać, chociaż domyślała się, że to rezultat cukrzycowego nietrzymania moczu.

– Nie jest pan aresztowany, Bernie, i o nic pana nie oskarżamy. Może pan w każdej chwili stąd wyjść, jeśli pan chce. Chodzi tylko o to, że potrzebujemy pana pomocy w śledztwie w sprawie śmierci

Nialla Gleesona i jestem przekonana, że panu tak samo jak nam zależy na tym, by się dowiedzieć, kto go zabił, jeśli rzeczywiście od dawna był pana przyjacielem.

– Nic nie wiem – rzucił. – Wiem tyle, że pojechałem do roboty i kiedy wróciłem, Maggie, że tak powiem, wyplakiwała sobie oczy i powiedziała mi, że znaleziono Nialla martwego. Do końca dnia, kuźwa, nie przestała wyplakiwać sobie oczu.

– I nie zdawał pan sobie sprawy, że Niall i Maggie romansują ze sobą, podczas gdy pan siedział za kółkiem?

– Właśnie to wam powiedziałem, nie? Tych dwoje widywało się wtedy, jak ona poszła ze mną do pubu, a to było, kuźwa, raz na wieczność.

– A nie był pan zaskoczony, że tak przeżywała jego śmierć?

– O co się pani rozchodzi?

– No, skoro widziała się z nim tylko raz czy dwa, kiedy zabrał ją pan do pubu, to czy nie zdziwiło pana, że tak się przejęła?

Bernie Dennehy wbił wzrok w Katie, najwyraźniej usiłując dojść, ku czemu zmierza. Oczy miał błyszczące, ale białka żółte, co wskazywało, że cierpi na żółtaczkę.

– Nie wiem – powiedział. – Zawsze była płaksiwa. Jak nam pies zdechł, tydzień chodziła na czarno na ten przykład.

– Więc mówi pan, że wcale pan nie podejrzewał, że Niall i Maggie mają romans?

– Kuźwa, nie powiedziałem dopiero co? Ile razy mam wam powtarzać? – Popatrzył na zegarek. – Zresztą i tak mam zaraz zmianę. Powiedziała pani, że nie jestem aresztowany ani nic z tych rzeczy.

– Dla kogo pan pracuje?

– Dla Bus Éireann, jak już musi pani wiedzieć.

– Więc od której ma pan zmianę?

– Od drugiej trzydzieści. I nie mogę być później, bo mnie wyleją.

– W porządku, nie będziemy pana dłużej zatrzymywać. Jaką ma pan dzisiaj trasę?

Znów wbił w nią spojrzenie tych świńskich oczek. Widziała w nich

jego myśli: O co tej babie biega, kuźwa? Co za różnica, kuźwa, jaką mam trasę?

– Dwieście czterdzieści pięć – powiedział podejrzliwie.

– Dwieście czterdzieści pięć? To do Fermoy, tak?

– Dobrze pani mówi. Od dworca autobusowego Cork do Duntahen Junction.

Katie skinieniem ręki dała znak Ó Doibhilinowi, żeby podał jej notatnik i długopis. Zastaniając ręką notatnik tak, że Bernie nie mógł zobaczyć, co pisze, wydała szybkie polecenie: *Zadzwoń na dworzec. Sprawdź.*

Detektyw zabrał notatnik i wyszedł z pomieszczenia.

– A ten gdzie? – spytał Bernie.

– Och, zwykłe sprawy – powiedziała Katie.

– No to mogę teraz iść? I jak mam się dostać do roboty?

Katie miała na końcu języka „autobusem”, ale uśmiechnęła się i powiedziała:

– Załatwimy panu podwózkę, Bernie, proszę się nie przejmować. Mam jeszcze tylko kilka pytań. Kiedy ostatni raz spotkał się pan z Niallem?

Bernie chwilę się zastanawiał.

– Wieczorem, kilka dni temu, w pubie – odparł w końcu.

– W którym pubie?

– Tam gdzie Niall zawsze chodzi. W Templegate Tavern.

– Czy sprawił na panu wrażenie, że coś go gryzie? Może powiedział, że ktoś mu grozi?

Tak zdecydowanie pokręcił głową, że obwisłe policzki zatrzęsyły się jak psie fafle.

– Narzekał na jakiegoś młodego głupka, że go wnerwia, to wszystko.

– Czy ten młody głupek miał jakieś imię?

– Nie pamiętam. Danny jakiś tam. Danny albo Dessy, albo Davy.

– Jeszcze jedna rzecz. Nigdy nie zorientował się pan, co Niall czuje do Maggie? Nigdy nie podejrzewał pan, że spotyka się z nią za pana plecami?

– Nie, nigdy. A nawet gdybym się dowiedział, to co? Flaki z niego bym wytrząsł, ale nic więcej. Nie zastrzeliłbym go, kuźwa. No to teraz mogę już iść? Łać mi się chce, od kiedy tu wszedłem.

– Za chwilę. Jeśliby pan mógł jeszcze trochę wytrzymać.

– Po co, kuźwa? Nic więcej dla was nie mam. Nie zastrzeliłem Nialla i koniec kropka.

– W porządku. Ale przecież gdyby go pan zastrzelił, powiedziała by pan to samo.

– O kuźwa, jaja sobie ze mnie robicie, no nie?

Drzwi się otworzyły i wrócił Ó Doibhilin. Spojrzał na inspektora Mullikena, uniósł brwi, usiadł obok Katie i podsunął jej notatnik, w którym napisała wcześniej polecenie. Na drugiej stronie kartki była informacja *Bus Éireann zwolnił BD rok temu. Nie podali przyczyn.*

Katie spojrzała na Bernieego.

– A jeśli ten autobus linii dwieście czterdzieści pięć odjechał o drugiej trzydzieści bez pana? – spytała.

– O czym pani mówi? Ja jestem jego kierowcą, kuźwa. Nie może ruszyć beze mnie.

– Wybacz, Bernie, ale nie jesteś jego kierowcą. Nawet już nie pracujesz dla Bus Éireann. Podejrzewam, że nie prowadzisz żadnego autobusu. Słuchaj, nie czepiam się ciebie, ale spójrz na siebie, chłopie. W takim stanie, Bernie, tak śmierdząc, nie możesz wozić autobusem ludzi, którzy za to płacą. Czemu mi nie powiesz, co się stało? Nikt ci nie urwie głowy, jeśli powiesz prawdę.

– Kuźwa, kto pani powiedział, że nie mam roboty? – spytał Bernie. Silił się na oburzenie, ale Katie słyszała, że usiłuje opanować słabość, która nagle zabrzmiała w jego głosie.

– Ci z Bus Éireann. Mówią, że od roku dla nich nie jeździsz. Daj spokój, Bernie, spójrz prawdzie w oczy. Nie ma znaczenia, czy mi powiesz, czy nie, jestem z dochodzeniówki i wcześniej czy później dowiem się wszystkiego.

Złapał się stołu, zaciskając powieki i palce z brudem za paznokciami. Katie nie wiedziała, co dokładnie ten człowiek przeżywa, ale czuła, że stół dygocze jak przed trzęsieniem ziemi.

Minęła chwila i Bernie nagle wydał głośny chrapliwy dźwięk, jakby się krztusił; otworzył oczy i trysnęły z nich strumienie łez.

Katie ujęła go za ręce. Za plecami usłyszała inspektora Mullikena, mrużącęgo:

– Matko Jezusowa!

– No, spokojnie, Bernie, będzie dobrze – powiedziała Katie. – Tylko wyrzuć to z siebie.

Bernie pociągnął nosem, prychnął, cofnął rękę i otarł rękawem oczy i nos.

– To przez to, co jest między mną i Maggie. Wie pani, waga trochę mi skoczyła. I czasem kanalizacja siada, nie wiem, czy jasno mówię. W tatę z mamą bawili się tylko od wielkiego dzwonu, a jak już, to tylko leżała i gapiała się w sufit, jakby się modliła do świętej Agnieszki, żebym jak najprędzej skończył.

Potrząsnął głową, jakby chciał się pozbyć tego wspomnienia.

– Powiedziała, że taki jestem, kuźwa, ciężki, że czuje się, jakby ją autobus przygniół, nie kierowca, ale autobus, kuźwa. No i kiedy wyjeżdżała z takimi tekstami, od razu mi miękło, gdzie nie trzeba, i koniec. Po kilku takich razach nawet już nie próbowałem.

Katie nie odzywała się, tylko nadal ścisnęła mu dłoń. Po jakimś czasie znów pociągnął nosem i powiedział:

– Zacząłem pić i od tego robiłem się jeszcze grubszy. – Zaczął szlochać tak rozpaczliwie, że trudno było go zrozumieć, i dla złapania tchu musiał robić przerwy między zdaniem. – A któregoś dnia wjechałem autobusem w samochód zaparkowany na MacCurtain Street i wywalili mnie z roboty.

– Więc jak zarabiałeś na życie, kiedy cię wylano? – spytała Katie.

– Dostawałem pieprzony zasiłek dla bezrobotnych. Nie powiedziałem Maggie, że mnie zwolnili, bo tylko by się ze mnie nabijała. Wychodziłem codziennie, jakbym szedł do roboty, ale cały dzień siedziałem w pubie, piłem, póki mogłem, albo na ławce w Peace Park, jak nie lało, albo jak wziąłem zasiłek, w klubie Macau przy automatach. Myślałem, że uda mi się wygrać drugie tyle. Ale na autobusie wyciągałem czterdzieści siedem tysięcy rocznie, a teraz

dostają tylko sto osiemdziesiąt osiem euro na tydzień. Byłem sflukany, mówię wam. Pod ścianą, kuźwa.

– Ale co z tym wszystkim ma wspólnego Niall?

Bernie Dennehy wbił wzrok w blat stołu. Odetchnął głęboko kilka razy i przeżegnał się wolną ręką. Kiedy znów się odezwał, głos miał opanowany, równy, prawie jakby czytał. Katie domyślała się, że przeciwiczył to w głowie nie raz i nie dwa – może nie przygotowując się do zeznań na policji, ale by przyznać się Maggie lub na spowiedzi. Wiedziała, że mimo ciskania się i agresywności jest w pełni świadomy okropności tego, co zrobił.

– Jakież szczęście, siedem miesięcy temu któregoś wieczoru gadałem z Niallem w pubie. Wiedział, że dostają głównie nie pieniądze. Ale miałem na oku pewien interes i powiedziałem mu o tym, o kłopotach z Maggie też... no o kłopotach z kanalizacją. Znał Maggie lepiej, niż wam powiedziałem, bo byli ze sobą jakiś czas, zanim żeśmy się spiknęli. Nigdy serio ze sobą nie kręcili, ale wiedziałem, że czuje do niej miętę.

– Mów dalej.

Nadal patrzył w blat stołu.

– Spytałem go, czy gdyby miał taką szansę, byłby zainteresowany uszczęśliwiać Maggie... rozumiecie, o co mi się rozchodzi? W łóżku. Powiedział, że byłby zachwycony. Wciąż tak go kręciła, że wyjadałby jej chipsy z majtek.

– Uznałeś, że gdyby była erotycznie zaspokojona, lepiej byście się dogadywali?

– No, tak, pewnie przestalibyśmy się ciągle żreć – wymamrotał Bernie, nadal nie podnosząc głowy.

– Ale to nie był główny powód, że go spytałeś, mam rację?

– Tak... Nie... Tak. Główny powód był taki, że chodziło mi o kasę. Powiedziałem mu, że dopóki będzie mi płacił dwieście euro tygodniowo, pozwolę, żeby spędzali mile razem czas, kiedy tylko mu się spodoba, a ja będę udawał, że nie wiem o niczym, co się dzieje.

– Niech dobrze zrozumiem. Niall Gleeson zgodził się płacić ci dwieście euro tygodniowo, żeby móc uprawiać seks z twoją Maggie

tak często, jak zechce?

– Tak szczerze między nami, to myślałem, że gdybym go nacisnął, zapłaciłby więcej. Nigdy nie chciałem wiedzieć, w czym siedzi, i nigdy go o to nie pytałem, ale zawsze miał kasiory od groma. A dwieście tygodniowo to prawdziwa okazja, jak się porówna z tymi salonami masażu przy John Street, gdzie krzyczą sto dwadzieścia euro za zrobienie loda.

– Stręczyłeś własną żonę przyjacielowi, żeby mieć na dom? – wtrącił się inspektor Mulliken. – A ona nieświadomie prostytutkiowała się, żeby mieć na jedzenie i ciuchy i wszystko inne, na co nie było cię dla niej stać?

Bernie nagle poderwał głowę.

– Sama opłata za pieprzoną kablówkę to sto sześćdziesiąt euro, kuźwa! To zeżarłoby prawie cały mój tygodniowy zasiłek! A Maggie była przeszcześnieśliwa, możecie być pewni. Kiedy tylko Niall zaczął do nas kukać, miała uśmiech i śpiew na ustach i nawet robiła moje ulubione flaczki i kaszanekę.

– A Niall? – spytała Katie.

– Niall? A jak się pani wydaje? Był szczęśliwy jak pies, który dostał dwie kości.

– A ty? Co naprawdę czułeś, kiedy inny mężczyzna regularnie uprawiał seks z twoją żoną?

– Jaki miałem wybór? Sam nie mogłem jej zadowolić, ale nie chciałem jej stracić. Kocham ją.

Katie chwilę przyglądała mu się bez słowa, próbując odczytać, co ma w oczach, co znaczą jego tiki. Jego wyznanie było niezwykle dramatyczne, ale miała silne przeczucie, że nie opowiedział wszystkiego.

– Jak myślisz, co Maggie by zrobiła, gdyby dowiedziała się, że Niall płaci ci za to, że ma ją w łóżku?

– Nie dowiedziała się.

– Jesteś tego pewien? Po tym, co mi dziś powiedziałeś, ją też zamierzam przesłuchać.

– Jezusie, chyba jej pani nie powie! Myślałem, kuźwa, że mówię to

pani w zaufaniu! Ożeż w mordę! To by znaczyło, że nasze małżeństwo pójdzie na dobre w pizdu!

– Bernie, gdyby ona się dowiedziała, to byłby mocny motyw, żeby ukarać Nialla albo postarać się, żeby ktoś inny go ukarał. Sam to przyznasz. Możliwe, że zamierzała ukarać również ciebie, więc na twoim miejscu w domu miałabym oczy dookoła głowy i liczyła noże w kuchni.

– Och, daj pani spokój! Chyba nie mówi pani, że to Maggie mogłaby zastrzelić Nialla? Maggie komara by nie utłukła, nawet jakby ją uzał. I nigdy nie podniosła na mnie ręki, mogę to przysiąc.

– Mówię tylko, że będę musiała to sprawdzić. Chyba że chcesz mi wyznaczyć, że tak naprawdę ty go zastrzeliłeś.

Bernie Dennehy długo siedział bez słowa. W końcu Katie wstała.

– Na razie to wszystko, Bernie – powiedziała. – Jak mówiłam, nie jesteś aresztowany i możesz iść. Ale będę chciała znów cię przesłuchać, kiedy dokonamy postępu w sprawie. Na jakimś etapie wezwiemy też na przesłuchanie twoją żonę. Tymczasem muszę cię ostrzec, żebyś nie opuszczał Cork i nie rozmawiał z nikim o tym, co tu poruszaliśmy, nawet z żoną. Zwłaszcza z żoną.

Nie odpowiedział; popatrzył na ścienny zegar, który wskazywał 2:31. Katie odwróciła się i też na niego zerknęła. Zadawała sobie w duchu pytanie, czy Bernie rozmyśla, że właśnie teraz autobus linii 245 wyjeżdża z Parnell Place i kieruje się do Fermoy, ale on, Bernie, nie siedzi za jego kierownicą od ponad roku i nigdy więcej za nią nie usiądzie.



## ROZDZIAŁ 13

Szybkim krokiem wracała do siebie, żeby zabrać kurtkę i torebkę.

– Katie! – zawołał komendant MacCostagáin z otwartych drzwi swojego gabinetu. – Właśnie dzwonił do mnie Frank Magorian! Będzie za piętnaście czwarta.

Zatrzymała się i zawróciła.

– To świetnie. Tylko jadę do szpitala zajrzeć do tej małej, którą odratowano z pożaru. No i umieram z głodu. Pewnie w drodze powrotnej wpadnę do Lennox na rybę z frytkami. Wziąć panu na wynos?

– Święty Panie, chętnie bym zjadł, nie byłem u Lennox, od kiedy Bóg był chłopcem, ale dziś mam kolację w loży masońskiej przy Tucker Street.

– Cieszę się, że to na pana padło, nie na mnie. Do zobaczenia.

– No, chwila moment, Katie... Nie powiedziałem, że nie zjadłbym paru frytek... no wiesz, tylko żeby zabić największy głód.

– Nie ma sprawy, panie komendancie. Z solą i octem? Czy bez niczego?

\* \* \*

Nadal padało, gdy jechała do szpitala, ale niezbyt mocno; ulicą sunęły welony mżawki, przybierając postaci duchów ludzi, którzy zginęli w tym miejscu pod kołami. Zwykle w samochodzie słuchała muzyki, dzięki czemu mogła się oderwać myślami od pracy, i niedawno kupiła nową płytę Lisy Hannigan, bo była taka delikatna i romantyczna. Ale tego popołudnia potrzebowała ciszy, by pomyśleć o Berniem Dennehy i o tym, jak sprzedawał własną żonę. Co pcha małżeństwa na dno i dlaczego ludzie zawsze wybierają najgorsze sposoby ratunku?

Rozmyślała o własnym małżeństwie z Paulem i zadawała sobie

pytanie, na ile jej determinacja, by podążać ścieżką kariery w Garda Síochána, zniszczyła jej małżeństwo i w końcu zabiła Paula. Z Johnem przeszła tę samą drogę. Na początku naprawdę go uwielbiała, ale związek z nią go zniszczył.

Pod koniec życia, kiedy John cierpiał po utracie nóg, odwróciła się od niego. Nie mogła znieść jego udręki i kalectwa. Lecz kiedy zginął, rosnęło w niej poczucie winy i w końcu stało się trudne do zniesienia. Nie kochała Johna od dawna, ale wciąż zadawała sobie pytanie, czy nie powinna udawać, że go kocha. Tylko czy wtedy nie cierpiałaby jeszcze bardziej?

Czasem przychodziło jej do głowy, że mottem Garda Síochána zamiast: „Jak najlepiej chronić ludzi, dbać o społeczeństwo i bezpieczeństwo państwa” powinno być: „Uwolnić społeczeństwo od prawdy – jest zbyt okrutna”.

Zaparkowała i w mżącym kapuśniaczkę poszła do szpitala. Mundurowy, który siedział przed pokojem Adeen, na widok Katie wstał, odłożył gazetę i spytał:

– Tak, pani nadkomisarz?

– Cisza i spokój? – zapytała.

– Tak. Właśnie był u niej ten doktor i przyniesiono kwiaty.

– Poza tym nic?

– Jakiś facet z godzinę temu. Pytał, czy tu leży dziewczynka, którą wyratowano z pożaru.

– Co mu pan powiedział?

– Że postawiono mnie tylko na straży i nie mam pojęcia. Miał ze sobą papiery, ale ani identyfikatora, ani tego... no, słuchawek, więc nie miałem pewności, czy to lekarz, czy ktoś inny z personelu szpitala. Równie dobrze mógł być reporterem, więc nic mu nie powiedziałem.

– Mówił coś jeszcze?

– Tylko „No dobra, nie ma sprawy” i sobie poszedł.

– Może go pan opisać?

Mundurowy zmarszczył czoło.

– Miał okulary w takich grubych oprawkach, tweedowy kapelusz,

wie pani? Dość wysoki, może trzydzieści pięć lat. Ciemnobrązowy garnitur. Powiedziałbym, że akcent miał jakby z Irlandii Północnej. Nie za mocny, ale chyba był z Belfastu albo Ballymeny. Moja babcia ze strony mamy pochodzi z Newtownabbey, więc z miejsca to wychwytyję.

– Dzięki – rzuciła z uśmiechem Katie. – Nie ma to jak funkcjonariusz Gardy z dobrym uchem.

Weszła do pokoju Adeen. Żaluzje nadal były opuszczone i paliło się światło, chociaż na dworze było tak ponuro, że oświetlenie byłoby konieczne i przy odsłoniętych oknach. W kącie siedziała pielęgniarka, Chinka z Tajwanu. Wypełniała formularze, ale na widok Katie je odłożyła.

Adeen siedziała na łóżku. Już nie miała maski tlenowej i uczesano ją tak jak księżniczkę Leię. Była woskowo blada, lewą gałkę oczną nadal miała nabiegłą krwią, ale grała w jakąś grę na tablecie i wydawała się o wiele mniej osowiała niż wtedy, gdy Katie widziała ją po raz pierwszy. Na stoliku przy łóżku były ciasteczka, opróżniona do połowy szklanka herbaty z mlekiem i dwie pocztówki z życzeniami powrotu do zdrowia – jedna od straży pożarnej Cork, a druga od wielebnego Briana O'Rourke'a, proboszcza kościoła Świętej Anny w Shandon, bo studio tańca znajdowało się w jego parafii.

Katie przysunęła krzesło i usiadła blisko łóżka.

– Cześć, Adeen. Pamiętasz mnie z wczoraj? Jestem Katie. Wpadłam tylko zobaczyć, w jakiej jesteś formie.

Dziewczynka zerknęła na nią, ale zaraz potem wróciła do gry.

– Wygląda na to, że czujesz się o wiele lepiej – powiedziała Katie. – Co to za gra?

Adeen nie odpowiedziała, ale wykręciła tablet. Katie zobaczyła na ekranie trzy bębny i kilka komiksowych wersji tańczącego Justina Bibera. Adeen wściekle tłukła pałeczkami w bębny i od czasu do czasu jeden z Justinów Biberów zamieniał się w bobra.

Katie chwilę się temu przyglądała, ale w końcu pokręciła głową.

– Wybacz, muszę przyznać, że zupełnie nie łąpię, o co w tym chodzi, ale wygląda na to, że wygrywasz.

Siedziała jeszcze chwilę, nie odzywając się. Nie chciała, by Adeen czuła się pod presją, mimo to położyła na łóżku rękę i zagadnęła dziewczynkę:

– Wiesz co, skarbie, bardzo by nam pomogło, gdybyś powiedziała, jak się naprawdę nazywasz i gdzie mieszkasz. Nikt się po ciebie nie zgłosił i biorąc pod uwagę, ile masz lat, to niezwykle. Wystaliśmy ogłoszenie do gazet i telewizji, ale nie zadzwoniła nawet żadna szkolna koleżanka, by powiedzieć, że cię rozpoznaje.

Czekała na reakcję, lecz Adeen nadal waliła w bębny i od czasu do czasu trafiała Justina Bibera.

– Przynajmniej jak masz na imię? – zachęcała ją Katie.

Adeen zasznurowała usta, bębniła i nie odpowiadała.

Katie wstała i podeszła do pielęgniarki.

– Jak ona się ma pod względem fizycznym? – spytała.

– Biorąc pod uwagę to, co przeszła, znakomicie dochodzi do siebie. Dziś przed południem znów miała badane płuca i okazało się, że dym nie wyrządził poważnych szkód. Ma też dobre wyniki krwi. Na pośladkach i dole pleców są oparzenia drugiego stopnia, ale jakąś godzinę temu zmieniałam opatrunki i rany goją się nadspodziewanie szybko. Żadnego śladu infekcji ani innych powikłań. – Przerwała i skinęła ręką w stronę Adeen. – Gdybyśmy wiedzieli, gdzie mieszka, moglibyśmy ją wypuścić jutro albo pojutrze. Nadal czekamy na wiadomość z opieki społecznej, czy znajdą kogoś, kto ją weźmie.

Katie rozejrzała się po pokoju.

– Funkcjonariusz na korytarzu powiedział, że dostarczono jej kwiaty, ale żadnych nie widzę.

– Tak. To był wielki bukiet różowych róż z życzeniami powrotu do zdrowia. Ale kiedy Adeen zobaczyła te życzenia, strasznie się zdenerwowała. Nic nie mówiła, tylko machała rękami i krzyczała, aż zabraliśmy kwiaty.

– Gdzie są teraz? – spytała Katie.

– Nie sądzę, żeby wyrzucono je do kosza. Może zaniecono je na dół, do informacji. Trzeba zapytać pielęgniarkę dyżurną.

Katie wróciła do łóżka i stanęła przy nim. Adeen zerknęła na nią,

lecz natychmiast wróciła do gry. Na nadgarstku wciąż miała zieloną bransoletkę z pozłacaną złotą zapinką. Katie zapisała w pamięci, by spytać Kynę, czy udało jej się ustalić pochodzenie tego drobiazgu.

– Muszę zejść na dół, kochanie – powiedziała. – Ale jeślibyś chciała się ze mną zobaczyć, zawsze możesz poprosić którąś z pielęgniarek. I, proszę, pomyśl o tym, żeby mi powiedzieć, jak się nazywasz i gdzie mieszkasz. Zależy mi tylko na tym, żeby ci było dobrze i żeby nigdy więcej nie spotkały cię żadne przykrości... jak tamten pożar.

Adeen na moment przestała stukać w tablet i popatrzyła na Katie smutnymi oczami – jednym przejrzystym i jednym nabiegłym krwią. Otworzyła usta, jakby miała coś powiedzieć, ale znów je zamknęła i wróciła do bębnow i tańczących Justinów Biberów, chociaż nie grała. Tylko siedziała, jakby uważała, że nie warto nic mówić, nie warto nic robić, jakby straciła wszelką nadzieję.

Katie już zbierała się do odejścia, kiedy Adeen nagle usiadła prosto i sięgnęła do stolika po szklankę z herbatą. Gdy jednak wyciągnęła rękę, wydała piskliwy krzyk, ręka zadygotała konwulsyjnie i szklanka spadła na podłogę.

– Ach, parzy! – wydyszała po irlandzku dziewczynka. Opadła na poduszkę, zacisnęła mocno powieki i zagryzła zęby tak, że zazgrzytały.

Katie odsunęła krzesło i zaczęła zbierać odłamki szkła. Pielęgniarka tymczasem obeszła szybko łóżko i oderwała kawałek papierowego ręcznika.

Adeen rozszlochała się; wydawała dźwięki ciche jak zrozpaczony kociak.

– Nie przejmuj się, kochanie, zrobiłaś to niechcący – próbowała ją uspokoić Katie, kładąc dłoń na jej ramieniu. – Jestem większą niezdarą od ciebie, zawsze strącam filiżanki z kawą i zalewam pokój. Na pewno przyniosą ci drugą szklankę herbaty.

– Oczywiście – potwierdziła pielęgniarka, na klęczkach wycierając ręcznikiem wykładzinę. – Jeśli czegoś tu nigdy nie zabraknie, to mleka. Ten szpital ciągnie na dwóch rzeczach – krwi i mleku, ale na mleku przede wszystkim.

Katie czekała, aż Adeen przestanie płakać. Wyjęła chusteczkę higieniczną, otarła małej łzy i obiecała:

– Jutro znowu do ciebie zajrzę. Nie bądź smutna. Teraz wszystko będzie dobrze, obiecuję.

Dziewczynka wyduła usta i wyraźnie było widać, że hamuje szloch. Ale skinęła głową, by Katie wiedziała, że rozumiała.

– Trzymaj się – pożegnała ją Katie i opuściła pokój.

\* \* \*

Zanim Katie zjechała na dół, poszła do pielęgniarki dyżurnej, która siedziała za ladą recepcji, rozmawiając z lekarzem rezydentem.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale czy przypadkiem nie wie siostra, co się stało z różami, które dziś po południu zabrano z pokoju Adeen? – spytała.

Pielęgniarka miała myszkę na podbródku i mocno wygięte łuki brwi. Katie takie brwi zawsze kojarzyły się z wronami, które krążą nad polami, wypatrując królików.

– Och, tak, róże – powiedziała. – Zabrała je kierowniczka personelu sprzątającego. Pewnie znalazła dla nich jakieś miejsce. Prawdopodobnie w kaplicy. To na pierwszym piętrze, obok stołówki personelu.

– Dołączono do nich jakąś karteczkę. Ją też zabrała?

– Nie. Jest tutaj.

Sięgnęła do kosza na śmieci obok swojego stanowiska, ale Katie natychmiast zareagowała.

– Nie, proszę nie dotykać!

Z kieszeni żakietu wyciągnęła czarne rękawiczki technika kryminalistyki, nałożyła jedną na rękę, po czym wyjęła plastikową torebkę na materiał dowodowy. Podczas gdy pielęgniarka przyglądała jej się zdumiona, ostrożnie wyjęła z kosza kartkę i podniosła. Był na niej rysunek smutnie patrzącego szczeniaka z obandażowanym łebkiem, leżącego na łóżku, i podpis: *Szybko zdrowiej, mały!*

W środku dopisano pochyłymi literami: *Do zobaczenia wkrótce C.*

#### *D. Ale Zippo. Pamiętaj T.*

Katie uważnie przyjrzała się kartce, odwracając ją i sprawdzając, czy na odwrocie nie ma śladów. Papier był błyszczący, wiedziała jednak, że Phinner ostatnio zaczął używać nowego płynnego środka wynalezionego w Australii, który ujawniał odciski palców na nieporowatych powierzchniach.

Tekst był niejasny, lecz Katie przypuszczała, że prawdziwe imię Adeen zaczyna się na C, a osoba, która przysłała kwiaty, miała imię na D. Ale co znaczyło *Zippo*? Była to marka producenta zapalniczek, więc może miało to jakiś związek z tym, jak wybuchł pożar. I kim był T., o którym Adeen miała pamiętać?

– W porządku, świetnie, dziękuję, siostró – powiedziała Katie, wsunęła kartkę do torebki i zakleiła ją. – Może nasi technicy będą musieli przyjść po pani odciski palców, jeśli pojawią się problemy z ustaleniem, kto dotykał tej kartki, ale to nie kłopot, prawda?

– Gdybym wiedziała, że nie mam jej dotykać, to przysięgam na Boga, że trzymałabym się na odległość. – Łuki brwi pielęgniarki jeszcze bardziej się wygięły.

– Proszę się nie przejmować – uspokoiła ją Katie. – Nawet jeżeli znajdą pani odciski, nie wydaje mi się, żeby groziło pani aresztowanie za zaciemnianie materiału dowodowego. Teraz lepiej poszukam tych róż.

Po zabranii kwiatów ze szpitalnej kaplicy Katie poszła do pomieszczenia nadzoru monitoringu szpitala. Dyżurny ochroniarz siedział przed sześcioma ekranami, z nabożeństwem trzymając w rękach kubek z herbatą, jakby to był Święty Graal. Znała tego mężczyznę – niskiego, budowy buldoga, o krótko ostrzyżonych siwych włosach i niemal żołnierskiej sprawności.

– Jak leci, Jerry? – spytała. – Mam nadzieję, że nie przeszkadzam, ale muszę obejrzeć nagrania z wind pierwszego piętra mniej więcej sprzed półtorej godziny.

– Nie ma sprawy, pani nadkomisarz – odparł i odstawił herbatę, by przejrzeć nagrania.

Pielęgniarki, lekarze i personel pomocniczy wylewali się z wind i

wlewali do nich, aż pojawił się gość Adeen trzymający bukiet róż.

– Zatrzymaj – poprosiła.

Pochyliła się i uważnie przyjrzała ekranowi. Mundurowy pilnujący drzwi miał rację; był wysoki, w ciemnobrązowym garniturze, ale twarz całkowicie zasłaniały okulary w grubych oprawkach i zsunięty nisko na czoło kapelusz.

– Jakbyś mógł zrobić zrzut ekranu i przysłać mi go na Anglesea Street – poprosiła Katie.

Jerry spojrział uważnie na obraz.

– Równie dobrze mógłby sobie włożyć na łeb sklepową reklamówkę, jak któryś z tych telewizyjnych komików z *Rubberbandits* – powiedział. – Własna matka by go nie poznała, nie?

\* \* \*

Wracając na Anglesea Street, Katie zatrzymała się pod barem Jackiego Lennox przy Bandon Road, mimo że po odwiedzinach u Adeen nie miała ochoty na lunch. Weszła jednak do środka i kupiła MacCostagáinowi dużą porcję frytek. Zanim włożyła ją do bagażnika, zjadła kilka, dmuchając, żeby się nie oparzyć.

Podczas drogi na komendę jej iPhone zadzwieczał kilka razy, więc gdy tylko dotarła na miejsce, odłożyła róże i pudełko z frytkami, by sprawdzić SMS-y. Pierwsza wiadomość była od Phinnera. Prosił, by najszybciej, jak się da, wpadła do laboratorium. Kyna zgłaszała, że jest gotowa jechać do Templegate Tavern przy Gurranabraher Road. Dołączyła selfie, na którym pozowała przed sypialnianym lustrem, ubrana w dżinsową kurtkę z nitami i sztucznymi kamykami, bardzo krótką czerwoną spódniczkę i czerwone sandały na platformach. Blond włosy nażelowwała i postawiła, a usta pociągnęła szkarłatną szminką pod kolor spódniczki.

*Tania dziwka!* – odpisała Katie, nie mogąc powstrzymać się od uśmiechu. Kyna wyglądałaby seksy w worku na kartofle. Miała figurę modelki, małe, wysoko osadzone piersi i nogi do szyi. Zawsze stawiała długie kroki, z taką pewnością siebie, jakby demonstrowała na wybiegu nową kolekcję.



Do gabinetu weszła Moirin.

– Miała pani telefon od Corinne Daley z opieki społecznej – powiedziała. – Zostawiła numer. Mówi, że znalazła miłe małżeństwo, które może zabrać tę dziewczynkę, która ocalała z pożaru w Toirneach Damhsa, kiedy miała zostanie wypisana ze szpitala.

– Kamień z serca. Mogłabyś zrobić mi przysługę i zabrać te róże razem z karteczką na dół do kryminalistyków? Trzeba sprawdzić odciski na kartce, na celofanie przy różach i może jeszcze warto sprawdzić same kwiaty, czy nie ma na nich czyjegós DNA; może ktoś się ukłuł w palec. Zjrzę do komendanta, zanim frytki całkiem wystygną. Proszę, poczęstuj się – dodała, otwierając białe polistyrenowe pudełko. Sama wzięła dwie. – Nie chcemy, żeby się spisał jak prosię, prawda? Weź jeszcze.

Kiedy weszła z frytkami do gabinetu MacCostagáina, okazało się, że Frank Magorian już tam jest. Siedział pod oknem i na widok wchodzącej Katie wstał, uśmiechając się. Postawiła frytki na biurku szefa, przesuwając raport na temat handlu narkotykami, by zrobić miejsce.

– Świeżo od Lennox, panie komendancie – zameldowała. – Powinien pan zjeść, póki ciepłe.

MacCostagáin spojrział na nią niespokojnie, jakby chciał powiedzieć, że nie będzie się opychał, kiedy omawia z nowym zastępcą komendant głównę strategię egzekwowania prawa. Katie znów zaczęło ssać w dołku i pożałowała, że nie zjadła wszystkich frytek.

Frank Magorian podszedł i uściśnił dłoń Katie. Chociaż był wysoki – miał ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu – zawsze uważała, że głowę ma nieproporcjonalnie wielką, przez co wyglądał jak posąg. Poznała go, kiedy był komendantem Garda College, ale rano sprawdziła w internecie szczegóły jego kariery zawodowej z ostatniego okresu. Miał pięćdziesiąt dwa lata, ale sprawiał wrażenie młodszego. Uważała go za przystojnego w stylu George’a Clooneya, co oznaczało, że wydawał jej się zbyt ulizany. Twarz miał pociągłą, z wydatną szczęką i prostym nosem; czarne, przetykane siwizną włosy

zaczesał do tyłu. Oczy były głęboko osadzone, ale błyszczące i inteligentne. Wiedziała, że może się poszczycić imponującą listą dyplomów zarówno z kryminalistyki, jak i zarządzania, w tym z prowadzonego przez FBI międzynarodowego szkolenia z zarządzania siłami policyjnymi.

Jeśli ktoś kwalifikował się na zastępcę komendanta głównej Gardy Nóirín O'Sullivan, to Frank Magorian.

– Co słysząc, pani nadkomisarz? – spytał. – Dawno się nie widzieliśmy?

– Proszę mi mówić Katie, panie komendancie. Siedemnastego października, akurat na świętego Jana Karła, minie dziesięć lat, odkąd widzieliśmy się ostatni raz.

– Świętego Jana Karła? A cóż to za jeden?

– To święty znany z posłuszeństwa – odparła. – Kazano mu podlewać codziennie drewnianą szczapę i trzy lata robił to bez szemrania, mimo że musiał chodzić po wodę dwadzieścia kilometrów. Po trzech latach z kawałka drewna wyrosło drzewo i stoi do dzisiaj. Zawsze opowiadam tę historię moim podwładnym, gdy się dziwią, dlaczego każę im powtarzać w kółko te same czynności.

– Nigdy nie przestaniesz mnie zaskakiwać, Katie. – Magorian pokręcił głową. – Powiem ci coś z własnej i nieprzymuszonej woli, Denis. Ta młoda dama była gwiazdą Templemore, kiedy odbywała tam szkolenie. Najwyższe oceny ze wszystkiego i nigdy nie dało się jej na niczym zagiąć. Kiedy dochodziło do dyskusji na tematy prawne, mówiło się „Maguire głos zabiera, wszystkich bierze cholera!”.

Katie poczuła, że zalewa się rumieńcem. Matko święta, niesamowity facet, że to pamięta, pomyślała.

– Proszę, siadaj – zaprosił ją Magorian. – Właśnie pytałem Denisa o ten pożar w studiu tańca i postępy w śledztwie.

Usiedli we trójkę pod oknem. Deszcz nadal padał i blade krople spływały po odbiciach ich twarzy w szybie, gdy rozmawiali.

– Jutro po południu mam konferencję prasową – zaczęła Katie. –

Znamy nazwiska wszystkich ofiar. Niektóre ciała były bardzo zwęglone, ale zidentyfikowaliśmy je po uzębieniu, rzeczach osobistych i w niektórych przypadkach po fragmentach ciał, które zachowały się, bo inne ofiary osłoniły je przed ogniem. Doktor Kelley nie skończyła ustalać przyczyn zgonów, ale wszyscy mają ostry obrzęk krtani, więc możemy z dużym prawdopodobieństwem założyć, że umarli od wdychania przegrzanego powietrza. Dwóch ciał, które znaleźliśmy na strychu, nie dało się rozpoznać na podstawie rysów twarzy, były do tego stopnia zwęglone. Tych dwoje zginęło od strzałów w głowę. Doktor Kelley powiedziała, że ich płuca nie uległy tak poważnemu zniszczeniu jak u pozostałych ofiar, zatem możemy założyć, że przestali oddychać, zanim spłonęli.

Frank Magorian skinął głową.

– Problem w tym, Katie, że ta sprawa nie schodzi z nagłówek gazet – powiedział. – W dzisiejszym „Timesie” był artykuł, którego autor pyta, jak to możliwe, że osiemnaście osób straciło życie niemal na oczach całego miasta, w środku dnia, a Garda do tej pory nie ma bladego pojęcia, jak mogło do tego dojść. Więc... czy wiemy już, kto mógł to zrobić?

Nie mówił karcącym tonem, Katie rozumiała jednak, że skoro jutro będzie ostro maglowany przez media, musi wiedzieć, co udało im się odkryć w toku dotychczasowego śledztwa.

– Mamy kilka tropów, które sprawdzamy – odparła. – Step irlandzki to diabelnie konkurencyjna dziedzina. Jak zapewne pan wie, w przyszłym tygodniu w Cork ma się odbyć wielki konkurs tańca. Musimy brać pod uwagę, że to któryś z rywali odpowiada za wzniesienie pożaru. Z drugiej strony, nadal próbujemy ustalić, dlaczego przed wybuchem pożaru zastrzelono parę tancerzy i co uratowana dziewczynka robiła na strychu.

Katie wytłumaczyła, że właśnie wróciła od Adeen, ale do tej pory nie udało jej się ustalić, jak mała się nazywa. Opowiedziała, że Danny Coffey oskarżył o podpalenie byłego współnika, Stevena Joyce’a, i wyjaśniła, że próbuje poznać więcej faktów, zanim wezwie Joyce’a na przesłuchanie.

– Kiedy przestuchiwałam Coffeya, przyszedł mi do głowy jeden motyw – dodała. – Wyraźnie wyczułam, że między nim a instruktorem tańca Toirneach Damhsa, Nicholasem O’Gradym, mogło coś być.

– W jakim sensie? Chodzi ci o związek homoseksualny?

– Nie jestem pewna. Może po prostu był zwyczajnie poruszony i zdenerwowany, wie pan, o co mi chodzi, ale wydawało mi się to dziwne. Wiemy na pewno, że Nicholas O’Grady był gejem. Pozostawał w związku małżeńskim z młodym muzykiem, Tadhgem Brennanem, więc jeśli między nim i Dannym Coffeyem coś było, to...

Przerwała i zwróciła się do MacCostagáina:

– Nie wiem, jak to nazwać, kiedy gej pozostający w związku małżeńskim ma romans. Czy to też cudzołóstwo?

– Nazywaj to, jak chcesz, Katie – powiedział komendant. – Ale do związków homoseksualnych stosuje się te same prawa co do heteroseksualnych. Jeśli chcesz rozwodu, musisz żyć w separacji co najmniej przez cztery lata i nie może być nadziei na jakiegokolwiek porozumienie, niezależnie od tego, z kim się uprawiało seks: z mężczyzną, kobietą czy osłem.

– W każdym razie informuj mnie o postępach śledztwa, Katie – poprosił Magorian, zerkając na zegarek. – Denis i ja mamy jeszcze trochę do pogadania w sprawach budżetowych i o zamykaniu posterunków Gardy, a później muszę wracać do Dublina. Jutro rano komendant główna poda do wiadomości publicznej moją nominację, a po tym oczywiście czekają mnie wywiady dla radia i telewizji. Ale mam nadzieję, że wrócę w porę na twoją konferencję.

Katie wstała i uśmiechnęła się.

– Wspaniale znów pana widzieć, panie komendancie. Mam nadzieję, że Region Południowy czeka nowa era.

– Przed odjazdem wpadnę się pożegnać – zapowiedział Frank.

Kusiło ją, żeby zabrać z biurka pudełko z frytkami, ale się powstrzymała. Zresztą i tak pewnie całkiem wystygły.

## ROZDZIAŁ 14

Zeszła do laboratorium i zastała Billa Phinnera wychylonego przez okno małego gabinetu i wydmuchującego w deszcz opary e-papierosa.

– Przykro mi to mówić, Bill, ale ostatnio za każdym razem, jak cię spotykam, dymisz jak lokomotywa.

Zaciągnął się po raz ostatni i zamknął okno. Katie poczuła zapach wanilii.

– To stres, przyznaję bez bicia. Mamy na głowie pożar, zastrzelenie Nialla Gleesona i zatrucie wód gruntowych w Watergrasshill i nie wiemy, w co ręce włożyć. Dwóch techników poszło na chorobowe, jeden na urlop. Myślę, że są tacy, którzy zapominają, że w naszych kombinezonach siedzą żywi ludzie i że od tego, z czym mamy do czynienia, można się porzygać.

– Współczuję, Bill. Przez ten pożar wszyscy działamy pod presją. Jest tylu podejrzanych, że nie wiadomo, od czego zacząć, i na razie zmierzamy donikąd, nawet nie kręcimy się w kółko. Brakuje nam najważniejszego: prawdziwego motywu.

– Może nie było motywu. Większość podpalaczy podkłada ogień tylko dlatego, że to ich kręci.

– Biorę to pod uwagę. Ale skoro dwie ofiary zastrzelono, nie wydaje mi się, żeby zrobiono to tylko dla samej chorej frajdy. Możliwe, że ktoś żywił urazę do kogoś z Toirneach Damhsa, a może ktoś nie chciał, żeby osiągnęli dobry wynik na konkursie w przyszłym tygodniu.

– Z drugiej strony, to może w ogóle nie mieć żadnego związku z tańczeniem.

– Masz rację. Niewykluczone, że Danny Coffey miał problemy finansowe i sam spalił studio, żeby zgarnąć odszkodowanie. Przecież wyłudzenie odszkodowań to najbardziej dochodowy biznes w Cork,

zaraz po narkotykach i stręczycielstwie.

Katie zachowywała powagę, ale Bill Phinner nie potrafił się nie uśmiechnąć.

– Coś pani powiem, pani nadkomisarz. Pani to zawsze potrafi mi poprawić humor, serio mówię. Przejdźmy do laboratorium, pokażę pani, co ustaliliśmy w sprawie źródła pożaru.

Katie poszła za nim. Eithne O'Neill siedziała przed komputerem, tworząc trójwymiarowe wizerunki ofiar pożaru, które najbardziej ucierpiały. Modelowała twarze, by krewni nie musieli oglądać czarnych zwęglonych czaszek szczerzących zęby.

Był tam też Partlan Murphy, ekspert od daktyloskopii i jeden z najstarszych stażem techników Phinnera, siwy, szczupły, kulący ramiona jak bocian. Przed nim leżały na stole, czekając na zbadanie, opakowane w celofan róże, które Katie przyniosła ze szpitala. Murphy oglądał przez mikroskop tył dołączonej do kwiatów kartki.

– Jak idzie, Part? – spytał Phinner, kładąc mu rękę na ramieniu.

– Lepiej, niż się spodziewałem – odparł Partlan, podnosząc głowę znad mikroskopu. – Więcej, świetnie. Zastosowałem ten płyn zawierający metaliczne kryształy i pokazało się co najmniej siedem wyraźnych odcisków palców.

– To nowa australijska metoda, o której niedawno pani wspomniałem – wytłumaczył Katie Phinner. – Płynne metaliczne kryształy wiążą resztki pozostałe po odcisku palca: kwasy tłuszczowe, peptydy, białka i sole. Kryształy tworzą niezwykle cienką pokrywę będącą dokładnym odbiciem odcisku palca, co daje świetlisty obraz, który możemy sfotografować, nadając mu dowolny kolor.

– Super – rzuciła Katie. – Gdyby tylko równie łatwo dało się znaleźć palce, którym odpowiadają te odciski.

– Przykro mi to mówić, pani nadkomisarz, ale to już pani kłopot.

Dotarli do końca laboratorium, gdzie kościsty młody człowiek w długim, białym kitlu analizował wykresy na komputerze. Miał bardzo krótkie rude włosy i płonące uszy. Kiedy zauważył zbliżających się Katie i Phinnera, obrócił się wraz z krzesłem i zdjął okulary w

grubych oprawkach.

– Detektyw sierżant Bryan Noone z pracowni balistycznej w Dublinie – przedstawił go Phinner. – Wczoraj poprosiłem go, żeby przyjechał i poprzyglądał się próbkom z podłogi, ścian i sufitu, które zebraliśmy w studiu.

Sięgnął po leżący na stole zwęglony fragment parkietu, opisany i oznaczony numerem, i pokazał Katie, jak lakierowane drewno pod wpływem żaru pokryło się pęcherzykami i rozwarstwiło.

– Widzi to pani? Czy to nie znak, że pożar został wzniecony z użyciem jakiegoś chemicznego środka piroforycznego? Detektyw sierżant Noone jest uznanym ekspertem pirotechnicznym w Irlandii, jeśli nie w całym cywilizowanym świecie, więc pomyślałem, że byłoby niegłupie, gdyby przyjechał i przekazał nam swoją bezcenną opinię. Sierżancie Noone, to pani nadkomisarz Maguire.

Ku zaskoczeniu Katie Noone wstał i uklonił się.

– To zaszczyt poznać panią nadkomisarz – odezwał się z charakterystycznym akcentem mieszkańców zamożnej części Dublina. – Jest mi niezwykle miło powiedzieć, że słyszałem o pani same superlatywy.

– To sympatyczna odmiana. Ale nie sądzę, żeby je pan słyszał w komendzie głównej.

– Och, wiatry się zmieniają, pani nadkomisarz, teraz, kiedy komendant O’Sullivan przejęła dowodzenie, wieje w innym kierunku. Jestem nie tylko ekspertem od pirotechniki chemicznej, ale również politycznej.

– Na razie trzymajmy się chemicznej. Czy wie pan, co wzbudziło pożar w Toirneach Damhsa?

– Owszem, pani nadkomisarz. To prawie na pewno zagęszczony pirofor. Osad znaleziony na klepkach podłogi i gipsie pokrywającym ściany to trietyloglin zagęszczony poliizobutylem, TPA. Jest zwykle używany w bombach termobarycznych, na przykład raketach M74. To zamiennik napalmu, stosowany przez Amerykanów do palenia wietnamskich wiosek, w których ich zdaniem ukrywali się żołnierze Wietkongu. Służy również do produkcji półprzewodników i

niektórych tworzyw sztucznych.

– Ale jak go użyto w studiu tańca? Nie został zrzucony w bombie ani wystrzelony w rakiemie, prawda?

– Z pewnością nie. Ale osoba, która go użyła, znała się lepiej na pirotechnice niż ja. Kiedy używa się TPA w broni zapalającej, zagęszczacz stanowi zwykle około sześciu procent całości. Ale można zrobić o wiele bezpieczniejszą substancję, dodając jeden procent rozpuszczalnika, heksanu. Wygląda na to, że wasz podpalacz rozprowadził TPA na klatce schodowej i strychu. Nie jestem jeszcze pewien, jaki był procent rozpuszczalnika ani co to był za środek, ale dzięki niemu przez jakiś czas TPA był niepalny. Kiedy rozpuszczalnik wyparował, WIUUM! Powstała wielka kula ognia składająca się z TPA i oparów heksanu czy czego tam użyto.

– Rozumiem. Sprawca zmieszał składniki w takim stosunku, że miał czas opuścić budynek przed wybuchem. Albo sprawczyni.

– Dokładnie tak. TPA potrzebuje dziesięciu minut lub więcej do momentu samozapłonu, zależnie od rodzaju użytego rozpuszczalnika.

– Śledczy od badania pożarów uważają, że pierwotny wybuch nastąpił na podeście pierwszego piętra – wtrącił się Phinner. – Był tak gwałtowny, że pochłonął niemal cały tlen na klatce schodowej i potem na chwilę przygasł. Dopiero kiedy jedna z tancerek otworzyła drzwi sali ćwiczeń, wybuchł powtórnie. Naprawdę wybuchł. Wszystkie dowody wskazują na to, że to było jak eksplozja bomby zapalającej. Dziewczyna, która otworzyła drzwi, została skremowana na miejscu. Pozostali tancerze próbowali uciec przez strych, ale sytuacja się powtórzyła. Wcześniej w wyniku samozapłonu TPA wybuchł pożar, ale szybko przygasł z braku tlenu. Tancerze mieliby większą szansę przeżycia, gdyby wyskoczyli przez okna studia. Ale otworzyli drzwi strychu i podsytili pożar wielką falą tlenu, i to był ich koniec. Jeden wdech przegrzanego powietrza i zgrillowali się od środka.

Katie przyjrzała się fragmentowi klepki. Jeśli pożar tak zniszczył lakierowane drewno, mogła sobie wyobrazić, jak zmasakrował płuca



ofiar.

– Co mówi panu doświadczenie, Bryan? Kto może dysponować taką wiedzą, żeby posłużyć się TPA? Żołnierze? Eksperci od wyburzeń? A może ludzie od filmowych efektów specjalnych? A jeśli to terroryści? Spotkał się pan kiedyś z podobnym użyciem tego środka? Na przykład przez Tymczasową IRA albo Prawdziwych Bojowników o Wolność Ulsteru?

– Na pewno nie u nas w Irlandii – odparł Noone. – Słyszałem o raportach donoszących o podpaleniach w Irlandii Północnej, które mogły zostać zainicjowane środkami chemicznymi, ale muszę zamienić słowo z kolegą kryminalistyką z Północy. Może potwierdzi, że użyto podobnych środków. Za dzień, dwa będę miał więcej informacji.

– Powiedział pan, że używa się tych substancji do robienia półprzewodników i tworzyw sztucznych. Czy jest jakieś przedsiębiorstwo w Cork, w którym podpalacz mógłby się zaopatrzyć?

– Troy Microsystems w Bishopstown i Lee Plastics w Little Island. Tam używają TPA. O innych miejscach nie wiem.

– Każę Dooleyowi sprawdzić, czy coś stamtąd nie zniknęło – zwróciła się do Phinnera, po czym spojrzała na Noone'a. – Dzięki. Zgłoszę się po ostateczne wyniki.

– Ależ zapraszam. To niezwykle interesująca sprawa. Większość czasu spędzam, strzelając do pojemników z wodą<sup>7</sup>.

– Skoro już o tym mowa, Bill, to co słyhać w sprawie Nialla Gleesona?

– Mam pocisk, który zabił Gleesona, i pociski z ciał tancerzy – odparł Phinner. – Są właśnie badane. Wyników możemy się spodziewać nawet dzisiaj. Byle tylko mój makroskop nie padł.

– Dzięki, Bill. Muszę powiedzieć, że podsunąłeś mi wiele materiału do przemyśleń.

– No cóż, pani nadkomisarz, podsuwanie pani czegokolwiek poza

---

7 Pojemniki wychwytyują pociski wystrzelone celem porównania z materiałem znalezionym na miejscu zdarzenia.

analizą materiału dowodowego nie należy do moich zadań, ale byłbym szczerze zdziwiony, gdyby się okazało, że ten pożar ma cokolwiek wspólnego z tańcem.

– Jestem otwarta na wszystkie możliwości. Wiesz, co powiedział Abdul-Baha? „Ten świat zawiera wiele światów, o których nic nie wiemy”. Świat tańca może być jednym z nich.

– Abdul-Baha? Chyba nigdy o nim nie słyszałem. Do którego chodzi pubu?

\* \* \*

Katie poszła do swojego gabinetu i niecałe dziesięć minut później Frank Magorian zapukał do drzwi.

– Proszę wejść, panie komendancie – zaprosiła go. – Wyjeżdża pan do Dublina?

– Tak. Wracam samochodem służbowym, ale jutro przylecę śmigłowcem, żeby zdążyć na twoją konferencję prasową.

– Och, śmigłowcem! Pięknie. Bardzo się cieszę z powodu pańskiego awansu. Mam nadzieję, że jutro znajdziemy trochę czasu na omówienie pewnych spraw operacyjnych. Zwłaszcza problemów z narkotykami. Udało się nam zlikwidować hurtownika, ale kiedy załatwia się jednego, jego miejsce zajmuje pięciu innych.

Magorian rozejrzał się. Drzwi do pokoju Moirin były uchylone i pracowała przy komputerze.

– Nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy zamienili dwa słowa na osobności? – spytał.

– Nie, oczywiście, że nie. – Katie wstała, zamknęła drzwi podeszła do kanapy pod oknem i usiadła. Magorian zajął miejsce obok niej, niezbyt blisko, ale na tyle, że Katie dostrzegła na jego niebieskim krawacie nie tylko niezapominajki, lecz także symbole wolnomularstwa – cyrkle i węgielnice.

– Dorobiłaś się naprawdę świetnej opinii tu, w Cork. Przed kilkoma tygodniami rozmawiałem o tobie z Michaeliem Twomeyem. Może nie zawsze trzymasz się regulaminu i czasami nadeptujesz komuś na odcisk, ale nie ma wątpliwości, że udało ci się osiągnąć kilka

świetnych rezultatów. Wsadzenie za kratki tego alfonsa Michaela Gerrety'ego to było coś. Bardziej imponujące mogłoby być tylko dopadnięcie Bestii, Martina Morgana, gdyby tylko udało się nam znaleźć coś, za co dałoby się go zapuszkować.

Nagle urwał i na dłuższą chwilę odwrócił się do okna, po którym służył deszcz, jakby stracił wątek. Chociaż zaczął przyjaznym tonem, nagle się najeżył. Splótł i mocno zacisnął dłonie. Katie widywała podobne zachowanie u biznesmenów, których przesłuchiwała w sprawach o oszustwo, lub u pedofilów pytanych, dlaczego włóczy się w okolicach placów zabaw.

– Czy coś nie tak, panie komendancie? – spytała.

– Nie tak? No cóż, muszę ci to powiedzieć, Katie. Zawsze mówiłem prosto z mostu, niezależnie od wszystkiego. Nie wierzę w hipokryzję ani w oszukiwanie, nawet gdyby mogły złagodzić tarcia i ułatwić życie. Powiedziałem ci, co myślę o twoich tutejszych osiągnięciach, i podpisuję się pod tą opinią obiema rękami.

– A ja naprawdę doceniam to, co od pana usłyszałam. Nie ma to jak niespodziewana pochwała. Czasem mam wrażenie, że im wyżej człowiek stoi w Gardzie, tym mniej uznania go spotyka.

– Ale moje zasady mają też drugą stronę. Zawsze dbam, żeby mówić prawdę, i nigdy nie zapominam czyjejś przychylności wobec mnie. Ale też nigdy nie zapominam nieprzychylności.

– Uczciwe postawienie sprawy. Mam nadzieję, że nie zrobiłam czegoś, co mógł pan uznać za nieprzychylność z mojej strony.

Zaczęła się uśmiechać, ale ponieważ nie miała z Magorianem kontaktów, od kiedy skończyła szkolenie, nie potrafiła sobie wyobrazić, czym mogłaby go wytrącić z równowagi. Jednak gdy odwrócił się od okna i zobaczyła jego ponury wzrok, zrozumiała, że on nie jest w nastroju do żartów.

– Zrobiłam coś takiego? – spytała.

– Nie mnie. Ale byłem bliskim przyjacielem Jimmy'ego O'Reilly'ego i wyrządziłaś mu potworną krzywdę. Prześladowałaś go, aż stracił cel w życiu. Odebrałaś mu reputację, pracę i ukochaną osobę. Nic dziwnego, że strzelił sobie w głowę. Równie dobrze mogłaś sama

pociągnąć za spust.

Katie z niedowierzaniem wpatrywała się w Magoriana.

– Jimmy O'Reilly? Niech pan przestanie! Ja prześladowałam jego?! Czy nikt nie powiedział panu, co on zrobił? Nie słyszał pan, że wymyślił szmugiel broni, który nigdy nie miał miejsca, żebym wyleciała za wydanie rozkazu nalotu na urodzinowy kinderbal? Poza tym nieustannie nadawał na mnie komendantowi MacCostagáinowi i każdemu, kto był gotowy go słuchać. Co do jego reputacji, to przez lata przymykał oko na szemrany biznes przemytnika papierosów Bobby'ego Quilty'ego, bo ten pożyczał mu pieniądze, których O'Reilly potrzebował na spłatę długów hazardowych swojego kochanka.

– Jimmy zadzwonił do mnie dziesięć minut przed tym, jak odebrał sobie życie, Katie. Powiedział, że akcja przeciwko gangowi Callahana nie wypaliła przez ciebie, że go wrobiłaś i zniszczyłaś związek z jego partnerem.

Ze spokojem pokręciła głową.

– Przepraszam, panie komendancie. To wszystko nieprawda. Jimmy O'Reilly najwyraźniej był pod wpływem silnego stresu, z którym sobie nie radził, i wymyślał kompletne bzdury.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy zdołała wyprzeć z głowy obraz zastępcy komendanta głównego O'Reilly'ego, stojącego na wprost niej w gabinecie i strzelającego sobie w twarz, ale teraz powrócił równie wyrazisty i potworny jak wtedy, gdy musiała na to patrzeć. Poczła skurcz żołądka i smak napływającej do gardła żółci.

– Katie, nie zamierzam się z tobą sprzeczać. – Magorian zdjął nogę z nogi i wstał. – Powiem ci tylko tyle, że nigdy w życiu nie zdarzyło mi się usłyszeć kłamstwa z ust Jimmy'ego O'Reilly'ego.

– Co tak naprawdę chce mi pan powiedzieć? – spytała wzywającym tonem.

– Posłuchaj, otwarcie uznałem twój sukces. Całkiem nieźle się spisałaś, biorąc pod uwagę, że jesteś kobietą, i wszyscy wierzą, że udzielę ci wsparcia i zachęty. Ale teraz jestem zastępcą komendant głównej, Katie, i chcę, żeby Regionem Południowym zarządzano w

sposób zdyscyplinowany i skuteczny. Chcę mieć pewność, że wszyscy moi podwładni są lojalni i godni zaufania i że żaden z nich nie będzie podważał autorytetu innych ani atakował ich za plecami... tak jak ty postąpiłaś z Jimmym O'Reillym.

– Panie komendancie, Jimmy O'Reilly wychodził ze skóry, żeby... – zaczęła Katie, ale Magorian uniósł rękę, żeby ją uciszyć.

– Pozwól, że skończę. Jesteś bardzo atrakcyjna, i to prawdopodobnie twoje uroda oślepiła niektórych na Anglesea Street do tego stopnia, że nie widzą twojej pokrętności i braku odpowiedzialności przy prowadzeniu dochodzeń. Nie wyobrażaj sobie, Katie, że zdołasz utrzymać swoją pozycję tylko dlatego, że jesteś kobietą. Pęd Gardy do zrównania szans kobiet i mężczyzn obchodzi mnie tyle co zeszłoroczny śnieg. Jak dalej będziesz tak postępować, jak primadonna z wiecznym zespołem napięcia przedmiesiączkowego, znajdę sposób, żeby ci odpłacić za to, co zrobiłaś Jimmy'emu O'Reilly'emu, i to z nawiązką.

Była tak wstrząśnięta jego słowami, że musiała kilka razy głęboko odetchnąć, zanim się odezwała.

– Zechce pan to powtórzyć, panie komendancie? Chcę włączyć telefon, żeby to nagrać.

– Bierzesz mnie za durnia?! Te słowa były dla ciebie i tylko dla ciebie, ale ich nie zapominaj. Od tej pory pilnuj się, Katie, i ja nie żartuję. Na razie zamierzam ci udzielać pełnego, niezachwianego poparcia, publicznie, także w mediach. Więc do jutra.

Otworzył drzwi i wyszedł. Katie jakiś czas stała bez ruchu, nadal oszołomiona. Jednak z tyłu głowy już zaczęła jej kielkować jasna myśl. Miała świadomość, że w Garda Síochána kobieta musi się bardziej strzec niż mężczyzna, przewidywać każdy atak, czy to ze strony bandyty, czy zawistnego kolegi, i być zawsze gotowa na szybki unik.

Jej ojciec stracił pracę w Gardzie z powodu O'Reilly'ego i wciąż jej powtarzał: „Uważaj na tych, którzy wynoszą cię pod niebiosa. To oni najbardziej ci zazdroszczą, oni zniszczą cię pierwsi i bez namysłu i zatańczą na twoim grobie, kiedy padniesz”.

Zatańczą! – pomyślała. Jak to teraz pasuje.

Zadzwęczała jej komórka. Conor przysłał SMS-a. *Wracam jutro. W domu posprzątane. Clodagh spacyfikowana. Nie mogę się doczekać.*

Katie opadła na fotel, nadal czując się jak sparaliżowana. Czy tak naprawdę widzieli ją mężczyźni, na których nie robiła wrażenia? Jak primadonnę z wiecznym zespołem napięcia przedmiesiączkowego? Boże, błagam, niech Conor też nie oślepnie, pomodliła się w myślach.

## ROZDZIAŁ 15

Było jeszcze wcześniej, ale gdy Kyna weszła do Templegate Tavern, już zastała tam kilkunastu popijających mężczyzn, starszą kobietę, która wpatrywała się w opróżnioną do połowy szklankę guinnessa, jakby nie potrafiła sobie przypomnieć, co przed sobą ma, i młodą matkę z tłustymi wytatuowanymi ramionami, jednostajnym ruchem huśtającą na kolanie równie tłuste niemowlę.

Na widok Kyny wszyscy się odwrócili i wlepili w nią wzrok, a trzech mężczyzn przy stoliku obok mahoniowego przepierzenia z witrażowymi szybkami wymienili spojrzenia i ruchem głowy wskazali ją jeden drugiemu.

W rewanżu zmierzyła ich wyzywającym wzrokiem i podeszła do baru, gdzie tysi mężczyzna w średnim wieku, ubrany w koszulkę z krótkimi rękawami, energicznymi ruchami ścierki i chuchnięciami przywracał szkłu blask.

– Proszę, proszę – rzucił, odwieszając ścierkę i szczerząc zęby koloru orzeszków ziemnych w karmelu. – Na co to mamy ochotę, bo ja mam nadzieję, że na mnie.

Kyna usiadła na barowym stołku, poprawiła spódniczkę i założyła nogę na nogę.

– Prawdę mówiąc, zastanawiałam się, czy nie potrzebujecie kogoś za barem.

– Czemu nie, bardzo chętnie. Żeby nie skłamać, to się rozglądamy. Ale nie ja jestem tu szefem, więc nie mogę ci powiedzieć na pewno, a i tak nie mógłbym cię zatrudnić, nawet gdybym wiedział co i jak. Ale jakbym mógł, to wziąłbym cię od razu.

– A szef jest?

– Akurat nie, kochana. Wskoczył do Lidla po różne różności, chipsy i orzeszki, i takie tam. I po superglue, bo z jednej pompy do piwa rączka odpada. Ale wróci za jakieś pół godziny. Chcesz na niego

zaczekać? Może drinka w międzyczasie? Na koszt firmy.

– Dzięki. – Uśmiechnęła się. – Jak ci na imię?

– Patrick i dokładnie wiem, co myślisz. To ci niezwykle imię, Patrick! I co, na Boga, chodziło po głowie jego rodzicom, kiedy go tak ochrzczili?

– Patrick, masz rację... to naprawdę niezwykle imię. Ale brzmi nieźle. No więc, Patricku, poproszę pinot grigio – powiedziała z przesadzonym włoskim akcentem.

Patrick otworzył minibutelkę wina i nalał do kieliszka. Tymczasem do baru podszedł Murtagh McCourt, niosąc trzy szklanki po piwie.

– Jak leci, skarbie? – spytał ją.

– Przyszła za robotą – powiedział Patrick. – Czeka na Roya, aż wróci z Lidla.

– Pytałem ciebie? – odparł ostro Murtagh i barman wyraźnie drgnął. Murtagh odwrócił się do Kyny. – Jak Roy nie da ci roboty, wal do mnie i mów. Już ja go naprostuję. Czemu nie przysiądziesz się do nas, skoro i tak czekasz?

– W porządku, to bardzo miło z waszej strony – podziękowała. – Muszę się zapoznać ze wszystkimi klientami, jak mam tu robić, no nie? Osobiste podejście to ważna sprawa, no nie?

– Osobiste podejście? – Murtagh zerknął na barmana, gdy Kyna, manewrując długimi nogami, zsuwała się ze stołka. – Skarbie, w twoim przypadku osobiste podejście to praktycznie obowiązek.

Podeszła do stolika, przy którym siedzieli Billy Ó Griobhta i Liam O'Brien. Murtagh przedstawił ich dziewczynie.

– To Billy, a to Liam, a ja jestem Murtagh. Jesteśmy stałymi klientami, hardcorowo stałymi, wiesz, o co biega, ale inni dojdą jeszcze potem. Dziś wieczór spotykamy się w większym gronie.

Liam przyciągnął jeszcze jedno krzesło i Kyna usiadła.

– Mam nadzieję, że robota się znajdzie – powiedziała, rozglądając się. – Bo pub jest miły, no nie?

Zauważyła, że wszyscy trzej noszą czarne opaski na ramieniu, chociaż Liam miał tylko wstążkę jak do przewiązywania włosów.

– Czemu nosicie te opaski? – spytała, gdy Murtagh przyniósł trzy



piwa.

Liam tak się na nią gapił, że odbierając szklanekę, mało nie rozlał piwa.

– To ku pamięci naszego dobrego kumpla, Nialla Gleesona. Możeś o nim słyszała w telewizji. Jechał odebrać wnuczkę z przedszkola niedaleko stąd i ktoś go zatrzymał i zastrzelił.

– To znaczy zastrzelił na śmierć? – spytała.

– A jak? Nie nosilibyśmy opasek, jakby żył. Pogrzeb jutro, dlatego dziś wieczorem robimy wspólną nasiadówkę. Można powiedzieć próbę na sucho przed czuwaniem, chociaż nie zapowiada się bardzo sucho.

– Jezu Panie, to straszne. Wiecie, kto go walnął?

– Jest tyle teorii co ludzi, ale gliny jeszcze nikogo nie posadziły.

– Wciąż myślę, że to był Bernie Dennehy – powiedział Billy z czubem à la Elvis Presley, odchylając się na oparcie krzesła. – Myślę, że się dowiedział, że Niall ujeżdża jego ślubną. I musicie przyznać, że ta jego stara to niezła lala. Jakby telewizor pad, każdy by ją ruchać rad.

– Ja wciąż myślę, że to Nowa IRA – powiedział Liam. – Wiedzieli, że Niall szykuje się przejąć interes Bobby’ego, i chcieli go przystopować, zanim jeszcze zacznie.

Murtagh kiwnął głową w kierunku Kyny i skrzywił się, świdrując wzrokiem Liama, jakby chciał mu powiedzieć, żeby za dużo nie kłapał dziobem. Ale Kyna pociągała wino i rozglądała się po pubie, jakby już ich nie słuchała.

– Jest tu jakaś muzyka? – spytała.

– W sali bilardowej – odparł Murtagh. – Tydzień temu grał niezły gitarzysta, a niedługo ma być jedna piosenkarka.

– To strasznie smutne, jak ktoś kipnie. Moja babcia zeszła w Wielką Sobotę. Myślicie, że wszyscy idziemy potem do nieba?

– Niall nie – powiedział Bill.

– Chyba nie był złym człowiekiem?

– Niall? Powiedzmy, że zrobił w życiu kilka posunięć, których święty Piotr by nie pochwalił.

– No, to pewne – zgodził się z nim Murtagh. – Myślę, że nikt, kto robił dla Bobby’ego, nie ma żadnych szans na przekroczenie niebiańskich bram, przynajmniej nie bez apostołskiego przebaczenia.

– A kto to Bobby? – spytała Kyna.

– Nazywał się Bobby Quilty i na twoim miejscu, skarbie, dziękowałbym szczęśliwym gwiazdom, żeś go nigdy nie zapoznała. Na taką gorącą laskę jak ty to on by się rzucił jak napalony hipopotam. Daj sobie spokój z Wielkim Drągiem. Przepadł tam, gdzie przepadają takie wielkie drągi jak on, kiedy w piekle nie ma miejsca.

Kyna pokiwała głową, jakby słuchała tylko jednym uchem. Miała okazję poznać Bobby’ego Quilty’ego i na samo wspomnienie nadal robiło jej się niedobrze. Usiłowała zinfiltrować pod przykrywką jego biznes, przemyt papierosów. On z kolei usiłował ją zgwałcić, a kiedy mu nie wyszło, kazał jej wejść pod prysznic, uklęknąć i obsikał ją. Całym sercem zgadzała się z Murtaghem, że jeśli piekło było zbyt przepelnione, Bobby Quilty przez wieczność będzie się smażył w jego przedsionku. Od czubka głowy po pięty.

Rozmowa zesłała na hurling i mecz, w którym Midleton pokonał Sarsfield. W trakcie konwersacji o kibicach, a także silnych, ale tępych graczach i graczach na poziomie, i o tym, że zawodnicy Sarsfield nie mają jaj, Kyna uśmiechała się cierpliwie i starała się wykazywać zainteresowanie poruszonymi tematami, usilnie patrząc w oczy Liamowi. Widziała, że wywarła na nim wstrząsające wrażenie, a to mogło się bardzo przydać. Wystrzegąca się dalszego drażenia biografii Bobby’ego Quilty’ego, bo mogliby – zwłaszcza Murtagh – zacząć podejrzewać, że jest kimś więcej niż flirtiarą z robotniczej dzielnicy. Zdobywając zaufanie Liama, miała szansę dowiedzieć się więcej, niż był gotów jej opowiedzieć Murtagh.

Billy właśnie zaczął się zwierzać z kłopotów, jakie sprawia skrzynia biegów jego nowej kii, gdy do pubu wszedł ciemnowłosy młody mężczyzna wystrojony w czarny garnitur, chyba od Armaniego, za co najmniej siedemset euro, jak zgadywała Kyna. Był przystojny w niepokojący sposób, miał grube, czarne brwi, prosty nos i usta nieco

zbyt wydatne jak na mężczyznę. Ale to oczy wzbudziły niepokój Kyny. Uśmiechał się, lecz gdyby widziała tylko jego oczy, na przykład patrząc przez szparkę w skrzynce na listy, byłaby pewna, że jest z jakiegoś powodu zły.

Liam natychmiast wstał, tak że młody człowiek mógł zająć jego miejsce, i poszedł do sąsiedniego stolika po krzesło dla siebie.

– Jak leci, Davy? – przywitał bruneta Murtagh. – Chcesz napój MiWadi?

Davy zignorował pytanie i spojrzał na Kynę.

– A to kto?

– Nowa barmanka... albo przyszła nowa barmanka, kiedy Roy wróci i ją zatrudni.

– Więc co tu robi? Czemu siedzi z wami, pajace?

– Tak sobie gadamy.

– Ach tak? A o czym?

– O wysadzaniu Muzeum Narodowego w Dublinie – powiedział Billy. – A jak myślisz, kurwa, o czym?

Davy bez ostrzeżenia złapał go za ucho i tak mocno wykręcił, że rozległ się trzask, a Billy pisnął z bólu jak dziewczyna.

– Ty świrze! Myślisz, że to jest zabawne, co? – wycedził Davy, nadal trzymając go za ucho i przyciskając mu głowę do blatu. – Ile razy mam ci mówić, żebyś się pilnował, co mówisz? Chryste Wszehmogący, nie masz kropli oleju we łbie?

Kiedy się pojawił, mówił z miejscowym akcentem, ale wyprowadzony z równowagi, przeszedł na wymowę mieszkańców Belfastu. Poza tym nikt z północnego Cork nie powiedziałby „kropla oleju we łbie”.

– Aaa, przepraszam! – piszczał Billy. – Kurwa, puść mi ucho! Przepraszam! Tylko gadaliśmy o hurlingu!

Davy w końcu go puścił.

– Jezus, małość mi ucha nie oderwał – poskarżył się Billy, siadając prosto i masując ucho. – Mogę zostać półgłuchy do końca życia.

– Oba ci oderwę, jak nie przestaniesz trzaskać dziobem na lewo i prawo, ty głąbie! – warknął Davy. Odwrócił się do Kyny i spytał ją: –

Jak się nazywasz, laluniu? Skąd jesteś?

– A może nie mam ochoty ci mówić? – odpaliła. – Co mi zrobisz, też będziesz mnie ciągnął za ucho? Tylko, kurwa, spróbuj.

– Nie muszę cię ciągać za ucho, laluniu. Wystarczy, że powiem właścicielowi, że nie będziesz pracować w tym pubie, nigdy. I jeszcze na dodatek dostaniesz tu szlaban do końca życia.

– Dobra, wrzuć na luz. Nie ma co się wściekać. Nazywam się Roisin MacColgan i jestem z Fair Hill. Zadowolony?

– Z jakiej ulicy na Fair Hill?

– Jezu, gliny by mnie tak nie mordowały! Jak już musisz wiedzieć, to z Liam Healy Road, numer trzydzieści. Chcesz wiedzieć, jaki kolor ma mój sracz? Awokado i złote kłamki!

– I co teraz robisz, Roisin?

– Siedzę tu i odpowiadam na wszystkie twoje wścibskie pytania.

– Chodzi mi o to, jaką masz robotę?

– Żadnej nie mam roboty. Bo po co bym tu przyszła się rozglądać?

Kyna widziała, że Liam uśmiecha się półgębkiem, zaśnaniając ręką usta, a Murtagh marszczy z niepokojem krzaczaste szare brwi. Najwyraźniej żaden z nich nie ważył się odpysknąć Davy’emu. Pod urodą telewizyjnego gwiazdora wyczuwała w nim władczość i bezwzględność, chociaż również brak zaufania do wszystkich. Tak mówiła jej wiedza z psychokryminalistyki, której uczyła się w Garda College. Radził sobie ze strachem, zastraszając całe otoczenie.

– Dobrze prawisz, dziewczyno – powiedział Davy. – A teraz goń się i kończ swoje winko przy barze. Muszę pogadać z tymi chłopakami na osobności.

– Jak sobie życzysz – rzuciła. Zdjęła nogę z nogi, wstała i podeszła do baru. – Nie ma rady, przyjdzie nam pogadać. Pan Niespołeczny chyba nie lubi towarzystwa dam.

– Dobrze powiedziane – powiedział Patrick. – Gotowa na jeszcze jedno wino?

– Tak, dzięki, jeśli dalej na koszt firmy – odparła.

Patrick otworzył kolejne pinot i nalał do świeżo obchuchanego kieliszka. Kiedy przesuwiał go po ladzie, Kyna ruchem głowy wskazał

Davy'ego.

– Mówisz, że on nie lubi kobiet?

Patrick się upewnił, że Davy nie patrzy, i pochylił się do niej konfidencjonalnie.

– Mój kumpel przywabił go kilka razy w Ruby Lounge. Wiesz, tańczenie, picie i wypatrywanie chłopców jak cukiereczki.

– Ruby Lounge? Przy Washington Street?

– No.

– Ale to tam, gdzie się schodzi całe pedalstwo, no nie?

– To ci właśnie mówię.

– Jezu, naprawdę nie można ufać własnym oczom.

Od razu podejrzewała, że Davy może być gejem. Hetero zawsze mierzyli ją wzrokiem i próbowali flirtować. Od czasu do czasu zachowywali się agresywnie i starali się ją upokorzyć, ale to tylko był objaw braku pewności siebie. Rzadko okazywali tak konsekwentną wrogość, jak okazał Davy – chyba że chodziło o aresztowanych.

Bardzo niewielu mężczyzn, których Kyna świeżo poznała, zdawało sobie sprawę, że jest lesbijką. Dobrze znała Ruby Lounge, najpopularniejszy gejowski nocny klub w Cork. Sama była w nim kilka razy w czwartki, na wieczorach dla lesbijek.

– Nie jest kumplem twojego szefa, tego Roya, co? – spytała Patricka. – Powiedział, że jak go wnerwię, to się postara, żeby Roy nie dał mi pracy.

– Żarty sobie ze mnie stroisz? Roy ma alergię na tego Travellersa, ja też. Rzadki popapraniec.

– To czemu nie znajdziesz jakiejś wymówki, żeby dać mu tu szlaban? Na dodatek nie wydaje się, żeby faceci, z którymi pije, strasznie cieszyli się z jego towarzystwa. Temu gościowi z czubem na głowie prawie oderwał ucho, jak tamten coś powiedział, co mu się nie spodobało.

Patrick znów się obejrzał, upewniając się, że Davy nie patrzy.

– Powiedzmy, że prosilibyśmy się o spore kłopoty, gdybyśmy dali mu tu szlaban – wyjaśnił. – Oskarżono go, że wyszedł od kioskarza niedaleko stąd, nie płacąc za „Echo”, i zaraz po tym dowiedzieliśmy

się, że kiosk spłonął. I tak się składa, że nigdy nie płaci za drinki. Ale, na miłość Jezusa i wszystkich uczniów Jego, nie mów mu, że ci powiedziałem.

– Więc on i ci inni faceci to jakiś gang?

– Strasznie jesteś ciekawska, dziewczyno. Na twoim miejscu pilnowałbym swoich spraw. To, czego nie wiesz, nie może ci zaszkodzić, zwłaszcza jak masz do czynienia z tą ekipą.

– No wiesz... gdybym miała tu pracować, to wołałabym wiedzieć, kogo obsługuję, żeby nie powiedzieć czegoś, co mogłoby wkurzyć klienta. Chodzi o to, że ten Davy to może gej, ale budowę ma. I zażarty jak buldog, co zeszczaną pokrzywę wyliże.

Liam podszedł do baru i poprosił Patricka o dwa opakowania prażonych orzeszków. Stojąc blisko Kyny, postąpił jej nieśmiały, nerwowy uśmiech.

– No, co tam, Liam? – spytała.

– Och, to i tamto. Nie pojechałabyś jutro wieczór do Bodegi? Ross Curley daje taki popis, że nie trafisz nic lepszego.

– Może. Zależy, czy załapię się tu na pracę, czy nie.

– Nie musimy jechać wcześniej. Po wpół do dwunastej kasują za wejście, ale kasy mi nie brak.

– A czy ja mówię, że wyglądasz jak zabiedzony żebrak?

Policzki Liama zapłonęły czerwienią.

– Jesteś skończoną pięknością, Roisin. Powiedział ci to ktoś kiedy?

– Och, pewnie, nasłuchałam się, że jestem pięknością. – Zatrzepotała rękami. – Ale nie wiem, czy mówili, że skończoną.

Czerwień policzków Liama przeszła w szkarłat.

– No to zgarnę cię jutro wieczór – powiedział i wrócił do Davy’ego, Murtagha i Bobby’ego.

Gdy tylko usiadł, Davy położył mu rękę na ramieniu. Jednocześnie się odwrócił i spojrzął wrogo na Kynę. Siedziała na tyle blisko stolika, że słyszała część tego, co mówił.

– O czym gadaliście?

– O niczym.

– No, jednak o czymś gadaliście, chłoptasiu, bo uśmiechała się do

ciebie gotowa spuścić majtki na jedno twoje mrugnięcie okiem.

– To nic nie było, Davy, przysięgam.

– Czy ty i ja nie rozmawialiśmy o lojalności?

– To było coś w rodzaju „jak leci?” Nic poza.

Davy chwycił Liama za rękę i przycisnął ją do blatu stolika. Potem sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął sprężynowiec.

– Rozłóż palce – rozkazał, uwalniając ostrze.

– Co?

– Słyszałeś. Rozłóż palce. Poproś mnie, żebym ci zaufał. To się przekonajmy, na ile ty ufasz mnie.

– Davy...

– Rozłóż, kurwa, palce!

Liam rozstawił palce najszerzej, jak potrafił, a Davy zaczął wbijać ostrze między kolejne palce, jakby grał w noże, najpierw powoli, potem coraz szybciej, aż Liam zamknął oczy, bo nie miał siły patrzeć.

– Więc o czym naprawdę rozmawialiście? – Davy poruszał nożem tak szybko, że ostrze rozmywało się w oczach.

– Powiedziałem ci – zaskrzeczał Liam. – Powiedziałem: „Jak leci?”, a ona na to: „W porządku”. I to było wszystko. Proszę, Davy... Jezu Chryste Wszzechmogący.

– Jeszcze jedna szansa. Mówiłeś coś o mnie? Co mówiłeś o mnie?

Kynę korciło, by podejść i powiedzieć, że Liam zaprosił ją do Bodegi i że Davy powinien dać sobie spokój ze swoimi paranoicznymi podejrzeniami. Z drugiej strony nie chciała go pobudzać do jeszcze większej wrogości – najpierw powinna dowiedzieć się więcej o nim i pozostałych. Jeśli Davy, Murtagh, Billy i Liam pracowali dla Bobby’ego Quilty’ego, musieli szmuglować papierosy i domyślała się, że nadal się tym zajmują, choć pewnie działają na mniejszą skalę niż Bobby, który rozprowadzał towar po całym kraju.

– Dawaj, chłoptasiu! – wykrzyknął Davy, nadal w szaleńczym tempie wbijając nóż między palce Liama. – Co jej powiedziałaś?

Nie silił się na cichy ton i Kyna widziała, że przerażenie Liama wprawia Davy’ego w rosnące podniecenie.

Rozejrzała się po pubie i spostrzegła, że nikt z obecnych nie jest

skłonny interweniować – nawet Patrick, chociaż Davy kaleczył nożem lakierowany mahoniowy blat stolika. Wszyscy odwracali głowy i udawali, że nadal prowadzą rozmowy, jakby nie działo się nic złego. Młoda matka wciąż huśtała na kolanie tłuste niemowlę; zaczęła mu nawet śpiewać dziecięcą piosenkę:

*Mam siostrę, co na imię ma Mary Ann. W rondlu buzię myje wciąż, chłopaka szuka tu i tam, ta moja siostra Mary Ann.*

Kyna pomyślała, że ci ludzie dobrze wiedzą, że nie powinni się wtrącać. Bobby Quilty nie tylko przemycał papierosy, lecz stworzył odłamową grupę IRA, którą nazwał Autentyczną IRA – Arm Barántúla na hÉireann. W ciągu ostatnich dwóch lat jej bojówki przyznały się do kilku brutalnych zabójstw i okaleczeń, w tym do zastrzelenia pięciu przemycających papierosy rywali i dwóch wysokich rangą członków Nowej IRA. Kyna nie była pewna, czy te grupy nadal są aktywne, ale jeśli tak, nikt nie zamierzał narażać się na konfrontację. Garda nigdy nie zdobyła dość materiału dowodowego, by dokonać aresztowań, a żaden świadek nie miał dość odwagi, żeby się ujawnić.

Zwariowana zabawa Davy’ego trwała jeszcze kilka sekund i Liam nadal zaciskał mocno powieki. Nagle ten pierwszy zastygł, ale nie schował noża i nie puścił ręki Liama.

Ten otworzył oczy. Murtagh i Billy, którzy wcześniej mieli wystraszone twarze, teraz się rozluźnili. Murtagh wzniósł piwo jak do toastu.

– To ci dopiero sztuczka na imprezę, Davy, muszę ci to przyznać, chłopie. Powinieneś z tym iść do Mam talent.

– Och, to żadna sztuczka – poprawił go Davy, nadal trzymając nóż w górze. – Oto co się dzieje, kiedy daję komuś szansę, żeby był ze mną szczerzy, a on pluje mi w twarz.

Po tych słowach wbił nóż w sam środek ręki Liama, między palec wskazujący i środkowy, przygważdżając dłoń do stolika. Liam zawył z bólu i zaskoczenia, szarpiąc się, ale Davy nie cofnął noża.

– Jezu – stęknął Patrick.

Zanurkował pod bar i wyprostował się, trzymając kij baseballowy,



lecz Davy, nawet na niego nie patrząc, zawołał:

– Paddy... niech ci nie przychodzi do głowy, żeby się w to mieszać, wielkoludzie.

Gdyby Kyna nie działała pod przykrywką, zwałiby Davy'ego z krzesła i unieruchomiła go na podłodze. Była gotowa zainterweniować, gdyby życiu Liama coś zagrażało, ale na razie musiała pozostać na stołku i patrzeć, jak Davy powoli ciągnie nóż ku sobie, rozcinając rękę Liama. Krew zalała blat stolika i pociekła na podłogę.

– Żeby to obesrało – rzucił Bill.

Davy cofnął nóż, ale nadal przyciskał rękę Liama do blatu, dopóki nie otarł ostrza o rękaw jego dżinsowej kurtki. Ranny mężczyzna nie odzywał się, jedynie zaciskał zakrwawioną dłoń w drugiej, by powstrzymać krwotok, i wpatrywał się zszokowany, nie wierząc w to, co się stało. Davy schował ostrze i włożył nóż do kieszeni, lecz nadal nikt nic nie mówił. Młoda kobieta przestała śpiewać i przytuliła dziecko.

– Na co wszyscy się gapicie?! – zawołał wyzywająco Davy. – Nigdy nie widzieliście paru kropli krwi? Paddy, dawaj tu ręcznik, wielkoludzie.

Barman podniósł klapę na końcu lady i wyszedł z poplamionym białym ręcznikiem.

– Podnieś rękę – zwrócił się do Liama. – I zabierz drugą, żebyśmy obejrzał.

Nóż przeciął żyłę odpromieniową i krew lała się na nadgarstek i do rękawa. Patrick owinął dłoń, zrobił węzeł, po czym najwyżej, jak się dało, podwinął rękaw kurtki.

– Boli? – spytał, ale Liam, nadal w szoku, pokręcił głową. Rozmawiając z Kyną, był zaczerwieniony, teraz twarz miał kredowobiałą jak klaun.

– Trzymaj rękę w powietrzu – poradził mu Patrick. – Murtagh, trzeba będzie założyć mu szwy. Któryś z was musi go zawieźć do szpitala.

– W porządku, ja go zabiorę – zgłosił się Bill. – To i tak było moje

ostatnie piwo przed wieczorem.

Wstał, wypił to, co miał w szklance, i pomógł Liamowi wstać.

– Wylizesz się, chłoptasiu – rzucił Davy. – To tylko skaleczenie. Powiesz lekarzom, że cięteś nogę od stołu i piła ci skoczyła.

Liam wpatrywał się w niego z oszołomieniem i bezbrzezną nienawiścią, ale Billy wypchnął go do drzwi, zanim ten zdążył cokolwiek powiedzieć. Patrick poszedł za bar i wrócił z mokrą ścierką, żeby zetrzeć ze stolika krew. Atmosfera w pubie była tak napięta, że kiedy skończył sprzątać, włączył radio, by przerwać ciszę. Trafił na środek ulubionej piosenki Kyny, *Nothing Compares 2 U* Sinead O'Connor.

Mój Boże, pomyślała. Piosenka o bólu. Ależ pasuje.

Murtagh i Davy długo siedzieli w milczeniu.

– Jak będziesz gotów, daj MiWadi, Paddy! – zawołał w końcu Davy. – Dziś czarna porzeczka, wielkoludzie.

– No, no, nie wydaje mi się, żeby Liam jeszcze kiedyś sprawiał ci problemy – odezwał się Murtagh, gdy Patrick przyniósł butelkę napoju i szklankę.

Kyna, patrząc na niego, miała wrażenie, że myśli coś zupełnie innego: Nie powinienesz go tak zranić, ty wredny, podejrzliwy sukinsynu.

– Ostrzegałem go i nie reagował – powiedział Davy. Kyna nie dosłyszała dalszych słów, ale gdy przełknął napój, dodał: – Ale masz rację: dostał nauczkę.

Minęło dziesięć minut. Kyna miała zapytać Patricka, jak długo będzie musiała czekać na właściciela, kiedy drzwi się otworzyły i wszedł niski i gruby siwy mężczyzna w brązowym dresie, niosąc duży karton serowo-cebulowych chipsów Tayto.

– O, jest Roy – rzucił Patrick.

Widziała, jak właściciel krzywi się z niesmakiem na widok Davy'ego. Gdyby tylko spojrzenie mogło zabijać, pomyślała. Ale jej uwaga skupiła się na ciemnowłosej dziewczynie, która weszła do pubu za nim.

Kynę trudno było czymkolwiek zaskoczyć, ale na jej widok na

chwilę zabrakło jej tchu. Miała na sobie długi, biały sweter z wycięciem w łódkę, obcisłe czarne dżinsy, czarne skórzane kowbojki, a na nadgarstkach dzwoniło jej kilkanaście bransolet. Na plecach niosła gitarę akustyczną, której biegnący na ukos pasek rozdzielał bardzo obfite piersi. Miała idealnie owalną twarz, wielkie, onyksowe oczy i wydatne usta. Długie włosy gładko zaczesła w lśniący koński ogon.

– To Sorch – przedstawił ją Roy, rzucając na ladę karton chipsów. – Dziś wieczorem będzie u nas występować. Mieszka w Ballyvolane, więc pomyślałem, że upiekę dwie pieczenie na jednym ogniu i ją podwiozę.

– A to jest Roisin – powiedział Patrick. – Szuka roboty.

Roy zmierzył wzrokiem Kynę.

– Pracowałaś już kiedyś za barem, dziewczyno? – spytał.

– W Fob and Gill w Mayfield przez pół roku. Martin mnie szkolił.

– W tej mordowni? Jak przerobiłaś tam pół roku, to na moje wyczucie wszędzie dasz radę. Mojemu kumplowi odgryźli tam pół nosa.

Uśmiechnęła się, chociaż słuchała tylko jednym uchem. Nie mogła oderwać wzroku od Sorchy, a ta wpatrywała się w nią – jakby każda z nich znalazła tę, której szukała całe życie, chociaż myślała, że nigdy jej spotka.

## ROZDZIAŁ 16

Dochodziło wpół do dziewiątej, kiedy Katie wróciła do domu przy Carrig View. Deszcz przestał padać i niebo tak się oczyściło, że widziała dwa zamglone białe księżycy – wiszący nad portem i odbity w jego wodach.

Zaparkowała na podjeździe, ale gdy otworzyła drzwi focusa, usłyszała z daleka carillon z katedry Świętego Kolmana stojącej na wysokim wzgórzu w centrum Cobh. Przez chwilę się wahała, słuchała. Dzwony biły i miała niemal takie wrażenie, jakby ją wzywały.

Spodziewała się, że Barney usłyszał, że wróciła, i rozemocjonowany będzie warował przy drzwiach, machając ogonem. Ale Jenny Tierney pewnie go już nakarmiła i była z nim na spacerze, więc jeśli jeszcze pół godziny poczeka, nic mu się nie stanie. Zamierzała iść na wieczorną niedzielną mszę, ale słysząc dzwony, poczuła, że musi tam pojechać natychmiast. Wiedziała, że katedra normalnie jest zamykana o szóstej, ale skoro ktoś ćwiczył na carillonie, z wejściem nie powinno być kłopotu.

Wycofała się z podjazdu i po pięciu minutach dotarła do centrum Cobh. Przy głównej ulicy były barwne sklepy i puby, żółte, niebieskie i różowe, a na Casement Square stał pomnik Płaczącego Anioła upamiętniający zatopienie Lusitanii. Dzwony dźwięczały tak głośno, że pokonując strome katedralne wzgórze, słyszała je w samochodzie.

Zaparkowała, wysiadła i przez chwilę stała na stopniach, słuchając i patrząc. Katedrę zbudowano w stylu neogotyckim; jej dziewięćdziesięciometrowa wieża przypominała wąski międzygwiazdny statek wykuty z wapienia. Fundamenty położono w 1868 roku, ale do skończenia budowy i konsekracji potrzebowano następnych pięćdziesięciu lat. Katie przyjeżdżała tutaj, kiedy tylko

mogła. Tu odprawiono nabożeństwa żałobne za jej matkę, synka, Seamusa, i Paula, męża.

Główne drzwi zamknięto na klucz, ale znalazła otwarte boczne. W środku panowały chłód i mrok. W niszy za kolumnami migotały wotywny świece. Kiedy szła między ławkami w kierunku ołtarza, dzwony huczały i stukot jej kroków na mozaikowej podłodze ginął w echu carillonu. Dzwonów było czterdzieści dziewięć, obejmowały cztery oktawy i najcięższy ważył ponad trzy tony.

Usiadła w ławce blisko ołtarza i przeżegnała się. Czuła wielką potrzebę modlitwy, lecz w czasie ostatnich kilku miesięcy całkowicie utraciła kontakt z Bogiem. Po części sprawiły to śledztwa w sprawach gangów narkotykowych, stręczycielstwa i zabójstw; nie miała szans na pokonanie wroga, jeśli nie była równie bezlitosna jak on. Kopnięciem w serce zabiła porywacza psów; zastrzeliła wielokrotnego zabójcę, który mordował stręczycieli. Na domiar wszystkiego doprowadziła Jimmy'ego O'Reilly'ego do samobójstwa i wciąż miała z tego powodu wyrzuty sumienia, chociaż ten człowiek robił wszystko, żeby zniszczyć ją zawodowo.

Ale tak naprawdę zapomniała o Bogu, kiedy tak okropnie potraktowała Johna. Potrzebował jej miłości i wsparcia, ale odwróciła się do niego plecami, bo straciła głowę dla Conora. John nie żył i za późno było prosić go o wybaczenie. A Boga?

Łzy zalały jej oczy i poczuła ucisk w gardle. Nawet gdyby znalazła słowa modlitwy, jak miałaby wypowiedzieć je na głos? Wyjęła chusteczkę, otarła oczy i wysiękała nos. W tym czasie z bocznych drzwi w oddali wyszło dwóch duchownych; pochylali ku sobie głowy, żeby słyszeć się mimo dzwonów.

Jednego z nich rozpoznała; wielbnego Petera O'Farleya, który celebrował pogrzeb Seamusa. Był przystojnym mężczyzną o szerokiej twarzy i szopie czarnych włosów, które siwiały na skroniach. Drugi był chudy, o orlim nosie i rudych włosach. Nosił szkła bez oprawek.

– Proszę, proszę! Kathleen! – zawołał O'Farley, gdy tylko ją zauważył. – Trochę minęło, co? Jak ci się wiedzie?

– Och, świetnie, dziękuję! – Katie musiała podnieść głos, by ksiądz mógł ją usłyszeć. – Teraz muszę się tak wcześnie zrywać, że rzadko mam szansę przyjść na mszę o dziesiątej! Mam nadzieję, że nie jestem tu intruzem!

– Och, Kathleen, nikt nie jest intruzem w domu Boga! To czysta radość cię tu widzieć! A właśnie, to jest Bryan Hannigan. Przyjechał do nas w odwiedziny ze Świętego Malachiasza w Belfaście. Coś w rodzaju wymiany kulturalnej, że tak powiem. Święty Malachiasz to piękny kościół, fantastyczny. Bryanie, poznaj nadkomisarz Kathleen Maguire, jedną z wybitnych obywaterek Cobh i silne ramię prawa miasta Cork.

Ojciec Hannigan podszedł i uścisnął rękę Katie.

– Miło cię poznać, Kathleen! – powiedział, po czym przyjrzał się jej uważniej i zdjął szkła. – Mam nadzieję, że nie jestem wścibski. – Pochylił się, by nie musieć przekrzykiwać dzwonów, i poczuła w jego oddechu zapach pastylek odświeżających. – Ale wygląda mi na to, że coś cię gryzie.

– Ja... – zaczęła, lecz łzy znów napłynęły jej do oczu. Och, Jezu, ostatnie, czego mi teraz trzeba, to wyrazów współczucia, pomyślała.

– Przepraszam – powiedział Hannigan. – Jak chcesz, możesz mi powiedzieć, że mam się wypchać i pilnować własnych spraw.

Przycisnęła rękę do ust, ale i tak przestała szlochać dopiero po chwili. Mogła jedynie patrzeć na Hannigana i tylko oczy wyrażały cały jej ból i poczucie winy.

O'Farley również podszedł bliżej.

– Kathleen... Kathleen, co się dzieje? – spytał. – Przyszłaś tu nie bez powodu, prawda?

Katie skinęła głową i znów otarła oczy.

– Zgubiłam Go. Zgubiłam Boga. To był mój błąd. Teraz nie wiem już, jak się do Niego modlić ani czy mnie wysłucha, nawet jeśli mi się to uda.

Carillon nagle ucichł, zostawiając w powietrzu metaliczny rezonans, jak gasnący brzęk kamertonu. O'Farley położył dłoń na ramieniu Katie.

– Kathleen, może ci się wydawać, że straciłaś kontakt z Bogiem, ale obiecuję ci, że On nigdy nie stracił cię z oczu – powiedział już ciszej.  
– Wie, jak trudne jest twoje życie, jak ciężko musisz walczyć, żeby zachować spokój i strzec tych, którzy cię otaczają. Jesteś jednym z Jego najdroższych dzieci.

Z trudem przełknęła ślinę.

– Chodzi nie tylko o sprawy zawodowe, ojczy, chociaż z tym też jest ciężko. Zawiodłam kogoś, kogoś, kto mnie potrzebował. Zrobiłam to z egoistycznych pobudek i nie mogę o tym zapomnieć.

– Chcesz się wypowiadać? Czy to ci pomoże?

– Tak – odparła po chwili zastanowienia. Przyszła, nie spodziewając się, że zostanie spowiednika, ale zdała sobie sprawę, że zjawiała się przede wszystkim po to, by wyznać swój grzech przed Bogiem.

– Może wypowiadasz się przed Stephenem? – zaproponował O’Farley. – Czasem łatwiej opowiedzieć o swoich kłopotach komuś, kogo nie znasz tak dobrze.

Hannigan uśmiechnął się do niej.

– Dobrze, wypowiadam się – powiedziała. – Nie wiem, jak inaczej dam sobie z tym radę. I nie wiem, jaka pokuta mogłaby naprawić to, co zrobiłam.

– Kathleen, samo twoje przyjscie do kościoła świadczy o tym, że już wkraczasz na drogę poprawy – uspokoił ją O’Farley.

– Gdzie chciałabyś porozmawiać? – spytał Hannigan. – W konfesjonale? A może po prostu w kaplicy Matki Bolesnej, jak wolisz. Albo nawet tu.

– Wydaje mi się, że... wydaje mi się, że tu. – Popatrzyła na wysoko sklepiony dach, lśniące piszczałki organów i wielkie rozetowe okna. – Mam wrażenie, że Bóg tu jest, mimo że nie udało mi się z Nim porozmawiać.

– Hm, tu na pewno cię wysłucha – zapewnił ją O’Farley. – Mam kilka telefonów do załatwienia, więc zostawiam was. Dajcie mi znać, kiedy skończycie.

Katie usiadła w ławce, a Hannigan zajął miejsce obok niej, by mówiąc, nie musiała na niego patrzeć. Przeżegnała się i zaczęła:

– W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Ostatni raz spowiadałam się na świętego Stefana.

Hannigan powiedział dobitnie, łagodnym akcentem z Belfastu:

– Jezus rzekł: „Przyjdźcie do Mnie wszyscy, którzy utrudzeni i obciążeni jesteście, a Ja was pokrzepię. – Mówił cicho, ale wyraźnie, z lekkim akcentem z Belfastu. – Weźcie moje jarzmo na siebie i uczcie się ode Mnie, bo jestem cichy i pokorny sercem, a znajdziecie ukojenie dla dusz waszych. Albowiem jarzmo moje jest słodkie, a moje brzemie lekkie”<sup>8</sup>.

– To co czuję, ojczy, to więcej niż brzemie. To jak nigdy niekończąca się migrena. Nie wiem, jak się z nią uporam.

Zacinając się, opowiedziała, jak John został porwany przez Quilty’ego, który chciał powstrzymać jej śledztwo w sprawie przemytu papierosów. Jak Quilty po próbie ucieczki Johna przyśrubował jego nogi do łóżka, co doprowadziło do zakażenia i amputacji. Powodowana poczuciem winy i litością zgodziła się nim opiekować podczas rekonwalescencji, ale John był w tak złym stanie psychicznym, stał się do tego stopnia wymagający, że powiedziała mu jasno, że to koniec ich związku.

Próbował odzyskać jej miłość, szukając dowodów przeciwko jednemu z największych dilerów narkotyków w Cork, ale został przyłapany i zamordowany.

Katie już nie usiłowała otrzeć łez, które spływały jej po policzkach i kapały z podbródka.

– Równie dobrze mogłam sama go zabić – wyznała. – Mogłam go zastrzelić we śnie. Przynajmniej umarłby, myśląc, że wciąż go kocham.

– Kathleen, często trudniej powiedzieć bolesną prawdę niż jej wysłuchać. Są sytuacje, kiedy niewinne kłamstwo jest lepsze... Na przykład gdy ktoś, kto jest śmiertelnie chory, pyta: „Nie umrę, prawda?”.

– Ale mogłam być dla niego lepsza. I nie musiałam mu przypominać o jego nieszczęściu, sprowadzając do domu Conora.

---

<sup>8</sup> Tłum. za Biblią Tysiąclecia.



– Wykazujesz naprawdę głęboką skruchę i silną chęć odnowienia bliskości z Bogiem.

– Tego tylko chcę, ojczec. Ale ojciec musi mi powiedzieć, jak mogę do Niego wrócić.

Hannigan położył rękę na jej ramieniu.

– Bóg, Ojciec miłosierdzia, który pojednał świat ze sobą przez śmierć i zmartwychwstanie swojego Syna i zesłał Ducha Świętego na odpuszczenie grzechów, niech ci udzieli przebaczenia i pokoju przez postugę Kościoła. Ja odpuszczam tobie grzechy w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.

– Nie da mi ojciec pokuty?

– Twoją pokutą jest zapalenie świeczki ku pamięci Johna i modlitwa za jego duszę. Nieważne, jakie będą słowa tej modlitwy, ale muszą być szczere. I chcę, żebyś wyraziła swoją wdzięczność Bogu, bo nigdy cię nie opuścił i cierpliwie czekał, aż znów się do Niego odezwiesz.

Katie otarła oczy. Ojciec Hannigan miał rację. Bez względu na to, jak bardzo skrzywdziła Johna, dopuściłaby się jeszcze większej krzywdy, oszukując go, a teraz i tak nic nie mogło przywrócić mu życia.

– Wystawiajmy Pana, bo jest dobry – pocieszył ją Hannigan.

Przeżegnała się i wyszeptwała:

– Niech Jego miłosierdzie trwa na wieki.

Wstała i podeszła do niszy, gdzie wotywnie świece płonęły w czerwonych szklanych naczynkach. Wzięła świeżą świecę i Hannigan podał jej zapałki.

– Ostrożnie – powiedział, gdy potarła zapałkę i knot zapłonął. – Lepiej, żebyś dodatkowo nie oparzyła się na pokutę.

Odwróciła się i patrzyła na księdza, gdy wziął ją za nadgarstek i dmuchnął na płomyk. Kiedy Adeen wylała herbatę, powiedziała: „Parzy!”; ona uznała, że mówi o herbacie. Ale może chodziło jej o to, że pieką ją oparzone plecy. Mieszkaniec Cork powiedziałby raczej, że „piecze”; podczas gdy ktoś z Irlandii Północnej, że „parzy”.

Może Adeen była z Ulsteru i dlatego nikt nie zgłosił zaginięcia; żadna szkoła nie poinformowała, że Adeen nie przyszła na lekcje.

– Co? – spytał Hannigan, znów zdejmując okulary.

Widząc spojrzenie jego bladoszarych oczu, Katie była pewna, że czyta w jej myślach. Poznała księży, którzy rozumieli jej duchowe potrzeby, ale nigdy osoby równie wrażliwej na to, co czuła.

– Nie wiem – odparła. – Może się mylę. Ale może przysłałam tu z powodu księdza, może zostałam tu przysłana, żeby za sprawą Boga spotkać ojca.

– Chyba nie rozumiem.

– Oczywiście, ojcie. Ja sama nie jestem pewna. Ale wkrótce się dowiem. I dziękuję za wysłuchanie mojej spowiedzi. Uwolnił mnie ksiądz od wielkiego bólu.

Hannigan uśmiechnął się, chociaż najwyraźniej nadal był zdziwiony jej słowami.

– Może teraz odmówisz modlitwę za Johna. Poczujesz się jeszcze lepiej.

## ROZDZIAŁ 17

Detektywi Dooley i O'Mara zatrzymali się przed wysokim, brązowym budynkiem przy North Main Street, a tuż za nimi radiowóz z dwoma mundurowymi.

Dochodziło wpół do czwartej nad ranem. Padali z nóg. Zwykle nastroszone włosy Dooleya przyłgnęły z jednej strony do głowy po tym, jak zasnął na winylowej kanapie w sali odpraw, a barczysty rudowłosy i zwykle rumiany O'Mara był blady jak piekarz.

Kiedy wysiadali z wozu, usłyszeli miauczącego kota i przytłumione głosy damsko-męskiej kłótni, ale poza tym ulica była cicha. Podeszli do nich mundurowi. Jeden machał czerwonym taranem. Drugi szeroko ziewał.

– To tu Coughlan kimał ostatnio, jak mu zbrakło szczęścia – powiedział Dooley. – Miał inną dziewczynę w Mayfield, ale z tego, co słyszałem, jej stara miała go dość, bo nigdy nie spuszczał po sobie wody. Własna matka też pokazała mu drzwi.

Jeden z mundurowych popatrzył na budynek.

– Trzecie piętro od frontu, tak? – spytał.

– Zgadza się. Okno z udrapowanymi zasłonami. Nie sądzę, żeby bardzo utrudnił nam życie. Nawet jego kumple mówili mi, że w nocy przeważnie jest nawalony, kompletnie uchłany albo jedno i drugie.

– W porządku. Gotowi? – spytał mężczyzna z taranem.

– Wał, chłopie – rozkazał Dooley.

Mundurowy podszedł do drzwi frontowych i stanął przed nimi, rozstawiając szeroko nogi. Drzwi były stare, z łuszczącą się brązową farbą, i Dooley widział, że są zamykane na dwa zamki, yale i chubb. Nie byłby zaskoczony, gdyby miały dolną i górną zasuwę, co nie stanowiłoby problemu; taran mógł rozbić znacznie solidniejsze drzwi, zaopatrzone w mocniejsze zamki. Był z pełnej stali i ważył szesnaście kilogramów. Nazywano go „wielkim czerwonym

kluczem”.

Mężczyzna zrobił zamach i jednym uderzeniem tarana wyważył drzwi. Rozłupane poleciały na podłogę korytarza. Razem z nimi przewrócił się mahoniowy wieszak i runęło szerokie, prostokątne lustro.

– Siedem lat nieszczęść murowane, Sean – powiedział drugi mundurowy.

Dooley i O’Mara przeszli po drzwiach i chrzęszczących odłamkach szkła. Zbliżyli się do wąskiej klatki schodowej, zapalając latarki. Budynek cuchnął kanalizacją, wilgocią, środkami dezynfekcyjnymi i przypalonymi kiełbaskami. Najszybciej i najciszej, jak się dało, poszli po schodach, jednak wykładzina miejscami była zupełnie przetarta, a niektóre stopnie skrzywiały tak, że aż uszy bolały.

Dotarli do podestu pierwszego piętra, gdy na trzecim otworzyły się drzwi i w dół klatki schodowej padło światło.

– Kto jest? – spytał niski, zaflęgmiony głos. – Co to, kurwa, za łomoty? Niektórzy chcą spać!

Chwilę po tym usłyszeli kobiecy skrzek:

– Dara! Dara!!! To tylko suka pod domem!

– Cholera – zaklął Dooley. Ruszył w głąb podestu, ale następne schody w górę były zablokowane złożonym wózkiem dzieciennym i wielkim zielonym workiem ze śmieciami. Zanim uporali się z przeszkodami i podjęli wspinaczkę, drzwi na górze zatrzasnęły się z hukiem i na klatkę schodową wróciła ciemność.

– Wasz Coughlan, bez dwóch zdań – powiedział jeden z mundurowych, dołączając do idących z przodu detektywów. – Przynajmniej warto było rozwalić drzwi.

Dooley dotarł do podestu drugiego piętra. O’Mara, który szedł tuż za nim, zaczął dyszeć z wysiłku.

– Jezu – wyrzęził. – Że też wieczorem musiałem nażreć się curry. Było ostre jak diabli. Zaraz wyrzygam serce i duszę.

Zatrzymał się w połowie podestu i zawisł na balustradzie, łapiąc oddech, podczas gdy Dooley ruszył wyżej. W świetle jego latarki pokazała się wyblakła brązowa tapeta z czarnymi plamami pleśni i

zwisający z sufitu brązowy abażur z frędzlami, wyglądający jak wielki pająk.

Dooley pokonał zaledwie kilka schodów, gdy usłyszał, że drzwi znów się otwierają, chociaż tym razem klatka schodowa pozostawała w ciemności.

– Dara!!! Kuźwa, w co ty zagrywasz? – zaskrzeczała kobieta.

Dara Coughlan nie odpowiedział, ale gdy Dooley poświecił w górę latarką, nagle wyrósł u szczytu schodów: wysoki, gruby, z ogoloną głową i opuchniętą twarzą. Nosił brudny biały bezrękawnik i Dooley widział byczy kark i ramiona pokryte wytatuowanymi wężami, kobietami i oznakami Gaelickiego Związku Sportowego. Luźne, czerwone nylonowe gatki sięgały do kolan, odsłaniając wytatuowane łydki.

W prawej ręce trzymał czarny plastikowy kanister z dyndającą żółtą zakrętką.

Dooley wszedł na siódmy stopień.

– Jak leci, Dara? – powiedział, siłąc się na przyjacielski ton; na chwilę oświetlił swoją twarz, by Coughlan wiedział, jak wygląda jego rozmówca. – Jestem Dooley, detektyw z komendy na Anglesea Street. Musisz pojechać ze mną i odpowiedzieć na kilka pytań.

– Spierdalajta – zawarczał Coughlan.

– Słuchaj, śmieciu, nie chcę cię aresztować. Byłoby lepiej dla wszystkich, gdybyś pojechał dobrowolnie, rozumiesz? Muszę z tobą pogadać o pożarze w studiu tańca Toirneach Damhsa. Nie zabierze nam to więcej czasu niż godzinę, dwie i jak będziesz mógł udowodnić, że nie jesteś w sprawę zamieszany, to zanim się obejrzysz, odwieziemy cię tu z powrotem i ułożymy lulu.

– Coś ty głuchy czy jak? Spierdalajta, mówię.

– Dara, mam ze sobą dwóch mundurowych i detektywa O'Marę i jeśli trzeba, zastosujemy środki przymusu bezpośredniego.

– Co jest grane, Dara? – znów zaskrzeczał kobiecie głos. – Czego oni chcą? Na litość Boga, coś ty znowu narobił, ty durna pizdo?

– Zamknij ryj, Millie! – odwrzasnął jej Coughlan, a Dooleyowi poradził: – Goń się, wysuwaj. Nic zem złego nie zrobił i nigdzie nie

jadę, ani z tobą, ani z żadnym innym.

Dooley wszedł dwa stopnie wyżej, na co Coughlan podniósł kanister.

– Daj spokój, Dara, nie bądź kretynem – zaapelował do niego Dooley. O'Mara i dwóch mundurowych byli już blisko.

– Ostrzegam was – zachrypiał Coughlan. – Jeszcze jeden stopień i, kurwa, usmażę cię, zobaczysz!

– Mówisz jak podpalacz z krwi i kości – zauważył Dooley. – Czemu nie odłożysz tego kanistra i nie wejdiesz do środka, żeby włożyć adidasy? Będziemy mogli wszyscy razem pojechać na komendę i pogadać po przyjaźni, kto spalił co, gdzie i dlaczego. Na miłość boską, chodzi tylko o to, żeby cię skreślić z listy podejrzanych. Sam musisz przyznać, że zawyżasz średnią podpaleń przypadającą na głowę w Cork, więc zrozumiemy, że musimy z tobą pogadać.

Wszedł na następny stopień i wtedy właśnie Coughlan nagle odwrócił kanister do góry dnem i oblał go całego benzyną. Detektyw przestał cokolwiek widzieć i mało się nie uduślił. Padł na czworaki, upuszczając latarkę. Coughlan tymczasem potrząsał gwałtownie kanistrem, niemal całkowicie go opróżniając.

O'Mara usiłował się przepchnąć obok kolegi, mundurowi też ruszyli w górę schodów, lecz Coughlan rzucił kanister, który odbił się od podłogi, tryskając resztkami benzyny, i wyjął z kieszeni spodenek zapałki.

Kiedy O'Mara w końcu dotarł do Coughlana i złapał go za ramię, ten zapalił wszystkie zapałki i rzucił je. Buchnęły płomieniem i kula ognia spowiła Dooleya.

Krzyczał i usiłował stanąć na nogi, wymachując rękami. Przez chwilę wydawało się, że składa się z samych płomieni jak Wiklinowy Człowiek z filmu *Kult*, ale gdy uchwycił się balustrady i dźwignął na nogi, z płomienistego kołnierza wychynęła głowa. Włosy miał już zwęglone, usta popękane, policzki okryte sadzą, gałki oczne wybałuszone, nabiegłe krwią, przypieczone.

Benzyna oblała też O'Marę i płomienie lizały mu kurtkę i nogawkę spodni. Tam gdzie odbił się kanister, wykładzina zajęta się ogniem i

poparzone bosc stopy Coughlana nabrały szkarłatnej barwy. Zaryczał jak ranny słoń, drepcząc w bólu, po czym zatoczył się w tył, ku otwartym drzwiom. i uderzył o ścianę.

Żar ognia, który pochłonał Dooleya, przyprowadził wszystkie jego mięśnie o skurcz i detektyw poleciał do tyłu. Mundurowi usiłovali go złapać, ale tylko ten, który obsługiwał taran, miał rękawice, a Dooley płonął ogniem. Obracając się, stoczył się z łomotem na sam dół schodów i zastygł tam powykręcany jak swastyka, choć pomarańczowe płomyki nadal wyskakiwały ze zwęglonych, czarnych łusek, w które zamieniło się jego ubranie.

Mundurowi zerwali z siebie odblaskowe kurtki i narzucili je na Dooleya. Udało im się zdusić płomienie, ale trząsł się i dygotał; przeżywał wstrząs neurogeny. Jeden z mężczyzn włączył nadajnik i wzywał karetkę i wsparcie.

– Szybko, jak się da, dziewczyny, to jeden z naszych!

Klatka schodowa wypełniła się kłębamii dymu, cuchnącego benzyną i spalenizną. O'Marze udało się zdusić płomienie, które osmałiły mu ubranie, i chociaż ręce miał w pęcherzach, a lewą nogę tak obolałą, że kulał, przeciął podest i podszedł do ciemnego wejścia, w którym zniknął Coughlan.

– Dara!!! – krzyknął ochryptym od dymu głosem. – Dara, tu detektyw O'Mara. Musisz wyjść, chłopie!

Kleił się plecami do ściany, nie wkraczając na obszar tak zwanego trójkąta śmierci, gdzie każdy wchodzący do pomieszczenia jest najbardziej narażony na postrzelenie. To, że Dara Coughlan był wielokrotnym podpalaczem, jeszcze wcale nie znaczyło, że używa wyłącznie benzyny. Równie dobrze mógł mieć pistolet albo obrzyn. Mógł zaatakować nożem, maczetą, toporem.

– Liczę do pięciu i masz wyleźć – zapowiedział O'Mara, usiłując opanować kaszel. – W drodze jest wsparcie i będą uzbrojeni. Nie masz żadnej szansy uciec! Najmniejszej!

Dara powiedział coś niezrozumiałego, a potem znów rozległ się kobiecy głos:

– Tyżeś kompletnie ocipiał! Coś ty narobił? Mogłeś, kurwa, spalić

cały dom! Pojebało cię! Jezu!

– Zamknij się, babo, na dwie minuty!

– Co ty teraz kombinujesz? Właśnie podпалиłeś glinę, świrze! Myślisz, że ci powiedzą: „Och, nic się nie stało, chłopie” i dadzą ci żyć?

– Zamknij się, dobra?! Kurwa, głowa mi przez ciebie pęka!

Jeden z mundurowych wszedł na górę, żeby sprawdzić, jak idzie O'Marze. Ten spytał:

– Co z Dooleyem?

Mundurowy pokręcił głową.

– Źle. Nie wiem, czy się wyliże. Ale karetka będzie lada moment i przysyłają ludzi z Oddziału Wsparcia.

Coughlan i jego dziewczyna nadal się kłócili.

O'Mara przyłożył palec do ust.

– Wygląda na to, że nie jest uzbrojony. I chyba zupełnie się podłamał.

– Słyszałem, że namawiałeś go, żeby wyszedł. Nic nie odpowiedział?

Detektyw zaprzeczył ruchem głowy.

– Myślę, że możemy zaryzykować i wejść. Z mieszkania nie ma innego wyjścia. To raczej kawalerka. Wyjście ewakuacyjne jest tam, obok sracza, i patrz, jest zamknięte na kłódkę.

Z oddali krótko zawyła syrena karetki. Mundurowy podszedł do balustrady i spojrzał na dół, gdzie jego kolega klęczał obok leżącego Dooleya.

– Wciąż żyje! – krzyknął.

Mundurowy wrócił do O'Mary.

– Dobra – rzucił. – Zgarnijmy sukinsyna.

– Dara! – krzyknął O'Mara. – Chłopie, czas ci się kończy. Trzy... cztery... pięć! Wychodzisz czy nie?

Coughlan nie odpowiedział, ale jego dziewczyna wrzasnęła:

– Dara!!! Dara... Co ty robisz? Dara, złaż stamtąd!

O'Mara i mundurowy nawet nie musieli porozumieć się wzrokiem. Wpadli do mieszkania, światła latarek skrzyżowały się w ciemności.



– Dara! – krzyknął O'Mara. – Zostań na miejscu! Nie ruszaj się! I ręce na głowę!

Dziewczyna Coughlana włączyła górne światło. O'Mara miał rację; to była kawalerka z podwójnym łóżkiem ze skotłowaną pościelą, z wystrzępionymi wiklinowymi fotelami, blatem kuchennym z płyty wiórowej, na którym był mały zlew ze stali nierdzewnej i mikrofalówka. Ściany były w brązowo-złote pasy, a nad łóżkiem wisiała duża reprodukcja – Jezus otoczony dziećmi, szczeniakami i kociętami.

Pokój śmierdział zatęchłymi konopiami, potem i Estée Lauder White Linen.

Dziewczyna stała za blatem, krzyżując ręce na brzuchu, bardziej przybita niż zła. Na głowie miała burzę tlenionych loków. Jej niedawno dziecięca twarz była obrzmiała jak z pianki cukrowej, mascara roztopiła się na rzęsach i powiekach. Nosiła czarny przezroczysty negliż i jak Dara miała na ramionach tatuaże, w tym na barku Matkę Boską z miną tak nadętą, że można by ją wziąć za polityka z Irlandii Północnej, Martina McGuinnessa.

O'Mara po zapaleniu światła nie dostrzegł Coughlana. Ale dziewczyna ruchem głowy wskazała grube brązowe zasłony i spostrzegł, że wybrzuszą się do wewnątrz.

– W porządku, Dara, złaż z parapetu – poradził mu O'Mara. Silił się na spokój i zdecydowanie w głosie, ale wstrząs po oparzeniu i widok płonącego kolegi zrobiły swoje, tak że niezbyt mu to wychodziło. – Zrozum, chłopie, że muszę cię aresztować za napaść na funkcjonariusza sił porządkowych.

– Spierdalaj – doszedł przytłumiony głos zza zasłony.

– Daj spokój, Dara, nie bądź kretynem. Nie masz gdzie zwać.

Usłyszeli szcęk otwieranego okna i poczuli przeciąg.

– Dara! Co ty wyprawiasz, zakuta pało?! – wykrzyknęła dziewczyna.  
– Skaczesz z okna, kurwa? A skacz se, skacz, pofruniesz pierwszy raz i ostatni!

– Przymknij się, dziewczyno – rozkazał mundurowy.

– Nie przejmuj się – rzucił O'Mara. – Jest dobre dziesięć metrów do

ziemi. Nie skoczy.

Ruszył do okna, ale w tej samej chwili rozległo się szurnięcie po parapecie. Zastona zafalowała w przeciagu, do środka pokoju i z powrotem. O'Mara usłyszał ostry trzask, dzwonięcie, wibrację uderzonego metalu, a potem wrzask, jakiego nigdy do tej pory nie słyszał. Jeśli w ogóle mu coś przypominał, to może okrzyk bezradności i oszołomienia, jaki wydał jego synek po przyjsciu na świat.

Rozsunął zastony. Okno było szeroko otwarte. Dara Coughlan jednak skoczył. Ale zamiast wylądować na chodniku, co jeszcze mogłoby go uratować, nadział się na znak zakazu parkowania. Zwisiał poziomo dwa metry nad ziemią. Powoli machał wytatuowanymi kończynami, jakby pływał.

Dziewczyna podbiegła do okna, a kiedy go zobaczyła, bez słowa osunęła się na podłogę.

W tym momencie z Adelaide Street wynurzyła się karetka i bez syreny, ale z mrugającym kogutem zbliżała się, jadąc North Main Street.

– Lepiej wezwij też straż – powiedział O'Mara. – Za cholerę nie wiem, jak zdejmujemy go z tego znaku.

Podczas gdy mundurowy telefonował po straż pożarną, jemu udało się wsunąć ręce pod spocone tłuste pachy dziewczyny i zaciągnąć ją na łóżko. Tylko bełkotała i jęczała, ale oddychała i mrugała. Niemniej jednak O'Mara wiedział, że musi poprosić ratowników medycznych, by ją zbadali. Sądząc z zachowania dziewczyny i Coughlana, prawdopodobnie brali heroinę i N-bombs albo parafluorofentanyl, albo wszystkie trzy.

– Dobra, ładujmy się na dół i obejrzymy tego pieprzonego wieloryba, co się nadział na harpun – zażartował, ale drżącym głosem.

Kiedy zeszli po schodach, zobaczyli, że ratowniczką już klęczy obok Dooleya i otwiera torbę. Była krótkowłosą brunetką i O'Marze skojarzyła się z jedną z sióstr Nolan.

– Mój Boże – powiedziała. – Tamten na znaku wyskoczył z okna?

– Pewnie wymyślił sobie, że jest latawcem – odparł O’Mara. – To jego sprawa, oblał nas benzyną. Wezwaliśmy wsparcie i straż.

W tym momencie siwy ratownik, głośno tupiąc, wszedł na schody, a za nim w kamizelkach kuloodpornych dwaj uzbrojeni funkcjonariusze z Regionalnego Oddziału Wsparcia.

Ratownik popatrzył na Dooleya.

– Gość na znaku poszedł do swego Stwórcy. – Mówił tak pozbawionym wyrazu, bezbarwnym, rzeczowym tonem, jakby każdego dnia tygodnia oglądał wytatuowanych grubasów na słupkach zakazu parkowania. Ukłąkł obok Dooleya i spytał: – Co z nim?

– Jak to się stało? – zwrócił się do O’Mary jeden z ludzi z Oddziału Wsparcia. – Wyskoczył z okna czy co? Kto to?

– Nazywał się Dara Coughlan. Ma na koncie tyle podpaleń, że w głowie się nie mieści. Przyjechaliśmy zabrać go na przesłuchanie w sprawie pożaru w studiu tańca.

– I co? Oblał was benzyną?

– Dooleyowi dostało się najgorzej.

Mężczyzna pochylił się i popatrzył na szerniącą twarz Dooleya.

– Matko Boska, to jest Bobby Dooley? Chodziłem z nim do ogólniaka! O Jezu!

– Trzeba jeszcze się kimś zająć? – spytał ponuro jego kolega, który trzymał wyprostowany palec przy spuście karabinka Heckler & Koch MP7.

– Jest tylko dziewczyna Coughlana – odparł O’Mara. – Jest nieprzytomna na górze, po parafluorofentanylu albo czymś podobnym. Bóg wie.

Klatkę schodową rozjaśniły ostre błyski niebieskich świateł, co znaczyło, że przyjechała straż pożarna.

– Lepiej zejdę na dół i sprawdzę, co jest grane – powiedział O’Mara.

– Muszę zadzwonić do sierżanta Begleya i go obudzić. Nie będzie zachwycony. Trzeba też porobić jakieś zdjęcia i zebrać materiał dowodowy, więc skontaktuję się z Billem Phinnerem.

Ten, co trzymał palec przy spuście karabinka, przyjrzał mu się,

marszcząc brwi.

– Dobrze się pan czuje?

– Co? Tak. Nie. Świetnie.

O'Mara popatrzył na dwójkę ratowników nadal pochylonych nad Dooleyem.

– Co z nim? – spytał.

Kobieta wstała i odgarnęła z czoła włosy.

– Przykro mi. Zmarł. Nie mogliśmy mu pomóc.

O'Mara skinął głową i przeżegnał się. Nie chciał patrzeć na Dooleya; wolał go zapamiętać takiego, jaki był – uśmiechniętego, młodego, pryszczatego – nie upiorną spaloną maskę.

Zszedł na dół. Dwa wozy strażackie parkowały przy krawężniku; strażacy otoczyli kręgiem słupek znaku, na który nadział się Coughlan. Chociaż była dopiero czwarta rano, na rogu Kyle Street zebrał się tłum gapiów w piżamach; patrzyli, co się dzieje, i nagrywali filmy smartfonami.

Zbliżył się do znaku i popatrzył na Coughlana, któremu kończyny opadały jak topielcowi unoszącemu się na wodzie. Oczy miał nadal otwarte i ślepo wpatrywał się w chodnik, z ust zwisała cienka struga zakrwawionej flegmy. Metalowy słupek przebił jamę brzuszną tuż poniżej mostka, ale choć czerwono-biała dwustronna tarcza znaku wygięta się na boki i wyglądała teraz jak wielkie, razem sklejone uszy, zapobiegła osunięciu się zwłok.

Zastużyłeś na to, gnoju, pomyślał tylko O'Mara. Mam nadzieję, że pozostaniesz na wieczność człowiekiem-kebabem i że będziesz płonąć po wsze czasy, jak płonęli ludzie, których spaliłeś i których próbowałeś spalić. Amen.

Podszedł do niego jeden ze strażaków.

– Jeśli to panu nie przeszkadza, odcielibyśmy słupkę szlifierką kątową – powiedział. – Będzie o wiele łatwiej niż podnosić gościa. Jest taki wielki, że wbił się na amen.

O'Mara podniósł rękę na znak, że rozumiał, ale po chwili rzucił:

– Zaczekacie na mnie? Zaraz do was wrócę.

Odwrócił się i odszedł na sztywnych nogach za róg, na ciemny

dziedziniec kościoła Świętego Piotra. Trzymając się balustrady, wymiotował trzy zabarwione na brązowo strugi curry, które rozbryzgały się na ścianach z wapienia i na jego butach.

## ROZDZIAŁ 18

Katie śniła, że robi zakupy w English Market, ale straciła z oczu Johna. W końcu zobaczyła go stojącego za fontanną. Wydawało się, że szuka jej wzrokiem.

Chodzi! – pomyślała we śnie. Jednak nie stracił nóg! Dzięki Bogu! Teraz nie muszę się zadręczać!

Zawołała go, ale torba z zakupami była niewiarygodnie ciężka i jej ucho owinęło się wokół nadgarstka Katie, tak że zanim przywlokła się z zakupami za fontannę, John zniknął. Poszła do rzeźnika, Toma Durcana, spytać, czy go widzieli, i właśnie wtedy obudził ją iPhone, grając *Fear a' Bháta*.

Usiadła niepewna, czy to sen, czy jawa. Na dworze było ciemno, a zegarek przy łóżku wskazywał 5:01.

– Tak? – wymamrotała. Miała wrażenie, że delikatne drobiny piasku okleiły jej język.

– Tu sierżant Begley, pani nadkomisarz. Przepraszam, że budzę. Niestety, mam bardzo złe wiadomości.

Zapaliła lampkę przy łóżku. Widziała swoje odbicie w lustrze sypialnianej szafy; włosy sterczały jej jak koguci grzebień.

– Co się dzieje, Sean?

– Robert Dooley nie żyje – zameldował Begley i umilkł, jakby musiał przetknąć ślinę.

– Co?! Jezu... jak?

– Spalił się. Próbował ściągnąć na przesłuchanie tego podpalacza, Darę Coughlana, i sukinsyn oblał go całego benzyną i podpalił.

Katie miała wrażenie, że wnętrzości osunęły jej się gwałtownie, jakby jechała windą i nagle opadła trzy kondygnacje.

– O mój Boże – wyszeptała. – Bardzo cierpią?

– O'Mara twierdzi, że umarł prawie od razu. Z powodu wstrząsu, tak powiedział.

Odrzuciła na bok kołdrę i usiadła.

– A Bryan O'Mara? W porządku? Mieli wziąć ze sobą dwóch mundurowych. Czy któryś z nich ucierpiał?

– O'Mara ma lekkie oparzenia, pani nadkomisarz, ale nic poważnego. O ile wiem, mundurowi nie odnieśli żadnych ran.

– Biedny Robert. Nie mogę w to uwierzyć. Co za straszna śmierć! A miał przed sobą taką przyszłość. I miał narzeczoną, prawda? Jakąś dziewczynę z Macroom, z którą miał się ożenić?

– Zgadza się. Ale problem w tym, że Dara Coughlan też nie żyje.

– Jest coraz gorzej. A ten? Jak umarł?

– O'Mara chciał go obezwładnić i Coughlan rzucił się z okna trzeciego piętra. Wygląda na to, że on i jego dziewczyna byli kompletnie naćpani. Spadł na znak drogowy zakazu parkowania i nadział się na słupek.

– Żartujesz.

– Chciałbym. Strażacy musieli przeciąć słupek i zabrać Coughlana do kostnicy z kawałkiem sterczącym z ciała.

– Gdzie to się zdarzyło? Robert mówił mi, że namierzył Coughlana przy North Main Street.

– Właśnie tam się to stało, przy North Main Street. Prawie obok Świętego Piotra, naprzeciwko Kyle Street. Zamelinował się u jakiejś dziewczyny, w jej kawalerce. Zabrali ją do szpitala z podejrzeniem przedawkowania narkotyków.

– W porządku, Sean. Ubiorę się i przyjadę na komendę najszybciej, jak się da. Powinnam dotrzeć tam przed szóstą.

– Czeka panią masa spraw do rozwiązania, pani nadkomisarz, mówię pani. Przed chwilą był u mnie Mathew McElvey z biura prasowego. Gazety i telewizja wiedzą o wszystkim, a co gorsza, w internecie są już nagrania Coughlana nadzianego na znak. Pół świata już je obejrzało.

– Och, fantastycznie! A na dzisiaj po południu mam zaplanowaną konferencję prasową w związku z tym pożarem w Toirneach Damhsa.

– Będę na panią czekał na komendzie, pani nadkomisarz. Przekażę

wiadomości komendantowi MacCostágainowi i nadkomisarzowi Pearse'owi. Biedny Robert Dooley, niech spoczywa w spokoju.

– Amen – dokończyła Katie i rozłączyła się.

\* \* \*

Zaraz po dotarciu na Anglesea Street wezwała Mathew McElveya i jego asystentkę Siobhán, by przygotować konferencję prasową. Mathew miał na sobie biały sweter z grubej irlandzkiej wełny i džinsy, w których przyjechał na komendę w środku nocy. Jeszcze się nie ogolił. Siobhán była w obcisłym błyszczącym czarnym topie i krótkiej spódniczce z czerwonej tafty. Tłumaczyła, że bawiła się w Voodoo Rooms i nawet nie zdążyła się położyć.

– Pewnie ucieszy panią wiadomość, że Facebook zdjął nagranie Coughlana nabitego na znak – powiedział Mathew. – Oczywiście telewizja i gazety mają zdjęcia, ale już im zapowiedziałem, że nie wolno ich ujawniać, bo mogą posłużyć za materiał dowodowy i publikacja zaszkodziłaby śledztwu. Poza tym nie wydaje mi się, żeby zdecydowali się je pokazywać, choćby tylko ze względu na poczucie dobrego smaku. Nie sądzę, żeby ktoś do jajek na bekonie chciał oglądać grubasa nadzianego na metalowy słupek.

Otworzył laptopa, wcisnął kilka klawiszy i podał komputer Katie, by mogła obejrzeć nagranie z Coughlanem, które na krótko pojawiło się w internecie.

– Uff – mruknęła. – Teraz rozumiem, o co ci chodziło. Cieszę się, że jestem przed śniadaniem.

– Laboratorium kryminalistyczne zrobiło mnóstwo zdjęć i oczywiście będą dużo bardziej szczegółowe. Na pewno już je pani przestali.

– W takim razie ograniczę się do kawy. – Katie odsunęła laptopa.

– Więc co mówimy mediom? – spytał Mathew, wyjmując notatnik.

– Na razie nagie fakty, ale chcę jasno dać do zrozumienia, że zależało nam na przesłuchaniu Coughlana, ponieważ wielokrotnie podkładał ogień i dlatego stał się podejrzanym w sprawie Toirneach Damhsa. Nadal nie mamy jego pełnego życiorysu i nie wiemy, czy



coś go łączyło z członkami zespołu. Nie, nie mów im tego... tylko że nie mamy pełnego wglądu w jego życiorys.

Przerwała, chwilę się zastanawiała i dodała:

– Możesz powiedzieć, że to, co się wydarzyło, to tragedia i opłakujemy utratę jednego z naszych najbardziej obiecujących detektywów. Był oddany służbie, wykwalifikowany i nie bał się ryzyka. Składamy wyrazy współczucia jego rodzinie i przyjaciółom i wszystkim, którzy mieli okazję poznać jego inteligencję i wdzięk.

– Tylko tyle? – spytał Mathew, notując.

– Na tę chwilę tak. Możesz dodać, że więcej szczegółów przedstawię po południu na konferencji prasowej związanej z pożarem Toirneach Damhsa, bo śmierć Coughlana wiąże się z tym śledztwem. Jeśli się uda, powinnam mieć do tej pory więcej informacji.

Kiedy tylko Mathew i Siobhán wstali, do drzwi podszedł detektyw sierżant Begley. Katie nigdy nie widziała go w tak ponurym nastroju.

– Jak się trzymasz, Sean? – spytała go.

– Dzień dobry, pani nadkomisarz. Przychodzę tylko powiedzieć, że w Szpitalu Sióstr Miłosierdzia opatrzone O'Marze oparzenia. Upiera się, że to nic poważnego, ale pojechał do domu się przebrać i trochę odetchnąć po szoku.

– Opowiedział ci, co dokładnie się wydarzyło?

– Złożył raport telefonicznie, kiedy czekał w szpitalu, co, oczywiście, zostało nagrane. Mam też notatki dwóch mundurowych, którzy z nimi byli. Bryan mówi, że gdyby pani miała jakieś pytania, z przyjemnością odpowie na nie w domu.

– Wspaniale, Sean. Po południu mam konferencję prasową.

– Poinformowałem komendanta MacCostagáina i inspektora Murphy'ego o Dooleyu. Nadkomisarz Pearse jest dziś nieobecny. Ma pogrzeb ojca w Carrigaline.

Dzień zmarłych, pomyślała Katie. Ale powiedziała tylko:

– Rozumiem. W porządku. Bardzo dziękuję.

– Jeszcze jedno – rzucił Begley. – Komendant MacCostagáin prosił, żeby przysłała pani o dziewiątej do jego gabinetu. Ma jakąś radę z

nowym zastępcą komendant głównej i nadkomisarzem ze Specjalnego Biura Śledczego.

– Och, w porządku, jasne. Ze Specjalnego Biura Śledczego? Chyba nie trzeba geniusza, żeby zgadnąć, o co tam będzie chodzić.

Katie podniosła pokrywkę kubka z cappuccino. Jeśli zaangażowano Specjalne Biuro Śledcze, chodziło o przedyskutowanie środków bezpieczeństwa z okazji wizyty ministra obrony Wielkiej Brytanii, Iana Bowthorpe'a, którego wizytę w Irlandii zaplanowano na przyszły tydzień. Najpierw miał przylecieć do Dublina, by omówić zabezpieczenie granic po brexicie, a potem pojawić się w Cork, żeby przedyskutować przyszłą współpracę irlandzkiej marynarki wojennej z marynarką brytyjską i siłami ONZ.

Zwykle Garda Síochána zawiadomienie o wizycie polityka takiej rangi otrzymałaby dużo wcześniej. Podwładni Katie mieliby wiele czasu na stawianie drinków swoim informatorom i ocenienie, czy jacyś odszczepieńcy z IRA w Cork nie szykują czegoś, co może poważnie zagrozić życiu Bowthorpe'a. Ale tę wizytę zaplanowano z bardzo niewielkim wyprzedzeniem, głównie z powodu silnej presji nacjonalistycznej partii Sinn Féin, domagającej się referendum w sprawie zjednoczenia Irlandii. Nawet premier zasugerował, że powszechne głosowanie nie jest wykluczone, więc Bowthorpe przylatywał, by zapewnić parlament, że nie będzie powrotu do posterunków wojskowych i wież strażniczych, które rozdzielały granicę jak podczas kilkudziesięciu lat zamieszek o podłożu narodowościowym, i że siły morskie Wielkiej Brytanii i Irlandii nadal będą współpracować dla wspólnego bezpieczeństwa.

O wpół do ósmej pojawiła się Moirin. Katie zadzwoniła do niej z prośbą, by przyszła wcześniej, bo zapowiadało się, że ona całe przedpołudnie będzie odpowiadać na pytania związane ze śmiercią Dooleya, a poza tym musiała się przygotować na popołudniową konferencję. Mieli być obecni wszyscy krewni tancerzy, którzy stracili życie w pożarze, a także media, przedstawiciele straży pożarnej i badający śledczy pożarnictwa. Katie potrzebowała ostatnich raportów doktor Kelley, a od Phinnera nie tylko ostatniego

raportu z laboratorium kryminalistycznego w sprawie pożaru studia tańca, ale też informacji na temat śmierci Coughlana.

Moirin była bardzo poruszona.

– Nie mogę uwierzyć, że Dooley nie żyje, był taki młody... Zawsze przynosił mi pączki z czekoladą. Taki był z niego słodziak.

– Wiem – powiedziała Katie. Sama czuła się jak odrętwiała po jego śmierci i nie mogła sobie wyobrazić, że ten chłopak już nie wejdzie do jej gabinetu, mówiąc, że przywiózł Darę Coughlana i że ten jest gotowy do przesłuchania w pokoju na dole.

Zawsze żartował. Pamiętała, jak opowiedział jej o swoim ojcu zatrzymanym w trakcie jazdy pod prąd przez Cornmarket Street. Zapytany, co wyczynia, odpowiedział: „Do roboty jadę. Nie wiedziałem, że to jednokierunkowa. Myślałem, że nawaliłem, i wszyscy już ciągną z roboty do domu”.

Uśmiechnęła się smutno, ale nie uroniła łzy. Dość się ostatnio napłakała.

Komenda działała jak zwykle. Telefony dzwoniły, za drzwiami jej gabinetu kroki dudniły na korytarzu w obu kierunkach. Niemniej jednak docierało do niej, że rozmowy są przyciszone i w całym budynku wyczuwa się wstrząs i poczucie straty.

Piętnaście po ósmej pojawiła się Kyna w czerwonej przepasce, bardzo krótkiej czerwonej trykotowej spódniczce i butach za kolano.

– Boże, czuję się strasznie – powiedziała. – Przecież powinnam być na czarno.

– Och, przestań – łagodnie zgał ją Katie. – Robert by to zrozumiał.

– Zobaczyłam wszystko w wiadomościach, jak się obudziłam. Nie podali jego nazwiska, ale domyśliłam się, że to on, kiedy powiedzieli, że to się stało przy North Main Street. Jakie to tragiczne... Czy jego rodzice już wiedzą?

– Są na wakacjach w Portugalii, ale wracają dziś wieczorem.

Kyna usiadła.

– Jezus, nie mogę w to uwierzyć. To prawda, że ten koleś, którego próbował ściągnąć na przesłuchanie, wyskoczył z okna i nabił się na

znak?

– Jeśli chcesz zobaczyć, mam zdjęcie w komputerze.

– Nie, dzięki. Są takie rzeczy, że jak raz je zobaczysz, zawsze będą ci stać przed oczami. Jak mój wczorajszy wieczór w Templegate Tavern. Ten gość, Davy Dorgan, przybił rękę innego gościa, Liama, do stolika. Dosłownie. Przygwoździł mu rękę sprężynowcem. I to tylko dlatego, że koleś do mnie zagadał i nie chciał mu powiedzieć, o czym rozmawialiśmy.

– Właściciel go nie wyrzucił?

– Nikt nie powiedział słowa. Wszyscy boją się śmiertelnie tego Davy’ego. Później mieli jakieś konklawe na tyłach. Zeszło się z piętnastu gości, mówię ci, zakazane typy. Nie wiem, o czym tam mówili, ale wyszli po jakiejś półgodzinie. Wypili morze piwa, każdy poza Davym, który nie pije. Dziewczyna zaśpiewała za Nialla Gleesona *The Lament of the Three Marys* i wszyscy się dołączyli. Chór torturowanych borsuków zawyłby to lepiej.

– Co o tym myślisz? – spytała Katie, odchylając się na oparcie krzesła. – Czy ten Davy to drugi Quilty? Nie tylko przemycza papierosy, ale jest z Autentycznej IRA? Tak oceniasz tych facetów?

– Kiedy przyszedł, spytał dwóch gości, którzy już siedzieli w pubie, o czym ze mną rozmawiali, i jeden z nich, Billy, zażartował, że planują wysadzić Muzeum Narodowe. Davy’ego szlag trafił i mało nie oderwał mu ucha.

– Martwię się, bo brytyjski minister obrony w przyszłym tygodniu odwiedza Cork. Nie chcę, żeby jakiś nieznany nam odłam republikanów próbował go sprzątnąć.

– W każdym razie zostałam zatrudniona w Templegate. Właściciel mnie polubił i jadę tam dziś wieczorem. Ale najważniejsze, że Liam, młody koleś, który dostał nożem w rękę, mnie polubił, i to bardzo. Chyba się we mnie zabujał.

Katie pokręciła głową.

– Gdyby tylko wiedział...

– Najważniejsze, że chyba mogę z niego wyciągnąć, co knuje Davy z resztą tych koleś. Oczywiście może się za tym nic nie kryć. Może są

wolnomularzami i ten lokal to ich loża. Ale nigdy wcześniej nie widziałam wolnomularza, który przygwoździłby innemu gościowi rękę do stolika, nawet kielnią.

– No dobrze, w takim razie powodzenia. Ale, na miłość boską, uważaj... zwłaszcza na tego Davy’ego Dorgana.

– Między innymi dlatego przyszedłam dziś na komendę. Myślę, że pochodzi z Cork, ale większość życia spędził w Ulsterze. Kiedy traci nad sobą panowanie, słyszeć akcent. Chciałabym spytać policji w Irlandii Północnej, czy ma u nich kartotekę.

– W porządku. Bądź w kontakcie. I sama nie zabujaj się w tym Liamie.

Popatrzyły na siebie nad biurkiem. Gdyby Katie nie była nadkomisarzem, a Kyna jej podwładną i gdyby nie ustaliły, że chowają w kącie wszelkie uczucia, które do siebie żywiły, wstałyby, uściskały się i ucałowały. Tymczasem Kyna powiedziała tylko:

– Nie ma mowy. Jest z pięć lat ode mnie młodszy i ma wągry.

## ROZDZIAŁ 19

Zanim Katie poszła na spotkanie z komendantem MacCostagáinem, zastępcą komendant głównej, Magorianem, i nadkomisarzem ze Specjalnego Biura Śledczego, wezwała detektywa O'Donovana. Był poważny i przejęty jak wszyscy, których widziała tego dnia.

– Dziś po południu na konferencji prasowej wygłoszę oświadczenie w związku ze śmiercią Roberta – powiedziała. – Tak się składa, że miał zaplanowane przesłuchanie dwóch podejrzanych w sprawie pożaru w Toirneach Damhsa i chciałabym, żebyś sprowadził ich dzisiaj po skończeniu konferencji.

– Żaden problem – odparł O'Donovan. – I muszę przejrzeć wszystkie notatki Dooleya, żeby sprawdzić jego postępy w sprawie.

Katie spojrzała na ekran komputera.

– Jest Douglas Cleary, były narzeczony dziewczyny, którą znaleźliśmy zastrzeloną na strychu. Jest Steven Joyce, dawny menedżer Toirneach Damhsa ekswspólnik Danny'ego Coffeya. Wygląda na to, że były między nimi jakieś poważne tarcia po tym, jak się rozdzielili. Więcej, Coffey jest przekonany, że to Joyce podłożył ogień, chociaż raczej nie ma na to dowodów.

– A ten Cleary?

– Był w Manchesterze, kiedy wybuchł pożar, ale mógł wynająć kogoś, żeby wykonał robotę za niego. Wygląda na to, że jego narzeczona miała romans z jednym z tancerzy, Ronanem Barrettem, więc miałby motyw. Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się prawdopodobne, żeby to on był sprawcą, ale jak do tej pory nie mamy zielonego pojęcia, kto był podpalaczem, więc nie możemy wykluczyć nikogo.

– Oczywiście. Coś jeszcze?

– Bill Phinner powiedział mi, że środek chemiczny, który spowodował wybuch pożaru, jest czasem używany przez wojsko.

Wiesz, że to substytut napalmu? Tyle że ulega samozapłonowi: kiedy tylko połączy się z powietrzem, płonie. Więc warto sprawdzić, czy któryś z podejrzanych na liście Roberta nie miał powiązań z armią.

– Jasne, da się zrobić bez problemu. Mam świetny kontakt w garnizonie, nazywa się Barry Brady, porucznik Barry Brady. Mieszkaliśmy przy tej samej ulicy, razem graliśmy w krykieta. Pracuje w arsenale, więc jeśli jakiegoś z tych materiałów brakuje, będzie o tym wiedział.

– To się szczęśliwie złożyło. Ale Bill powiedział również, że tego materiału używa się przy wytwarzaniu półprzewodników i tworzyw sztucznych. Są dwie firmy w Cork, które produkują te artykuły, jedna w Bishopstown, a druga w Little Island. Szczegóły znajdziesz w notatkach Roberta.

– Trudno uwierzyć, że on nie żyje. W soboty chodziliśmy razem na hurling, Fermoy przeciwko Kilworth.

Katie zamilkła. W tej chwili ostatnią rzeczą, na której jej zależało, było ponowne zatopienie się w smutku i żalu za zmarłymi.

– Jest jeszcze jeden ślad, który mógłbyś zbadać – odezwała się w końcu. – Danny Coffey był niezwykle przejęty śmiercią instruktora tańca, Nicholasa O’Grady’ego. To znaczy bardziej przejęty niż to normalne w przypadku heteroseksualisty, nawet opłakującego śmierć przyjaciela. Być może zupełnie błędnie odczytałam jego reakcję, ale może pogadałbyś z mężem O’Grady’ego i jego przyjaciółmi i sprawdził, czy w jego relacjach z Coffeyem nie było czegoś więcej, niż się wydawało na pierwszy rzut oka.

– Chyba zagonię do tego Scanlan. Fantastycznie radzi sobie z gejami. Nie ma takiej rzeczy, której by jej nie wyznali.

\* \* \*

Katie poszła do toalety poprawić makijaż i włosy. Nie była zadowolona z tego, co zrobił jej ostatnio fryzjer, Marty. Za wysoko podciął ją na karku i źle podcieniował włosy, tak że powstały schodki. Zastanawiała się, czy nie iść tam, gdzie chodziła Kyna, do D’Arcy’ego przy Paul Street.

Po nałożeniu szminki i mascary przyglądała się odbiciu w lustrze nad umywalką, zadając sobie pytanie, czy widać, co naprawdę czuje. Niepokoiło ją, że tak łatwo zdradza to, co czuje. Widziała swoje fotografie w „Examinerze” i „Echu” i nagrania wywiadów dla wiadomości RTÉ. Stając przed dziennikarzami, zawsze usiłowała stworzyć wrażenie pewnej siebie i asertywnej, i czasem wierzyła, że jej to wychodzi. Ale gdy potem oceniała zdjęcia, po braku skupienia w spojrzeniu widziała, jak daleko jej do pewności, że potrafi rozwiązać zagadkę zbrodni, o której mówiła. Tę samą minę widziała na wspólnych fotografiach swoich i Johna, zwłaszcza pod koniec związku, gdy nie potrafiła zdecydować, czy zostanie z nim, czy nie.

Właśnie przyskała lakierem włosy, kiedy odezwała się komórka. SMS od Conora.

*Od mojego kontaktu. Wielka walka psów na urodziny McManusa pewna. Przyszły czwartek ok. 15 na polanie w lesie przy Cappamurra Bridge między Goolds Cross i Dundrum. Będę o ok. 9. Tęsknię za tobą, K.M.*

*Zadzwoń o 18. Też za tobą tęsknię, psi detektywie – odpisała szybko.*

Powiedziała Moirin, że nie będzie odbierać żadnych telefonów, i poszła do gabinetu MacCostagáina.

Zastępca komendant głównej Frank Magorian już był na miejscu; siedział przy oknie. Było dziesięć po dziewiątej, więc gdy Katie weszła, spojrzał na zegarek, ale nic nie powiedział. MacCostagáin siedział za biurkiem, przy herbacie i *barmbrack*, chleбку z rodzynekami. Wydawał się jeszcze bardziej ponury niż zwykle.

W gabinecie był też inspektor Mulliken; zajmował drugą stronę kanapy, na której siedział Magorian, i pochylony sprawdzał coś w komórce.

Przy półce z książkami stał niski, korpulentny mężczyzna z siwiejącym językiem, w dwurzędowej marynarce. Ręce skrzyżował na piersiach, napinając mięśnie, jakby chciał dać do zrozumienia, że nigdy w niczym nikomu nie ustąpi. Miał cofnięty podbródek, ale zadziornie wyduł dolną wargę i Katie uznała, że z jakiegoś powodu



jest rozjątrzony.

– Nadkomisarz Griffin ze Specjalnego Biura Śledczego – przedstawił go MacCostagáin. – Terence, to nadkomisarz Kathleen Maguire.

Griffin zbliżył się o kilka kroków do Katie i wyciągnął rękę.

– Już spotkaliśmy się przelotnie, pani nadkomisarz, jakieś dwa lata temu w Phoenix Park. Jeśli pani pamięta. Braliśmy udział w dyskusji panelowej na temat kobiet piastujących wysokie stanowiska w Garda Síochána.

– Pamiętam pana, nadkomisarzu, oczywiście. Jak mogłabym zapomnieć? Powiedział pan wtedy, że pod względem psychologicznym kobiety nie nadają się na wysokie stanowiska, bo mają tendencję do wybaczenia agresywnym mężczyznom.

– W pani przypadku cofam te słowa – odparł bez cienia uśmiechu.

– Widziałem zestawienie pani osiągnięć i wygląda na to, że miała pani serce jak z kamienia wobec każdego mężczyzny, z którym miała pani do czynienia, czy był to kolega ze służby, czy przestępca.

– Staram się być skuteczna. – Ton Katie sugerował, że nie życzy sobie dalszej rozmowy na ten temat.

– Omawialiśmy wyznaczoną na przyszły tydzień wizytę ministra obrony Zjednoczonego Królestwa, Iana Bowthorpe’a – przerwał tę wymianę zdań Mulliken, widząc jej zniecierpliwienie. – Zebraliśmy informacje od kilku naszych wtyk w różnych grupach IRA. Jak do tej pory nic nie wskazuje, żeby którakolwiek planowała coś przeciwko niemu. Powiem więcej, wydaje się, że niektóre z nich traktują brexit jako dobrą okazję do zjednoczenia Irlandii bez dalszego rozlewu krwi.

– Zapewnimy panu Bowthorpe’owi pięcioosobową ścisłą ochronę – powiedział Griffin. – Mam ze sobą jego trasę. Najpierw powitanie przez burmistrza w ratuszu, potem wizyta w Haulbowline, inspekcja marynarki wojennej. Wróci do miasta na konkurs tańca irlandzkiego w Operze. Pewnie chodzi o pokazanie, że Brytyjczycy interesują się naszą kulturą.

– Wpatrywanie się przez trzy i pół godziny w dorastające dziewczęta podskakujące na estradzie i kurczowo przyciskające ręce

do boków... Oto za czym przepadają Brytyjczycy – wycedził Magorian. – Jak myślicie, dlaczego przeprowadzili operację Cis<sup>9</sup>?

Griffin rzucił mu ostre spojrzenie, jakby chciał zaznaczyć, że nie lubi, gdy mu się przerywa, zwłaszcza tego rodzaju nonszalanckimi uwagami.

– W ciągu dwóch dni dostarczymy wam szczegóły trasy, żebyście zapewнили panu Bowthorpe’owi wszelką dodatkową ochronę wymaganą podczas jego pobytu w Cork.

– Już przygotowałem tymczasowy plan – oznajmił Mulliken. – Poza ścisłą ochroną wszystkie punkty obserwacyjne wzdłuż trasy zostaną zabezpieczone, na przykład dachy budynków przy Patrick’s Street. To na wypadek snajperów.

– A co z budynkiem Opery?

– To może nie być łatwe, bo teatr będzie pełny. Ale rozmieścimy w strategicznych miejscach wewnątrz budynku i na zewnątrz uzbrojonych funkcjonariuszy i każda osoba będzie musiała okazać bilet i poddać się przeszukaniu.

– Nie muszę chyba podkreślać, jak ważne jest, by wizyta pana Bowthorpe’a przebiegła bez naruszenia zasad bezpieczeństwa – przypomniał wszystkim Griffin. – To istotne i z politycznego punktu widzenia, i ze względu na reputację Specjalnego Biura Śledczego.

– To zrozumiałe – rzuciła Katie. – Kiedy tylko otrzymamy trasę, opracujemy szczegóły, a tymczasem będziemy bardzo czujni.

– Dziękuję.

Griffin uściśnął wszystkim dłonie, Katie ostatniej. Nic nie powiedział, ale w spojrzeniu, które jej przesłał, dostrzegła wyzwanie, by udowodniła, że nadaje się do wykonania przydzielonego jej zadania. Kusiło ją, by go zapewnić, że go nie zawiedzie, ale pomyślała: Po co miałabym mu cokolwiek mówić? Nie muszę nic udowadniać, ani jemu, ani nikomu innemu.

Po wyjściu Griffina MacCostagáin strzepnęła ze spodni okruchy i powiedziała:

---

<sup>9</sup> Prowadzone w latach 2012–2013 w Wielkiej Brytanii zakrojone na szeroką skalę dochodzenie w sprawie molestowania nieletnich.

– To załatwione. Macie ochotę na filiżankę herbaty?

Katie pokręciła głową.

– Dopiero co piłam kawę, dziękuję, panie komendancie. I bardzo mi się spieszy.

– To nie potrwa długo – obiecał Magorian. – Przede wszystkim chciałem z wami obojgiem przedyskutować, jak przedstawimy mediom rozwój śledztwa w sprawie pożaru w Toirneach Damhsa. Zwłaszcza śmierć Dooleya.

– Możemy tylko powiedzieć, że kontynuujemy dochodzenie i śmierć Dooleya była tragedią. To zawsze tragedia, kiedy funkcjonariusz ginie na służbie, zwłaszcza tak młody i obiecujący jak on.

– Usiądź na chwilę. – Magorian wskazał jej drugi koniec kanapy, na której siedział.

Katie zawahała się, ale usiadła; założyła nogę na nogę i obciągnęła szarą tweedową spódnicę.

– Przeglądałem ostatnie dane dotyczące współczynnika wykrywalności przestępstw w Cork – zaczął Magorian, podnosząc wydruk. – W ostatnim roku współczynnik spadł do sześćdziesięciu trzech procent, a w rzeczywistości może być dużo niższy, ponieważ wygląda na to, że cała masa drobnych przestępstw nie została odnotowana.

– Panie komendancie, uważam, że stać nas na lepsze wyniki – przyznała Katie.

– Sześćdziesiąt trzy procent niewykrytych przestępstw? To jakiś żart.

– Jesteśmy potwornie niedofinansowani. Brak mi środków na opłacenie godzin nadliczbowych. Chętnie przyjąłabym jeszcze z pięć osób do wydziału dochodzeniowo-śledczego, gdybym miała na to budżet, ale nie mam.

– Może potrafiłabyś skuteczniej zarządzać tym zespołem, którym dysponujesz. Na przykład nie wysyłać ich na przesłuchiwanie ludzi, którzy na pewno nie byli zdolni popełnić przestępstw objętych dochodzeniem.

– Ma pan na myśli detektywa Dooleya, który miał przesłuchać Darę Coughlana?

– To przykład pierwszy z brzegu. Jak sama wiesz, pożar podłożył ktoś niezwykle biegły w sprawach techniki, nie zapasiony, otumaniony narkotykami szaleniec.

– Może i tak, ale musimy sprawdzić każdego, kto mógł mieć związek z tym pożarem, niezależnie od stopnia prawdopodobieństwa, że był w to zamieszany. Moi ludzie są skrupulatni i oddani i biorąc pod uwagę, jak bardzo są obciążeni, uważam ich osiągnięcia za fantastyczne.

– Statystyki przeczą temu, co mówisz, Katie. Sześćdziesiąt trzy procent.

– Jesteśmy obciążeni do kresu wytrzymałości – odparowała ostro. – Jeden z naszych największych problemów jest taki, że mamy przestarzały sprzęt i że nie stać nas na takie zabawki jak throwboty, drony czy na badania DNA, które byłyby dobrodziejstwem w takiej sprawie jak pożar w Toirneach Damhsa. Pilnie potrzebujemy nowoczesnych komputerów i programów, a poza tym w Cork nadal jest masa miejsc, gdzie nie ma porządnego sygnału. W Kilworth i Araglin łączność jest dziurawa, delikatnie mówiąc, w Doneraile w ogóle nie ma zasięgu.

– W zeszłym roku był napad rabunkowy w Ballyvolane – wtrącił się MacCostagáin z pełnymi ustami. – Ukradziono maszyny rolnicze warte dziesiątki tysięcy euro. Kathleen pierwsza zwróciła nam uwagę, że nie mamy w Irlandii państwowej bazy danych narzędzi, jakimi posługują się przestępcy, ani bazy odcisków obuwia.

– Wszystko to piękne – rzucił Magorian. – Ale tu, przy Anglesea Street, widzę nieskuteczne procedury śledcze i marny nadzór. Nie ma znaczenia, jak nowoczesne są komputery, kiedy szwankuje zarządzanie.

– Niektóre nasze procedury są stanowczo za bardzo czasochłonne – zripostowała Katie. – Przede wszystkim moglibyśmy poprawić nasze kontakty robocze z sądami. Ale wciąż pojawia się ten sam problem: sądy niekoniecznie są do tego skłonne.

– Ale co z przestępstwami, które nie są odnotowane? – zapytał ostro Magorian. – Czy po cichu zapominasz je zgłosić, bo nie chce ci się ich wyjaśniać, czy może nie wierzysz, że zdołasz je wyjaśnić, nawet gdybyś próbowała? Albo po prostu poprawiacie w ten sposób statystyki, żeby sprawiać wrażenie bardziej kompetentnych?

W Katie rościło zniecierpliwienie. Wiedziała, że Magorian celowo wbija jej szpile, ale nie zamierzała dać się sprowokować i wpaść w histerię jak primadonna z wiecznym zespołem napięcia przedmiesiączkowego.

– Panie komendancie, wprowadziłam zasadę zero tolerancji, nawet jeśli chodzi o drobne przestępstwa. Oczekuję, że każde wykroczenie zostanie zgłoszone, nawet gdy będzie to wandal rysujący samochód albo pijak wygrażający w pubie. Teraz używamy laptopów zamiast notatników, więc idzie nam znacznie łatwiej i zabiera mniej czasu.

Magorian przycisnął palce do czoła, jakby czuł zbliżający się ból głowy.

– Katie, usiłuję ci powiedzieć, że w przeciwieństwie do większości nadkomisarzy angażujesz się osobiście w śledztwa. Powinnas przebywać tu, na komendzie, i dokładać starań, żeby cały proces śledczy przebiegał płynnie. Ty tymczasem zachowujesz się, jakbyś była funkcjonariuszem operacyjnym. Nie kontrolujesz się, Katie. To nie służy dobru śledztw, które powinny być prowadzone sprawnie i skutecznie.

– Z całym szacunkiem, panie komendancie, ale całkowicie się z panem nie zgadzam. – Katie siłowała się na spokojny ton. – Wiem, że czasem bardziej angażuję się w śledztwo niż inni nadkomisarze. Ale dzięki temu widzę, jak bardzo potrzebujemy ulepszyć i unowocześnić nasze sposoby łapania przestępców.

– Więc jak blisko jesteś teraz znalezienia tego, kto doprowadził do pożaru w Toirneach Damhsa i zabił osiemnastu niewinnych tancerzy?

– Jak na pewno pan wie, mamy kilka tropów.

– Ale czy jesteś choć trochę bliżej poznania sprawcy?

– Może tak.

– Może! Ale nawet jeśli tak jest, to nadal nie masz głównego podejrzanego? Czy to chcesz mi powiedzieć?

Katie wstała i odwróciła się do MacCostagáina.

– Jeśli to wszystko, panie komendancie, to mam całą masę roboty do nadgonienia.

– Kiedy dziś po południu będę informował media, zamierzam opisać to śledztwo w pozytywnych barwach – powiedział Frank Magorian. – Mam tylko nadzieję, że ty postarasz się pozytywnie zaangażować w rzeczywistą pracę policyjną. Tyle mam ci do przekazania.

Wcześniej rozważała, czy wspomnieć o psich walkach organizowanych na pięćdziesiąte urodziny Zezowatego McManusa i spytać, czy Magorian zaaprobowałby zakrojoną na szeroką skalę operację Gardy. Ale po tym, jak deprecjonował jej osiągnięcia, zdecydowała się go o nic nie prosić, przynajmniej na razie. Znała odpowiedź: powinna zostawić psie walki właściwym organom i skupić się na łapaniu ludzi, którzy zabili innych ludzi.

Magorian prowokacyjnie uniósł brew, posyłając jej wyzwanie, by mu się postawiła, ale nie dała się wciągnąć w sprzeczkę i nic nie powiedziała. Odwróciła się do MacCostagáina, sprawdzając, jak zareagował na słowa tamtego, ale był zbyt zajęty otrzepywaniem ze spodni okruchów chleba z rodzynekami.

## ROZDZIAŁ 20

Davy Dorgan siedział z Murtaghem i Billym w Templegate Tavern, gdy weszło trzech wyglądających na twardzieli mężczyzn, nadal wydychając dym z papierosów, które wyrzucili na dworze. W pubie było jeszcze siedmioro innych klientów – czterech mężczyzn w średnim wieku i trzy kobiety – ale gdy ci trzej weszli, wszyscy nagle zamilkli.

Kyna stała za barem, wyjmując szklanki ze zmywarki i polerując je ścierką. Nie patrząc na przybyłych, powiedziała kąciukiem ust do Patricka:

– Szlag by trafił tych buców, Pat.

– Uważaj na nich, Roisin, mówię ci – ostrzegł ją barman. – To świry jakich mało, cała trójca.

– Byli tu wczoraj wieczorem, nie? Poznaję tego kolesia ze spłaszczonym pyskiem. I tego, co opalał się przez durszlak, też.

Jeden z mężczyzn przyciągnął dodatkowe krzesło i usiadł przy stoliku Davy’ego. Największy był łysy, miał głowę mopsa, czarną skórzaną kurtkę nabijaną nitami i tatuaże na rękach. Drugi nosił lśniący szary garnitur, czerwony krawat i wyglądał jak księgowy gangsterów. Trzeci był niski, ale napakowany, o byczej szyi, krótko obciętych rudych włosach i cały w piegach, stąd określenie Kyny. Nosił ciasny limonkowy sweter, granatowe spodnie dresowe i srebrne sygnety na wszystkich palcach.

Billy podszedł do baru i zamówił trzy szklanki piwa Murhpy’s i podwójną whiskey Paddy.

– Przyniosę do stolika – powiedziała Kyna.

Pochylił się nad ladą i wyszczerzył się, demonstrując przerwy między zębami.

– Powiem ci coś, dziewczyno. Jakby w tym pubie zabrakło wszystkim drinków, wciąż bym tu wpadał, żeby na ciebie popatrzeć.

Kyna wyduła wargi i posłała mu całusa. Dziś miała na sobie nieprzyzwoicie krótką, przylegającą do ciała beżową wełnianą sukienkę i szpilki tak niebotyczne, że chodząc, z trudem utrzymywała równowagę. Blond włosy zaczesła do tyłu i nałożyła na nie tani lśniący diadem z kryształkami. Kiedy przyniosła drinki na tacy, wszyscy mężczyźni przerwali w pół zdania – wszyscy oprócz Davy’ego.

Mężczyzna w czarnej skórce odczekał, aż Kyna postawi szkło, i ostrzegł pozostałych:

– Możemy mieć przesrane. Chodzi o kobitę Dennehy’ego, Maggie.

– Co z nią? – spytał Davy.

– Wpadła do nas wczoraj wieczorem i rozmawiała z moją Sive. Jest wkurzona o Nialla. Wie, że był z wami, i wie, że trochę się poprzykaliście.

Davy wlepił w niego ostre spojrzenie.

– No i co z tego? – rzucił.

– Ona wie na pewno, że to nie Bernie go kropnął, bo Niall już na początku przyznał się jej, że płaci Berniemu, żeby mógł się z nią zabawiać, chociaż ona nigdy nie powiedziała Berniemu, że wie. Ten układ wcale jej nie przeszkadzał, bo Bernie nigdy nie mógł jej dać tego, czego chciała, a kasa zawsze była mile widziana.

– Dobra. Ale co z tego?

– To, że Maggie się zwidziało, że ze wszystkich ludzi, którzy mogliby mieć powód, żeby stuknąć Nialla, jedynym gościem, który miałby motyw i środki, jesteś ty.

– Ach, baba pieprzy trzy po trzy. Czemu akurat ja miałbym źle życzyć Niallowi? Odbudowywał interes po tym, jak Bobby’ego diabli wzięli, i robił to fantastycznie. Jasne, on i ja widzieliśmy sprawy trochę inaczej, jeśli chodziło o politykę, ale lubiłem gościa. Był w porzo.

– Słuchaj, bez urazy – powiedział mężczyzna w skórce. – Mówię ci tylko, co ona nagadała Sive, to wszystko. – Pociągnął łyk piwa, otarł usta i beknął głośno.

– Może gadać twojej Sive do usranej śmierci, dużo jej to da! Nie ma



żadnego dowodu, że to byłem ja, bo to nie byłem ja.

– Wierzę ci, ale ona nadaje w kółko to samo i powiedziała Sive, że pojedzie na Anglesea Street pogadać z glinami. Nawet jak to nie byłeś ty, to przyjadą niuchać, pytać cię, no nie? Na przykład, gdzie byłeś, kiedy Niall dostał kulkę.

– Byłem tu, bo gdzie miałem być? Murtagh i Billy mogą poświadczyć, zgadza się, chłopcy?

Murtagh i Billy zrobili miny, które miały potwierdzić, że poświadczają. Żaden z nich ani myślał zdradzić, że gdy Niall wyszedł z pubu i odjechał, mercedes Davy'ego uczeplił się go i podążył w tym samym kierunku.

– Są teraz różne metody – wtrącił się ten opalony przez durszlak. – Widziałem w telewizji. Jak gliny mają NDA, mogą na dziewięćdziesiąt dziewięć procent stwierdzić, że to nie byłeś ty. I jeszcze mogą robić różne testy z kulami, strzelają do akwarium, żeby pokazać, że to nie z twojego gnata zabito kogoś.

– No, to mnie nic nie udowodnią, bo nie mam gnata, z którego mógłbym strzelać. I mówi się DNA, nie NDA. W NDA to możesz sobie kupić zabawki.

– Maggie tak czy siak poleci do glin – odezwał się znów mężczyzna w czarnej skórce. – Sive powiedziała, że poleci jutro zaraz z rana, jak pojedzie do miasta.

– Gdzie ona mieszka, ta Maggie?

– Przy Nash's Boreen, za Fair Green. Nie znam numeru, ale to pierwszy dom, jak miniesz osiedle przyczep.

Davy więcej nie pytał. Siedział chwilę bez słowa, analizował. Pozostali mężczyźni przy stoliku wymieniali pytające spojrzenia, ale żaden się nie odezwał.

W końcu Davy podniósł szklanekę z limonkowym napojem MiWadi, opróżnił ją, wystudiowanym, precyzyjnym ruchem odstawił na stolik i wstał.

– Dobra, jedźmy – rzucił.

– Dokąd? – spytał Murtagh.

– A jak myślisz? Na Nash's Boreen. Myślę, że musimy powiedzieć

Maggie parę słów, żeby nie kłapała dziobem.

– Co ty? Teraz? – spytał Billy.

– Teraz jest równie dobrze jak kiedy indziej.

Pozostali czterej popatrzyli jeden na drugiego, po czym wszyscy podnieśli piwa i szybko je dopili.

Kyna obserwowała ich zza baru, gdy wstawali od stolika i szli do drzwi. Usiłowała podsłuchać rozmowę, ale typ w czarnej skórze mówił bardzo szybko, niewyraźnie i z silnym akcentem z Mayfield, tak że zrozumiała tylko istotę sprawy.

Tuż przed tym, jak dotarli do wyjścia, drzwi się otworzyły i wszedł Liam. Granatowo-niebieską wiatrówkę narzucił na ramiona, bo prawą rękę miał obandażowaną i na temblaku. Na widok Kyny pozdrowił ją lewą ręką, ale Davy coś mu powiedział i Liam zawrócił i opuścił bar. Za nim ruszyli Davy, Murtagh, Billy i pozostali trzej mężczyźni.

Kiedy drzwi się zamknęły, Patrick podszedł z tyłu do Kyny i powiedział:

– Komuś nie będzie do śmiechu.

– To znaczy?

– Kiedy ci kolesie wychodzą kupą, idą komuś wlać, wierz mi.

– Słyszałam, jak mówili o jakiejś Maggie.

Patrick wyduł dolną wargę i pokręcił głową.

– Znam jedną Maggie, może dwie, ale o którą im chodziło, nie mam pojęcia. Nieważne, warto by za nią odmówić modlitwę do świętego Patryka. Przydałaby jej się.

\* \* \*

Srebrny mercedes Davy'ego podjechał pod pierwszy pomalowany na biało szeregowy dom przy Nash's Boreen. Po kilku sekundach dołączyła do niego zakurzona czarna kia sorrento, prowadzona przez tego, co się opalał przez durszlak.

Nash's Boreen była wąską ślepą drogą, która biegła grzbietem wzgórza na zachód od Fair Green. Po północnej stronie zwykle widać było pola, gospodarstwa rolne i dalekie zielone wzgórza, ale tego

popołudnia przesłaniały je ciemnoszare nisko wiszące chmury. Od strony Blarney nadciągał deszcz jak procesja szarych, upiornie wysokich zjaw, tak że widoczność uciniała się na Blackstone Bridge.

Davy, Murtagh, Billy i Liam wysiedli z mercedesa, a pozostali wyskoczyli z kii. Mężczyzna w czarnej skórze palił, ale pstryknięciem posłał niedopałek w żywopłot.

Firanka we frontowym oknie sąsiedniego domu była odstonięta i starsza kobieta z wałkami na głowie wytrzeszczyła na nich oczy. Wyglądała jak wścibski rezus. Jednak gdy Davy odpowiedział jej ostrym spojrzeniem, natychmiast zniknęła i firanka zasłoniła z powrotem okno. We frontowym oknie domu Dennehych zalegała ciemność i nic nie wskazywało, by ktoś był w środku.

– Może jej nie ma – powiedział Bill, pociągając nosem.

– Musimy sprawdzić, nie? – uświadomił mu Davy. – Zapukaj.

– Kto? Ja?

– Nie, baranie, twoja dawno zmarła babka.

Billy podszedł do pomalowanych na zielono drzwi.

– Jest dzwonek – rzucił.

– No to, kurwa, zadzwoń, na miłość boską.

Nacisnął dzwonek i ze środka dobiegło ich przytłumione dzwonięcie. Czekali, ale bez rezultatu.

– Lepiej, żeby nie poleciała do psów, mówię wam – powiedział Davy. – Dawaj jeszcze raz.

Billy kolejny raz nacisnął dzwonek i tym razem usłyszeli trzaśnięcie drzwiami i kobiecy głos:

– Już dobrze, już dobrze! Idę! Będzie tego dzwonięcia!

Drzwi się otworzyły i stanęła w nich Maggie Dennehy. Wyglądała na zdenerwowaną. Była drobną kobietą, mniej więcej czterdziestopięcioletnią, z burzą ciemnych loków i długimi kolczykami w uszach. Nie miała makijażu, ale jej duże, piwne oczy, wysokie kości policzkowe i wyrazista linia podbródka sprawiały, że – jak to wcześniej ujął Billy – na swój wiek była z niej niezła laska.

Nosiła luźny brązowy sweter, czarne legginsy i puchate białe kapcie.

Kiedy tylko zobaczyła Davy'ego, usiłowała zatrzaskać drzwi, ale Billy wsadził nogę w szparę i popchnął je.

– O co wam chodzi? – spytała wyzywająco, chociaż wyraźnie się bała.

– Wpadliśmy, żeby trochę pogawędzić, to wszystko – odparł Davy.

– Nie mam ci nic do powiedzenia, Davy Dorganie.

– Może nie, Maggie, ale ja mam ci coś do powiedzenia. Na przykład, że zamierzasz opowiedzieć glinom jakieś pierdoły.

– Od kogo to usłyszałeś?

– Nieważne od kogo. Wejdźmy do środka i pogadajmy.

Znów usiłowała zatrzaskać drzwi, ale Billy jej na to nie pozwolił, chociaż z uporem tłukła nimi o jego stopę.

Davy zbliżył się do progu.

– Daj spokój, laluniu – odezwał się bardzo cicho, z wyraźnym ulsterskim akcentem. – Wiesz, że jak nas nie wpuścisz, to wyważymy drzwi.

– Won, kuźwa, ode mnie – parsknęła Maggie, zaciskając zęby i znów próbując zatrzaskać drzwi.

– Kevan – rzucił Davy.

Ten opalony przez durszlak podszedł bliżej i gdy Billy zrobił mu miejsce, naparł ramieniem na drzwi. Sam ciężar mężczyzny wystarczył, by otworzyły się szeroko.

Maggie została wepchnięta do korytarza, ale natychmiast się odwróciła i potykając się, pobiegła do salonu i zatrzaskała za sobą drzwi.

Tym razem Kevanowi nie trzeba było mówić, co ma robić. Wszedł do korytarza, zaparł się plecami o ścianę naprzeciw wejścia do salonu i kopnął drzwi, wyłamując zamek i otwierając je szeroko.

Davy wszedł do pokoju, zacierając ręce i uśmiechając się. Pozostali mężczyźni podążyli za nim, tylko Liam stał w przedpokoju, podpierając ścianę.

Maggie kucała w kącie za dużą obitą sztruksem kanapą, jakby skulona mogła się stać niewidzialna.

– Czego chcecie? – spytała, ale uciekała wzrokiem i mówiła niemal

szeptem, tak że to wcale nie zabrzmiało jak pytanie.

– Chcę wiedzieć, co ci chodziło po głowie, że postanowiłaś gadać z glinami, laluniu. Tego chcę.

Zacisnęła mocno powieki.

– Nic mi nie chodziło po głowie.

– Och, chodziło ci, kurwa, chodziło. – Davy odwrócił się do tego, co opalał się przez durszlak. – Kevan. – Wskazał głową duży, płaski telewizor stojący w głębi pokoju.

Kevan podszedł do telewizora, uniósł go nad głowę i cisnął nim o ścianę, tak że ekran rozpadł się po skosie na dwoje. Towarzyszył temu ostry trzask, jak wystrzał z pistoletu. Maggie cicho załkała.

– Nie wstawiaj nam ciemnoty – powiedział Davy. – Chciałaś podkablować na mnie glinom, chociaż nie miałaś żadnego powodu. Naprawdę myślisz, że zabitem Nialla? Jezu... naprawdę głupia cipa z ciebie, jak w to wierzysz! Ale ja za to wiem jedno. Chcesz mnie podkablować dla szmalu. Jesteś taka sama jak pierwsza lepsza portowa dziwka.

Maggie nadal zaciskała kurczowo powieki, ale zaczęła szlochać.

– Powiem ci coś, laluniu – ciągnął Davy. – Możesz wyrównać rachunek za to, co zamierzałaś zrobić mnie, tak samo jak wyrównywałaś rachunki z Niallem, za szmal, który płacił twojemu staremu. Billy... Kevan... Alroy... Darragh...

Billy, mężczyzna w skórze i ten w lśniącym szarym garniturze obeszlą kanapę. Billy i Alroy złapali Maggie za ramiona i postawili na nogi. Otworzyła oczy, krzyczała i kopała, ale przenieśli ją na kanapę i zmusili, żeby się na niej położyła.

– Odwalcie się ode mnie! – wrzeszczała. – Puśćcie mnie! Won ode mnie, gnoje! Odwalcie się!

Davy rozejrzał się i dostrzegł, że firanki są związane szerokimi różowymi szarfami z bawełny. Zerwał jedną i podał Darraghowi.

– Masz, wielkoludzie. Przycisz jej trochę głośność.

Kevan i Alroy przytrzymywali Maggie płasko na kanapie, podczas gdy Murtagh i Billy trzymali ją za kostki u nóg, żeby nie kopała. Darragh wepchnął jej do ust szarfę, po czym złapał Maggie za włosy i

poderwał głowę, żeby związać szarfę na karku. Kobieta pluć, zgrzytała zębami i wściekle gulgotała, ale Darragh związał knebel na tyle mocno, że nie mogła go wypluć.

Zrzuciła już kapcie z nóg, a gdy Kevan przyciskał jej nogi do kanapy, Murtagh sięgnął pod sweter i złapał za pasek legginsów. Dalej gulgotała, gdy centymetr po centymetrze ściągał legginsy i kiedy zerwał je całkowicie, odsłaniając szczupłe, białe nogi i ciemnobrązowy trójkąt włosów łonowych.

Darragh podciągnął jej sweter, podczas gdy Billy i Alroy pomagali mu uwolnić ramiona z rękawów. Darragh znów podniósł jej głowę i trzymając ją za włosy, zdarł z niej sweter i rzucił go w kąt pokoju. Davy podszedł do kanapy i z niemal anielskim uśmiechem pochylił się nad Maggie. Była teraz prawie naga, nie licząc czarnego biustonosza. Uniósł nad nią rękę jak ksiądz w geście błogosławieństwa. Patrzyła na niego z nienawiścią, gryząc szarfę. Uśmiechnął się jeszcze szerzej i pochylił niemal tak blisko, że mógłby ją pocałować, sięgnął za plecy Maggie i zaczął się zмагаć z rozpięciem biustonosza.

Trochę to trwało, ale w końcu podniósł go triumfalnie i pokazał wszystkim biustonosz, jakby to była barwena złowiona w rzece Lee.

– Nie za duże je masz, laluniu, ale idealne – ocenił jej piersi. – Jak myślisz, Billy?

– Ja tam wolę trochę większe, Davy, ale jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma, zgadza się?

– No to śmiało, dajcie jej to, po co tu przyjechaliśmy.

Murtagh przejął zadanie Billy'ego, który trzymał Maggie za nadgarstki, a ten poszedł za kanapę, rozpiął pasek i spuścił dżinsy. Wrócił tylko w brązowej, kraciastej koszuli i skarpetkach nie od pary, jednej długiej, drugiej krótkiej. Jego członek sterczał tylko połowicznie, więc Billy desperacko próbował go postawić, ale gdy Murtagh i Kevan siłą rozsunęli uda Maggie, tak że wargi sromowe się otworzyły, nie musiał się już starać: penis zesztyniał i wystawał między połami koszuli jak długi, cienki ząb widelca z nabita purpurową figą. Billy rozpiął koszulę, poczynając od dołu, wszedł na

kanapę i ukląkł między udami Maggie.

Davy stał po drugiej stronie salonu, odwrócony plecami, i patrzył przez okno, o które zaczęły uderzać krople deszczu. Spodziewał się gwałtowniejszego oporu kobiety, gdy Billy się do niej dobierze, ale słyszał tylko sapanie gwałcącego i monotonne skrzypienie sprężyn kanapy.

Liam patrzył, ale trzymał się drzwi.

Maggie znów zamknęła powieki i leżała bezwładnie, nie reagując. Wiedziała, że nie jest dość silna, by stawić opór, więc z góry zdecydowała, że ulegnie, i będzie myśleć o Niallu i przyjemnościach, których razem zaznawali. Niall był dobrym kochankiem. Silny, napalony; jeśli sprawiał jej ból, to taki, który przechodził w rozkosz. Z Niallem zawsze miała orgazm.

Billy pchał i pchał, ale kiedy zaczął szczytować, cofnął członek i pomógł sobie ręką, rozpryskując nasienie na włosach łonowych Maggie.

– Brawo, chłopie! – zawył Alroy jak kibic hurlingu, gdy piłka wpada do bramki.

Gdy Billy zszedł z Maggie, przyszła kolej na niego. Alroy zdjął skórzaną kurtkę, T-shirt i dżinsy, chociaż on też zostawił skarpetki. Z wielkim brzuchem, owłosiony i wytatuowany, z penisem krótkim, grubym i purpurowym, wdrapał się na kanapę i zdołał wepchnąć członek między nogi Maggie. Davy, wciąż stojący przy oknie i patrzący na dwór, po powtarzających się stęknięciach i o wiele głośniejszym niż wcześniej skrzypieniu sprężyn domyślał się, że to on.

Alroy szczytował po zaledwie kilku minutach; stękał, parskał i jęczał: „Kurwa, kurwa, kurwa...”. Tak się zasapał, że Billy musiał mu pomóc zejść z kanapy.

Następny, Darragh, zdjął marynarkę, spodnie i przewiesił je przez oparcie fotela, zanim zdjął bokserki w purpurowe wzory. Nie spieszył się, kopulował w nierównym rytmie, mocno zaciskając pośladki za każdym razem, kiedy wpychał członek. Maggie wciąż pozostawała całkowicie nieruchoma. Równie dobrze mogła być

martwa.

Kevan rozebrał się do rosołu i zanim się zwałił na Maggie, zrobił pozę kulturysty, napinając bicepsy. Włosy łonowe miał gęste i rude, a penisa tak ogromnego, że musiał wepchać paluchy z czarnymi obwódkami za paznokciami w srom Maggie i rozciągnąć go, zanim udało mu się wcisnąć połowę członka do pochwy. Kiedy przeszedł do ruchów frykcyjnych, biodra Maggie podskakiwały w górę i w dół, mimo że starała się leżeć zupełnie nieruchomo.

Murtagh był ostatni, ale nie wszedł na kanapę. Stanął przy niej, rozpiął spodnie i wyjął członek. Onanizował się krótkimi, gwałtownymi, posuwistymi ruchami, a dochodząc, przysunął się bliżej i obryzgał spermą policzki i nos Maggie.

Kiedy chował członek do spodni, wyszczerzył w uśmiechu zęby.

– Wiem, w każdym pornosie się tak wałą, ale moja Breda odcięłaby mi jaja nożyczkami, jakbym spróbował wyciąć jej taki numer – powiedział.

– Dobra, wszyscy skończyli? – spytał Davy, odwracając się. – A ty, Liam?

Ten uniósł temblak i pokręcił głową.

– Nie chcę, żeby mi szwy poszły, Davy.

Bill, Alroy i Kevan puścili Maggie. Nadal się nie poruszała, nie otworzyła oczu, ale Murtagh powiedział:

– Spokojna czaszka, oddycha w porzo. Nie zajebaliśmy jej na śmierć.

Davy podszedł do kanapy. Chwilę stał bez słowa.

– Słuchaj uważnie, laluniu – odezwał się w końcu. – Wiem, że mnie słyszysz. Nigdy więcej nie sugeruj nikomu, że to ja stuknąłem Nialla, zwłaszcza glinom. Jak otworzysz dziób, będziesz miała taką powtórkę z rozrywki, że zatęsknisz za dzisiaj, jarzysz? To będzie dużo gorsze. Zerzniemy cię od przodu, i od tyłu takimi przyrządami, że do końca życia będziesz miała koszmary.

Wyszedł z pokoju, a za nim ruszyli wszyscy poza Liamem.

Ten wciąż stał, patrząc na Maggie, potem przeciął pokój i sięgnął po jej sweter. Zakrył biodra i brzuch kobiety i chciał rozwiązać



knebel, lecz usłyszał wołanie Davy'ego:

- Liam!!! Co tam, kurwa, robisz?!
- Przepraszam – szepnął. – Bardzo, bardzo przepraszam.
- Liam!

## ROZDZIAŁ 21

Katie weszła do sali konferencyjnej i zbliżyła się do długiego stołu, przy którym już siedzieli zastępca komendant głównej, Magorian, i MacCostagáin. Obok, pochyliwszy głowę, siedział ojciec Eoin Whooley, siwowłosa i poważny, oraz Billy Kelleher, poseł z ramienia Fianna Fáil z okręgu północnego i centralnego Cork.

Z boku, na osobnym stole, stał rząd oprawionych biało-czarnych fotografii wszystkich szesnastu tancerzy, którzy zginęli w pożarze Toirneach Damhsa, a przy każdej płonęła świeczka zapalona przez krewnych. Twarze na zdjęciach były świeże, młode i radosne. Gdy Katie widziała je wcześniej, większość była upiornie zwęglona i nie do rozpoznania.

Nigdy nie zjawił się w tej sali taki tłum, ale też nigdy nie panowała tu taka cisza. Zwykle rozlegał się zniżony szum rozmów, reporterzy rozmawiali przez komórki, a Fionnuala Sweeney z RTÉ stuknęła w mikrofon, sprawdzając, czy działa. Tego popołudnia zgromadzone rodziny w żałobie, przedstawiciele mediów, lokalni urzędnicy i umundurowani funkcjonariusze Gardy siedzieli ogarnięci smutkiem, skrzyżowawszy ręce na brzuchu lub złożwszy je na kolanach, jakby byli w kościele.

Katie włożyła czarny żakiet bez kołnierzyka, od Max Mary, i czarną spódnicę, zestaw żałobny i na podobne poważne okazje, zawsze gotowy w szafie jej gabinetu.

Kiedy usiadła, Magorian wstał i odchrząknął.

– Ojcie duchowny, panie pośle, panie i panowie, zostaliście tu dziś zaproszeni nie tylko po to, by uczcić pamięć tych młodych ludzi, którzy tak tragicznie zmarli w pożarze studia tańca Toirneach Damhsa, ale, mam nadzieję, by pomóc w wymierzeniu sprawiedliwości tym, którzy odpowiadają za ich odejście. Najpierw jednak proszę wszystkich o powstanie, a ojca Whooleya o modlitwę,

która poleci ich dusze Bogu i wyjedna siłę i wsparcie dla rodzin zmarłych w godzinie tej straszliwej straty.

Wszyscy dźwignęli się na nogi. Kiedy szuranie butów i pokastywania ucichły, duchowny przeżegnał się i zaintonował:

– Panie Boże, źródło i przeznaczenie naszego życia, zgodnie ze swoją łaskawą przezornością dałeś tancerzom Toirneach Damhsa dojrzeć w mądrości, doświadczeniu i miłosierdziu. Teraz wezwałeś ich do siebie. Opłakujemy stratę tak młodych ludzi i usilnie staramy się zrozumieć Twoje zamysły. Przyjmij ich do siebie i daj im miejsce u boku Chrystusa. Niech przebywają wraz ze wszystkimi aniołami i świętymi, którzy znają Twoją miłość i chwałę Twoją zbawienną wolę. Amen.

Kiedy wszyscy usiedli, Frank Magorian powiedział:

– Jak państwo wiecie, wielokrotnie ponawialiśmy poprzez media apele o informacje mogące doprowadzić do identyfikacji podpalacza lub podpalaczy, którzy podłożyli ogień. Ta sprawa podlega osobistemu nadzorowi nadkomisarz Maguire i jej zespołowi bardzo doświadczonych detektywów i z przyjemnością informuję, że już poczyniliśmy znaczące postępy. Co bardzo ważne, odkryliśmy między innymi, że do wzniesienia pożaru użyto niezwykle zaawansowanego w działaniu przyspieszacza, co świadczy o tym, że sprawca dysponuje bardzo rozległą wiedzą w dziedzinie chemii.

Dan Keane z „Examinera” podniósł rękę.

– Przepraszam, że pytam, ale skoro tak, to jaki był sens zajmować się Darą Coughlanem?

– Hm... ma pan na myśli tego człowieka, który zamordował detektywa Roberta Dooleya, po czym wyskoczył z okna?

– Właśnie o niego mi chodzi.

– Zajmowaliśmy się nim, ponieważ był notowanym wielokrotnym podpalaczem. Ale po sekcji zwłok zwołamy konferencję prasową poświęconą jemu i detektywowi Dooleyowi, prawdopodobnie jutro lub pojutrze.

– Coughlan potrafił jedynie rozlewać i podpalać benzynę, prawda? Wątpię, czy zdołałby zaparzyć filiżankę herbaty, a co tu mówić o

zaawansowanej wiedzy w dziedzinie chemii.

– O to musi pan zapytać nadkomisarz Maguire. Jestem przekonany, że dysponuje znakomicie uzasadnionym wytłumaczeniem. Dzisiaj mogę tylko powiedzieć, że nadkomisarz Maguire bardzo się zbliża do zawężenia kręgu podejrzanych w sprawie pożaru w Toirneach Damhsa. Państwo w pełni zdajecie sobie sprawę, że pani Maguire została awansowana na nadkomisarza ze względu na niezwykle umiejętności rozwiązywania najbardziej skomplikowanych spraw, z jakimi kiedykolwiek mieliśmy do czynienia. Jej umiejętności nie zawiodą także w przypadku tej sprawy.

Katie przysunęła mikrofon do ust.

– Szczerze mówiąc, panie komendancie, nadal musimy przesłuchać wielu świadków, zanim będę mogła wygłosić w miarę zadowalające oświadczenie – powiedziała.

– Och, pani nadkomisarz, to nie miejsce na fałszywą skromność – odparł Magorian. – Z tego, co pani mi mówiła, wnioskuję, że do końca tygodnia przedstawi pani wynik śledztwa. Panie i panowie dziennikarze, sądzę, że możecie z pełnym przekonaniem ogłosić, że pani nadkomisarz Maguire jest o włos od przeprowadzenia aresztowania.

Zakryła ręką mikrofon i gestem przyzwała Magoriana, by zamienić z nim po cichu parę zdań.

– Na litość boską, po co pan mówi takie rzeczy? – zasyczała. – Wie pan, że nadal jesteśmy równie daleko od aresztowania kogokolwiek, jak na początku śledztwa.

– Nie rozumiem. – Mówił do niej, ale obdarzał salę swoim czarem George’a Clooneya. – Staram się stworzyć wrażenie, że masz tę sprawę pod całkowitą kontrolą, nawet jeśli jest inaczej.

– A jak pan myśli, co oni powiedzą, jeśli do końca tygodnia nie przeprowadzę aresztowania?

Magorian nadal się uśmiechał i kiwał głową w kierunku obecnych na sali, jakby Katie o czymś go zapewniała.

– Musisz się postarać, żeby doszło do aresztowania. Lepszy rydz niż nic. Zawsze później możesz wypuścić aresztowanego z braku

dowodów. Przynajmniej zyskasz trochę na czasie.

– Ja tak nie pracuję, panie komendancie. Jestem funkcjonariuszką Gardy, nie politykiem.

– Bez takich gadek, Katie. Jesteś nadkomisarzem. Na swoim stanowisku musisz być bardziej politykiem niż funkcjonariuszką. Jeśli nie radzisz sobie z presją stanowiska, to daj sobie spokój.

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo wstał i zwrócił się do obecnych:

– Przepraszam za tę wymianę zdań. Nadkomisarz Maguire właśnie przekazywała mi najświeższe wiadomości. Teraz może przedstawi je pani państwu. Pani nadkomisarz?

Katie wstała. Krewni zmarłych tancerzy siedzieli w pierwszym rzędzie, tuż przed nią, wyczerpani, oszołomieni i załamani; niektórzy wycierali łzy chusteczkami. Na końcu jednego z rzędów rozpoznała Tadhga Brennana, młodego męża instruktora Toirneach Damhsa, Nicholasa O’Grady’ego – blondyna o rzadkim wąsiku i takiej samej bródce. Łzy spływały mu po policzkach i nawet nie próbował ich zetrzeć.

– Po pierwsze – zaczęła Katie – chcę przekazać rodzinom osób, które zginęły, wyrazy głębokiego współczucia i dołączyć kondolencje wszystkich funkcjonariuszy z Anglesea Street. Wielebny Whooley miał rację; czasem trudno jest nam pojąć zamiary Boga, zwłaszcza gdy tak pełni życia i twórcy młodzi ludzie zostają nam zabrani, zanim mają szansę rozkwitnąć.

Zakończyliśmy już niemal rozmowy z krewnymi zmarłych. Wiem, jak musiały być bolesne, ale były też niezbędne, byśmy mogli się upewnić, że państwa dzieci nie były celem gróźb.

Jak wspominał zastępca komendant głównej, pan Magorian, po badaniach kryminalistycznych wiemy, że pożar został wywołany piroforem, środkiem chemicznym, który w zetknięciu z tlenem ulega samozapaleniu. Powiem więcej, doszło do dwóch wybuchów pożaru, jednego na schodach prowadzących do studia, i drugiego na strychu, tak że nawet gdyby obecne tam osoby przeżyły pierwsze uderzenie ognia, praktycznie nie miałyby możliwości ucieczki.

– Skoro, jak twierdzi zastępca komendant głównej, pan Magorian –

odezwała się Fionnuala Sweeney, gdy kamerzysta zrobił zbliżenie twarzy Katie – jesteście blisko dokonania aresztowania sprawcy, to znaczy, że wiecie już, jaki był jego motyw?

– W tej chwili nie mogę odpowiedzieć na to pytanie – odparła Katie.

– Och! Nie chcecie spłoszyć podpalacza, mówiąc, że wiecie, kto nim jest, czy może tak naprawdę nie znacie jego motywu?

– Przepraszam. Na tym etapie śledztwa nie mogę tego powiedzieć.

Kenny Mulroney z Cork 96FM podniósł rękę.

– Słyszysz tu i ówdzie, że pożar mógł mieć jakiś związek z konkursem stepu irlandzkiego planowanym na następną sobotę w Operze.

– Czyżby? – powiedziała Katie. – A gdzie dokładnie jest to „tu i ówdzie”?

– No, wie pani. Wszędzie, gdzie zbierze się paru ludzi, żeby napić się piwa.

– A co dokładnie się słyszy?

– Może to nieprawda, ale grupa Toirneach Damhsa była podobno typowana na zwycięzcę, a inny zespół taneczny zamierzał się postarać, żeby im się nie udało. Może sprawcy nie zamierzali nikogo krzywdzić, a już na pewno nie zabijać, ale teraz za bardzo się boją, żeby się ujawnić i powiedzieć, że to był wypadek.

– Sprawdzam taką możliwość, że jakaś rywalizująca grupa taneczna jest całkowicie lub częściowo odpowiedzialna za pożar. Zapewne niewielu wie, jak zażarte jest współzawodnictwo między niektórymi zespołami tanecznymi. Jeśli jednak te pogłoski okażą się prawdziwe... nie przesądzam tego... to wtedy zgodziłabym się z panem, że podpalacz prawdopodobnie nie zamierzał nikogo skrzywdzić.

– Chce pani powiedzieć, że ogień podłożono, żeby wyłączyć studio z użytkowania, lecz pożar całkowicie wymknął się spod kontroli? – spytał Dan Keane.

– Niewykлучzone. Środki chemiczne, których użyto, są bardzo nieprzewidywalne. Ale nie zamierzam dalej komentować tego

motywu.

Magorian wstał i położył dłoń na ramieniu Katie. W obecności mediów nie mogła jej strącić, nie ujawniając, jak bardzo nie życzy sobie tego rodzaju gestów, choć już sam zapach jego płynu po goleniu sprawiał, że robiło jej się niedobrze. Z drugiej strony, pamiętała, jak wypada na zdjęciach gazetowych i w telewizji, więc uniosła nieco podbródek, by zademonstrować, że jest spokojna i zdeterminowana. Skoro Nóirín O’Sullivan mogła prezentować się godnie, ona też to potrafi.

– Proszę państwa – zwrócił się do obecnych Magorian – pani nadkomisarz Maguire musi jeszcze dopiąć kilka spraw, więc wydaje mi się, że na razie podaliśmy dość informacji. Jednak, jak powiedziałem, możemy się spodziewać, że ostatecznie zakończy tę sprawę przed niedzielną mszą.

– Na temat śmierci detektywa Dooleya będę mogła zdradzić więcej jutro, po tym, jak będę miała szansę porozmawiać z jego rodzicami.

– A co z zastrzeleniem Nialla Gleesona? – spytał Kenny Mulroney.

– Nadal prowadzimy śledztwo. – Katie usilnie starała się unikać ostrego tonu.

Mulroney wzruszył ramionami, odwrócił się do siedzącej obok dziewczyny i kamera RTÉ odwróciła się również. Nie patrząc na Magorianą, Katie ujęła jego nadgarstek i zdjęła dłoń mężczyzny ze swojego ramienia. Kiedy się odwróciła, miała na twarzy przyjazny uśmiech, ale w oczach lodowaty chłód.

\* \* \*

Gdy szybkim krokiem wracała do gabinetu, dołączył do niej Phinner.

– Strasznie się Magorianowi spieszy z tymi aresztowaniami, co?

– Hm – mruknęła Katie, nie zwalniając.

– Idzie pani trochę za szybko dla mnie. – Podbiegł, by się z nią zrównać. – W nocy znów miałem atak dny moczanowej.

– Jeśli nikogo przy mnie nie ma, chodzę jeszcze szybciej.

– Jezu! Dzięki Bogu, że nie muszę z panią wtedy chodzić.

Katie dotarła do gabinetu.

– Chciałeś mi coś powiedzieć, Bill?

– Tak. Dostaliśmy dziś rano porównania makroskopowe i sprawdziliśmy pocisk znaleziony w samochodzie Gleesona i szczątki pocisku z czaszki Ronana Barretta. Nadal nie znaleźliśmy pocisku, który zabił Saoirse MacAuliffe. Prawdopodobnie przebił podłogę strychu i pomieszczenie poniżej.

– Ale...? No? Jaki wynik?

Magorian wyczerpał niemal całą cierpliwość Katie. Im dłużej traktował ją jak primabalerinę z wiecznym zespołem napięcia przedmiesiączkowego, tym bardziej czuła się tak, jakby miała zaraz dostać okres.

– Oba pociski wystrzelono z tej samej broni.

– Co? Poważnie?

– Nie ma co do tego wątpliwości. Na szczątkach było dość rys, żeby na sto procent ustalić, że chodzi o ten sam egzemplarz.

Katie weszła do gabinetu i usiadła za biurkiem. Moirin stanęła w drzwiach, trzymając stos listów do podpisu. Phinner bez ruchu czekał na dalsze słowa Katie.

Chwilę się zastanowiła i podniosła na niego wzrok.

– To znaczy, że raczej nie będziemy szukać dwóch sprawców, ale jednego. Tylko kto chciałby wyrównać rachunki z prawą ręką Bobby’ego Quilty’ego i z dwójką tancerzy Toirneach Damhsa? Jaki tu może być związek?

– Niekoniecznie musi być związek, pani nadkomisarz. Jest tylko prawdopodobne, że wszystkich troje zabił ten sam sprawca. Proszę posłuchać. W zeszłym tygodniu zrobiłem rozpierduchę w warsztacie, do którego odstawiłem wóz, ponieważ nie zrobili mi go na czas, i tego samego dnia zwymyślałem kelnerkę u Chińczyka, bo wylała mi na kolana coca-colę. I w warsztacie, i w knajpie byłem nieźle wkurzony, ale między mechanikami i kelnerką nie było żadnego powiązania.

– W porządku, Bill. Rozumiem, co chcesz powiedzieć. Dzięki za wieści z balistyki. Zależy mi na tym, żeby zamknąć tę sprawę



najszybciej, jak się da, ale wygląda na to, że mamy tylu podejrzanych, że nie wiadomo, od którego zacząć.

– Słyszałem, co powiedział Magorian, że zamknie pani śledztwo do niedzieli. Ale ja bym się tym nie przejmował. Nie skończyliśmy jeszcze całej analizy kryminalistycznej, jesteśmy w lesie. Wciąż próbujemy ustalić, ile czasu musiało upłynąć, by środki chemiczne same wybuchły. Kiedy się to ustali, będziemy dokładnie wiedzieć, kiedy je podłożono, a wtedy pani będzie mogła sprawdzić, czy monitoring zarejestrował kogoś opuszczającego miejsce zdarzenia w danym odcinku czasu.

– Byłoby świetnie, gdybyś podsunął to Magorianowi. Tak przelotnie.

– Zrobi się. Wiem, co gość knuje. Widziałem takie numery wcześniej, jak służyłem w Dublinie. Wychwała się kolegę pod niebiosa, żeby potem, jak czegoś nie dopnie, wszyscy myśleli, że to niedorajda. Niech się pani tym nie przejmuje, pani nadkomisarz. Jakby doszło co do czego, stanę za panią murem.

– Dzięki, Bill – odparła bardzo cicho, tak że Phinner ledwo ją słyszał.

## ROZDZIAŁ 22

Detektyw O'Donovan zjawił się, żeby powiadomić Katie, że skontaktował się z byłym współnikiem Danny'ego Coffeya w Toirneach Damhsa, Stevenem Joyce'em.

– Spytałem go, czy jutro rano może przyjść na przesłuchanie na komendę. Powiedział, że tak, jeśli musi. Problem w tym, że musiałby odwołać próbę, a do konkursu zostało niewiele czasu i jego tancerze potrzebują każdej próby. Więc czy nie mógłby się u nas zjawić wczesnym popołudniem?

– Gdzie mają te próby?

– Nie wiem, ale mogę go spytać.

– W porządku. Dowiedz się, gdzie jest, pojedziemy i pogadamy z nim na miejscu. Danny Coffey dał mi do zrozumienia, że Joyce jest piekielnie wymagający. Będzie ciekawie zobaczyć go przy pracy.

Spojrzała na zegar na biurku.

– Dobra, spróbuj to załatwić. Teraz mam kilka rozmów, z rodzicami Dooleya i potem w klinice.

– Przyślę esemesa. I... proszę przekazać moje wyrazy współczucia Dooleyom. Nie wiem, czy Robert pani mówił, ale jego starszy brat, Paul, kiedy miał piętnaście lat, został potrącony i zabity przez pijanego. To głównie dlatego Robert poszedł do Gardy. Powiedział, że ma własną dewizę, która trochę się różni od naszej. „Nie pozwól, żeby draństwo uszło draniom na sucho”.

\* \* \*

Cały dzień niebo miało barwę popiołu i gdy Katie jechała do Togher, gdzie mieszkali Dooleyowie, spadł gęsty, zimny deszcz; tłukł w dach focusa i musiała włączyć wycieraczkę na maksimum.

Na miejscu pasażera wiozła bukiet długich białych lilii, które Moirin kupiła przed południem. Do kwiatów dołączyła kartkę

kondolencyjną; *Chaille muid ní hamháin ina laoch, ach cara – „Straciliśmy nie tylko bohatera, ale i przyjaciela”.*

Zwykle, jadąc, włączała muzykę, ale nie tego dnia. Zawsze czuła się osobiście odpowiedzialna, kiedy funkcjonariusz jej wydziału został ranny lub zabity podczas pełnienia służby, i z czasem to poczucie odpowiedzialności rośnie, tak że teraz czuła wyrzuty sumienia z powodu tego, co się wydarzyło. Była świadoma, że Robert Dooley znał ryzyko służby, jak każdy inny w Garda Síochána, ale ta świadomość w żaden sposób nie mogła jej ulżyć.

Już od jakiegoś czasu czuła, że porwanie Johna, jego kalectwo i następnie śmierć, a także obrażenia, jakie odniosła Kyna, gdy usiłowała ją ochronić, wywarły na nią większy wpływ, niż przypuszczała. Mogła tylko żywić nadzieję, że po spowiedzi Bóg jej wybaczył, nawet jeśli ona sobie nie wybaczyła.

Wkrótce po awansie na inspektora jej ojciec powiedział: „W tym fachu możesz być dobra tylko wtedy, gdy będziesz twarda, Katie. Jak masz miękkie serce, ludzie zaczynają cierpieć”.

Potraktowała poważnie tę uwagę, bo mówił z własnego doświadczenia, inspektora Gardy, ale teraz zaczęła się zastanawiać, czy nie trzymała się jej zbyt mocno. Była twarda, na pewno, mimo to ludzi spotykało cierpienie.

Zaparkowała pod szeregowym domem Dooleyów przy Deanrock Avenue, naprzeciwko terenów rekreacyjnych Clashduv Park, gdzie dwaj nastolatki w parkach, trzymając się górnych poprzeczek bramki na boisku, huścili się na boki jak wahadło. Przed domem parkowało osiem samochodów, a na chodniku, mimo deszczu, stała grupka mężczyzn w płaszczach przeciwdeszczowych lub wiatrówkach, paląc papierosy. Katie postawiła szpiczasty kaptur czarnej kurtki i ruszyła do uchylonych drzwi domu. Zapukała i weszła do środka.

Państwo Dooleyowie siedzieli na kanapie w salonie otoczeni licznymi krewnymi i przyjaciółmi. Szklany stolik przed gospodarzami był zastawiony filiżankami do herbaty, kubkami i dwoma talerzami herbatników. Na środku gzymsu kominka płonęła duża świeca, z

boku leżał stos kartek z kondolencjami.

Euan Dooley był niskim, przygarbionym mężczyzną ze szpakowatymi włosami i znużonym spojrzeniem, jakby całe życie ciężko pracował i nie mógł pojąć, dlaczego jego wszystkie wysiłki przyniosły mu tylko ten mały dom szeregowy, a do tego utracił dwóch synów, którzy umarli zbyt wcześnie, żeby mogli go odziedziczyć. Agnes Dooley bardzo przypominała Roberta – szczupła, miła dla oka, z owalną twarzą, która skojarzyła się Katie z wizerunkiem Matki Boskiej. Miała ufarbowane na czarno włosy i była w czarnym zapinanym swetrze i czarnej spódnicy, przez co wydawała się jeszcze bledsza.

Gdy Katie weszła, Euan wstał.

– Dzień dobry, pani nadkomisarz – przywitał ją. Ścisnął dłonie w pięści i nagle z gardła wydobył mu się ni to szloch, ni to parsknięcie.

– W porządku, panie Dooley, wspaniale pan sobie radzi – powiedziała. – Proszę, niech pan siada. – Wręczyła lilie jego żonie. – Są od wszystkich z Anglesea Street. Nie ma pani pojęcia, jak bardzo będzie nam brakowało Roberta.

– Pozwoli pani, że wezmę kurtkę – zaproponował jeden z krewnych, podczas gdy inny wstał i podsunął jej krzesło od jadalnianego kompletu.

– Ma pani ochotę na filiżankę herbaty? – spytała pani Dooley.

Katie uśmiechnęła się i odparła, że chętnie. Tak naprawdę nie miała na nic ochoty, ale widziała, że Dooleyowie byliby zażenowani i zdenerwowani, gdyby nie zaproponowali jej poczęstunku lub gdyby go odmówiła. Byli na skraju załamania nerwowego.

– Porozumiałam się z domem pogrzebowym – wyjaśniła im Katie. – I z komendą główną w Phoenix Park. Czuwanie przewidziano na piątek po południu u Świętej Trójcy, bo spodziewanych jest wielu uczestników. Następnego dnia przed południem odbędzie się pogrzeb państwowy. Biskup John Buckley będzie osobiście celebrował mszę żałobną, a z Dublina przybędą premier i komendant główna Gardy.

– Zasłużył na takie pożegnanie – zauważył Euan Dooley.

– A na pewno nie zasłużył na śmierć – dodała Agnes Dooley, ściskając dłoń męża. – Wolałabym mieć go tu z powrotem żywego niż te wszystkie hołdy i uroczystości, jakich świat nie widział.

Spojrzała na Katie oczami pełnymi łez, kręcąc głową, jakby chciała powiedzieć: „Nie, nie, nie, dlaczego nie przyjechałaś mi powiedzieć, że jednak wcale nie umarł?”.

Jedna z ciotek zmarłego przyniosła Katie herbatę z mlekiem.

– Proszę się poczęstować ciastkami. Domowej roboty – zachęciła ją.

Katie wzięła ciastko i przełamała na pół, chociaż miała wrażenie, że nie będzie w stanie go przełknąć.

Chwilę rozmawiały o karierze Roberta i o tym, jak zawsze chciał zostać detektywem Gardy. Agnes opowiedziała, że w podstawówce jego kolega kradł słodycze z kieszeni płaszczyka koleżanki, więc Robert podrzucił w miejsce cukierków kamyki i nieletni przestępca złamał sobie przedni ząb, kiedy rzucił się na łup.

– Zawsze troszczył się o innych – zakończyła Agnes. – Nawet w niebie nie przestanie, zapamięta pani moje słowa.

Katie udało się zjeść ciastko i wypić prawie całą filiżankę herbaty, chociaż była letnia; w dodatku Katie zwykle piła bez mleka i cukru. W końcu powiedziała Dooleyom, że musi jechać, wstała i uściskiem dłoni pożegnała się ze wszystkimi.

– Chcę wam powiedzieć, że Robert był jednym z najznakomitszych młodych detektywów, jakich kiedykolwiek miałam w swoim zespole – oświadczyła żałobnikom. – Dzięki niemu mogliśmy być dumni z naszej pracy.

Agnes Dooley odprowadziła ją do drzwi frontowych. Robiło się ciemno i nadal padało, chociaż już nie tak mocno.

– Tysięczne dzięki za przyjęcie – powiedziała Agnes Dooley, otulając się szczerze swetrem, jakby czuła lodowaty podmuch śmierci. – Chciałam coś pani powiedzieć, ale pewnie pani już to wie, i wolałam nie mówić tego przy innych.

– Czy to ma jakiś związek z Robertem?

– Tak, ma. Wpadł wziąć prysznic i coś zjeść, zanim pojechał do tego

straszego typu, który go zamordował.

Obejrzała się przez ramię, jakby sprawdzała, czy mąż nie wyszedł za nią na korytarz i czy nikt jej nie słyszy.

– Proszę mówić – zachęciła ją Katie.

– Kiedy tu był, wpadł jego kolega, Kenny MacCarty. Rozmawiali w kuchni, kiedy Robert jadł kolację, a ja cały czas się kręciłam, więc nie słyszałam wszystkiego, co mówił Kenny. Ale usłyszałam, jak mówił Robertowi, że w zeszłym tygodniu był w Roundy i widział Danny’ego Coffeya z Toirneach Damhsa razem z instruktorem tańca, Nicholasem O’Gradym.

– Zna ich pani, Coffeya i O’Grady’ego?

– Oczywiście, że znam. Młodsza córka sąsiadów, Megan, dawniej tańczyła w Toirneach Damhsa i kilka razy chodziłam oglądać jej występy, stąd ich znam. Ale kiedy Megan miała piętnaście lat, strasznie, biedaczka, utyla. Mało nie rozwaliła podłogi i nie grzmotnęła piętro niżej, jak ćwiczyła stepowanie, więc musieli się z nią rozstać. Poza tym Robert pracował nad sprawą i mówił mi o niej... no, nie wszystko. Nigdy nie mówił dużo o pracy, ale powiedział, że Nicholas O’Grady spalił się razem z innymi i że wezwała pani Danny’ego Coffeya na przesłuchanie.

– No tak. Ale co z tym spotkaniem Coffeya i O’Grady’ego w Roundy? – Był to pub o półokrągłej fasadzie na rogu Grand Parade i Castle. Chodziła do niego różna klientela, wieczorami głównie geje, serwowano tam tapas i grano muzykę na żywo.

– Kenny widział Danny’ego Coffeya i Nicholasa Grady’ego, jak tańczyli razem i jak... no... całowali się. Prawie zjadali się bez majonezu... tak powiedział. Więc kiedy kilka dni po tym przeczytał w „Echu” o pożarze i dowiedział się, że Nicholas O’Grady był żonaty, pomyślał, że to dość dziwne. Chociaż O’Grady był żonaty z innym facetem, a nie z kobietą, i może facetów po ślubach z facetami obowiązują inne zasady.

– W każdym razie bardzo dziękuję za tę informację, Agnes. Robert nie wspomniał mi, że jego kolega widział Coffeya i O’Grady’ego razem. O ile wiem, nie wspomniał też o tym innym kolegom z Gardy

i nie ma o tym nic w jego notatkach. Domyślam się, że najpierw chciał nieco lepiej rozpracować ten wątek.

– Ale to nie wszystko – rzuciła Agnes Dooley, pochylając się bliżej.

W tym momencie jej mąż krzyknął:

– Aggie, na litość boską, zapchaj czymś tę dziurę w drzwiach! Zamarzniemy tutaj!

Agnes Dooley przymknęła drzwi.

– Kiedy Danny Coffey i Nicholas O’Grady siedzieli tam – odezwała się prawie szeptem – trzymając się za ręczki jak para kochanków, jak burza wpadł inny facet, poderwał Coffeya na nogi i zaczął ciskać nim po sali, wrzeszcząc jak oszalały. Dwaj barmani wyskoczyli zza lady, dorwali faceta i wyrzucili go na ulicę.

– Czy kolega Roberta wie, kim był ten mężczyzna?

– Nie zna jego nazwiska. Ale powiedział, że był wysoki i mówił jak ktoś z Belfastu albo z Derry.

– I to wszystko? – spytała Katie. – Nic więcej nie powiedział Robertowi ten kolega?

Agnes Dooley skinęła głową.

– Więc czemu nie chcesz, żeby mąż to usłyszał?

– Bo... że tak powiem, Kenny był więcej niż kolegą Roberta, rozumiesz? Robert lubił dziewczyny, ale nigdy nie mógł się całkowicie zdecydować. Po tym, jak Bóg zabrał naszego Malcolma, Robert stał się oczkiem w głowie ojca i Euan dostałby pewnie ataku serca, gdyby się dowiedział, że jego syna kręcili i chłopcy, i dziewczęta.

– Rozumiem. – Katie gestem współczucia położyła dłoń na ramieniu Agnes. Robert Dooley zawsze nosił się jak spod igły, miał nienaganną fryzurę, wkładał wąskie spodnie i pachniał wodą po goleniu Bossa, ale nie krył, że ciągnie go do detektyw Padragain Scanlan, jednej z najładniejszych dziewcząt na komendzie przy Anglesea Street, więc Katie nigdy nie zgadłaby, że mógł być biseksualistą. To ją zaskoczyło, bo zwykle miała nosa co do orientacji seksualnej.

– Muszę kogoś wysłać, żeby porozmawiał z tym Kennym –

powiedziała. – Masz jego adres?

– Mieszka gdzieś w Ballyphehane, niedaleko od baru Tory Top... tak mi się zdaje. To tam przeważnie spotykali się z Robertem. Ale nie znam dokładnego adresu.

– Nie szkodzi. Prawdopodobnie znajdę jego telefon albo adres w komórce Roberta. Jeszcze raz dziękuję za szczerość. Nie wiem, jak ważna może być ta bójka w Roundy, ale nigdy nie wiadomo. Do zobaczenia na czuwaniu w piątek.

– Nie miałby mi za złe, że to powiedziałam?

– Ależ skąd! Wręcz przeciwnie. Nie wykluczam, że pomogłaś rozwiązać sprawę.

\* \* \*

Adeen siedziała w łóżku i oglądała serial familijny *Dig in Diner*. Dźwięk był ściszony prawie do zera. Dziewczynka miała na sobie różową piżamkę w gwiazdki i tuliła lalkę z platynowymi loczkami.

Katie przysunęła krzesło do łóżka i dała Adeen torebkę Haribo kupioną w drodze do kliniki.

– Spytaj pielęgniarkę, zanim je zjesz – powiedziała z uśmiechem. – Nie wiem, ile ci wolno zjeść cukru.

Mała uśmiechnęła się blado, ale nie odpowiedziała.

– Wiesz, Adeen, dzisiaj wyglądasz lepiej. Masz rumieńce na buzi. Wkrótce będziesz mogła wyjść ze szpitala i znajdziemy ci jakichś miłych ludzi, u których będziesz mogła mieszkać.

Choć Adeen nadal się nie odzywała, wpatrywała się w Katie, jakby była gotowa przemówić.

– Masz piękną lalkę – ciągnęła Katie. – Dawniej miałam podobną. Mogła zamykać oczy, więc kiedy przychodziła pora spać, kładłam ją do łóżeczka, śpiewałam jej i udawałam, że śpi.

Wyciągnęła rękę i pogładziła blond włosy lalki. Potem bardzo cicho zaczęła śpiewać:

– *Na Lammas Fair, dziewczyno... czy kiedyś byłaś tam... na Lammas Fair w Ballycastle... Czyś sprzedała Mary Ann swą... starcowi, co z wody wyłonił się... na targu, na Lammas Fair w Ballycastle?*



Dziewczynka nagle zaczęła płakać. Zrozpaczona wygięła usta w podkówkę, a jej oczy wypełniły się łzami. Katie odepchnęła krzesło, usiadła obok niej na łóżku i objęła ją. Pod różową piżamą chude ramionka trzęsły się z rozpaczy.

– Przepraszam, przepraszam – szeptała Katie. – Czy to cię zdenerwowało?

– Mamusia mi to śpiewała – wyszlochała Adeen. – Mamusia mi to śpiewała, jak kładła mnie spać.

Katie uściskała ją i pogładziła po włosach.

– Bardzo przepraszam, Adeen. Nie chciałam doprowadzić cię do płaczu. Gdzie jest teraz twoja mama?

– Umarła, jest w niebie.

Wyjęła chusteczkę z pudełka na stoliku przy łóżku i podała ją Adeen, by dziewczynka mogła wytrzeć oczy i wysiąkać nos.

– No, to teraz musimy pomyśleć o innej piosence dla twojej lalki, prawda? Takiej, żeby ci nie było smutno.

Adeen skinęła głową.

– Śpiewam jej ptaszkową piosenkę.

– Tak, znam ją. *Ptaszki piosenkę ćwierkają, ćwierkają przez cały dzień. Elfy tańczą za wzgórzem, doliną, bardzo kochają cię, dziewczyno.* To ta?

– Tak – potwierdziła mała i pocałowała lalkę w czoło. Chyba zapomniała, że ma udawać niemowę.

– Skąd się wzięła twoja lala?

– Corinne dała mi ją dziś rano. Ona jest czarodziejska.

Słyszac akcent Adeen, Katie miała już pewność, że dziewczynka wychowała się w Ulsterze, niedaleko Belfastu. Corinne była zaś Corinne Daley z opieki społecznej. Szukała rodziny zastępczej dla dziewczynki.

– Nadałaś jej już imię?

Adeen skinęła głową.

– Nazywa się Bindy. Tak samo jak moja ostatnia lalka, która się zepsuła.

– Bindy. Śliczne imię. Ale powiedz mi, jak zepsuła ci się lalka?

Mała odwróciła się do telewizora, gdzie serialowe postaci śmiały się i przekomarzały, i Katie przez chwilę myślała, że nie chce rozmawiać. Jednak po chwili dziewczynka powiedziała:

– On ją nadeptł.

Teraz jej głos zabrzmiał zupełnie inaczej niż do tej pory; dziwnie piskliwie, jakby sygnalizowała, że to mówi Bindy, nie ona. Katie spotkała się wcześniej z podobnymi zachowaniami, gdy rozmawiała z dziećmi, zwłaszcza z ofiarami molestowania seksualnego. Udawały, że mówią ich misie, ludziki z klocków Lego albo nawet rękawiczki; w ten sposób uciekały przed traumą, którą usiłowały opisać.

– Rozumiem – powiedziała Katie. – Nadepnął... to okropne. Kto na nią nadepnął?

– Mój brat – odparła dziewczynka po dłuższej chwili, tym samym piskliwym głosem.

– To brzydko z jego strony. Dlaczego to zrobił?

– Powiedział, że przez nią przechodzą mu po plecach ciarki.

– Przez nią? Przecież to była tylko lalka.

– No tak, ale to była taka lalka, że wyglądała jak prawdziwy dzidzius, a nasza mamusia umarła, kiedy rodziła dzidziusia, i on widział tego dzidziusia, i powiedział, że moja lalka jest jak on.

– Tak mi przykro mi to słyszeć... A co z dzidziusiem? Dzidzius też umarł?

Adeen kiwnęła głową, nadal nie odwracając się do Katie.

– Nie widziałam go, ale mój brat go widział.

– Jak ma na imię twój brat?

– Nie mogę ci powiedzieć. Strasznie by się złościł, jakby się dowiedział, że ci powiedziałam.

– Nie dowie się, skarbie. Nikt mu nie powie. Nawet nie wiem, gdzie on jest. Czy to on cię odwiedził i dał ci kwiatki?

Mała znów kiwnęła głową.

– Napisał na kartce „*Zippo*” – powiedziała Katie. – O co mu chodziło?

– Żebym trzymała buzię na kłódkę. Żebym nikomu nic nie mówiła<sup>10</sup>.

---

10 Zip your lips! (ang.) – Buzia na kłódkę!

– Mnie możesz powiedzieć.  
– Boję się. Nie wolno mi nic ci mówić.  
– Przynajmniej możesz mi zdradzić, jak masz na imię. Teraz jesteśmy przyjaciółkami, prawda? Nie mogę wciąż mówić na ciebie „Adeen”.

Dziewczynka odwróciła się do Katie, ale nie odpowiedziała. Tylko wpatrywała się w nią i bawiła zieloną plecioną bransoletką.

– W porządku – rzuciła Katie, uśmiechając się do niej. – Nie musisz mi mówić, jeśli się boisz. Ale gdybym wiedziała, jak się skontaktować z twoim bratem, mogłabym z nim porozmawiać i postarać się, żeby nie był na ciebie zły.

Adeen nadal nie odpowiadała i w dalszym ciągu ciągnęła i szarpała bransoletkę.

– Piękna bransoletka – powiedziała Katie. – Skąd ją masz?

– To bransoletka lali.

– Biednej lali, na którą nadepnął twój brat?

– Tak – szepnęła Adeen.

– I naprawdę nie możesz mi powiedzieć, jak się nazywasz? Nikt inny się nie dowie, tylko ja.

Mała pokręciła głową.

– W takim razie trudno, na razie nieważne. – Katie wiedziała, że nie ma sensu dręczyć dziewczynki kolejnymi pytaniami, chociaż pilnie musiała się dowiedzieć, jak naprawdę nazywa się to dziecko i skąd jest.

Jeszcze bardziej chciała się dowiedzieć, dlaczego mała była na strychu, gdy w studiu Toirneach Damhsa wybuchł pożar, i co wtedy zobaczyła. Ale przynajmniej teraz Adeen z nią rozmawiała i chyba nabrała do niej zaufania. To już było coś. Poza tym Katie dowiedziała się dwóch rzeczy, które mogły się okazać niemniej ważne – że bransoletka Adeen kiedyś należała do jej lalki i że lalka była tak wierną imitacją niemowlęcia, że brat Adeen ją zniszczył.

Możliwe też, że skoro ten brat tracił opanowanie z takiego powodu, był niezrównoważony i skłonny do przemocy. Niewątpliwie siostra się go bała.

Zanim Katie opuściła klinikę, wysłała SMS-a detektyw Scanlan. Nakazała jej przeszukać internet i znaleźć wszystkich producentów lalek wyglądających jak prawdziwe niemowlęta, sprzedawanych w Irlandii Północnej, a zwłaszcza takich, które miały zielone bransoletki ze złożonymi zapięciami.

Scanlan odpisała: *Jak znajdę tę lalkę, mogę ją kupić z kosztów operacyjnych? Zawsze o takiej marzyłam.*

## ROZDZIAŁ 23

Liam pokazał się w Templegate dopiero dobrze po dziesiątej, wyczerpany i rozkojarzony. Nie było żadnego z jego kumpi od kieliszka, Murtagha ani Billa, więc podszedł do baru, za którym stała Kyna, i przysiadł na wysokim stołku.

W sali bilardowej Sorch grała na gitarze i śpiewała *The Dying Rebel* dwudziestokilkusobowej grupie pijących, chociaż sądząc z rozmów i wybuchów śmiechu, nie zwracali na nią zbytnej uwagi.

– *Ostatni spotkany to buntownik, co konał... gdym klękała, słyszałam, jak wzdycha... Boże, błogostaw mój dom w mieście Cork ... błogostaw, za com oddał życie...*

Kyna właśnie nalewała guinnessa jakiemuś starcowi. Z uszu wyrastały mu siwe włosy, a siwe wąsy pod nosem żółtkły po latach palenia.

– Jezu, Liam, wyglądasz jak trup – powiedziała.

– No bo jestem trup – przyznał. – Ręka tak mnie rwie, że nie uwierzyłybyś, i dopiero co skończyliśmy spotkanie u Davy'ego. Wlokło się wieczność. Pamiętam, że zapraszałem cię na dziś do Bodegi, ale szczerze mówiąc, nie mam pary. To był fatalny dzień, niech go diabli.

Wzięła od starca pieniądze i nałała Liamowi duże piwo Murphy.

– Chcesz o tym pogadać? – spytała.

– Nie, nie ma bata. Nie chcę, żeby Davy przedziurawił mi drugą rękę.

– Och, więc to sprawy zawodowe.

– Można tak to nazwać. Myślałem, że Davy gada z sensem, wiesz... ale zaczyna mi świtać, że to jest świr jakich mało. Jasne, Bobby też potrafił mnie nastraszyć, że głowa mała, ale on przynajmniej wiedział, na czym stoi. Opychał lewe fajki i tylko udawał, żeśmy są IRA, żeby inne gangi trzymały się od nas z daleka. Ale z Davym... sam

nie wiem. Dla niego polityka to śmiertelnie poważna sprawa... wciąż nadaje w kółko, że trzeba znieść granicę, że nasza sprawa jest święta i Bóg wie co jeszcze.

Nagle urwał.

– Nie powinienem ci tego mówić – rzucił po chwili. – Jakby Davy mnie usłyszał, odciąłby mi wacka.

– Przestań.

– Nie, Roisin, serio. Już wcześniej mi tak groził. Poszedł za mną do kibla, wyjął kosę i powiedział, że jak nie będę za nim na sto dziesięć procent, odetnie mi wacka i spuści do sracza. I naprawdę nie żartował. Wciąż mam ślad tam, gdzie mnie zaciął.

Kyna zerknęła na zegar w mahoniowej skrzynce nad barem.

– Słuchaj, o jedenastej się stąd zmywam – powiedziała. – Nie musimy iść w miasto. Nie musimy iść do centrum, tylko wypijemy gdzieś banię na spokojnie, na przykład w Woodford.

– Pewnie, super by było. – Rozpromienił się. – Czemu nie.

Został przy barze ze swoim piwem i Kyna postawiła mu paczkę orzeszków na koszt firmy. Była prawie jedenasta, kiedy usłyszała oklaski z salki obok i po kilku sekundach pojawiła się Sorcha. Tego wieczoru nosiła opięty szary T-shirt, czarne obcisłe dżinsy i sandały z dzwoneczkami.

– Na co masz ochotę? – spytała Kyna, gdy piosenkarka siadła obok Liama, podzwaniając dzwoneczkami.

Sorcha popatrzyła na nią wielkimi, błyszczącymi jak onyksy oczami.

– Zgadnij – rzuciła.

– Chodziło mi oto, czego chcesz się napić?

– W porządku. Rum z colą.

– Jak poszło? – spytała Kyna, nalewając bacardi do wysokiej szklanki, do której wcześniej wrzuciła kostki lodu.

– Och... jak na wsi. To nie publika do słuchania Wolfe’a Tone’a. Pewnie woleliby, gdybym zaśpiewała *The Black Velvet Band*, albo jakieś inne stare gówna Dublinersów.

Kyna postawiła drinka przed piosenkarką, a ta wsunęła palce pod bransoletki na jej nadgarstku i zaczęła się nimi bawić.

- O której kończysz? – spytała.
- O jedenastej – powiedziała Kyna.
- Ale idzie na piwo ze mną – wtrącił się Liam.

Sorcha nie zaszczyciła go spojrzeniem; nadal bawiła się bransoletkami Kyny i bez drgnienia powieką wpatrywała się jej w oczy.

- Nie wierzę – rzuciła. – Z nim?

Kyna oddałaby wszystko, aby odwrócić się do Liama, poprosić, by zapomniał o tym wieczorze, i obiecać, że może wyjdą do miasta kiedy indziej. Nie chodziło tylko o to, że pociągały ją kształtne piersi i twarz Sorchy. Coś w spojrzeniu dziewczyny mówiło, że mogłoby im być cudownie razem, i jako przyjaciółkom, i jako kochankom. Rzadko napotykała takie spojrzenia. Znała je z oczu Katie, ale Katie była jej przełożoną, co było właściwie nie do przeskoczenia. Tego problemu nie miałyby z Sorchą, chociaż mogłyby się pojawić inne, biorąc pod uwagę, że tak naprawdę nie nazywała się Roisin MacColgan i nie była barmanką, ale detektywem w Garda Síochána i tkwiła za tym barem tylko po to, by się dowiedzieć, kto zastrzelił Nialla Gleesona i dlaczego.

- Może jutro? – zasugerowała.

– Jutro mnie tu nie będzie – odparła Sorcha. – Gram do późna w Sin é. A pojutrze w White Horse w Ballincollig. I kto wie, kogo tam spotkam?

- Żałuję, Sorcha, ale nie. Nie mogę dzisiaj. Po prostu nie mogę.

Sorcha wzruszyła ramionami i uwolniła rękę Kyny.

- Twoja strata – prychnęła. – Ale dzięki za drinka.

Zabrała rum z colą, zsunęła się z krzesła i ruszyła z powrotem do sali bilardowej. Po chwili Kyna zobaczyła, jak rozmawia ze śliczną młodą, rudą kobietą i obie uśmiechają się coraz szerzej. Miała ochotę wyjść zza lady, podejść do niej i powiedzieć: „Przestań! To my powinniśmy być razem, ty i ja!”

– Laska z niej, nie ma dwóch zdań – odezwał się Liam, podnosząc szklankę. – Ale można się jej wystraszyć.

Jej? – pomyślała. Gdybyś wiedział, kim naprawdę jestem, tobyś się

dopiero wystraszył.

\* \* \*

Wzięli taksówkę do centrum. Woodford mieścił się w georgiańskim budynku z kamienną fasadą przy Paul Street, ozdobioną kosztami kwiatów zwisającymi z parapetów okien. Kyna wybrała ten lokal, bo było mało prawdopodobne, by zabłąkali się tam Davy lub jego kumple z Gurranabraher.

Był dużym staromodnym pubem z malowanymi na zielono boazeriami, kamiennymi ścianami i długimi czerwonymi zastonami. Kiedy tam dojechali, panowały w nim tłok i hałas, ale udało im się znaleźć dwuosobowy stolik obok baru. Na blacie płonęła świeczka. Liam jak zawsze zamówił piwo, a Kyna poprosiła o prosecco. Zwykle nie piła na służbie, ale musiała wysłać Liamowi sygnał, że robi na niej wrażenie. Rozmawiali, niemal dotykając się głowami, by słyszeć się mimo wrzasków, śmiechów i muzyki w tle.

– Masz dziewczynę, Liam? – spytała Kyna.

– Aż do zeszłego miesiąca miałem Moirę, ale zerwaliśmy. Trochę ze sobą mieszkaliśmy, z przerwami, ale tak często mnie nie było, że zapragnęła dla towarzystwa kota. Problem w tym, że przy kotach kicham jak najęty, a poza tym kto lubi włożyć boso do kuwety ze żwirkiem, jak w środku nocy idzie do kuchni po szklankę wody?

– No, ja nie, i to na sto procent.

– Poza tym ty jesteś tysiąc razy ładniejsza od Moiry. No, jesteś ładniejsza, dziewczyno, i mogę ci to powiedzieć w oczy. Jesteś rewelacyjna.

– Ty też nie wyglądasz najgorzej. I nie jesteś głupi. Nie wiem, co cię trzyma z Davym i tą resztą gości.

– Co? Kasa. No, głównie kasa. I jeszcze to, że żaden z tych gnojów z mojej ulicy się mnie nie czepia, i nikt inny też, bo wiedzą, z kim trzymam.

– Ale o co właściwie poszło? Czemu Davy tak cię dziabnął w rękę?

Liam pociągnął łyk piwa, otarł ręką usta i rozejrzał się po pubie, jakby sprawdzał, czy nikt nie podsłuchuje.



– Mówiłem ci, że myślałem, że ma równo pod sufitem. Tak między nami, to nawet miał mi załatwić gnata. Tak, naprawdę. Ale wygląda na to, jakby handel fajkami już w ogóle go nie interesował. Ciągłe nawija, że mamy wojnę z Angolami. Nie wiedzieć dlaczego, wbił sobie do głowy, że mówiłem ci o naszych interesach, kompletnie mu odjechało i wbił mi w rękę nóż.

– A co to za interesy, o których masz mi nie mówić?

Liam wysunął dolną wargę i pokręcił głową.

– Zabiłby mnie, kurwa, gdyby się dowiedział, że ci powiedziałem.

– To czemu się go trzymasz?

– Boby mnie, kurwa, zabił, jakbym się go nie trzymał.

– Myślisz, że mógł zastrzelić Nialla?

– Nie... nie, nie myślę. Niall miał go w garści, bo najlepiej wiedział, jak opychać fajki po tym, jak zabrakło Bobby'ego. I zawsze mówił, że go lubi.

– Mówiłeś, że po południu mieliście spotkanie. W jakiej sprawie?

Liam długo milczał, ale gdy skończył piwo i zajrzał do pustej szklanki, wydusił z siebie:

– Nie mogę ci powiedzieć, Roisin. Ale powiem ci jedno: to co Davy planuje, to mnie, kurwa, przeraża. Nie chcę zgnić w więzieniu Portlaoise.

– Jesteś pewien, że nie chcesz mi powiedzieć? Może lepiej byś się poczuł, gdybyś to z siebie wyrzucił.

– Nie. Nie mogę. To jak jakiś pierdolony nocny koszmar. Za każdym razem, jak się widzimy, mówi: „Zippo”. Gębę na kłódkę i słowa nikomu.

– W porządku. Pogadajmy o czymś innym. Jesteś w ogóle głodny?

– Szczerze mówiąc, to konam z głodu. Nic nie jadłem, tylko jabłko na śniadanie. Mógłbym wsunąć udziec z Baranka Pańskiego.

– Na co masz ochotę? Możemy tu coś zjeść. Mają fantastyczne hamburgery i moglibyśmy wziąć na spółą tacę tapas.

– Nie wiem, Roisin – rzucił, rozglądając się. – Coraz tu gęściej. Może wstąpimy do Burger Kinga, weźmiemy na wynos i zjemy u mnie w domu? Mam w lodówce parę butelek białego wina. Moira kupiła,

zanim mnie rzuciła.

– Czemu nie? – Kyna uśmiechnęła się do niego i ścisnęła leżącą na stoliku dłoń Liama, jakby nie potrafiła z wrażenia wykrztusić słowa.

Wstali, narzucili na siebie kurtki i trzymając za ręce, przepchnęli się na dwór, do Patrick's Street. Liam wciąż rzucał jej ukradkowe spojrzenia i Kyna domyślała się, że jest niezmiernie dumny z jej towarzystwa i coraz bardziej podniecony. Kilku mijających ich nastolatków zagwizdało na jej widok, co sprawiło mu tym większą przyjemność.

Kiedy czekali w kolejce w Burger Kingu, za kompletnie pijanym mężczyzną w zasikanych džinsach, który kiwał się na boki, Kyna zadzwoniła po taksówkę. Przyjechała, zanim zdążyli odebrać zamówienie. Kiedy wsiadali, Kyna była gotowa przeprosić za bijące z torebek zapachy, ale uznała, że taksówkarz niczego nie poczuje, bo sam śmierdział papierochami i kozieradką.

– St Anne's Road sześćdziesiąt dziewięć – zadysponował Liam.

Kiedy ruszyli, przysunął się do Kyny, objął ją i położył grubo obandażowaną rękę na jej ramieniu. W rewanżu położyła mu dłoń na udzie, tak że wyczuwała pod džinsami kościstą nogę.

Już kiedy miała dwanaście lat, zdała sobie sprawę, że dziewczęta bardziej jej się podobają niż chłopcy i nigdy pod wpływem namiętności nie pocałowała żadnego. Z Liamem w taksówce nagle zabrakło jej tchu i miała atak klaustrofobii. Pochylił się i cmoknął ją w policzek, a kiedy się do niego odwróciła, mocno pocałował ją w usta. Miał suche wargi i gdy wepchnął jej do ust język, niemal obezwładnił ją odór porteru, papierosów i chipsów serowo-cebulowych.

Odpowiedziała na pocałunek. Wiedziała, że musi. Zamknęła oczy i usiłowała sobie wyobrazić, że całuje Katie, ale Katie miała delikatną skórę; jej lśniące, pociągnięte pomadką usta zawsze były wilgotne i nęcące. Nie miała kłującego zarostu, pryszczycy i nierównych zębów jak Liam ani kręconych tłustych włosów z łupieżem.

Otworzyła oczy i zobaczyła, że taksówkarz gapi się na nich w lusterku wstecznym. Liam znów pochylił się do niej, ale tym razem

szybko odwróciła głowę, tak że tylko stuknął ją nosem w ucho. Jego pocałunki były wystarczająco paskudne, nie musiała do tego znosić, że ktoś się na nią gapi. Nie miała żadnych wątpliwości, że Liam i tak z każdą chwilą będzie bardziej napalony. Bo przecież inaczej nie zapraszałby jej do siebie.

Szeregowy dom, w którym mieszkał, obłożony kamyczkowym tynkiem, stał w połowie ulicy. Liam zapłacił taksówkarzowi drobnymi, podczas gdy Kyna zatroszczyła się o torebki z Burger Kinga. Zaprowadził ją po stromych betonowych schodkach do wejścia.

– Właścicielka jest u siebie – powiedział, skinieniem głowy wskazując okno salonu na parterze. Ciemnobrązowe firanki były zsunięte, ale widzieli błyski telewizora. – Pani Devlin, stary grzmot, kuźwa. Nie śpi do białego rana, więc będziemy musieli być cicho. Żadnego darcia się.

Nie musisz się bać, pomyślała Kyna. Jeśli się rozedrę, to tylko dlatego, że będę chciała jak najszybciej od ciebie uciec.

W wąskim korytarzu śmierdziało gotowaną kapustą i przegrzanym kurzem wirującym nad elektrycznymi grzejnikami. Liam zapalił światło i ruszył przodem schodami wyścielonymi czerwoną wykładziną.

Najpierw wprowadził ją do bladoniebieskiej kuchni, tak małej, że Kyna musiała się cofnąć na korytarzyk, kiedy otwierał lodówkę. Wyjął butelkę białego wina z supermarketu, a potem otworzył szafkę i sięgnął po talerze i kieliszki z matowymi zaciekami. Kyna dała mu torebki z Burger Kinga, by wyjął jedzenie: podwójnego cheeseburgera z bekonem dla niego, dla niej wegeteriańskiego wrapa.

– Tak przy okazji – powiedział, niosąc talerze i kieliszki do pokoju od frontu – tu są drzwi do łazienki. Wiesz, jakbyś musiała się odpryskać.

W pokoju królowała zapadająca się zielona kanapa, która po rozłożeniu mogła posłużyć za podwójne łóżko, a oprócz niej wielki płaski telewizor i dwa różne fotele, pomarańczowy i bladobeżowy z

szarymi plamami na siedzisku. Za telewizorem stała szafa ścienna ze sklejk, a pod oknem regał, na którym były egzemplarze „Men’s Health” z oślimi rogami, płyty CD, opakowania po batonach Mars, częściowo wyciśnięte tubki pasty i szczotka z mnóstwem zaplątanych w nią włosów.

Na ścianie nad kanapą wisiał wielki naderwany plakat z koncertu Bruce’a Springsteena w Cork w lipcu 2013 roku.

– Proszę, siadaj – zaproponował i razem usiedli na kanapie.

Natychmiast rzucił się na cheeseburgera; ugryzł taki kawał, że ledwo mógł mówić. Kyna skubała wrapa, sączyła wino i rozglądała się po pokoju. Nie czuła się równie osaczona, od kiedy pracowała pod przykrywką i Quilty usiłował ją zgwałcić. Teraz mogła po prostu wstać i wyjść, ale całą pracę, którą do tej pory włożyła w śledztwo, szlag by trafił, i nigdy by się nie dowiedziała, dlaczego Davy kazał Liamowi trzymać gębę na kłódkę.

– Rany, aleś się zwinął – rzuciła z uznaniem, gdy Liam skończył jeść.

– Mówiłem ci, że konam z głodu. Ale prawie nie ruszyłaś wrapa.

– Nie jestem taka głodna, jak mi się zdawało.

Liam otarł usta zabandażowaną ręką. Odstawił talerz na podłogę, odebrał talerz od Katie i postawił go na swoim.

– Chono tu. – Objął ją i kilka razy cmoknął w usta. Ale zanim zabrał się do całowania na serio, opadł jeszcze na oparcie kanapy i przez chwilę usuwał czubkiem języka resztki mięsa spomiędzy zębów.

– Liam... – Zaczęło do niej docierać, że bez względu na koszty może nie znieść tego wszystkiego, na co się zapowiadało.

– Jezu, dziewczyno, nie masz pojęcia, co mi się dzieje przy tobie. – Całował coraz agresywniej, drapiąc ją zarostem po ustach. Potem zaczął obmacywać jej piersi przez sukienkę i wsunął lewą, zdrową, rękę między uda Kyny. Dyszał przy tym, jakby przebiegł całą drogę od Patrick’s Street do domu.

– Zdejmijmy to – wystękał, biorąc brzeg spódnicy i usiłując ją zadrzeć. Ale Kyna wyrwała mu go z ręki i przycisnęła do nóg, tak że nie mógł nic zrobić. Ścisnęła mocno kolana.

– Co? – spytał z głupim uśmiechem. – Co jest grane?

- Nie chodzi o ciebie.
- A o kogo?
- Mam ciotkę, to wszystko.
- Co? Ożeż ty! Och, Jezu, żarty sobie stroisz?
- Nie, Liam. Przykro mi. Nic nie poradzę na fazy Księżyca.

Wziął ją za rękę i przycisnął do swoich ud tak, by poczuła, jaki ma wzwód.

– Widzisz, co mi zrobiłaś? I teraz mówisz, że ciotka czerwoną limuzyną przyjechała! Kurwa, nie wierzę!

– To prawda, Liam. Jesteś precudowny facet, wiesz? Ale nie mogę ci udowodnić, jak bardzo mnie podniecasz... w każdym razie nie dzisiaj.

Pocałowała go, pogładziła po głowie i uśmiechała się do niego tak, jakby był zawiedzionym dzieckiem, którego nie mogła zabrać do cyrku.

– Rozsadzi mnie, dziewczyno – zaskomlał. – Gdybym wiedział, że do niczego się nie nadajesz... Jezu... a loda nie możesz mi zrobić?

– Liam...

Ale on już rozpiął pasek od spodni i otwierał rozporek. Wyjął stwardniałego penisa i zaczął się masturbować dwoma palcami. Nawet nie chciała na to patrzeć, ale on nie ustępował:

– Masz... masz dowód, co do ciebie czuję, Roisin. Twardy dowód. W sądzie by go uznali.

Spojrzała w dół i zobaczyła nabrzmiały purpurowy żołądź i zwinięty napletek. Czując napływającą do ust żółć, modliła się, żeby nie zwrócić sałatki z fasoli, którą zjadła na lunch. Liam położył zabandażowaną rękę na jej ramieniu i przyciągnął ją jeszcze bliżej.

– Jesteś dla mnie prawdziwy skarb, Roisin – wyznał. – Czuję, że jesteśmy sobie pisani. Wiesz, o co mi się rozchodzi?

To przeważało. Mógł przyprowadzić ją o mdłości, ale jeśli wierzył, że to los doprowadził do ich spotkania, i ufał jej, była spora szansa, że zdradzi jej, co knuje Davy Dorgan.

Pochyliła głowę, zamknęła oczy i wzięła penisa do ust. Zbierało jej się na wymioty, ale zaczęła go lizać, a Liam zarżał jak koń

Travellersów, wbił palce w jej włosy i przyciągnął ją do siebie jeszcze mocniej.

Próbowała sobie wmówić, że to sen, że nie czuje żadnego smrodu. Ssała energicznie, poruszając rytmicznie głową w dół i w górę i wypychając czubek języka w cewkę. Pomyślała, że im szybciej to się skończy, tym lepiej. Liam jęczał, parskał, rżał i rzeził:

– Przenajświętszy Piotrze, Roisin! Przenajświętszy Piotrze!

Zajęło to tylko kilka minut, zanim bez ostrzeżenia zadygotał. Jednocześnie jeszcze mocniej zacisnął palce przy cebulkach jej włosów, tak że nie mogła odwrócić głowy. Usta miała pełne ciepłej, kleistej mazi. Wzwód Liama niemal natychmiast ustąpił, tak że odniosła wrażenie, jakby w jej ustach spoczywał gruby, śliski robak.

– Przenajświętszy Piotrze, Roisin, jesteś fantastyczna. Kuźwa, fantastyczna.

W końcu ją puścił. Usiadła prosto, najdyskretniej, jak się dało, wypluwając spermę do ręki.

– Muszę siku – wymamrotała i natychmiast wstała, porwała torebkę i poszła do toalety. Uklękała, podniosła deskę klozetową i zwymiotowała. W muszli wylądowała na wpół strawiona fasolka, prosecco i nawet resztki musli z owocami, które jadła na śniadanie.

Wymiotowała i wymiotowała, aż rozbolał ją brzuch i targały nią tylko suche torsje. Kiedy klęczała, Liam zapukał do drzwi łazienki i spytał:

– W porządku, Roisin? Może jeszcze kieliszek wina?

– Cudownie, Liam – powiedziała. – Wracam za sekundkę.

Spuściła wodę, umyła ręce, nabrała wody do ust, przepłukała je i wypluła. Popatrzyła na siebie w małym poplamionym pastą do zębów lustrze nad umywalką i pomyślała: Święta Mario, Matko Boża, nigdy więcej... nigdy... choćbym nie wiem jak potrzebowała informacji.

Rozmazał jej się makijaż na oczach, ale starła go zmoczonym papierem toaletowym i nałożyła na usta pomadkę. Gdy wróciła do pokoju, Liam leżał na kanapie z uśmiechem satysfakcji na twarzy i palił papierosa. Poczowała ulgę, widząc, że zrezygnował z dalszych

przyjemności i zapiął dzinsy.

– No, niech mnie! Jest moja fantastyczna Roisin – przywitał ją. – Po tym to chodzi mi po głowie, żebyś się za mnie chajtła!

Siadła obok niego, a on objął ją, pozbywając się dymu dalszym kącikiem ust, by nie dmuchać jej prosto w twarz.

– No, coś ty! – Cmoknęła go w przyszczaty policzek. – Wiem o tobie ledwie tyle, żeby z tobą wyjść, ale za ciebie?

\* \* \*

Używając wszystkich technik przesłuchań, których uczyła się w Garda College, przeprowadziła Liama krok po kroku przez dzieciństwo, podczas którego był bity przez ojca alkoholika, i przez wszystkie warsztaty samochodowe, z których wylatywał, bo zawsze miewał kaca i spóźniał się do roboty. Szczegółowo omówiła z nim jego związki z dziewczynami i to, jak każda wystawiła go do wiatru. Zerwania nigdy nie były jego winą, chociaż musiał jej wyznać, że miewał trzęsionki, zwłaszcza gdy pił albo palił zioło, albo zwyczajnie nie miał nerwów.

– Zdaje mi się, że jeszcze nikt nie potrafił docenić twojej prawdziwej osobowości – powiedziała Kyna, tuląc się do niego i muskając czubkami palców wierzch jego dłoni.

– No i tu masz rację, nie potrafili. Zawsze jak na mnie patrzą, nie wiedzieć czemu kombinują, że marny ze mnie chujek.

– Nawet Davy nie kojarzy, na co cię naprawdę stać. Ale ty przecież wiesz, że ze wszystkich gości, których zna, jesteś jeden z najcwańszych. Tak cię dziabnąć nożem! Jakby go szatan opętał.

– Nie wiem, myślę, że mnie dziabnął, bo strasznie mnie potrzebuje, i chciał się upewnić, że nigdy go nie sypnę.

– Przecież byś go nie sypnął, nie? Nawet gdybyś miał iść do pierdla... tak powiedziałeś.

Liam wyjął z paczki następnego papierosa i zapalił.

– Nie, pewnie, że nie. Ale to jeszcze nie znaczy, że skaczą pod sufit z radości. Znaczy się... ta sprawa, którą Davy planuje... aż strach pomyśleć.

– To może nie powinieneś się w nią mieszać – osądziła rzecz Kyna. Postukała się po głowie i dodała: – Nie jesteś żaden marny chujek. Masz w głowie wszystko jak należy, wierz mi... i nie tylko w głowie.

Na chwilę przerwała, odpędzając ręką dym, który Liam właśnie wydmuchnął, po czym mówiła dalej:

– Weź pod uwagę to, że nie mam pojęcia, o co chodzi z tym planem Davy’ego, więc tak naprawdę nie mogę powiedzieć, czy dobrze, żebyś się w to pchał, czy nie. Może to wcale nie jest takie straszne, jak ci się wydaje.

– Matko Boska, Roisin! On planuje ustrzelić tego brytyjskiego gościa od obrony, kiedy przyleci do Opery oglądać tańce. Jak to nie jest, kurwa, straszne, to nie wiem, co znaczy „straszne”.

– Co ty mówisz? Jaki brytyjski gość od obrony?

– Nie wiem. Jakiś Angol, który przyjeżdża do Cork, żeby obgadać sprawę marynarki wojennej.

– Ale Davy nie planuje, że to ty masz go walnąć, nie?

– Nie, oczywiście, że nie. Jezu, nigdy w życiu nie strzelałem z broni... no, nie w kogoś, kto przede mną stoi. Ściąga trzech gości, takich, co ich zna z północy.

– A co ty musisz zrobić?

– Słowa nie powinienem ci z tego mówić. Jakby Davy słówko usłyszał, toby mnie, kurwa, zarębał.

– Jestem tylko barmanką, Liam. Komu bym powiedziała? Jak ty to sobie wyobrażasz? A poza tym coś nas już ze sobą łączy, mnie i ciebie? Nie chcę, żeby cię spotkało coś złego.

– Sraty pierdaty, trzeba mi było trzymać głowę na kłódkę, jak mówi Davy. Też nie chcę, żebyś się wpakowała w kłopoty.

Opadła na oparcie kanapy.

– Rób, jak chcesz. Ja tylko chciałam ci trochę doradzić... Wiesz, kobiety patrzą na różne sprawy inaczej niż wy.

Liam wzruszył ramionami i pociągnął papierosa; znów wzruszył ramionami i poruszył stopami, jakby się gdzieś wybierał, ale milczał jak zaklęty.

Kyna w końcu spojrzała na zegarek.



– Muszę się zmywać – rzuciła. – Jutro wcześniej startuję.

– Czemu nie zostaniesz?

Pokręciła głową.

– Dzięki za zaproszenie, ale mam ze sobą tylko jednego tampaxa. Powinam pojechać do domu i wziąć prysznic i doprowadzić się do porządku. Poza tym muszę zmienić sukienkę. Ta śmierdzi pubem.

Zadzwoiła po taksówkę i kiedy ta przyjechała, pocałowała szybko Liama na dobranoc i pożegnała się z nim w drzwiach wejściowych. Machała jej, aż dojechała do końca St Anne's Road.

Jednak gdy taksówka dotarła do skrzyżowania z McSwiney's Villas, Kyna zwróciła się do kierowcy:

– Zatrzyma się pan na chwilę? Muszę zadzwonić.

Wysiadła, wyjęła iPhone'a i wybrała prywatny numer Katie. Zanim odebrała, telefon dzwonił i dzwonił, ale w końcu Katie odezwała się śpiącym, niewyraźnym głosem:

– Kyna? O co chodzi?

– Jest pani w domu, pani nadkomisarz?

– Tak.

– Muszę z panią porozmawiać. Teraz. I chyba muszę się komuś wypłakać na ramieniu.

Katie powiedziała coś, czego Kyna dobrze nie zrozumiała, jakby jej przełożona mówiła do kogoś innego.

– Nie zrozumiałam – rzuciła Kyna.

– W porządku. Przyjeżdżaj. Do zobaczenia u mnie.

## ROZDZIAŁ 24

Po tym, jak Bernie Dennehy wyszedł z klubu Quayside Snooker, by pojechać do domu, jego dziewięcioletni golf odmówił posłuszeństwa. Za każdym razem, gdy Bernie przekręcał kluczyk w stacyjce, silnik kwiczał jak maciora w połogu, po czym zamilkł na amen – akumulator w końcu zdechł. Bernie nie miał ubezpieczenia assistance, więc zostawił samochód na parkingu za klubem.

Kumpel, Alby Healy, zaoferował się, że odwiezie go do domu, ale kiedy jechali przez śródmieście, Alby zasugerował, żeby wpaść do starego pubu Vicarstown Inn przy North Main Street na kilka piw. Bernie był zadowolony, że ma wymówkę, by jeszcze nie jechać do domu, do Maggie. Od zamordowania Nialla była na zmianę nieznośna i zrozpaczona i wszystko, co robił, co mówił, wyprowadzało ją z równowagi. Miał nadzieję, że będzie spała, gdy wróci.

Usiedli z piwem przy oknie, w boksie z siedzeniami ze sztucznej skóry. Światła skrzyżowania przenikały witrażowe szyby i cętkowały im twarze to na czerwono, to na zielono.

– Wiesz, na czym polega czysta tragedia tego wszystkiego, chłopie?  
– spytał retorycznie Bernie z piwną pianą na wąsie. – Tragedia polega na tym, że ja ją wciąż Kocham, wiesz? Kocham ją całym sercem. Ale nigdy jej nie wystarczałem, nie było na to żadnego sposobu.

– Musisz wykrzesać więcej wiary w siebie, Bernie, taki jest twój problem – zdiagnozował jego sytuację Alby. – Musi coś do ciebie czuć, inaczej by z tobą nie została, nie? W porządku, daje ci w kość, ale sztuka w tym, żeby to olewać. Niech mówi, co chce, ty się tylko uśmiechaj i bądź miły. Od czasu do czasu kup jej bukiet róż, a sobie trochę tej wiądry.

– Ech, nie wiem. Teraz zamyka drzwi od łazienki, więc nawet w

ogóle jej nie widuję.

– Nigdy nie zrozumieję, jaki jest sens w zamkach w łazience we własnym domu. No, przecież nikt nie wpadnie i nie buchnie klocka po tobie, nie?

W końcu opuścili pub, zaliczywszy trzy duże piwa, i przejechali resztę drogi do Fair Green i Nash's Boreen. W domu Berniego nie paliły się światła, więc klepnął Alby'ego w ramię i powiedział:

– Nie zaproszę cię na rozchodniaczka. Zrobiłaby niezły cyrk, gdybyśmy ją zbudzili, uwierz mi. Ale dzięki za podwózkę, chłopie. I dzięki za radę. Jutro kupię jej kwiatków i może zacznie być trochę przystępniejsza, że tak powiem.

Gdy Alby odjechał, Bernie podszedł do drzwi frontowych, kilka razy nie trafił kluczem w dziurkę zamka, lecz w końcu mu się udało i otworzył. Zaskoczyło go to, że zastał dom w kompletnych ciemnościach. To było niezwykle, bo zawsze, gdy wracał późno, Maggie zostawiała zapaloną przynajmniej lampkę w salonie – głównie dlatego, żeby się nie tłukł i jej nie budził.

Zamknął drzwi i macając przed sobą rękami, poszedł do kuchni. Liczył na kawałek wczorajszej zapiekanki w lodówce. Mikrofalówka wprawdzie padła, ale tak go ssało w żołądku, że jedzenie na zimno mu nie przeszkadzało.

W połowie korytarza zderzył się z czymś ciężkim i miękkim, co się zakotyssało. Obmacał to coś i ku swej zgrozie wyczuł sukienkę i biodro. Zatoczył się dwa kroki w tył i zaczął rozpaczliwie tłuc rękami po ścianie, szukając przełącznika obok wejścia do salonu.

Kiedy go znalazł i zapalił górne światło, zobaczył, na co wpadł. Na Maggie. Wisiała na balustradzie schodów. Głowę przekrzywiła na bok, oczy nabiegły jej krwią, ale były szeroko rozwarte, wpatrzone przed siebie; język sterczał z ust, twarz miała odcień bladej lawendy, sukienka była purpurowa. Prezent od niego na perłową rocznicę ślubu. Teraz pasowała do jej koloru oczu.

Bernie nie mógł wydobyć głosu z gardła. Na czworakach wdrapał się na schody i spróbował rozwiązać cienki, pleciony sznur, który Maggie zawiązała sobie na szyi. To był nylonowy sznur do bielizny,

zawiązany na podwójny węzeł, tak mocno zaciśnięty pod ciężarem ciała, że Bernie nie był w stanie go rozplątać, zwłaszcza że obgryzał paznokcie do żywej skóry.

Obijając się o ściany, wrócił na parter i wpadł do kuchni. Zapalił światło i wyciągnął szufladę ze sztuccami i narzędziami kuchennymi. Wypadła, a noże, widelce i łyżki z brzękiem rozsypały się po całej podłodze. Porwał nożyk, którego Maggie używała do obierania ziemniaków, i chwiejnym krokiem wrócił na schody.

Wsunął lewą rękę między słupki balustrady, chwycił za kołnierz sukienki Maggie, nieco dźwignął ciało i zaczął gorączkowo piłować sznur. Gdy go przeciął, sukienka rozdarła się aż do rękawa; Maggie okazała się zbyt ciężka, żeby Bernie mógł ją utrzymać. Z łomotem upadła na wykładzinę na parterze, tak że podskoczyło jej ramię, jakby je unosiła.

Niezdarnie popędził na dół i ukląkł przy zwłokach. Ledwo łapał oddech i całym sercem żałował, że tak się upił.

– Maggie? – powiedział, unosząc jej rękę. Była chłodna, ale nie zimna, nie czuł jednak pulsu i widząc, jak żona nabiegłymi krwią oczami bez drgnienia gapi się w kaloryfer, zrozumiał, że nie żyje.

Rozplątał się. Skomlał jak szczeniak. Nie wiedział, co robić. Mógł zadzwonić po karetkę, ale jaki w tym sens teraz, kiedy Maggie nie żyła? Wciąż była ciepła, więc nie mogła długo nie żyć. Gdyby nie przystanął z Albym i nie wypił tych trzech piw, może wkroczyłby w akcję, zanim Maggie doprowadziła ją do końca.

Pochylił się nad nią i wyszeptał:

– Maggie? Maggie? Słodki Jezu, Maggie, kocham cię, przepraszam, przepraszam.

Uświadomił sobie coś strasznego. Obiecał, że jutro kupi jej kwiaty, i teraz wiedział, że na pewno je kupi, ale tylko po to, żeby złożyć je na jej trumnie.

Po długich kilku minutach wstał. Musiał gdzieś zadzwonić. Może do Gardy albo do zakładu pogrzebowego. Ale po prostu nie mógł zebrać myśli. Nie mógł zostawić Maggie w tym stanie. Zawsze tak uważała, żeby godnie wyglądać, a oto leżała z purpurowymi, wybałuszonymi

oczami, wywalonym na brodę językiem, porwaną sukienką, rękami i nogami rozrzuconymi groteskowo na podłodze korytarza.

Pochylił się i ułożył ręce wzdłuż ciała. Spróbował ją unieść, ale był za bardzo pijany i po prostu nie miał sił. W końcu złapał ją za kostki u nóg i zaciągnął do salonu. Dół sukienki podwinął się i Bernie zobaczył, że uda Maggie są posiniaczone, pełne krwiaków i noszą ślady rąk.

Dysząc z wysiłku, usadził ją opartą o kanapę, a potem dźwignął i położył wyżej. Obciągnął jej sukienkę i skrzyżował ręce na piersiach. Rozdygotanymi palcami zamknął powieki zmarłej, ale lewe oko uparcie pozostawało niedomknięte.

Wepchnięcie języka do ust okazało się trudniejsze, ale rozwarł szeroko szczęki, aż zuchwa głośno trzasnęła. Język powoli się zwinął i wsunął z powrotem do ust.

Stał obok niej nadal niepewny, co robić. Może powinien zadzwonić do ojca Tomása z kościoła Wniebowstąpienia Najświętszej Panny Marii. Ojciec Tomás wiedziałby, co się robi ze zmarłą. Jezu, musiał wystarczająco wiele razy udzielać ostatniego namaszczenia. Mógłby też poradzić, czy zadzwonić do Gardy, czy nie, a jeśli tak, to co powiedzieć. Bernie na razie nie palił się z dzwonieniem do nich, bo wiedzieli wszystko o jego finansowych ustaleniach z Niallem co do zaspokajania Maggie. Jeszcze by się utwierdzili w podejrzeniu, że to on zastrzelił Nialla, i mogliby go podejrzewać, że na dodatek zabił Maggie w szale zazdrości.

Wyjął komórkę i już miał dzwonić do ojca Tomása, kiedy zobaczył na gzymsie kominka kopertę. Stała oparta o oprawioną w srebro fotografię ślubną. Podeszedł i zobaczył, że to Maggie napisała na niej do *Mo Coinín Beag Daor* – Mojego Kochanego Króliczka – jak go nazwała, kiedy się poznali, bo wciąż skakał wokół niej i nie mógł usiedzieć w jednym miejscu.

Znów się rozszochał, wziął kopertę i ją rozdarł. Przez łyzy popatrzył na Maggie. Leżała z lewym okiem na wpół otwartym, jakby ukradkiem go pilnowała.

W kopercie znalazł list z włożoną obrączką ślubną Maggie. Usiadł w

fotelu i mocno ściskając obrączkę, zaczął czytać.

*Najdroższy Bernie!*

*Od początku wiedziałam że Niall ci płaci ale wiedziałam też że bierzesz te pieniądze bo nie chcesz mnie utracić. Byłam strasznie samolubna wiem ale potrzebowałam kochania się i to co zrobiłeś pokazało mi jak bardzo ci na mnie zależy.*

*Byłam pewna że to Davy Dorgan zamordował Nialla i chciałam to powiedzieć Gardzie ale Davy jakoś się dowiedział o tym i ściągnął tu tych ze swojego gangu: Murtagha i Billy'ego i Kevana i Alroya i Liama też ale Liam w ogóle mnie nie tknął.*

*Co te potwory mi zrobiły tego ci nie powiem Bernie bo nie chcę żeby myślenie o tym ciążyło ci w głowie. Mogę ci tylko powiedzieć że nigdy nie mogłabym już pozwolić żeby inny mężczyzna jeszcze mnie tknął. Nie widzę dla siebie innej drogi jak odpokutować za cały mój egoizm i moje grzechy oddając moją duszę Jezusowi i modląc się żeby mi wybaczył.*

*Proszę też mi wybaczyć mo coinín beag daor. Znów się spotkamy w niebie jak Bóg pozwoli.*

*Maggie*

Bernie przeczytał list dwa razy. Potem palcami otarł łzy, wstał i ostrożnie odłożył list i obrączkę na stolik, pod lampkę.

Poszedł do szafy pod schodami, sięgnął za postawiony pionowo odkurzacz i wyjął starą irlandzką strzelbę dwunastkę, opartą o półki w głębi. Było tam też pudełko z nabojami. Zabrał je, poszedł do kuchni, położył na stole i otworzył. Załadował strzelbę, a resztę naboju poupychał po kieszeniach kurtki z kapturem.

Przez chwilę stał i myślał, po czym odłożył broń na stół i wrócił do salonu. Najpierw włożył ślubną obrączkę Maggie na mały palec lewej ręki, potem podarł list na kawałeczki wielkości konfetti. Zaniósł je do toalety na parterze, wyrzucił do muszli i spuścił wodę.

Jeśliby stałoby się coś takiego, że nie wróciłby tej nocy do domu,

nie chciał, by ktoś się dowiedział, dlaczego Maggie popełniła samobójstwo. Dość się wycierpiąta poniżenia przez to, co zrobił.

Zanim wyszedł, stanął przed lustrem w korytarzu. Czuł się tak, jakby wnętrzności zamieniały mu się w rozpuszczoną lawę, wrzały i kipiały wściekłością i żądzą zemsty, a przecież nigdy nie widział swojej twarzy tak spokojnej.

Przeżegnał się.

– To co zamierzam zrobić... – zaczął się modlić. – Wybacz mi, Panie, a jak nie znajdziesz w swoim sercu wybaczenia dla mnie, przynajmniej wybac Maggie i utul ją w swoich ramionach i daj jej pociechę, której ja nigdy nie mogłem jej dać. Amen.

Po tych słowach otworzył frontowe drzwi i wyszedł w noc.

\* \* \*

Droga na piechotę na Mount Nebo Avenue, przez Bantry Park Road i Knockfree Avenue zajęła mu ponad pół godziny. Padał lekki deszcz i światła latarń wyglądały jak dmuchawce, na które dzieci w Cork dmuchają, prosząc, by puszki wróciły i przyniosły im czekoladki.

Nawet nie próbował ukryć dubeltówki. Ulice były opuszczone i chociaż minęły go dwie taksówki, nie obchodziło go, czy kierowcy zobaczą, co niesie, i zgłoszą to władzom. Zanim Garda go zwinie, zrobi, co postanowił.

Dotarł na Mount Nebo Avenue, do pierwszego szeregowego domu od strony centrum, w którym mieszkali Dorganowie. Nie znał numeru, ale mercedes Davy'ego parkował przy chodniku. Dom pomalowano na szaro, salon miał łukowe okna z wymyślnymi firankami. Wszystkie okna były ciemne, ale zewnętrzne światło włączyło się automatycznie, kiedy Bernie podszedł do drzwi frontowych.

Przyłożył palec do dzwonka i trzymał blisko pół minuty. Za zasłonami w czerwone kwiaty w sypialni od frontu w końcu włączono światło i Bernie usłyszał głosy. Zadzwoił ponownie, raz za razem, nieregularnie, po czym walnął pięścią w drzwi i krzyknął:

– Davy Dorgan! Davy Dorgan! Wyłaż, ty morderco, ty cioto

skurwysyńska! Wyłaż, Davy, a dostaniesz to, na co sobie zasłużyłeś!

W sypialniach kilku sąsiadujących domów zapaliły się światła; Bernie widział unoszone żaluzje, rozsuwane zasłony i patrzących ludzi.

– Wyjdź jak mężczyzna, Davy Dorgan, ty chory skurwysynu!

Światło w sypialni zgąsto, ale gdy Bernie spojrział w górę, zobaczył, że zasłony się rozsunęły i ktoś patrzy. Odstąpił od drzwi, odwiódł kurek i przyłożył dubeltówkę do ramienia.

Czekał, ale dom nadal był ciemny i nikt nie otwierał drzwi. Może nie powinien był wzywać Dorgana, tylko czekać, aż mieszkańcy sprawdzą, kto dzwoni i łomoce w środku nocy. Wtedy jednak nie wiedziałby, kto otwiera drzwi, i mógłby zastrzelić nie tego, kogo trzeba.

– Davy Dorgan! – znów krzyknął. – Wyjdź, ty lalusiu. A może za bardzo się, kurwa, boisz!

Za frontowymi drzwiami zapłonęło światło i Bernie wycelował broń w numer 23, bo umieszczono go na wysokości torsu, tak że miał ułatwioną sprawę, by walnąć Davy’ego prosto w serce. Jego serce biło mocno, ale nabrał głęboko powietrza i wstrzymał je, by dobrze wycelować.

Drzwi nagle się otworzyły, ale tylko na kilka centymetrów. Bernie napiął palec na spuście i był gotowy do strzału, lecz w tym samym momencie zza zaopatrzonych w kółka pojemników na śmieci wyłonił się ubrany w czarny frotowy szlafrok Davy Dorgan i bez wahania strzelił do Berniego z trzymanego oburącz pistoletu samopowtarzalnego.

Pierwszy pocisk trafił w prawy bark. Rozerwał czarny nylonowy materiał i na policzku Berniego rozłożył się wachlarz krwi. Bernie zatoczył się i opadł na kolano na betonowe płyty, lecz nie wypuścił dwururki i wykręcił się tak, że mógł odpowiedzieć ogniem.

Jednak gdy składał się do strzału, drugi pocisk Davy’ego trafił go w podbródek. Wargi rozleciały się krwawymi strzępami i z ust wyleciały zęby niczym biały szrapnel. Bernie padł na bok, ale jeszcze zdążył nacisnąć spust. Rozległ się ogłuszający huk, idący echem przez



całą ulicę.

Minęło kilka sekund. Drzwi ostrożnie uchyliły się szerzej i wyłoniła się siwa głowa stryja Davy’ego, Christy’ego.

– Davy? – spytał. – Jesteś w porządku, chłopcze?

Bernie leżał na wznak z szeroko rozłożonymi ramionami i podkurczoną nogą. Gulgotał i wypluwał krwawe bańki z miazgi, która została z jego ust. Ale Davy też leżał, szary, dygoczący pod oknem salonu. Lewe udo miał odstonięte. Było białe i upstrzone śrutem.

Ubrany w pizamę w brązowe paski Christy wyszedł z domu, rozglądając się i upewniając, że Bernie był sam i nikt inny nie czeka z bronią. Pojawił się też dziewiętnastoletni kuzyn Davy’ego, Declan, w T-shircie ze Spidermanem i luźnych czerwonych szortach. Wzdłuż całej ulicy otwierały się drzwi i zapalały światła w kolejnych sypialniach. Stryj Davy’ego podniósł dwururkę, złamał ją, wyrzucił łuskę i cały nabój, po czym z powrotem odłożył broń na ścieżkę.

– Declan, powiedz swojej mamie, żeby dzwoniła po karetkę – zwrócił się do syna. – Niech im przekaze, że mamy tu dwóch postrzelonych gości, więc muszą się związać.

Sztywno ukląkł obok Davy’ego i położył mu rękę na czole.

– W porządku, Davy. Nie uszkodził cię mocno. To była samoobrona jak nic. Tak zeznam i będzie na twoją korzyść.

– Pierdolony Bernie Dennehy – wyszeptał Davy. – To on. Pierdolony Bernie Dennehy. Święta Matko w niebiosach, ale boli.

– To tylko parę śrucinek, chłopcze. Doktory wydlubią z ciebie co trzeba.

– Nie żyje? Nie widzę go stąd.

Stryj odwrócił się, by spojrzeć na Berniego. Ten nadal gulgotał i puszczał bańki z ust, a do tego zaczął pogwizdywać, jakby nie był w stanie normalnie oddychać.

– Nie, wciąż oddycha. Ale coś ci powiem. W najbliższym czasie nie zaśpiewa ani nutki z *The Fields of Athenry*<sup>11</sup>.

– Weź mojego gnata, Christy. Wytrzym go dobrze i włóż mu w rękę,

---

11 Hymn piłkarskich kibiców w Irlandii.

żeby były na nim jego odciski. Potem mi go oddaj.

– A po co?

Davy wykrzywił się w bólu, zaciskając mocno powieki. Po chwili jednak udało mu się wydyszeć:

– Bernie strzelił do mnie ze swojej dubeltówki, to pewne, ale wytrąciłem mu ją z rąk.

– O, taaak? A potem co?

– Potem wycelował do mnie z pistoletu, tylko mu go wyrwałem. Powiedziałem, żeby upuścić sobie pary, ale on znowu chwycił dubeltówkę, więc nie miałem wyboru, musiałem walnąć do niego z jego pistoletu. W samoobronie, jak mówiłeś.

– Kurwa, to ci dopiero historia, Davy. Książki ci pisać.

Davy nie odpowiedział na ten komplement. Wiedział tylko, że psy zrobią testy balistyczne pocisków, które wyciągną z Berniego, więc rzeczą zasadniczej wagi było, żeby naprowadzić ich na ślad, że pistolet należał do niego.

Położył głowę na betonowej płycie i wpatrywał się w niebo. Mżawka ustała; zza chmur prześwitywał mleczny księżyc. Noga bolała Davy'ego tak, jakby go użarł rekin – mimo że nie trafił tam, gdzie mogłyby go pogryźć rekiny. Larne i Cork to był kres jego wypraw, chociaż kiedyś odwiedził kuzyna w Coleraine.

– Tylko żeby ci się nie popieprzyło, Christy. Sam widziałeś wszystko na własne oczy.

– Niech cię o to głowa nie boli, chłopcze. Nawet jakby psy miały mnie zatłuc, słówka nie zmienię. My, Dorganowie, trzymamy się razem aż do grobowej deski.

– Och, dzięki. Już mi poprawiłeś humor.

## ROZDZIAŁ 25

Kyna dotarła na Carragh View kilka minut po północy. Katie spodziewała się jej przyjazdu, więc wcześniej zapaliła światło na werandzie. Kiedy Kyna płaciła taksówkarzowi, drzwi frontowe się otworzyły i pojawiła się Katie, podczas gdy podniecony Barney usiłował przepchać się na dwór.

– Chodź do środka – powiedziała Katie. – Święta Matko w niebiosach, co z tobą? Wyglądasz, jakby ciągnano cię w tę i we w tę przez żywopłot!

Wiedziała, że Kyna przebrała się, by odegrać rolę barmanki z Gurranaabraher, ale nie spodziewała się rozczochranej, bladej, usmarowanej maszczą i zapłakanej dziewczyny. Nie bacząc na formy, które narzuciły sobie na komendzie, otworzyła szeroko ramiona i mocno uściskała Kynę, która długo się w nią wtulała i Katie czuła, jak się trzęsie i ramiona dygoczą jej pod kurtką. Barney obiegał i obwąchiwał kobiety, machając ogonem.

– Przepraszam – wyszeptła w końcu Kyna, pociągając nosem i ocierając oczy. – A tak chciałam być dzielna. Szczerze ci powiem: wolałabym już, żeby mnie zastrzelił.

– Kto? Dlaczego? Słuchaj, wchodź i siadaj. Może się czegoś napijesz?

Kyna poszła za Katie do salonu. Ku jej zaskoczeniu w jednym z foteli siedział Conor. Miał na sobie wełniany sweter z wzorem w warkocze i czarne dżinsy, ale był bosy.

– Och, bardzo przepraszam, pani nadkomisarz. Nie wiedziałam, że ma pani gościa. Mogłam przesłać esemesa.

Conor wstał, uśmiechnął się i uspokoił ją:

– Cześć, Kyna. W niczym nie przeszkadzasz. Proszę, siadaj i rozgość się. Wiem, że dla Katie praca ma pierwszeństwo. Zawsze dawała mi jasno do zrozumienia, że będę grał tylko drugie skrzypce za połowę

kryminalistów w Cork.

Dziewczyna usiadła na kanapie i Katie podsunęła jej pudełko z chusteczkami higienicznymi, by mogła zetrzeć rozmazany makijaż.

– Conor przyjechał z informacjami na temat jutrzejszych walk psów – wyjaśniła Katie. – Inspektor Carroll obiecał mi kilku funkcjonariuszy z Tipperary, gdyby inspektorzy ISPCA poczuli się zagrożeni i potrzebowali wsparcia, ale Frank Magorian nie zgodził się na operację na pełną skalę i MacCostagáin też jest przeciw. Po prostu nasz budżet jest za mały. Więc... – wzruszyła ramionami – możemy tylko starać się ograniczyć okrucieństwa do minimum i zebrać maksimum materiału wideo, na wypadek gdyby ISPCA chciało wnieść cywilny pozew przeciwko McManusowi.

Usiadła obok Kyny i wzięła ją za rękę.

– Ale dość o tym. Mów, co się z tobą działo.

Kyna uśmiechnęła się słabo.

– Jeśli ci nie przeszkadza, to poproszę o drinka. Najlepiej whiskey.

Katie wstała i podeszła do stolika z alkoholami. Nalała dużą miarkę Middleton Barry Crockett Legacy. Butelka kosztowała sto czterdzieści euro, ale tę dostała w darze od rady hrabstwa Cork.

– Hm... jeżeli jeszcze coś zostało, nie miałbym nic przeciwko szklaneczce – powiedział Conor, unosząc brew.

Zanim Kyna przełknęła whiskey, przepłukała zęby, jakby to był płyn do ust.

– Przepraszam, pani nadkomisarz. Czy mogłabym rozmawiać z panią w cztery oczy?

Conor znów wstał i uniósł szklanekę.

– Już powiedziałem, nie ma sprawy, Kyno. I tak mam stos maili do nadrobienia. Slainté!

Poszedł do wolnej sypialni, którą Katie nadal nazywała pokojem dziecięcym, i zamknął drzwi. Katie znów usiadła obok Kyny i spytała:

– O co chodzi? Co się stało?

Zacinając się, dziewczyna opowiedziała, jak poszła z Liamem na drinka, jak z nadzieją, że uda jej się z niego wyciągnąć, co zamierza Davy Dorgan, udawała, że uważa go za atrakcyjnego. Katie słuchała

bez przerywania jej. Zdawała sobie sprawę, że sama zwymiotowałaby, gdyby musiała pocałować tego typu w usta.

– Davy Dorgan jest fanatykiem, jak chodzi o jedność Irlandii, nie jak kiedyś Bobby Quilty – ciągnęła Kyna. – Liam mówi, że kiedy brytyjski minister obrony przyleci do Cork, Dorgan naśle na niego trzech republikańskich zawodowych zabójców z Ulsteru. Zastrzelą go na pokazie tańców w Operze.

– Chyba żartujesz?! Coś ciężkiego musiało mu spaść na głowę! Czy on nie ma pojęcia, jakie środki bezpieczeństwa zostaną podjęte?

– Musi to wiedzieć. Nie sądzę, żeby był głupi. Ale z tego, co mówi Liam, mam przeczucie, że Dorgan planuje odciągnąć uwagę ochrony, i spodziewa się, że Liam mu w tym pomoże. Jest jednak pewien problem: Liam wystraszył się, że Dorgan się dowie, że on ze mną rozmawiał, więc nawet mi nie pisał, jak ma wyglądać to odwrócenie uwagi. Zresztą trudno mu się dziwić. Dorgan go zastraszył, dźgnął nożem, żeby trzymał gębę na kłódkę. „Zippo”, tak powiedział.

– Dorgan tak powiedział? „Zippo”?

– Tak... Dlaczego tak się dopytujesz?

– To właśnie napisał gość na kartce, którą dołączył do kwiatów dla Adeen.

– To raczej nie mógł być Dorgan, ale słyszałam, że inni też tak mówią: „Zippo”.

Katie uściskała Kynę.

– Brak mi słów – powiedziała, siadając wygodniej i gładząc jej krótkie włosy. – Wygląda na to, że za każdym razem, kiedy wyznaczę ci śledztwo, spotyka cię coś złego. Nie musiałaś się tak poświęcać. Ja sama chyba bym się na to nie zdobyła. Zrozumiałabym, gdybyś odmówiła i po prostu wyszła jak najszybciej.

– Wiem. Ale jak myślisz, jak bym się czuła, gdyby ten brytyjski minister został zastrzelony i później okazałoby się, że mogłam uratować mu życie?

– Teraz przede wszystkim zorganizuję całonocną obserwację Dorgana. Jutro rano każę Mullikenowi połączyć się z nadkomisarzem

Mitchellem w Belfaście i poprosić go, żeby się skontaktował z SRR<sup>12</sup>. Jest szansa, że znajdą jakieś szczegóły na temat Dorgana i jego kontaktów w Ulsterze i podsuną nam sugestie, kim mogą być ci płatni zabójcy.

– Dobry pomysł. Kto jak kto, ale ci z SRR powinni wiedzieć, kim oni są.

Oficjalnie zaprzeczano, że SRR działa w Irlandii Północnej, ale Katie wiedziała, że niewielki, aktywny zespół nadal przebywa w kwaterze głównej brytyjskiej armii, Thiepval Barracks w Lisburn, w hrabstwie Antrim. Po porozumieniu wielkopiątkowym i rozwiązaniu 14. Kompanii Wywiadu, zwanej zwykle po prostu Oddziałem, przejął tajne operacje przeciwko irlandzkim terrorystom.

Jak wcześniej Oddział, tak dzisiaj funkcjonariusze operacyjni SRR nieustannie namierzali wywrotowców, używając najbardziej wyszukanych technik podsłuchu i zapisu. Od czasu do czasu podejmowali kroki zaradcze i zapobiegali takim skrytobójczym próbom, jak ta, którą planował Davy Dorgan. Ich ofiary przeważnie po prostu znikwały lub były uznawane za ofiary starć gangów jak wojna Kinahan–Hutch w Dublinie.

Gdyby Davy Dorgan miał choć wątplę powiązanie z republikańskimi odszczepieńcami w Ulsterze, ci z SRR z pewnością wiedzieliby o tym. Ó Doibhilin powiedział, że wystarczyło rano zamruczeć na sedesie kilka taktów *The Bold Fenian Men*<sup>13</sup>, a SRR wpisywał śpiewaka do bazy danych potencjalnych terrorystów.

– Więc co teraz zamierzasz? – spytała Katie.

Kyna wypięła whiskey, ale nadal była blada i roztrzęsiona.

– Chyba wezwę taksówkę i pojedę do domu. Spróbuję zasnąć i odpędzić te koszmary z Liamem. Boże, ale to było ohydne. Wciąż czuję ten smak. Jak jogurtu z wybielaczem. – Wystawiła język, jakby chciała splunąć.

– Możesz tu zostać, jeśli chcesz – zaproponowała Katie. – Weź prysznic, dam ci jakąś piżamę. Daj spokój, nie nadajesz się do tego,

12 SRR, Special Reconnaissance Regiment (Specjalny Pułk Wywiadowczy).

13 Fenianie – tajna organizacja walcząca w drugiej poł. XIX w. o niepodległość Irlandii.

żebyś sama jechała do domu. Nie przeszkadza ci chyba wspólne łóżko? Nie chrapię, a przynajmniej nikt z tego powodu nie narzekał.

Kyna skinieniem głowy wskazała pokój dziecienny.

– A co z...?

– Z Conorem? Będzie mu jak u mamy. Owszem, spotykamy się, ale jest w trakcie rozwodu i ustaliliśmy, że żadnych zobowiązań, dopóki nie będziemy wiedzieć, na czym stoimy.

– Wy tak na poważnie?

– Nie jestem pewna na sto procent. Może... Barney go uwielbia. Conor ma podejście do psów. Ci dwaj rozumieją się na odległość.

– Cieszę się, że sobie kogoś znalazłaś. Mam nadzieję, że mnie też się uda. W Templegate była taka piosenkarka, Sorcha. Jest na nią tylko jedno słowo: sexy.

Porozmawiały jeszcze chwilę i Katie wysłała Kynę pod prysznic. Sama poszła do sypialni i przygotowała staromodną koszulę nocną ze wzorkiem w niezapominajki, po czym udała się do pokoju dzieciennego, żeby sprawdzić, co u Conora. Siedział na łóżku, nadal ubrany, i pisał na tablecie Apple'a.

Podeszła, pocałowała go i położyła mu głowę na ramieniu.

– Nie przeszkadza ci, że będziesz spał w tym pokoju? Kyna jest potwornie zestresowana i bardzo potrzebuje wsparcia.

– Hm... tak szczerze mówiąc, to liczyłem na jeszcze jedną przytulankę. – Uśmiechnął się. – Ale w porządku. Masz rację, dziewczyna jest kompletnie wytrącona z równowagi. Co ją spotkało?

– Powiem ci rano. W tej chwili nawet nie chcę o tym myśleć. Przepraszam.

Conor wyłączył tablet.

– W takim razie najlepiej zrobię, jak się trochę prześpię. Znów dostałem maila od inspektora ISPCA, Dereka O'Donnella. Jest już prawie pewny, że walki psów zaczną się o trzeciej po południu, tak jak myśleliśmy, przy Cappamurra Bridge.

– Trochę to analizowałam. Nawet gdyby nie udało się nam zebrać tylu ludzi, żeby aresztować wszystkich organizatorów walk, którzy się tam pokażą, możemy przynajmniej posadzić Zezowatego

McManusa. A to w końcu przywódca gangu.

– McManusa? Mówisz poważnie? To nadstawianie karku z własnej i nieprzymuszonej woli. Nie mówiąc o tym, że ma najdroższych adwokatów w kraju.

– Przynajmniej mogę spróbować, nawet gdybyśmy nie dostali nakazu aresztowania. Musimy jakoś zacząć rozwalać bandy, które organizują psie walki. W najgorszym razie załatwimy sobie jakie takie poparcie i może uda się doprowadzić do interpelacji w parlamencie.

– Ale kto ma zamknąć McManusa, skoro nie możesz zmusić Magoriana ani bezpośredniego szefa, żeby cię poparli? Garda z Tipperary nie wystarczy, prawda? Już zapowiedzieli, że pokażą się tylko po to, żeby utrzymać spokój i zrobić nagrania.

– Sama go zamknę. Zabiorę ze sobą Markeya i O'Marę. To twarde sztuki.

Conor znów się uśmiechnął i powoli pokręcił głową.

– Jesteś szalona do kwadratu, Katie Maguire. Nic dziwnego, że tak cię kocham. Śpij dobrze.

Pocałowała go i powiedziała:

– Zobaczymy się przy śniadaniu. Ty też śpij dobrze.

\* \* \*

Kyna leżała już w łóżku, z głową na poduszce, gdy Katie przyszła do sypialni. Była pierwsza trzydzieści pięć; deszcz zaczął mocniej padać, ale jego szelest działał na Katie uspokajająco. Wsunęła się pod kołdrę, objęła Kynę i pocałowała ją w czoło.

– Mam nadzieję, że to nie twoja część łóżka – powiedziała dziewczyna.

– Nie mam swojej części. Od dawna z nikim nie spałam. Jak się czujesz?

– Trochę wstawiona, prawdę mówiąc. Piłam na pusty żołądek i whiskey uderzyła mi do głowy.

Leżały bardzo blisko siebie. Każda na swój sposób potrzebowała miłości, którą czuła wobec drugiej. Wiedziały, że nigdy nie zostaną



partnerkami, chyba że rzuciłyby karierę zawodową i zrezygnowały z Gardy. Ale tej jednej nocy dzieliły ciepło, uczucie i fizyczny pociąg. Nie potrzebowały słów; zresztą i tak nie dałoby się ich znaleźć – w każdym razie takich, które zrozumiałby ktoś poza nimi dwiema.

Kyna znalazła pierś Katie i delikatnie pieściła kciukiem brodawkę, aż ta stwardniała, ale to było wszystko. Całowały się przez chwilę, muskając usta językiem, po czym Katie powiedziała:

– Dobranoc, skarbie. *Aisling sona*. Miłych snów.

\* \* \*

Telefon obudził je jedenaście minut po piątej. Katie odwróciła się i sięgnęła po słuchawkę.

– Co?! – wykrzyknęła. – Jezu, która to godzina?

Nadal było ciemno i wciąż padało, nawet mocniej. Kyna podniosła głowę, ale się nie odezwała. Wiedziała, że bez względu na rozmówcę Katie wołałaby, aby nikt trzeci nie był słyszany.

– Detektyw sierżant Begley, pani nadkomisarz. Przepraszam, że dzwonię tak wcześnie.

– W porządku, Sean. I tak miałam koszmary. Co się dzieje?

– W Gurra była strzelanina, pod domem Dorganów. Bernie Dennehy i Davy Dorgan dostali. Rany Dennehy’ego wyglądają na zagrażające życiu, ale Dorgan ma tylko powierzchowną ranę od śrutu. Obu odwieziono do szpitala.

Katie włączyła lampkę przy łóżku.

– Boże Wszechmogący. Ten Davy Dorgan to jakieś fatum. Gdzie teraz jesteś? W Gurra?

– Tak. Na Mount Nebo Avenue, z Ó Doibhilinem, Buckleyem i jakimiś dwudziestoma mundurowymi. Technicy powinni zaraz tu być.

– Masz jakieś pojęcie, co się wydarzyło?

– Rozmawialiśmy ze stryjem Dorgana, Christym. Tylko on twierdzi, że widział, co się działo, ale nie dałbym głowy za jego słowa. W końcu jest nie tylko bliskim krewnym Davy’ego, ale kilka razy sam trafił na dotek za to i owo, głównie za naciąganie starszych ludzi.

łaził po dachach, udawał, że przekłada dachówki, kasował dwieście euro za robotę.

– Co wam opowiedział?

– No, według niego Dennehy podszedł z dubeltówką pod ich dom, wykrzykując i przeklinając, ale kiedy Davy otworzył mu drzwi, tylko postrzelił go w nogę. Rzucił dubeltówkę i wyjął pistolet, ale Davy wyrwał mu go, więc Dennehy znów chwycił dubeltówkę. Wtedy Davy odpowiedział mu ogniem i trafił go raz w ramię i raz w usta. Z twarzy została jedna miazga, mówię pani. Niech pani wyobrazi sobie talerz owczej wątróbki doprawionej połamanyimi zębami.

– Jezu... rozumiem. Więc Davy Dorgan będzie utrzymywał, że działał w samoobronie.

– Otóż to. Tak słowo w słowo powiedział jego stryj.

– Co z mediami?

– Tylko ten młody gość z „Echa”, jak do tej pory. Ale spodziewam się, że niedługo zaczną się zjeżdżać. Tymczasem chodzimy od domu do domu i przepytujemy wszystkich sąsiadów. Na razie jednak nikt nic nie widział. Inaczej mówiąc, wszyscy się boją pisnąć słowo, bo mogłoby się różnić od tego kitu, który nam wciska Christy Dorgan.

– Dzięki, Sean. Za godzinę będę na komendzie. Nie mów nic nikomu z mediów. Powtarzam: nic. Mamy dodatkowe komplikacje z Davym Dorganem, skromnie mówiąc. Wyjaśnię ci to, jak dojadę. Zakładam, że wyznaczycie kogoś do pilnowania go w szpitalu?

– Więcej niż jednego, czterech, z antyterrorystów. Dwaj dla niego, dwaj dla Berniego Dennehy’ego. Nie uśmiecha się nam, żeby jakiś następny Dorgan wpadł z wizytą i dokończył dzieła.

– Dobra robota. A kiedy wyjdą, jeśli wyjdą, zadbaj, żeby dostali ogon, każdy, dobra?

– Już zadbano, pani nadkomisarz. Więc w takim razie widzimy się za godzinę.

Katie wstała z łóżka.

– Wygląda na to, że Bernie Dennehy i twój dobry przyjaciel Davy Dorgan trochę do siebie postrzelali – poinformowała Kynę. Podeszła do szafy wybrać ubranie i opowiedziała więcej o strzelaninie przy

Mount Nebo Avenue.

– Jadę z tobą – zdecydowała Kyna i też wstała z łóżka.

Skrzyżowała ramiona i zdjęła nocną koszulę, a gdy Katie zobaczyła ją nagą, poczuła leciutkie ukłucie żalu, że ostatniej nocy ograniczyły się do pocałunku i poszły spać.

– Proszę – powiedziała, rzucając Kynie białe majtki wyjęte z szuflady z bielizną.

Gdy poszła do kuchni zaparzyć kawę, miała wrażenie, że przez głowę przelatuje jej bezszelestna burza, podnosząca kurz i zeschnięte liście. Jak to możliwe, że tak bardzo kochała Conora i jednocześnie reagowała tak mocno na urodę Kyny?

Pomyślała, że to może sprawa stresu. Miała na głowie pożar w Toirneach Damhsa, Davy’ego Dorgana, Zezowatego McManusa, a także kilkadziesiąt śledztw związanych z kradzieżami, prostytutką, handlem narkotykami i napadami, a na domiar wszystkiego Magorian naciskał na natychmiastowe wyniki.

Kiedy woda w czajniku się zagotowała, wszedł do kuchni Conor tylko w bladoniebieskich bokserkach.

– Już do pracy? – spytał, patrząc na kuchenny zegar. Objął ją w pasie i pocałował.

– Muszę zająć się czymś ważnym – powiedziała, gładząc ciemny zarost na jego klatce piersiowej.

– Szkoda, że nie kimś ważnym. – Uśmiechnął się szeroko.

Oddała mu pocałunek.

– Nie zawsze tak będzie, Con – obiecała.

– Chcesz powiedzieć, że ludzie przestaną mordować i dadzą nam trochę czasu we dwoje?

– Tak... Nie, oczywiście, że nie. Ale któregoś dnia przestanie mi już zależeć.

Conor łagodnym ruchem uniósł jej podbródek i spojrzał w szarozielone oczy Katie.

– A kiedy to nastąpi? – spytał. – Kiedy będziemy starzy i siwi?

## ROZDZIAŁ 26

Jechały do miasta wzdłuż rzeki Glashaboy, gdy zadzwoniła komórka Katie. W górze niskie, siwe chmury nabierały blasku, ale na południowym zachodzie widać było kolejne, szaro-czarne, oznaczające następne rzęsiście deszcze.

– Tak, Sean? – rzuciła Katie, znów usłyszawszy głos Begleya. – Będę za niecałe dziesięć minut.

– Właśnie dzwonili ze szpitala, pani nadkomisarz. Bernie Dennehy jakieś pół godziny temu wyzionął ducha. Lekarze mówią, że odłamki pocisku i ponad kilkadziesiąt kawałków zębów trzonowych poszatkowały mu mózg. Do końca nie odzyskał przytomności, więc nic z niego nie wydobyliśmy.

– A z Dorgana?

– Z Dorgana wydobyto śrut i do lunchu powinien zostać zwolniony ze szpitala. Przesłuchiwałem go oficjalnie, ale opowiada taką samą bajeczkę jak stryj. Żadna niespodzianka. Obie sztuki broni poszły do laboratorium dla sprawdzenia odcisków palców, DNA i zrobienia prób balistycznych i jeśli się poszczęści, będziemy dzisiaj mieli jakieś wyniki.

– Dzięki, Sean. – Przerwała połączenie i zwróciła się do Kyny:

– Z każdą chwilą robi się coraz większy bajzel. Z jakiego powodu Dennehy miałby strzelać do Dorgana? Rozumiem, że miał motyw, żeby pozbyć się Gleesona, chociaż zarzekał się na wszystkie świętości, że to nie on. Ale dlaczego Dorgana?

Kyna się skrzywiła.

– Kto wie? Z tego, co mówi Liam, połowa Cork tańczyłaby na ulicach, gdyby Dorgan zniknął z powierzchni ziemi.

– Hm... musimy się spotkać z żoną Dennehy'ego i przekazać jej tragiczne nowiny. Może ona będzie miała jakieś wyobrażenie co do motywów, które kierowały Berniem. Wyślę do niej Michaela Ó

Doibhilina. To żywy plaster na rozpaczające wdowy. Mówi, jakby go zatykało ze wzruszenia, i zawsze wie, o co zapytać.

Katie skręciła na parking przy komendzie.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, pojedę do domu się przebrać – powiedziała Kyna. – Dziś wieczorem chyba powinnam pokazać się w Templegate jakby nigdy nic. Nie chcę, żeby Liam pomyślał, że się na niego wypięłam, bo a nuż uda mi się z niego wyciągnąć więcej o tym zamachu szykowanym przez Dorgana.

– Nie musisz się narażać na kolejne zbliżenia z tym facetem. Mówię poważnie.

– Przysięgam, że nie, pani nadkomisarz... prędej piekło zamarznie.

Przez chwilę siedziały, patrząc sobie w oczy. Nie musiały nic mówić. Katie uściśnęła rękę Kyny i wysiadły z samochodu.

\* \* \*

Sierżant Begley czekał na Katie w jej gabinecie. Kiedy usiadła za biurkiem i pociągnęła łyk cappuccino, pokazał jej wideo zrobione na miejscu zdarzenia, pod domem Dorganów. Na zdjęciach była poraniona śrutem noga Dorgana i rozszarpana twarz Dennehy'ego.

– Uch... dzięki Bogu, że nie jadłam jeszcze śniadania – powiedziała Katie. – Czy Dorgan jest nadal w szpitalu?

– Nie, już wrócił do domu, ale zabraliśmy mu paszport i jest pod dyskretną obserwacją. Nigdzie się nie ruszy bez naszej wiedzy.

– No to posłuchaj tego. – Szybko streściła mu informacje przekazane przez Kynę.

– Poważnie? – nie mógł uwierzyć Begley. – Planuje zamordować Iana Bowthorpe'a? Światło Jezusa, musiał zwariować. Jak on to chce zrobić? Ochrony w Operze będzie więcej niż widzów!

– Nie wiem na pewno. Może się wygłupiał. Z tego, co opowiedziała mi Ni Nuallán, to albo wyjątkowo drański przyjemniaczek, albo psychopata pełną gębą. A może jedno i drugie. Z tego Liama też pewnie jest niezłe ziółko. To wszystko może być wymysł, ale zamierzam prosić Mullikena, żeby i tak spytał o Dorgana policję w Irlandii Północnej, a oni niech się zwrócą o informacje do SRR.

Nadal rozmawiali, gdy wszedł detektyw O'Donovan. Deszcz skropił rękawy jego szarej kurtki.

– Boże święty, leje jak z cebra! I będzie jeszcze gorzej, zanim zrobi się lepiej.

– Jak leci? – spytała Katie. – Na którą ustaliłeś przesłuchanie Stevena Joyce'a?

– Na dziesiątą. Jego studio jest w połowie John Redmond Street, więc to niedaleko. Ale poza tym zrobiłem niewielkie postępy.

– Chodzi ci o ten trie... o tę substancję samozapalną?

– Zgadza się. Mój kolega w garnizonie, Barry Brady, mówi, że w arsenale niczego nie brakuje, i żadna z tych spółek w Bishopstown i Little Island też nie ma żadnych braków. Obie twierdzą, że pilnują tego środka jak oka w głowie, bo jest tak zapalny. W obu wybuchły pożary spowodowane trietyloglinem. Trzy lata temu spłonęło prawie pół fabryki Cork Plastic Mouldings.

– W porządku, Patrick. Szukaj dalej. Na popołudnie zwołam odprawę, na której poinformuję wszystkich o bieżącym stanie śledztwa, i może dowiemy się czegoś nowego na temat tego, skąd wziął się ten środek. To może mieć zasadnicze znaczenie w ustaleniu sprawcy pożaru.

Po wyjściu Begleya i O'Donovana Katie dopiła kawę i poszła się spotkać z inspektorem Mullikenem. Po drodze usłyszała jednak, że ktoś za nią biegnie, i kiedy się odwróciła, zobaczyła detektyw Scanlan.

– Właśnie byłem w pani gabinecie, żeby porozmawiać, ale pani nie zastałam – wydyszała. – Nigdy by pani nie zgadła... Właśnie się dowiedziałam, skąd jest bransoletka Adeen. Więcej, chyba wiem, jak ona się naprawdę nazywa i kto kupił jej lalkę.

– Tak? – ucieszyła się Katie. – To najlepsze wiadomości, jakie miałam od rana. Słuchaj, idę pogadać z inspektorem Mullikenem. Chodź ze mną... jemu te wiadomości też mogą się przydać.

Kiedy pokonywały resztę drogi, Scanlan uniosła wydruk komputerowy. Był zatytułowany Aniołki i zawierał sześć kolorowych fotografii niemowląt. Dwoje miało zamknięte oczy, jakby spały, inne

się uśmiechały, a jedno ssało smoczek.

– Lalki Reborn – powiedziała Scanlan. – To ogromny biznes na całym świecie, zwłaszcza, nie wiedzieć czemu, w Irlandii Północnej. Tę zrobiła artystka z Dungannon, Mary Fitzsimmons. Są okropnie prawdziwe, prawda?

Doszły do gabinetu Mullikena i Katie zastukała w otwarte drzwi. Inspektor siedział za biurkiem i usiłował zaczesać rzednące włosy.

– Przyłapałyście mnie na gorącym uczynku – rzucił smętnym tonem, wrzucając grzebień i lustro do szuflady. – Może powinienem iść do fryzjera i ostrzyć się na tyso.

– Och, daj spokój, Tony, w tych czasach możesz się postarać o naprawdę świetną perukę – pocieszyła go Katie. – Spróbuj w Cork Hair Clinic przy Oliver Plunkett Street. Jutro możesz wyglądać jak Gabriel Byrne. Ale na razie mam dla ciebie dużo poważniejszy powód do zmartwień. Padragain, skończ, co zaczęłaś mi mówić.

Detektyw Scanlan zademonstrowała Mullikenowi fotografie „aniołków”.

– Co nas obchodzi te dzieci? Co ma piernik do wiatraka? – zdziwił się.

– To nie są dzieci, panie inspektorze. To wszystko lalki.

– Poważnie? – Pochylił się i uważniej przyjrzał zdjęciom.

– Poważnie. Są z silikonu, a ten smoczek trzyma się w buzi tylko dlatego, że jest na magnezie. Mówi się na nie odrodzone niemowlaki.

– A kto je kupuje?

– Kolekcjonerki oczywiście, ale wiele tych lalek kupują również kobiety, które nie mogą mieć dzieci albo straciły dziecko. Na pocieszenie, powiedziałabym. Może miały histerektomię albo nigdy nie miały partnera, poroniły albo dziecko urodziło się martwe czy też dożyło tylko kilku tygodni.

Katie nie komentowała tych wyjaśnień, lecz nie mogła nie wspomnieć swojego małego Seamusa, zimnego, leżącego nieruchomo w łóżeczku w pokoju dzieciennym. Wyglądał właśnie tak jak jedna z lalek Reborn. Miał zamknięte oczy, wydęte usteczka... Aż

się wzdrygnęła.

– Poza tym można sobie zamówić lalki w takich ubrankach i z takimi dodatkami, jakich dusza zapragnie – ciągnęła Scanlan. – Kapelusiki, płaszczki, misie, nawet wózeczki i kotyski. Ja jednak szukałam zielonej plecionej opaski na rękę, bo taką nosi Adeen. Mała powiedziała pani nadkomisarz Maguire, że to bransoletka jej lalki. Ze wszystkich lalek Reborn oferowanych przez różne artystki tylko Mary Fitzsimmons dodaje plecioną bransoletkę. Proszę, tu może pan zobaczyć na tej lalce. Jest identyczna jak ta, którą nosi Adeen, tyle że różowa. W zeszłym roku Fitzsimmons miała tylko jedno zamówienie na zieloną, dwunastego października.

Odwróciła kartę i odczytała dane.

– Internetowe zamówienie dla pani Jean McCabe z Victoria Road w Larne w hrabstwie Antrim. Była płatnikiem, ale jako odbiorcę wskazała pannę Cissy Jepson, Old Glenarm Road, u zbiegu z Victoria Road. Dołączono kartkę z życzeniami na ósme urodziny.

– Jepson – powiedziała Katie, mrużąc oczy. – To nazwisko z czymś mi się kojarzy.

– Tak? – zdziwił się Mulliken. – A z czym?

– Nie wiem... Jeszcze nie jestem pewna. Ale słuchaj, Padragain, czemu nie skontaktujesz się z tą McCabe i nie prześlesz jej zdjęcia Adeen? Sprawdź, czy jej nie rozpozna. A skoro już przy tym jesteśmy, podeślij jej też zdjęcie Davy’ego Dorgana. Spodziewam się, że sierżant Begley podczas przesłuchania w szpitalu trzasnął mu fotkę. Jak nie dostaniesz zdjęcia od Begleya, weź zrzut ekranu z nagrania, które zrobiliśmy dziś rano po strzelaninie przy Mount Nebo Avenue. Tylko bez zranionej nogi. Nie będzie mnie kilka godzin – dodała. – Jak zidentyfikujecie Adeen i Dorgana, meldujcie inspektorowi Mullikenowi najszybciej, jak się da. Świetnie spisałaś się z tą opaską. Dobra robota.

– Będę kontynuować zadanie, pani nadkomisarz – powiedziała Scanlan. – I dziękuję.

Kiedy wyszła, Katie opowiedziała inspektorowi o planach Davy’ego Dorgana wobec brytyjskiego ministra obrony. Słuchał, rozdziawiający



z niedowierzaniem usta.

– W Operze? Ten człowiek ma kielbise we łbie. Zwróć uwagę, Bowthorpe jeden jedyny raz pokaże się w miejscu publicznym. Resztę czasu spędzi albo w Haulbowlie, w bazie marynarki wojennej, albo w opancerzonym samochodzie z eskortą motocyklową. Powiedziałbym, że Dorgan to marzyciel. Albo marzyciel, albo pyszałek, który tylko chce zrobić wrażenie na tej jego tak zwanej Autentycznej IRA.

– Zwykle się z tobą zgadzam – przyznała Katie. – Ale tu, niestety, musimy brać go na poważnie, nawet gdybyśmy uznali, że kompletnie ześwirował. Mógłbyś zadzwonić do tego twojego kolegi nadkomisarza Mitchella w Belfaście i dowiedzieć się, czy ma kontakty w SRR? Jeśli ktoś coś wywęchał o planach zamachu Dorgana na Bowthorpe'a, to najprędzej oni.

– Jasne, zrobi się. Ale muszę ci powiedzieć, że w dzisiejszych czasach nie tak łatwo mieć oko na wywrotowców jak dawniej. Mają w jednym palcu wszystkie technologiczne sztuczki, zwłaszcza gówniarzeria. Przeważnie nauczyli się tego w szkole. Wiedzą, czy ktoś się włamał do ich komputera, podsłuchuje komórkę, czy przykleił pluskwę do samochodu. Od jakiegoś czasu nazywają siebie Niewidzialną Armią Republikańską.

– W każdym razie zobacz, co da się załatwić. Mam wrażenie, że w końcu zaczynamy wychodzić z lasu. Może Frank Magorian miał więcej racji, niż przypuszczała, i naprawdę zakończymy to śledztwo do niedzielnej mszy.

## ROZDZIAŁ 27

Katie zaparkowała na przystanku autobusowym, ponieważ John Redmond Street po obu stronach była zastawiona samochodami mieszkańców. Kiedy razem z O'Donovanem wyszli z jej focusa, już na ulicy usłyszeli muzykę skrzypiec i stukanie solidnych butów do stepowania, przypominające łomot z karabinu maszynowego.

O'Donovan popatrzył na pierwsze piętro otynkowanego budynku.

– Przenajświętszy Józefie – westchnął. – Naprawdę dają czadu. Łomot jak w stoczni jachtowej mojego brata w Kinsale.

Przeszli przez kamienną łukową bramę i ruszyli betonowymi schodami na piętro. Na drzwiach prowadzących do studia tańca Laethanta na Rince przybito kartkę z ostrzeżeniem: *Cisza! Próba*. Muzyka i stukot butów tancerzy były tak głośne, że O'Donovan musiał krzyknąć, by Katie go usłyszała.

– Kłamstwo w żywe oczy! Jezu!

Otworzyli drzwi i weszli do środka. Szesnaście dziewcząt w krótkich różowych spódniczkach i czarnych rajstopach ćwiczyło ludowy taniec *céili*, podskakując i stepując w tempie powolnej gigi na trzy.

Nauczyciel tańca i menedżer, Steven Joyce, stał z boku, podkreślając rytm klaskaniem. Był drobnym mężczyzną o kasztanowych włosach, wysoko podciętych po bokach, a u góry długich i zaczesanych do tyłu. Miał starannie przystrzyżoną brodę i wodniste niebieskie oczy, tak że Katie skojarzyła go z autoportretem van Gogha, tyle że Joyce nosił obcisły zielony kaszmirowy sweter i wąskie beżowe dżinsy.

Teraz Katie zrozumiała, skąd ten nieziemski hałas. Podłogę studia zakryto co najmniej trzydziestoma drzwiami, kładąc jedno skrzydło obok drugiego. Tancerki skakały od drzwi do drzwi, tłukąc w nie butami z noskami ze szklanego włókna.

Joyce zauważył Katie i O'Donovana i przywitał ich, unosząc rękę.

Podszedł do wieży audio, wyłączył muzykę, klasnął w ręce i krzyknął:  
– Pięć minut, dziewczęta! Ale potem są *Three Tunes* i macie skakać jak piłeczki! Nie jak ostatnim razem, kiedy większość petzała jak muchy w smole!

Przeszedł po rozłożonych drzwiach, zatrzymał się przy Katie i powiedział:

– Spodziewałem się was wczoraj, szczerze mówiąc, albo nawet dzień wcześniej.

Był zaledwie dziesięć centymetrów wyższy od Katie. Katie poczuła, że spryskał się obficie L'Eau Froide, modną wodą toaletową unisex.

– Najpierw musimy przeprowadzić rozpoznanie okoliczności zdarzenia, panie Joyce – wyjaśniła. – Nie ma sensu odpytywać ludzi, dopóki się nie wie, o co pytać.

– Jasne, rozumiem. Czy rozmawialiście z Dannym Coffeyem? Jestem przekonany, że musieliście go niezłe ciągnąć za język.

– O co chodzi z tymi drzwiami na podłodze? – spytał O'Donovan, celowo zmieniając temat, by Katie nie musiała odpowiadać na to pytanie.

– Och, drzwi! To właśnie dzięki nim tancerki Laethanta na Rince są tak wyjątkowe, a jednocześnie całkowicie tradycyjne. Step irlandzki nie jest tak stary, jak niektórzy sądzą... pochodzi z początku osiemnastego wieku. W tamtych czasach większość wiejskich chałup miała zamiast podłogi polepę, która zupełnie nie nadawała się do tańczenia, bo w najlepszym wypadku była pokryta trzcina, żeby świny mogły po niej chodzić i ulżyć sobie do woli.

– Niezbyt wytworne warunki – zauważyła Katie.

– Owszem. Kobiety rozrzucały na podłogę liście mięty i dzięki nim w chałupie trochę mniej woniało, zabijały smród. A kiedy przychodziło do tańczenia, odkręcano drzwi, kładziono je płasko i robiono parkiet. Czasem smarowano je masłem, żeby łatwiej się tańczyło w butach nabijanych ćwiekami.

– Muszę o tym pamiętać, kiedy następnym razem pójdę do Havana Browns – powiedział O'Donovan. – Wezmę ze sobą kostkę kerrygold i posmaruję buty.

Steven Joyce niewątpliwie traktował taniec śmiertelnie poważnie i zignorował ten komentarz.

– To właśnie taniec na drzwiach od początku sprawił, że gigi w butach na twardych podeszwach mają swój rezonans i rytm – kontynuował. – I oczywiście, jak pewnie wiecie, te wiejskie chałupy były ciasne jak diabli, zwłaszcza jak się zaprosiło cały tłum widzów, znajomków i sąsiadów, więc nie dało się wymachiwać rękami. Dlatego tańczymy trzymając ręce sztywno po bokach.

– I co? Na konkursy zabieracie ze sobą drzwi?

– Przeważnie zabieramy i to zapewnia nam wielki rozgłos. Kiedy się tańczy na drzwiach, trzeba bardzo dokładnie skakać, wybijać rytm i stepować. Bo jeśli pojedzie się butem po brzegu drzwi, można skrócić kostkę.

– Rozumiem, że pan i Danny Coffey kiedyś byliście dobrymi przyjaciółmi.

– Byliśmy, kiedy stworzyliśmy Toirneach Damhsa.

– On twierdzi, że chciał pan więcej, niż wynikałoby to z uczciwego podziału dochodów, i dlatego się rozstaliście.

– Tak mówi? No cóż, to chyba tylko połowa prawdy. Ja widzę to tak: wykonywałem całą kreatywną robotę, robiłem choreografię... wspólnie z Nicholasem O’Gradym... a Danny trochę jeździł samochodem tu czy tam, podrzucał kanapki i siedział na tyłku.

– A jak wygląda ta druga połowa prawdy?

Steven Joyce rozejrzał się, by sprawdzić, czy tancerki przysłuchują się rozmowie. Rozproszyły się, stały, siedziały, rozmawiały, popijały wodę z butelek i nie sprawiały wrażenia zainteresowanych jego słowami, niemniej jednak zaproponował:

– Wyjdźmy na balkon.

Otworzył drzwi balkonowe i wyszli na zewnątrz. Widzieli w dole mokre dachówki dachów i trzy wysokie wieże katedry Świętego Fina Barre’a.

– Jeśli chcecie znać całą prawdę, to Nicholas nas rozdzielił bardziej niż pieniądze.

– Proszę mówić dalej – zachęciła go Katie. Już po przestłuchaniu

Coffeya przeczuwała to, czego teraz miała wysłuchać.

– Znałem Nicholasa od lat. Obaj byliśmy uczniami Peggy McTeggart na Wydziale Muzycznym i Teatralnym Uniwersytetu Cork... świeć, Panie, nad jej duszą... kochana Peggy. Zawsze myślałem, że Nicholas i ja zostaniemy razem do końca życia.

– Byliście partnerami? Przepraszam za tak bezpośrednie pytanie, ale chcę mieć jasność.

Joyce skinął głową.

– Nie mieszkaliśmy razem, bo Nicholas zawsze mówił, że potrzebuje w życiu swobody, ale można powiedzieć, że byliśmy ze sobą tak blisko, jak to możliwe w przypadku dwóch ludzkich istot.

Zawahał się i rozejrzał rozemocjonowany. Usta mu pracowały, jakby coś przeżuwał.

– Zawsze wiedziałem, że lubi flirtować z innymi mężczyznami. Starłem się o tym nie myśleć, chociaż nie raz i nie dwa ostrzegałem go przed zagrożeniem HIV. Te jego romanse mnie bolały, ale mówiłem sobie, że jest wolnym elektronem i kimże ja jestem, żeby kontrolować mu życie? Ale wtedy w naszym życiu zjawił się Danny Coffey, świeżo po rzuceniu Michaela Flatleya, i wspólnie stworzyliśmy Toirneach Damhsa.

– I Nicholas miał kolejny romans, z Dannyem Coffeyem?

– Dowiedziałem się o tym przypadku. Któregoś wieczoru wróciłem do studia, żeby odebrać wiadomości, o których zapomniałem, i przyłapałem ich w szatni. Nigdy nie mogłem tego pojąć. Widzieliście Danny'ego Coffeya, na miłość boską! Nie jest to, że się tak wyrażę, Adonis, prawda? Bardziej podstarzały obwoźny sprzedawca wykładzin podłogowych. I trudno powiedzieć, żeby był do rany przyłóż. Nie ma takiej rzeczy, która nie wprawiałaby go w irytację.

– Więc co się stało? Pan i Nicholas zerwaliście ze sobą i Nicholas został z Dannyem?

– To było bardziej skomplikowane. Problem częściowo wiązał się z pieniędzmi i częściowo z programem występów, który chciał wdrożyć Danny. Powiedziałem mu, że daje tancerzom za mało czasu

na odpoczynek i próby między występami, ale on zawsze miał na oku tylko pieniądze. Ale... tak... bez względu na to, co Nicholasa pociągało w Dannym, został z nim, a nie ze mną. Po kilku miesiącach napatoczył się młody Tadhg Brennan, zamieszkał z Nicholasem i wzięli ślub. Byłem zaproszony na wesele, ale nie poszedłem. Za bardzo cierpiałem po tym, jak rzucił mnie dla Danny'ego.

– Na tyle, żeby zemścić się na jednym i na drugim? – spytała Katie.

– Święty Jezu! Wciąż mi to doskwierało, ale nigdy nie zrobiłbym czegoś takiego, żeby spalić studio! Znałem większość tych tańczących dzieciaków. Uczyłem je, kiedy jeszcze chodziły do szkoły.

– Gdzie dokładnie pan przebywał, kiedy w studiu wybuchł pożar? – spytał O'Donovan.

– Dokładnie rzecz biorąc, byłem w Mallow, jadłem lunch w Peppers at the White Deer z Shelaghem Murtrym ze szkoły tańca i aktorstwa Centre Stage. Chciałem się dowiedzieć, czy mają młodych tancerzy, którzy byliby zainteresowani, żeby do nas dołączyć. Mam rachunek na dowód.

– Tak, był pan tam. Już sprawdziliśmy. Ale oczywiście mógł pan zapłacić, żeby ktoś podłożył ogień za pana.

– Och, dajcie spokój! Owszem, potrafię wyjść z siebie, ale tylko kiedy moje tancerki gubią rytm! Nie mówię, że nie czuję żalu do Danny'ego i Nicholasa... a przynajmniej nie czułem... ale zawsze byłem tego rodzaju facetem, który patrzy w przyszłość. Pozbierałem się i otworzyłem Laethanta na Rince, chociaż zaczynałem zupełnie od zera.

– Niemniej jednak musi pan przyznać, że miał pan motyw – powiedziała Katie. – Nadal nie wiemy, czy podpalacz zdawał sobie sprawę, że tak wielu ludzi straci życie. Czy znał pan Ronana Barretta lub Saoirse MacAuliffe?

– Kogo? Nie. Żadne z tych nazwisk nic mi nie mówi.

– Więc nigdy nie był pan ich choreografem ani nie tańczyli dla pana?

– Nie.

– W porządku. Ostatnie pytanie na razie: jeśli nie przyłożył pan ręki

do wybuchu tego pożaru, to kto pańskim zdaniem mógł to zrobić?

Steven Joyce wpatrywał się w Katie.

– Naprawdę chce pani, żebym na to odpowiedział?

– Tak, chcę. Dlatego pana zapytałam.

– No cóż, jeśli chce pani poznać moje szczerze, najgłębsze myśli na ten temat, to przypuszczam, że to był sam Danny.

– Poważnie tak pan myśli?

– Słyszałem plotki, że Toirneach Damhsa nie radził sobie zbyt dobrze pod względem finansowym. Danny ma górę zaległości podatkowych i ostatnio stracił troje najlepszych tancerzy: dwoje, bo wyjechali z Cork i wzięli ślub, i jednego, któremu wyskoczył dysk. Jak pani powiedziała, może wcale nie chciał nikogo skrzywdzić i wszystko poszło nie tak. Ale ubezpieczenie postawiłoby go na nogi, to pewne.

– Przyjrzymy się temu – rzuciła Katie.

Nie powiedziała mu, że już nakazała Ó Doibhilinowi sprawdzić, ile Danny Coffey może się spodziewać od firmy ubezpieczeniowej za utratę studia tańca i śmierć członków zespołu.

– Ale nie powiecie Danny'emu, że go oskarżyłem? – zaniepokoił się nagle Joyce. – Kurde, zabiłby mnie jak amen w pacierzu, jakbyście się wygadali.

\* \* \*

Gdy Katie wróciła z O'Donovanem na Anglesea Street, zastała w gabinecie czekającego Conora. Rozmawiał z Moirin.

– Wypada, żebyśmy się już zbierali – powiedział. – Na M osiem za Fermoy są problemy, roboty drogowe.

– Daj mi dziesięć minut – poprosiła. – Moirin, mogłabyś zadzwonić do Markeya i O'Mary i upewnić się, że są gotowi do wyjazdu do Tipperary?

Przejrzała szybko dokumentację, którą zostawiono jej na biurku, i sprawdziła pocztę i SMS-y. Szybko odpowiedziała sądowi karnemu na pytanie co do nakazu zatrzymania somalijskiego handlarza narkotykami, Ismaila Tima Khatarty. Kiedy pisała, weszła Scanlan.

Wyglądała na zadowoloną z siebie.

– Są wyniki! – zawołała.

O'Donovan zamierzał wyjść, ale Katie go powstrzymała:

– Zostań na sekundkę, Patrick. Może cię to zainteresuje.

– W końcu udało się dotrzeć do pani McCabe – oznajmiła Scanlan.

– Przed południem pracuje w Larne, w sklepie organizacji dobroczynnej wspierającej chorych na raka, dlatego nie mogłam się z nią wcześniej skontaktować, ale tam właśnie poznała Cissy Jepson. Cissy przyszła do niej, bo szukała lalki, ale nie miała dość pieniędzy, chociaż lalka, na której jej zależało, kosztowała jedynie trzy euro. Pani McCabe przyrzekła odłożyć jej lalkę, aż na nią zaoszczędzi. Cissy zaczęła regularnie zaglądać do tego sklepu i rozmawiała z McCabe.

Wygląda na to, że nie miała żadnych koleżanek i była bardzo samotna. Pani McCabe powiedziała, że raz spotkała ją na Main Street z młodym mężczyzną i pozdrowiła Cissy, ale ta nie odpowiedziała, i pani McCabe odniosła wrażenie, że nie chciała, by jej towarzysz wiedział, że się znają. Ale kiedy znów przyszła do sklepu, wyjaśniła, że to jej starszy brat.

– Posłałaś tej McCabe zdjęcia Adeen i Davy'ego Dorgana?

– Oczywiście, że tak, i natychmiast ich rozpoznała. Bez wahania. Cissy Jepson to Adeen, a młody mężczyzna, z którym była, to Davy Dorgan, chociaż jest prawie pewna, że on też używa nazwiska Jepson. Któregoś dnia odprowadziła Cissy do domu, bo lało, a mała nie miała parasolki, i zobaczyła, że przy dzwonku jest tabliczka *D. Jepson*.

– Jepson... Teraz to się trzyma kupy. Tak mi się przynajmniej wydaje. Prawdopodobnie przypisuję Dorganowi dużo większą inteligencję, niż na to zasługuje. Przecież Anne Jepson była matką sir Rogera Casementa.

– Zgubiłam się – wyznała Scanlan. – Czemu Dorgan miałby używać nazwiska matki sir Casementa?

– Podejrzewam, że pseudonim miał go zabezpieczyć przed policją z Irlandii Północnej i SRR. A może miał wyrażać jego ideologię. Nie wiem. Tak naprawdę to tylko zgaduję i teraz, kiedy jesteśmy pewni,



kim jest, nie ma znaczenia, jakie motywy nim kierowały. W każdym razie sir Casement był żarliwym nacionalistą i próbował w czasie pierwszej wojny światowej przemycić do Irlandii niemiecką broń. Chciał walczyć przeciwko Brytyjczykom o wyzwolenie Irlandii. Dlatego pozbawiono go szlachectwa i powieszono.

– Niezwykle ciekawa teoria – zauważył Conor. – Jedna z tych, które rozwiązują śledztwo albo prowadzą w ślepy zaułek. Ja sam stworzyłem kilka podobnych, kiedy próbowałem odszukać zagubionego psa. Zwykle kończyłem, goniąc za własnym ogonem zamiast za psim.

– Cóż, przekonamy się. – Katie westchnęła. – Ale wydaje mi się, że może być prawdziwa. Okazało się, że sir Casement był gejem i, jak wiemy, gejem jest Davy Dorgan. Możliwe, że się z nim identyfikuje i dlatego wybrał nazwisko Jepson.

O'Donovan zmarszczył czoło.

– Nie chcę, żeby zabrzmiało to niepoprawnie politycznie, ale może trafiła pani w dziesiątkę, pani nadkomisarz – powiedział. – Danny Coffey to gej, Steven Joyce też, podobnie jak świętej pamięci Nicholas O'Grady. Proszę mnie nie pytać, na co to wskazuje, bo nie wiem, ale warto wziąć pod uwagę ten zbieg okoliczności.

– Myślę, że musimy trochę uporządkować nasz stan posiadania. Sprawdź, czy da się zlokalizować męża O'Grady'ego... Jak on się nazywa? Brennan? I tego narzeczonego Saoirse. Wiem, że obaj są bardzo wątpliwymi podejrzanymi, ale zaczynam odnosić wrażenie, że to śledztwo to gniazdo os. W środku coś wściekle brzęczy, ale musimy bardzo mocno postukać, żeby pękło i osy wyleciały.

– Mam alergię na osy – ostrzegł O'Donovan. – Jedno żądło i wstrząs profilaktyczny gotowy.

– Może umrzesz, ale przynajmniej nie zajdziesz w ciążę<sup>14</sup> – pocieszył go Conor.

Katie nie mogła się powstrzymać od śmiechu, ale detektyw O'Donovan nie miał pojęcia, o co Conorowi chodzi, i pokręcił głową.

---

14 Prophylactic (ang.) – „profilaktyczny”, to również „prezerwatywa”, stąd żart Conora (O'Donovan miał na myśli „wstrząs anafilaktyczny” – anaphylaxis (ang.).

– Najpierw zajmę się tym Brennanem, pani nadkomisarz. Jak ustalę co trzeba, wyślę esemesa.

– Zuch – pochwaliła go Katie i odwróciła się do Conora. – Jedźmy, dobrze? Nie mogę się doczekać, żeby zwinąć tego potwora McManusa.

## ROZDZIAŁ 28

Spóźnili się ponad dwadzieścia minut z powodu robót na M8 i było prawie kwadrans przed trzecią, zanim podjechali pod Dundrum House Hotel and Golf Club, gdzie Katie umówiła się z inspektorami ISPCA i funkcjonariuszami Gardy z Tipperary. Postanowiła nie spotykać się na komisariacie przy końcu St Michael's Road, bo mógł ich zobaczyć ktoś, kto przejeżdżał tamtędy w drodze na walki psów.

Katie wyszła z oznakowanego land cruisera, którym jechała z Cork z Conorem, Markeyem i O'Marą. Inspektor Carroll przeciął podjazd, wychodząc jej na spotkanie.

Był solidnie zbudowanym mężczyzną z ogoloną głową pod mundurową czapką. Katie wyczuwała w nim wewnętrzne napięcie. W młodości musiał być niezłym bokserem amatorem. Nos miał wykrzywiony i kiedyś złamany, a szklisty wzrok wskazywał, że nosi soczewki kontaktowe.

Oznakowanym vanem, radiowozem i nieoznakowanym czarnym bmw przywiózł siedmiu mundurowych. Katie przedstawiła go Conorowi, Markeyowi i O'Marze. Potem, stojąc blisko niej, z odwróconą głową, jakby tylko podziwiał widok, mówił cicho, tak że nikt poza nią nie mógł go usłyszeć.

– Szczerze mówiąc, pani nadkomisarz, to wszystko czysta farsa. Jak wyjdzie, że walimy na wielką imprezę, czego się zresztą spodziewamy, to co zrobimy w jedenaście osób? Powinniśmy mieć stu jedenastu i śmigłowiec do gonienia za każdym gnojem, który spróbuje dać nogę przez pole. Nie wspominając sznura autobusów, żeby zabrać tę całą zbieraninę do aresztu.

– Cóż, zgadzam się. – Katie wzruszyła ramionami. – Ale...

Carroll ogarnął wzrokiem otoczenie hotelu. Sam główny budynek był świetnie zachowanym osiemnastowiecznym trzypiętrowym dworem, otoczonym polem golfowym i wypielęgowanymi

trawnikami. Trzydzieści kilometrów na południe wznosiły się góry Galtee. W bladej zielonej popołudniowej mgłę wyglądały jak sceneria ze snu.

– Imponujący – powiedziała Katie.

– Fantastyczny – zgodził się z nią Carroll. – Byłem tu raz na świetnym lunchu. Wiem, że przyjechaliśmy dokonać niebywale dobrych uczynków, ale kusi mnie, żeby dać sobie spokój z walkami psów i zamiast gonić drani, zagrać spokojniutko w golfa, a potem zasiąść do obiadu.

– Precz, szatanie – ofuknęła go Katie. – Może nie uda się nam wiele osiągnąć... to raczej pewne... ale przynajmniej pokażemy tym bandytom, że nie przymykamy oka na ich wyczyny.

– Strasznie się tym przejmą.

– Wiem. Tu Magorian ma rację, muszę przyznać, chociaż poza tym nie zgadzamy się prawie we wszystkim. Jeśli szeregowi funkcjonariusze Gardy grożą strajkiem z powodu niskich pensji i nie możemy utrzymać wiejskich posterunków, bo nie mamy na nie pieniędzy, jak uzasadnilibyśmy wydatek kilku tysięcy euro na likwidację walk psów?

Trzech z siedmiu inspektorów ISPCA, których działalność obejmowała cały kraj, przyjechało monitorować zdarzenie – kobieta i dwaj mężczyźni. Jeden z nich podszedł do Katie i wyciągnął rękę. Młody, przystojny z czarną hipsterską brodą i szerokim uśmiechem, w którym pokazywał wszystkie zęby. Nosił czapkę ISPCA i granatową kurtkę przeciwdeszczową z nabijanymi ćwiekami epoletami, ale do tego obcisłe dżinsy i brązowe buty Dubarry.

– Peter O'Dwyer, ISPCA Południowe Tipperary – przedstawił się. – Pani jest pewnie nadkomisarz Maguire.

– Dobrze pana widzieć – powiedziała Katie. – Szczerze mówiąc, mając przeciwko nam McManusa i całą resztę jego hołoty, spodziewam się zażartej walki.

Conor wystąpił przed resztą i potrząsnął ręką O'Dwyera.

– Jak leci, Peter? Nie widzieliśmy się, od kiedy przyjechałem tu, szukając czterech ukradzionych shar peiów, pamiętasz?

– A niech mnie! Conor Ó Máille, sławny psi detektyw, niech mnie drzwi ścisną! Co słysząc, Conor?

– Nadal mam na chleb dzięki temu, że ludziom na okrągło ginie z domu coś żywego, ale w tej chwili jestem tu uwiązany przez nadkomisarz Maguire. Próbuję jej pomóc zlikwidować ten przestępczy proceder, walki psów.

– Chciałbym, żeby pani wiedziała, nadkomisarz Maguire – zwrócił się do Katie O’Dwyer – że z całego serca doceniamy pani wsparcie. W tym roku byliśmy wzywani do wyjątkowo wielu walk psów. Oglądaliśmy czyste, cholerne okrucieństwa... i z każdym dniem coraz gorsze.

– Myślałam, że ustawa o ochronie zwierząt mogła to zmienić – powiedziała Katie.

– W żadnym razie. Udało się nam nie dopuścić do walk w Sligo, Offaly, Leitrim i Laois, ale to jak odcinać łby hydrze... Może jako inspektor ISPCA nie powinienem tego mówić? Ale za każdym razem, kiedy udało nam się doprowadzić do sądu jednego organizatora walk, pojawiali się dwaj inni i nasze statystyki naprawdę nie wyglądają dobrze.

– No cóż, musimy być, niestety, realistami. Nie oczekujcie, że dzisiaj przeprowadzimy masowe aresztowania. Zaczniemy od tego, że nie mamy dość funkcjonariuszy. Chcemy jednak, żeby organizatorzy walk zrozumieli, że są pod obserwacją Gardy i że jeśli dopuszczą się jakiegokolwiek okrucieństwa, utrwalimy dowody na wideo. Będziemy mogli je wykorzystać podczas ewentualnych przyszłych aresztowań albo przekazać wam, żebyście wszczęli postępowania cywilne. – Dotknęła ramienia Carrolla i dodała: – Mam do pana jedną uwagę, inspektorze. Wiemy, że te walki zorganizował sam McManus dla uczczenia swoich pięćdziesiątych urodzin. Jeśli zobaczę lub usłyszę jakiś wyraźny dowód, który by to potwierdzał, zamierzam osobiście go zwinąć. Wiem, że nie będziemy mogli długo go zatrzymać, ale przynajmniej pokażemy hołocie, że mamy dość energii, by aresztować człowieka, który rządzi walkami psów, i nie boimy się tego zrobić.

– Zwinięcie go to jedna rzecz – wtrącił Carroll – a sądowy wyrok skazujący to zupełnie inna opowieść. Formalnie biorąc, sąd mógłby mu wymierzyć grzywnę w wysokości dwudziestu pięciu tysięcy euro i skazać na pół roku więzienia, a także dożywotni zakaz posiadania jakiegokolwiek zwierzęcia. Nawet chomika. Ale... wie pani.

– Nie ma co na to liczyć. – Conor westchnął i pokręcił głową.

– Nawet pięćset euro grzywny wystarczy – rzuciła Katie. – Oskarżenie, które doprowadzi do skazania, przyciągnie uwagę mediów, zwłaszcza kiedy będzie dotyczył osławionego Zezowatego McManusa. Mogłoby to nawet dać do myślenia ludziom, którzy dopiero chcą się zabrać do organizowania walk psów.

– Pani dokładnie wie, co na ten temat myślę, pani nadkomisarz – powiedział Carroll. – Brzydzę się walkami psów i gdybym mógł o tym decydować i miał budżet, każdego, kto je organizuje, pogoniłbym, zamknął i potraktował dokładnie tak, jak oni te psy, które szkolą.

– Ostatnio nie dopuściliśmy do walk psów dwa miesiące temu w Westmeath – oznajmił O'Dwyer. – Psom, które przegrały w walkach... to znaczy tym, które jeszcze żyły... przypięto do uszu kable podłączone do akumulatorów i wrzucono je do wielkiej cynkowanej wanny z wodą.

– Nie mówi pan poważnie.

– Chciałbym nie mówić poważnie. W życiu nie widziałam psów, które tak walczyły, żeby się wydostać, tak ujadły, gdy cały tamten motłoch zebrał się dokoła i zarykiwał ze śmiechu. Tu nie chodzi o powstrzymanie okrucieństwa jednostek, ale o zmianę nastawienia całego społeczeństwa.

– Postarajmy się najlepiej, jak potrafimy – obiecała Katie, spojrzała na zegarek i zwróciła się do Carrolla: – Godzina zero.

\* \* \*

Jechali szybko, chociaż drogi między Dundrum i Goolds Cross były wąskie i zarosłe trawą. Jeden z radiowozów z Tipperary prowadził konwój, za nim Carroll w bmw, potem toyota z Katie, Conorem i dwoma detektywami z Cork, tuż za nimi inspektorzy ISPCA. Drugi

radiowóz z Tipperary zabezpieczał tyły.

Wkrótce dotarli do pierwszych pojazdów parkujących wzdłuż drogi i zwolnili. Nazwa Cappamurra Bridge obejmowała sieć krzyżujących się polnych dróg i na jednej z nich zderzak w zderzak stały mercedesy, kampery, range rovery, a nawet załadowane rusztowaniami ciężarówki pracowników budowlanych.

– Gdybyśmy mogli wezwać tyle lawet co trzeba, dostaliby mandaty za tarasowanie drogi i ściągnięto by ich stąd – mruknął Markey.

– Jasne – prychnął O'Mara. – Gdyby babcia miała wąsy, toby była dziadkiem.

W końcu dojechali do bramki z desek, za którą zaczynała się długa błotnista droga z wysokimi głógowymi żywopłotami po obu stronach. Ruszyli nią i zwolnili do żółtego tempa, bo przed nimi maszerowało kilkudziesięciu mężczyzn. Część z nich prowadziła na smyczy psy, pitbule i mastify, niemal wszystkie w kagańcach.

W normalnych warunkach kierowca pierwszego radiowozu nacisnąłby klakson, zmuszając idących do przystąpienia z boku i przepuszczenia samochodów, ale gdy tylko tamci usłyszeli za sobą samochody, odwrócili się i rozwścieczeni spoglądali na pojazdy Gardy z taką wrogością, że było to niemal zabawne; kilku śmiało pokazało jadącym środkowy palec, tak że konwój włókł się za maszerującą zbieraniną, dostosowując się do jej szybkości.

Gdy toyota Katie mijała wytatuowanego mężczyznę, ten wrzasnął prosto w boczną szybę:

– Psy czuję!

– Nie mówiłem ci? – odezwał się Conor. – Na walkach psów zawsze możesz liczyć na serdeczne powitanie.

Błotnista droga ginęła w nierównym polu, które już było zatłoczone. Przeważnie byli to mężczyźni, chociaż Katie dostrzegła kilka młodych kobiet Travellersów, w kuszach topach i ze złotymi kolczykami. Dwie pchały wózki z dziećmi. Większe dzieci hasały swobodnie, śmiejąc się i obrzucając ogryzkami jabłek. Wiedziała, po co się tu znalazły – miały posłużyć za postaćców bukmacherów, gdy pieniądze zaczną krążyć z rąk do rąk. Organizatorzy psich walk

wykorzystywali niepełnoletnich, bo nie można ich było aresztować ani posłużyć się ich zeznaniami.

– Fantastyczna metoda wychowawcza, nie sądzisz? – powiedział Conor. – Ściągnąć je, żeby patrzyły, jak wygłodniałe psy wrywają sobie nawzajem flaki, i wmawiać im, że to świetna zabawa.

– Patrz, tam! – zawołała. – To McManus.

Na środku pola bale sprasowanego siana, ułożone po trzy jeden na drugim, wyznaczały kolisty ring, w którym walczyły psy. Z boku zgromadzili się mężczyźni o wyjątkowo zakazanych mordach. Dwaj trzymali na smyczy białe bulteriery Staffordshire, które miotały się na boki i wrywały właścicielom, chcąc dopaść jeden drugiego.

W środku grupy stał, paląc cygaro, Zezowaty McManus, niski, tusty i łysy, chociaż nie było tego widać, bo tego popołudnia włożył czarną baseballówkę. Był nie tylko łysy, ale i nie miał brwi, za to miał grube, mięsiste wargi, tak że wyglądał jak wcielenie złego Buddy. Nosił szary barani kozuch z podniesionym kołnierzem i czarne dresowe spodnie. Na innym zwisałyby, ale nie na mężczyźnie o nogach jak gigantyczne kaszanki. Za to stopy miał po dziecięcemu drobne, w białych butach Nike, w rozmiarze nie większym niż trzydzieści osiem.

Katie widziała, że McManus prowadzi wzrokiem sznur pojazdów, toczących się powoli po łące i ustawiających wzdłuż drzew, które rosły na południowo-wschodnim obrzeżu pola. Chociaż stał w odległości ponad trzydziestu metrów i niełatwo było odczytać jego minę, bo jednym okiem zezował w prawo, podczas gdy drugie uciekało dziewięćdziesiąt stopni w lewo, Katie domyślała się, że walczą w nim tylko dwa uczucia: niedowierzanie i wściekłość. Wyjął z ust cygaro, coś powiedział i cokolwiek to było, nawet zakazane mordy się cofnęły.

Katie i Conor wyszli z land cruisera, podczas gdy inspektor Carroll i funkcjonariusze z Tipperary opuścili swoje wozy, jednak nie ruszyli się dalej; pozostali pod drzewami, ustawiając kamery wideo.

– Nie wydaje mi się, żeby Jego Zezowatość była wniebowzięta naszym widokiem – zauważył Conor.



– No, to przecież jego urodziny – powiedziała Katie. – Może podejmiemy i złożymy mu życzenia, jak myślisz?

– Jedno ci muszę przyznać, Katie. Masz tupet.

– To tylko wściekły staruch. Idziemy!

Ruszyła po trawie do psiego ringu, obok niej Conor, tuż za nimi Markey i O'Mara. Teraz większość na łące wpatrywała się w nadchodzących, rozległy się gwizdy i wrzaski:

– Wyjeżdżać stąd, świry! Nie chcemy was tu! Wynocha! Wypieprzać!

Gdy Katie i Conor podeszli do McManusa, wyjął z ust cygaro, wydmuchnął dym i skrzyżował ramiona na piersi.

– Niech mnie ktoś walnie w dupę bandzo – wycedził. – Redmond, hodowca psów, i jego ściera Sinéad. Tyle że nawet żadna z ciebie ściera, Sinéad, jesteś glina. A co do ciebie, Redmond, nie wiem, coś ty za jeden, poza tym, żeś, kurwa, zdrajca i gnój.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, panie McManus – powiedziała Katie.

– Nie życzę sobie żadnych życzeń od takich jak ty. To gorsze niż klątwa. A teraz: to prywatny teren i prywatna impreza i nie jesteście tu mile widziani, więc czemu ty i twoi kumple, po prostu, kurwa, się stąd nie zmyjecie.

– Jestem detektyw nadkomisarz Kathleen Maguire z Cork, a to Conor Ó Máille, licencjonowany prywatny detektyw, tropiciel zagubionych zwierząt, który pomaga mi w dochodzeniu.

– Możesz sobie być Przenajświętszą Dziewicą od rysztoła, a twój koleś to Judasz pieprzony Iskariota. Nie łamię tu prawa, więc wypierdalajcie mi sprzed oczu.

– Panie McManus, walki psów, zgodnie z paragrafem piętnastym ustawy o ochronie zwierząt, są przestępstwem i każdy, kto organizuje walki psów, może być ukarany grzywną i skazany na karę więzienia.

– Widzicie tu jakieś walczące psy? Dajcie spokój, pokażcie mi jednego walczącego pasa! To przyjęcie urodzinowe, a jak paru ludzi przyprowadziło tu swoje psinki, co komu szkodzą?

– Panie McManus, nie jestem pierwszą naiwną. Psinki? Niech pan mnie nie rozśmiesza. Wszystkie te zwierzęta to na pewno psy do walk i mam potwierdzone informacje, że zorganizował pan walki pięćdziesięciu psów dla uczczenia pańskich pięćdziesiątych urodzin.

– Kto ci to powiedział? Mów, kto ci to powiedział, a go, kurwa, wymiśkuję!

– Panie McManus, przestępstwem jest nie tylko prowadzenie walki psów, przestępstwem jest ich organizowanie, promowanie lub reklamowanie. Przestępstwem jest również użyczenie terenu lub nieruchomości w celu urządzania tam walk psów. I muszę dodać, że przyjmowanie jakichkolwiek zakładów obejmujących walki psów jest również sprzeczne z prawem.

McManus pociągnął kilka razy cygaro i wypluł kawałek liścia tytoniowego.

– Mówię ci przecież, kurwa, ty komisarz wydziału takiego-czy-srakiego, jak ty się tam, kurwa, nazywasz, że tu nie ma żadnych walk psów, i zalecam ci stąd zjeżdżać, zanim będziemy ci musieli w tym pomóc. Rozumiesz, co mówię? Jazda, wynocha stąd wszyscy!

Podczas tej wymiany zdań otaczający McManusa mężczyźni zbliżyli się i przyglądali z nieukrywaną groźbą Katie, Conorowi i dwóm detektywom. Właściciele białych bulterierów raz za razem szarpali smycze, tak że psy stawały na tylnych łapach, niemal się dusząc, piniąc i warcząc na Katie i Conora, jakby nie mogły się doczekać, żeby się rzucić i zaatakować.

Katie rozejrzała się po łące i spostrzegła, że reszta tłumu też zaczyna się zbierać wokół nich, prowadząc groźnie wyglądające psy. Było tam kilka pitbuli, bokserów, mastifów i wielkich rhodesian ridgebacków. Atmosfera była tak przepojona agresją, że niemal wyczuwało się ją w powietrzu jak nadchodzącą burzę.

Jeden z towarzyszy McManusa przykuśtykał do Katie. Miał sterczące siwe włosy, poprzeczną bliznę na policzku i srebrne kolczyki w uszach. Jego spłowiata džinsowa kurtka była ozdobiona ćwiekami, łańcuszkami i broszkami w kształcie trupich czaszek.

– Chono, siostró – odezwał się ochryplym głosem. – Zezowaty

uprzejmie prosi, żebyś se poszła, to moja rada dla ciebie i reszty tych świrów, żebyście zrobili, o co prosi, i se poszli. To jego przyjęcie na urodziny, kumasz? I zajęło mu tygodnie czasu i kłopotów, żeby ustawić walkę psów, coby skończyła wszystkie walki psów, ale nikomu się tu nie stanie krzywda, chyba że wam, jak się tu zaprzecie.

Katie zmierzyła go wzrokiem. Miał poźótkłe białka oczu i cuchnął alkoholem.

– Czy McManus kazał to panu powiedzieć? – spytała.

– Sam ci to mówię, siostró. Więc zrób nam wszystkim przysługę i, kurwa, wysuwaj stąd.

Katie odwróciła się do Markeya i O'Mary.

– Słyszeliście to?

– Słyszeliśmy – powiedział Markey, dając znak kciukiem.

Wróciła do Carrolla, który nadal czekał ze swoimi podkomendnymi przy samochodach.

– Jak leci? – spytał.

– McManus zaprzecza, że dzisiaj mają się tu odbyć walki psów, ale jego obdarty koleś właśnie otwarcie przyznał, że się odbędą i że McManus jest organizatorem. Mam nadzieję, że moi detektywi też to słyszeli. Zresztą nagrałam to, co mówił ten stary, a także groźby, które McManus wygłaszał pod naszym adresem.

– Więc co pani teraz zamierza?

– Sądzę, że musimy wypłatać się z tej sytuacji najszybciej, jak się da, bo to zbiegowisko robi się napastliwe i nie chcę, żeby komuś coś się stało. Zamierzam aresztować McManusa i zabrać z nami. Nie przeprowadzą tych walk bez niego. To przecież miały być jego urodziny.

Carroll, mrużąc oczy, popatrzył na gęstniejącą tłuszcę.

– Przemyślała to pani z góry, prawda, pani nadkomisarz?

– Co? Upieczenie dwóch pieczeni jednym aresztem? Muszę przyznać, że była to jedna z opcji, które rozważałam. Nie wydaje mi się jednak, żebyśmy w tych okolicznościach mieli inne wyjście.

– Boję się o nasze bezpieczeństwo, pani nadkomisarz. Nie wiem... Powiedziałbym, że tu jest ponad sto pięćdziesiąt osób i nie wygląda

na to, żeby się zawahały zaatakować funkcjonariuszy Gardy albo przewrócić radiowóz. Mówię to z własnego przykrego doświadczenia.

– Aresztuję McManusa. Jeśli pańscy ludzie mogą iść ze mną, proszę, żeby to zrobili.

– Niestety, ale chyba muszę zakwestionować sensowność tego rozkazu, pani nadkomisarz. Wie pani, jakie są moje przekonania, ale biorąc pod uwagę sytuację, myślę, że najmądrzejszym działaniem z naszej strony byłoby się wycofać i pozwolić inspektorom ISPCA nagrać to, co będą mogli nagrać, i zgłosić raport.

Katie na chwilę przymknęła oczy, by się opanować. Słyszała ujadanie psów, krzyki ludzi, głośno nadawaną muzykę. W końcu otworzyła oczy i oświadczyła:

– Aresztuję McManusa, Kenny, a ty, i twoi funkcjonariusze udzielicie mi wsparcia. Jeśli masz jakiegokolwiek wątpliwości w tej sprawie, to informuję cię, że to rozkaz. Potem możesz złożyć skargę w biurze rzecznika Gardy, jeśli uznasz to za konieczne.

Inspektor Carroll miał ponurą minę, ale poza tym nie okazał sprzeciwu i gestem wezwał swoich siedmiu barczystych funkcjonariuszy w żółtych odblaskowych kurtkach.

– Nadkomisarz Maguire zdecydowała, że ma wystarczające powody, by aresztować McManusa – powiedział, gdy zebrali się wokół niego. – Będziecie ją osłaniać, kiedy przystąpi do wykonania zadania, i zrobicie co konieczne, by zapewnić jej bezpieczeństwo. Zabierzemy McManusa prosto na St Michael's Road i umieścimy w areszcie.

– Co z nami? – spytał O'Dwyer.

– Szczerze mówiąc, Peter, zalecam, żebyście też odjechali – poradziła mu Katie. – Jeśli się nie mylę, dzisiaj nie będzie tu walk, kiedy tylko ludzie zobaczą, że zabieramy McManusa, ale myślę, że ci, którzy obstawili lub zamierzali obstawiać, trochę się wkurzą, jak zobaczą, co się dzieje.

– Ci ludzie nas nie wystraszą. Ani ich psy. Zwłaszcza psy.

– Niemniej jednak... Idziemy.

Z funkcjonariuszami z Tipperary po bokach, a także Markeyem i O'Marą Katie wróciła do Zezowatego McManusa. Odliczał banknoty wartości pięćdziesięciu euro mężczyźnie o gładko zaczesanych do tyłu siwych włosach, w zielonej muszce i rdzawym garniturze z kamizelką.

Podeszła prosto do McManusa i położyła mu dłoń na ramieniu.

– Panie McManus, aresztuję pana za przygotowanie walki psów, co jest zakazane zgodnie z paragrafem piętnastym ustawy o ochronie zwierząt z roku dwa tysiące czternastego, a w szczególności z ustępem pierwszym, drugim i trzecim tego paragrafu. Czy zechce pan udać się ze mną?

Zezowaty McManus zignorował ją i dalej liczył pieniądze.

– Masz – powiedział. – Czteryście pięćdziesiąt na mieszańca Henchy'ego.

– Panie McManus, jest pan aresztowany – powtórzyła głośniej Katie.

– Zjeżdżaj, kurwa, i przestań mi zawracać głowę – odparł ostro McManus. – Dermot, jak jest typowany tamten dog kanaryjski? Święty Jezu, to dopiero kiler!

Katie cofnęła się o krok i skinęła na funkcjonariuszy. Przepchnęli się między otaczającymi McManusa mężczyznami, złapali go za ramiona i wykręcili do tyłu, tak że jego cygaro i komórka spadły na trawę.

– Co, na wszystkich świętych pańskich, robicie, sukinynty?! – wrzasnął McManus.

Tamci nie odpowiedzieli, założyli mu kajdanki. Potem tak szybko, jak się dało, ruszyli z nim do vana Gardy; ciągnęli go, a kiedy trzeba było, nieśli.

– Puście go! – wrzasnęła jedna z kobiet w tłumie.

– Dajcie mu spokój, skurwysyny! – zawyła druga. – Ma urodziny!

– Nie będzie wam do śmiechu, jak wam dupy odgryzie! – dołączyła się następna.

McManus wykręcił głowę i zaryczał do Katie, niemal siny z wściekłości:

– Pożałujesz tego, wiedzmo, kurwa!!! Pożałujesz tego do końca

swojego życia!!! Sean! Michael! Gearoid! Nie stójcie tak, kurwa!!!

Najtwardsze z otaczających McManusa zakazanych mord ruszyły niespiesznym klusem, prowadząc dwa psy, które rzeziły i napinały smycze. Pijak w dzinsowej kurtce, potykając się, rzucił się do Katie i próbował złapać ją za ramię, ale wywinęła się unikiem w bok i uniosła ręce zgodnie ze stylem *baji quan*, którego nauczał jej instruktor walki wręcz.

– Nawet o tym nie myśl – ostrzegła go.

Potknął się o kępę trawy i znów próbował ją złapać, ale tym razem ugięła nogi w kolanach, zrobiła podwójny wiatrak i wyprowadziła krótkie wybuchowe uderzenie *fa jin* w klatkę piersiową tamtego. Bez dźwięku runął w tył i oszołomiony padł na trawę, wytrzeszczając oczy w niebo.

Prowadzący bulterierzy puścili psy. Z szybkością wystrzelonych pocisków popędziły w kierunku Katie i Conora.

Katie pobiegła w kierunku toyoty, ale Conor, szybko, prawie tanecznym ruchem, cofnął się kilka kroków i stanął. Włożył do ust dwa palce i gwizdnął. Dźwięk początkowo był cichy, ale urósł do rozrywającego bębenki trylu i trwał blisko ćwierć minuty.

Oba psy zastygły; dyszały, wywaliwszy języki z pysków. Były kompletnie oszołomione, jakby całkowicie się pogubiły; zapomniały, kogo mają dopaść, i nawet utraciły swoją psią naturę.

Jeden z właścicieli wrzasnął:

– Białas! Białas! W imię Boga, co cię napadło, ty dumny kutasie?! Zabij, słyszysz mnie?! Zabij!!!

Białas się rozejrzał, ale Conor znów zagwizdał, tym razem tak wysokim dźwiękiem, że Katie ledwo go słyszała. Oba bulterierzy wydały dziwny, skrzekliwy bulgot i opadły na trawę, kładąc łby na łapach. Katie zobaczyła, że gwizdy Conora działają też na psy wśród tłumu. Wszystkie postawiły uszy i wydawały się zahipnotyzowane.

Nadal wygrażający i przeklinający Zezowaty McManus był już w vanie Gardy i funkcjonariusze z Tipperary wsiadali do radiowozów. Carroll stał przy bmw, chcąc mieć pewność, że Katie jest bezpieczna, podczas gdy Markey ujął ją pod łokieć i pospiesznie prowadził do

toyoty. O'Mara trzymał się blisko, osłaniając nadkomisarz, na wypadek gdyby tłum zaczął rzucać kamieniami lub butelkami po piwie.

Conor zrównał się z nią.

– Zjeżdżajmy stąd szybko – rzucił. – Te dwa mieszkańce nie będą stały zahipnotyzowane przez wieczność.

Katie miała już wsiąść do land cruisera, gdy tłum wydał przyciszony pomruk wściekłości. Brzmiał jak obudzenie lawiny albo pieniący się na kamykach odpływ. Niewątpliwie tłuszcza zrozumiała, że konwój Gardy naprawdę odjeżdża i zabiera McManusa, więc o żadnych uświetniających urodziny walkach psów nie ma mowy.

– Szybciej, pani nadkomisarz – popędzał ją O'Mara, przytrzymując otwarte drzwi.

Ale Katie odwróciła się i zobaczyła, że tłum ruszył ku nim; niektórzy biegli. W zeszłym roku była świadkiem tego, jak po podwyżkach opłat za wodę pod ratuszem w Cork wybuchły zamieszki. Dwa radiowozy uległy poważnemu zniszczeniu, powybijano szyby, trzeci podpalamo. Pięciu funkcjonariuszy wymagało hospitalizacji, a pewien sierżant doznał tak ciężkich oparzeń, że był zmuszony przejść na rentę.

Inspektor Carroll wyraźnie podzielał jej niepokój, bo wystąpił naprzód, by przemówić do tłumu. Dwaj podwładni stanęli po jego obu bokach. Podniósł ręce.

– Uspokójmy się! – krzyknął. – Nie chcemy żadnych zamieszek i żeby komuś stała się krzywda! McManus został aresztowany, jak każe prawo, i będzie uczciwie traktowany, obiecuję to wam! Nie zmuszajcie mnie, żebyśmy aresztował jeszcze kogoś!

– Wypuście Zezowatego, wy sukinsyny! – wrzasnął jeden z mężczyzn na czele tłumu. – Jak go nie puścicie, sami przyjdziemy i go wypuścimy!

– Nie wypuszczamy go! – odkrzyknął Carroll. – Wiecie tak samo dobrze jak ja, że walki psów są nielegalne! Zwracam się do was wszystkich, żebyście w spokoju opuścili tę łakę i zabrali ze sobą dzieci i psy! Jak mówię, McManus będzie traktowany z największym

szacunkiem i jeszcze dziś wieczorem zostanie zwolniony za kaucją z komisariatu!

– Kuźwa, wypuszczaj go, ty poжебany gliko! – zawyła piskliwie jedna z kobiet. – To jest wolny kraj, nie...?! Jak parę psów chce się razem pobawić, to nie wasz jebany interes!

Pusta butelka po oranżadzie wyleciała z tłumy i z głośnym stuknięciem uderzyła w samochód Gardy. Potem poleciały następne i kilka kawałków drewna.

– Uspokójkcie się, nie zaczynajcie, bo pożałujecie! – zawołał Carroll.  
– Rejestrujemy to wszystko na wideo, więc każdy, kto dopuści się zakłócenia porządku, naraża się na identyfikację i oskarżenie! Więc rozejdźcie się, słyszycie mnie? Rozejdźcie się i odjedźcie w spokoju!



## ROZDZIAŁ 29

Poleciało więcej butelek i jedna z nich uderzyła w bark Carrola. Ci, którzy wsiedli wcześniej do radiowozów, wysiedli, a funkcjonariusze przy inspektorze otworzyli pałki teleskopowe.

Katie podeszła do Carrola.

– Wygląda na to, że źle oceniłam sytuację – przyznała. – Myślałam, że kiedy zwiniemy McManusa, reszta się rozjedzie.

Butelka po piwie odbiła się obok od ziemi i uderzyła ją w kostkę.

– Wypuście Zezowatego! – zaczęła zawodzić tłuszcza. – Wypuście Zezowatego!

Obok Katie wylądował wyrwany z ziemi słupek ogrodzeniowy, nadal owinięty drutem kolczastym. Po nim poleciały następne butelki i trójkątny kawał betonu. Sześciu młodych ludzi podbiegło do vana Gardy i próbowało otworzyć drzwi. Kiedy się przekonali, że są zablokowane, zaczęli tłuc w karoserię, usiłując rozkołysać pojazd, by go przewrócić.

– Wzywam wsparcie – powiedział Carroll. – Nie ma mowy, żeby te dupki się uspokoiły. I myślę, że będziemy musieli wypuścić McManusa.

Tymczasem tłum prawie całkiem ich okrążył i chociaż ostrożnie trzymał się na dystans, nadal zawodził:

– Wypuście Zezowatego! Wypuście Zezowatego! Śmierzące dranie, gnoje, wypuście Zezowatego!

Chociaż było dopiero wczesne popołudnie, Katie widziała, że niektórzy są już bardzo pijani i palą się do bitki. Wiedziała, że wystarczy, by jeden śmielszy typ podbiegł i rzucił się na nich, a reszta pójdzie w jego ślady. Ona i pozostali mogli zostać ciężko pobici, może nawet zamordowani.

Carroll znów podniósł ręce.

– W porządku! – zawołał. – Ej, słuchajcie! Wypuszczamy

McManusa! Słyszycie mnie? Dla zachowania spokoju wypuszczamy go!

Jednak w tym momencie dwa białe bulteriery, szczekając ogłuszająco, wyskoczyły spomiędzy tłumu, pędząc prosto na niego z obnażonymi kłami. Wyrwały się z transu, w który wprowadził je Conor, i teraz były jeszcze agresywniejsze niż wcześniej.

Katie nie miała czasu deliberować, co robić. Oba psy od szczeniaka chowano na zabójców – nie tylko innych psów, ale każdego zwierzęcia lub człowieka, na których je poszczuto. Jeśli nie atakowały, właściciele karali je godzinami katuszy – biciem, przypalaniem, chłostą – dlatego były takie zażarte.

Bulteriery były prawie na odległość skoku, gdy Katie sięgnęła pod kurtkę i wyszarpnęła z pochwy rewolwer Smith & Wesson Airweight. Trzymając go oburącz, wycelowwała i wystrzeliła. Pierwszy pies został trafiony, gdy jeszcze wisiał w powietrzu; połowa jego pyska rozleciała się w fontannie krwi i odłamków kości. Zwinął się i jak olimpijski skoczek do wody wykonał piruet, po czym upadł z łomotem na trawę, z dygoczącymi łapami.

Zrobiła półobrót i dwa razy strzeliła do drugiego bulteriera, w klatkę piersiową i między ślepia. Padł na bok, obnażając kły jakby w sardonicznym uśmiechu. Rana wlotowa łba była okrągła i regularna, niczym trzecie oko, ale tył czaszki się roztrzaskał i mózg pokrył grzbiet zwierzęcia aż do ogona.

Tłuszcza ucichła. Słysząc było jedynie *Dacey Reilly* nadawane przez głośniki na drugim końcu łąki. Młodzi mężczyźni przestali się znęcać nad vanem Gardy i wycofali się. Kilka osób w tłumie, zbyt wystraszonych, żeby rzucić butelkami, pozbyło się ich.

Katie uniosła rewolwer, kierując otwór lufy w niebo.

– Czas jechać, inspektorze – powiedziała, starając się zachować spokój w głosie i nie opuszczając broni.

Carroll skinął na otaczających go funkcjonariuszy. Złożyli pałki i wrócili do radiowozów. Conor, Markey i O'Mara wsiedli do land cruisera; Katie ostatnia. Do końca stała twarzą w twarz z tłuszcza, mając u stóp dwa zakrwawione białe bulteriery i chociaż tłum

patrzył na nią wzrokiem mówiącym, że życzy jej, by padła trupem obok psów, nikt się nie ruszył i wszyscy milczeli.

Musisz być opanowana, Kathleen, mówił jakiś głos w jej głowie. Ale zrób surową minę na znak, że w razie ataku człowieka albo psa, jesteś gotowa zastrzelić bez wahania każdego.

Bardzo ją kusiło, by wygarnąć, co myśli o tych ludziach, którzy przyjechali na walki psów; powiedzieć im, że bulteriery, które zastrzeliła, przynajmniej zaznały szybkiej i bezbolesnej śmierci, a nie zostały rozszarpane na ringu. Uznała jednak, że bezpieczniej będzie się nie odzywać. Nie chciała ryzykować; tłum mógł się otrząsnąć z oszołomienia.

Zajęła miejsce w land cruiserze i zatrzasnęła drzwi, ale opuściła szybę i cały czas trzymała rewolwer na widoku, gdy zawracali i zjeżdżali z łąki za vanem i pozostałymi samochodami. Podskakując na nierównościach, dojechali do Cappamurra Bridge, po czym skręcili na południe, ku Dundrum. Kiedy dotarli do R661, która prowadziła prosto do Tipperary, radiowóz włączył koguta, syrenę i jechał najszybciej, jak się dało, czasem osiągając dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę.

– No, schrzaniłam to aż miło – zwróciła się do Conora.

Ten zmarszczył brwi i przyłożył rękę do ucha.

– Co?

– Powiedziałam, że spieprzyłam to. Dzięki Bogu, że nikt z mediów się nie pokazał.

– Och, rozumiem! Przepraszam, wciąż jestem głuchy po tych strzałach. Szkoda, że nie wiedziałem, że tak ci zależy na arestowaniu McManusa.

– Myślałam, że... hm, przecież to szef całej szajki.

– Katie... wiem, że aż cię skręca, kiedy o nim myślisz, ale musisz zrozumieć, jak jest popularny i jakie ma wpływy. On rozdaje pieniądze chorym i cukierki dzieciom. W ostatnie Boże Narodzenie dał pięć i pół tysiąca euro Świętemu Wincentemu à Paulo. Nawet ci ze skarbówki zostawiają go w spokoju.

– Ale go zgarnęliśmy.

– Pewnie, zgarnęliśmy, tylko że za pięć minut wyjdzie. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Jest mi tylko przykro... jako detektywowi od psów...

– Co chcesz powiedzieć?

– Ujmijmy to tak: to diabeł, ale przynajmniej znany diabeł. Kiedy znika wypieszczony szpic miniaturka, pierwsze, co robię, to idę do Zezowatego, i sprawdzam, czy wie, kto go zgarnął. Jest jak izba rozrachunkowa łodziei psów: psów do walk, jeśli się nadają, psów dla okupu, jeśli nie, albo na sprzedaż do hodowli. Dziewięć razy na dziesięć może mi pomóc znaleźć zaginionego.

Katie pokręciła głową.

– To, że ci ułatwia życie, to jeszcze nie powód, żeby dać mu spokój. To tak, jakbym ja powiedziała, że powinnam pozwolić, żeby gangi Callahana i Creaseya dalej wybijały się nawzajem, bo przynajmniej nie muszę ich aresztować za przemyt narkotyków i nie robią krzywdy nikomu innemu.

Markey odwrócił się na siedzeniu pasażera.

– Nie może się pani winić, pani nadkomisarz – powiedział. – Walki psów na taką skalę... Jezu, powinniśmy mieć środki, żeby przeprowadzić poważną akcję i zwinąć wszystkich. Jeśliby to ode mnie zależało, nie wahałbym się ani chwili i zapuszkowałbym McManusa. I świetnie pani strzela. Trafienie tamtego psa, kiedy był w połowie skoku... to było niesamowite.

– Czy ty przypadkiem nie starasz się o awans, Nick?

\* \* \*

Katie i inspektor Carroll weszli razem do pokoju przesłuchań. Zezowaty McManus siedział przy stole razem z sierżantem Kehoe. W kącie, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach, siedział drugi mundurowy, mający co najmniej metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu i idealnie wygolony podbródek neandertalczyka. Pewnie łatwo potrafiłby podnieść McManusa jak dużego, tłustego rozkapryszone bachora, przełożyć go przez kolano i złać wielką drewnianą szpatułką.

Katie usiadła naprzeciwko McManusa i splotła palce.

– Panie McManus, jest pan zatrzymany pod zarzutem łamania w trzech punktach ustawy o ochronie zwierząt. Jutro rano inspektor Carroll przekaże dokumentację prokuratorowi odpowiedzialnemu za południową część hrabstwa Tipperary. Czy ma pan coś do powiedzenia na swoją obronę na tym etapie?

– Tak, mam – wycedził McManus, mierząc ją lewym okiem i opuszką kciuka powoli gładząc grzbiet nosa gestem mafiosa. – *Póg mo thóin*<sup>15</sup>.

– Rozumiem. Czy to wszystko?

Skinął głową.

– W takim razie świetnie. – Katie wstała. – Jeśli to wszystko, spotkamy się jutro w sądzie.

McManus na chwilę przytknął oczy i prychnął lekceważąco.

\* \* \*

Na stopniach przed komisariatem Conor, Markey i O'Mara przed wyjazdem do Cork porównywali notatki z inspektorami ISPCA. Carroll wziął Katie na stronę.

– Nic nie wiadomo na pewno... jeśli chodzi o to, co się wydarzyło... ale mogą być jakieś reperkusje. To zależy, czy właściciele psów złożą zażalenie, chociaż w to wątpię.

– Zdaję sobie z tego sprawę, inspektorze, ale wierzę, że potrafię usprawiedliwić wszystko, co zrobiłam.

– Niemniej jednak, jeśli biuro rzecznika Gardy zacznie się tym interesować, niech pani wie, że ma pani moje pełne poparcie, na sto procent. Według mnie aresztowanie McManusa było o wiele za ryzykowne, mimo to udało się pani. Nie zamierzam udawać, że zgadzałem się z panią, ale co się stało, to się nie odstanie. McManus w najlepszym przypadku dostanie dużą grzywnę, a przynajmniej będzie musiał dorzucić trochę pieniędzy do sądowej skrzynki dla ubogich.

Katie wzruszyła ramionami.

---

15 *Póg mo thóin* (irl. gaelicki) – pocałuj mnie w dupę.

– To raczej nie sprawi, że jego zezujące ślepia spłyną łzami. Jednak to już coś.

– Co do tych psów, które pani nadkomisarz zastrzeliła... jest masa świadków, którzy potwierdzą, że były śmiertelnym zagrożeniem dla nas wszystkich. Gdyby nie trafiła pani tego pierwszego, mógłby mi rozszarpać gardło.

Katie uśmiechnęła się.

– Dziękuję za wszystko, inspektorze. Proszę się nie przejmować. Któregoś dnia złapiemy te ścierwa. Mam nadzieję, że kiedy umrą i pójdą do piekła, wszystkie psy, które torturowali i zabili, będą na nich czekać, głodne jak diabli.

## ROZDZIAŁ 30

Detektyw Ó Doibhilin po raz drugi nacisnął dzwonek przy drzwiach, ale nadal nie było odpowiedzi. Odwrócił się do towarzyszącej mu funkcjonariuszki, Bryony Leary, i powiedział:

– Wygląda na to, że może być wszędzie, ale nie tu. Chyba będziemy musieli przyjść tu jeszcze raz.

Leary była nalaną, bladą brunetką. Miała koczek, myszkę i zdecydowanie we krwi. Skinieniem głowy wskazała drzwi sąsiadów.

– Coś mi się zdaje, że poruszyła się zasłona. Może sąsiadka wie, gdzie ona się podziewa.

Stojący na ganku Ó Doibhilin wychylił się do tyłu i zobaczył, że zasłona w oknie salonu sąsiedniego domu jest szybko zasuwana.

– Chodźmy – rzucił.

Podeszli i zastukali do drzwi. Kołatka była w kształcie gнома albo skrzata z obleśnym uśmiechem na twarzy. Ó Doibhilin znowu zastukał i tym razem drzwi się otworzyły i pojawiła się starsza pani w kwiecistym fartuchu, z papilotami we włosach.

– Tak? O co się wam rozchodzi? Nie kupuję nic od obwoźnych sprzedawców.

Ó Doibhilin pokazał jej legitymację służbową.

– Nie zamierzamy przeszkadzać, szanowna pani, ale czy ma pani jakieś pojęcie, gdzie jest pani Dennehy z domu obok?

– To Maggie Dennehy szukacie?

– Owszem. Nie wie pani przypadkiem, gdzie ona jest i kiedy może wrócić?

– Nie wychodziła.

– Jest pani tego pewna? Dzwoniliśmy do drzwi i nikt nie odpowiadał.

– Nie wychodziła, mogę wam przysiąc. Jej mężuś, Bernie, ten to na pewno wyszedł. Przyjechał późno w nocy i znów wyszedł, i jeszcze

nie wrócił, więc Bóg jeden wie, gdzie się szlaja.

– Nie mogła wyjść niezauważona? Po gazetę albo coś w tym stylu?  
Starsza pani stanowczo pokręciła głową.

– Nawet jak jej nie przyuważę, zawsze słyszę, jak wali dwa razy drzwiami, bo się haczą, kiedy jest mokro, i na pewno wiem, że wychodzi. Nie widziałam jej ani nie słyszałam, odkąd tamci faceci zjechali do niej z wizytą.

– Kim byli ci „faceci”? – spytała Leary.

– Żadnego nigdy wcześniej nie widziałam, ale powiedziałabym, że było ich pięciu, sześciu może. Weszli i siedzieli tam pół godziny albo dłużej i potem wszyscy wyszli. Przyjechali dwoma samochodami, srebrnym i czarnym.

– Rozpoznałaby ich pani, jakby ich pani zobaczyła?

– O, tak. Nazwiska zaraz wylatują mi z głowy, ale do twarzy mam pamięć jak słoń.

– Myśli pani, że Maggie Dennehy może być w domu, tylko po prostu nie otwiera? – spytała Leary.

– Nie wyszła, a jak nie wyszła, to tam jest – odparła starsza pani.

– Ta stara baba powinna pracować u nas w wydziale, wiesz? – powiedział Ó Doibhilin, gdy wracali do domu Dennehych. – Ma to coś.

Kiedy stanęli pod zielonymi drzwiami, znów nacisnął dzwonek. Nadal nie było odpowiedzi, więc wyjął z wewnętrznej kieszeni kurtki skórzany portfelowy futerał i otworzył go. Nosił w nim kolekcję wytrychów – płaskich kluczy służących do otwierania zamków bębnekowych. Przyjrzał się drzwiom, ustalając rodzaj zamka, i próbował kolejnych wytrychów, aż nagle zamek ustąpił.

– Geniusz z ciebie – pochwaliła go Leary.

– Ojciec pracował dla Awaryjnego Otwierania Drzwi. Wychowywałem się, otwierając zamki, których nie powinienem otwierać, na przykład w szufladzie biurka brata, w której trzymał magazyny z gołymi panienkami.

Otworzył drzwi i zawołał:

– Pani Dennehy?! Pani Dennehy?! Tu Garda, pani Dennehy!



Chcemy tylko zamienić słówko, to wszystko!

Wciąż nie było odpowiedzi, więc wszedł do przedpokoju, a Leary za nim.

– Pani Dennehy?!

Zatrzymał się, kilka razy mocno pociągnął nosem i powiedział:

– Och, nie. Tylko nie to. Czujesz to co ja?

Weszli do salonu. Zastony zaciągnięto, był półmrok, ale światła wystarczyło, by zobaczyć leżącą na kanapie Maggie Dennehy.

– Rozsuń trochę zastony, ale niedużo – powiedział Ó Doibhilin. – I włóż rękawiczki.

Leary nałożyła parę czarnych lateksowych rękawiczek i podeszła do okna, by rozsunąć zastony. Ciężki smród ekskrementów i ciała we wczesnej fazie rozkładu nie był obezwładniający, ale przeniknął pomieszczenie i Ó Doibhilin czuł go przy każdym oddechu. Po nałożeniu rękawiczek techników kryminalistycznych wyciągnął chusteczkę i przycisnął ją do nosa i ust.

Podszedł do Maggie Dennehy i przyjrzał się zwłokom. Bardzo ostrożnie spróbował podnieść rękę zmarłej, złożoną na piersi jak u figury na sarkofagu świętego. Była sztywna. Maggie pozostawała w stanie całkowitego stężenia pośmiertnego, uznał więc, że nie żyje od najwyżej dwudziestu czterech godzin. Jedno oko miała zamknięte, drugie upiornie na wpół rozchylone, ale obie gałki oczne zapadły się głęboko, a twarz nabrała bladolawendowej barwy. Ręce, z białymi paznokciami, też były lawendowe. Spłynęła z nich cała krew i zgromadziła się w dolnych partiach ciała.

Policzki miała nabrzmiałe, ale na gardle wyraźnie widział ciemnopurpurowy rowek, tam gdzie wciął się sznur od bielizny.

– Słuchaj, dziewczyno, wnośmy się stąd – powiedział Ó Doibhilin głosem stłumionym przez chusteczkę.

Leary mocno zaciskała usta i nie otworzyła ich.

Kiedy znaleźli się na dworze, zaczerpnęli kilka łyków świeżego powietrza. Następnie Ó Doibhilin zadzwonił do sierżanta Begleya.

– Co jest, Michael? – spytał opryskliwie Begley. Ton głosu miał taki, jakby spieszył się dokądś, idąc korytarzem komendy. – Co tam u tej

Dennehy?

– Niezbyt chętna do współpracy, panie sierżancie. Powiem więcej, znaleźliśmy ją martwą. Od jakichś dwudziestu czterech godzin, oceniając po stanie.

– Chryste, nie wierzę. Poważnie? Dobra. Zawiadomię nadkomisarza Pearse’a i wyślę ci wsparcie, jakie się da, i techników. Szefowa jest w Tipperary; biega za jakimiś organizatorami walk psów, ale jej też pošlę esemesa.

– Wścibska stara sąsiadka Dennehy powiedziała nam, że pięciu czy sześciu facetów przyjechało tu wczoraj dwoma samochodami. Podobno byli w domu Dennehych jakieś pół godziny. Potem wrócił Bernie, ale znów wyszedł i oczywiście nie widziała go od tamtej pory. Nie zdradziłem jej, że on też odwalił kitę.

– Jaka tam była przyczyna śmierci, Michael? Coś podejrzewasz?

– Powiedziałbym, że takie czy inne uduszenie. To mogło być samobójstwo, ale leżała na kanapie w salonie, więc jeśli się powiesiła, ktoś musiałby ją odciąć i przenieść.

– W porządku. Sam tam przyjadę i rzucę okiem. Jezu. Ta sprawa z każdą minutą się komplikuje.

\* \* \*

IPhone Katie zaćwierkał, gdy przejeżdżali przez Watergrasshill. Mieli niecałe dwadzieścia pięć jazdy minut do obrzeży Cork.

– Matko Boska – powiedziała do Markeya i O’Mary po przeczytaniu SMS-a. – To od Ó Doibhilina. Pojechał przesłuchać panią Dennehy w sprawie zastrzelenia jej męża i zastał ją martwą. Mówi, że to wygląda na powieszenie lub uduszenie.

– Jezu. Wie, jak długo leżała martwa? – spytał O’Mara.

– Nadal ma stężenie pośmiertne, więc nie dłużej niż od wczorajszego popołudnia.

– Co pani sądzi, pani nadkomisarz? Uważa pani, że to Dennehy ją zabił? Mieli taki dziwny układ, no nie... sprzedawał ją Niallowi Gleesonowi. Może mu się sprzykrzyło i zabił ich oboje.

– Ale w takim razie dlaczego chciał wykończyć Davy’ego Dorgana?

– spytał Markey.

– No cóż, nadal nie wiemy, jaki miał motyw – powiedziała Katie. – Właśnie dlatego Ó Doibhilin pojechał pogadać z żoną Dennehy’ego. Tak czy inaczej, jutro rano będziemy przesłuchiwać Dorgana w sprawie strzelaniny. Może Dennehy po prostu się wściekł i zapragnął zemsty na każdym, kto w ogóle wszedł mu w drogę. To się zdarza. Pamiętacie tę historię nauczyciela ze Szkoły Ofiarowania Najświętszej Panny Marii, tego, który zeszłego roku zasztyletował żonę i córkę, a potem pojechał do szkoły i próbował zadźgać chłopców w klasie?

– Jasne, że pamiętam. Nazywał się Meaney. Ten to dopiero chciał dać uczniom nauczkę na całe życie. Jednemu mało nosa nie obciął.

Kiedy Katie zaczęła wybierać numer sierżanta Begleya, Conor przysunął się do niej i spytał:

– Więc dzisiaj wieczór masz z głowy?

– Tak, Conor. Najpewniej zostanę na komendzie. Która godzina? O ósmej mamy przesłuchać narzeczonego tej biednej Saoirse... tej biednej dziewczyny, którą zastrzelono i której ciało spłonęło na strychu.

– W porządku. Jakbyś chciała się ze mną skontaktować, będę w Gabriel House. – W obecności detektywów mówił niedbałym, znudzonym tonem. Nie chciał, by zdali sobie sprawę, że zaprasza ją do pensjonatu, gdyby po skończeniu spraw na komendzie miała jeszcze czas.

– Gdybym cię potrzebowała, zadzwonię – powiedziała, ale jednocześnie ukradkiem ścisnęła jego dłoń.

Begley odebrał połączenie.

– Jesteśmy przy Nash’s Boreen – zameldował. – Inspektor O’Rourke przyjechał ze mną, żeby przeprowadzić ogólne oględziny. Mam ze sobą O’Briena i Buckleya. Bill Phinner i jego zespół objawili się jakieś dziesięć minut temu i trzaskają foty.

– Jak tylko dojadę, zadzwonię do zastępczyni patologa krajowego – poinformowała go Katie. – Kiedy technicy skończą na miejscu, niech zabiorą ciało do kostnicy na pilną sekcję. Musimy wiedzieć, jak

umarła. Im szybciej, tym lepiej.

Usiadła wygodnie i pogrążyła się w myślach, podczas gdy światła Cork zbliżały się stopniowo. Po części żałowała, że tego popołudnia przeprowadziła interwencję, zwłaszcza że zakończyła się zastrzeleniem dwóch bulterierów. Z drugiej strony okrutne traktowanie psów przysposobianych do walk, a także rozpacz i żal wielu rodzin, którym skradziono psy dla okupu lub by wykorzystać je do walk czy hodowli, niezwykle ją poruszały. Gdyby to spotkało Barneya?

– Muszę złożyć raport o tym, co się dzisiaj stało w Tipperary – uświadomiła Conorowi.

– Na twoim miejscu byłbym oszczędny w słowach – poradził jej. – I za bardzo się nie tłumacz.

– Bo.

– Chodzi mi o to, że nikt z tej hołoty nie złoży na ciebie zażalenia. Co mogliby powiedzieć? „Szykowaliśmy się na pięćdziesiąt psich pojedynków i ta nadkomisarz spieszyła nam frajdę”? Nie wydaje mi się.

## ROZDZIAŁ 31

Krótko po tym, jak Katie przyjechała na Anglesea Street i włączyła światła w gabinecie, inspektor O'Rourke wrócił z Nash's Boreen.

– Dziennikarze stawili się w komplecie – powiedział. – Usłyszeli ode mnie krótkie oświadczenie, że pani Dennehy znaleziono martwą i zapoznajemy się z okolicznościami. Oczywiście pytano, czy to ma jakiś związek ze śmiercią jej męża i postrzeleniem Davy'ego Dorgana, ale usłyszeli ode mnie, że śledztwo jest w fazie wstępnej.

Katie uśmiechnęła się do niego kwaśno i pokręciła głową.

– Zuch z ciebie, Francis. Dzięki Bogu, że nie jestem jakąś biedną dziennikareczką z „Echa”, która próbuje wydusić z ciebie informacje.

– Ale, no cóż... wygląda na to, że pierwsze przypuszczenia Ó Doibhilina były trafne. Z balustrady schodów zwisa odcięty sznurek do bielizny. Węzły, na których się trzyma, są bardzo mocno ściśnięte, jakby wisił na nich jakiś duży ciężar, a ślady na szyi Dennehy odpowiadają splutowi sznurka.

– Więc myślisz, że mogła popełnić samobójstwo?

– Na to wygląda. Chyba że powiesiła ją ta grupka mężczyzn, którą zobaczyła sąsiadka, i Bernie odciął żonę, kiedy przyjechał do domu. Może to dlatego chciał wykończyć Dorgana.

– Daj spokój. Myślę, że już dość tych spekulacji. Doktor Kelley jest nadal w Cork, więc zostawiłam jej wiadomość i mam nadzieję, że będzie mogła przystąpić do sekcji jutro rano. Bardzo potrzebujemy twardych dowodów.

Bóg musiał ją podsłuchać, bo właśnie w tym momencie rozległo się pukanie do drzwi i wszedł inspektor Mulliken. Wyglądał na zmęczonego; krawat z emblematem klubu Fota Golf miał przekrzywiony, ale Mulliken przyniósł ze sobą wyrwaną z notatnika kartkę i unosił ją takim gestem, jakby wygrał kilkaset euro na loterii.

– Nie przeszkadzam, pani nadkomisarz? – spytał. – Właśnie

skończyłem rozmawiać przez telefon z Simonem Mitchellem z Belfastu. Przekazałem mu to, czego dowiedzieliśmy się od detektyw sierżant Ni Nuallán, i Mitchell natychmiast skontaktował się z SRR. Nie mógł zbytnio się rozwodzić, bo oficjalnie nie ma ich już w Irlandii Północnej. Ale w jakiś tajemniczy sposób zdołał wydobyć informacje na temat przeszłości Davy’ego Dorgana.

– To jest coś, Tony! Co takiego ci powiedział?

– Popatrzmy. – Mulliken zajrzał do notatek. – Davy Dorgan, drugi syn Bryana Dorgana, zastępcy dowódcy IRA w Larne podczas Troubles<sup>16</sup>. Pozostali trzej synowie starego Dorgana opuścili hrabstwo Antrim i nie chcą mieć nic wspólnego z dysydenckim ruchem republikańskim, ale Davy jest inny. Kiedy dorastał na osiedlu Seacourt, był nieustannie napastowany i atakowany przez zbirów z lojalistycznej UDA<sup>17</sup>. Wygląda na to, że został kilkanaście razy pobity, z powodu homoseksualizmu i sympatii republikańskich. Kiedy miał szesnaście lat, zaatakowało go dziesięciu młodocianych chuliganów, rozbijając czaszkę latarką, tak że otarł się o śmierć. Po tym incydencie stał się jeszcze agresywniejszy i bardziej niezrównoważony psychicznie i trafił kilka razy do aresztu za napady na członków UDA w Larne. Jest podejrzany o zasztyletowanie unionisty podczas zabawy przy ognisku z okazji święta narodowego dwunastego lipca, ale nigdy mu tego nie udowodniono.

– No cóż, jego psychotyczne zachowanie pasuje do tych informacji. Masz jakieś wieści na temat jego siostry?

– Tak... Dorganowie mieli córkę, Cecilie. Przyszła na świat pięć lat po urodzeniu się ich najmłodszego syna, Warrena. Matka Davy’ego zaszła w ciążę jeszcze raz, w wieku czterdziestu trzech lat, ale zarówno ona, jak i dziecko zmarli podczas trudnego porodu w szpitalu w Antrim.

Katie przypomniała sobie opowieść Adeen – czy raczej Cissy, teraz,

---

16 Troubles (ang.) – „kłopoty”; tak nazywano konflikt o podłożu etniczno-politycznym na terenie Irlandii Północnej, który rozpoczął się pod koniec lat sześćdziesiątych XX w. i zakończył porozumieniem wielkopiątkowym w 1998 r.

17 UDA, Ulster Defence Association (Stowarzyszenie Obrony Ulsteru).

kiedy prawdziwe imię było już znane – o tym, jak jej brat „nadept” lalkę Bindy.

– W Boże Narodzenie po śmierci pani Dorgan pożar strawił dom handlowy, Curwen’s Stores przy High Street w Larne – ciągnął Mulliken. – Siedmioro ludzi utknęło w płomieniach, troje zmarło. Curwenowie to protestancka rodzina, więc natychmiast rozeszły się podejrzenia, że ogień podłożyli republikanie. Co nietypowe, pożar wybuchł mniej więcej równocześnie w różnych działach i był wybuchowy. Zespół techników PSNI odkrył, że źródłem pożaru był TPA, trietyloglin zagęszczony poliizobutylem i rozpuszczony heksanem, tak że mieszanina nie wybuchła, dopóki heksan nie wyparował. Proszę! Udało mi wypowiedzieć te wszystkie nazwy, nie opluwając pani! Ale to był ten sam skład co w przypadku Toirneach Damhsa. Dokładnie. Do jednego procenta poliizobutyleny.

– Czy wykryto, kto podłożył ogień w Curwen’s?

– Tak, wykryto. Nieistniejąca służba wywiadowcza, której oficjalnie nie ma w Irlandii Północnej, ma donosiciela, i ten wskazał Davy’ego Dorgana i dwóch innych gnojków z IRA. Tamtejsza policja zamierzała ich aresztować, ale przepadli. Zniknął Davy Dorgan, jego ojciec, Bryan, i młodsza siostra. Bryan udał się do Anglii i półtora roku temu zmarł w Liverpoolu na raka płuc, ale nigdy się nie dowiedziano, co się stało z Davym i jego siostrzyczką... dopóki pani nie wytropiła, że posługują się nazwiskiem Jepson.

Katie wstała i podeszła do okna. Na dworze zapadł zmrok; krople deszczu osiadały na oknie. Czuła się wyczerpana – nie tylko z powodu tego, co wydarzyło się tego dnia, ale też z powodu nieustannych utarczek między katolikami i protestantami, z którymi miała do czynienia, z powodu handlarzy narkotyków, alfonsów, przemytników ludzi, wymuszeń i fałszerstw. Do tego dochodziły jeszcze wewnętrzne układy i tarcia w Garda Síochána, w których musiała się jakoś odnajdywać. I był Conor, oczekujący od niej namiętności, uwagi i każdej chwili wolnego czasu.

Miała ochotę wyrzucić ręce w górę i wykrzyknąć: „Przestańcie! Przestańcie do mnie mówić, przestańcie tyle ode mnie oczekiwać!

Dajcie mi jeden dzień wyłącznie dla siebie, żebym mogła absolutnie nic nie robić, tylko zabrać Barneya na spacer na plażę, a potem leżeć na kanapie otulona w ciepły koc, pić herbatę, jeść chleb z rodzynekami i słuchać Claudie Mackuli grającej na flecie i śpiewającej *Where Everything Ends and Everything Begins*, bo na to teraz mam ochotę! Tak się teraz czuję”.

Odwróciła się od okna i spytała:

– Dowiedzieli się, skąd Bryan Dorgan miał TPA?

– Okazuje się, że w hrabstwie Antrim używa go kilka firm produkujących plastikowe odlewy i firma wytwarzająca półprzewodniki. Środki chemiczne, których użyto do spalenia Curwen's, ukradł jeden z kumpli Dorgana ze spółki Plastishape w Willowbank Business Park... I tu pojawia się absolutna bomba. W Plastishape odkryto, że od ostatniej inwentaryzacji, trzy tygodnie temu, zniknęła cała masa TPA. Nie wiadomo dlaczego, ale nie zgłosili tego. Prawdopodobnie wstydzili się przyznać.

– Chyba możemy zgadnąć, gdzie wylądował. Czy ci ludzie od plastików nie mają żadnych zabezpieczeń? A co z tymi informacjami, które wydobyla Kyna, że Davy Dorgan planuje zastrzelić brytyjskiego ministra obrony? Czy twój przyjaciel z Belfastu wie coś na ten temat?

– I to jest nasz największy kłopot. Dziś wieczorem Ian Bowthorpe bierze udział w kolacji w Dublinie, ale jutro po południu przylatuje do Cork. Informacja, którą ma pani od Ni Nuallán, wygląda na bardzo prawdopodobną. Widziano, jak trzech bojownicy IRA, którzy znali się z Dorganami, dziś po południu, koło piętnastej, opuszczali swoje mieszkania i pojechali samochodem na południe. Dwóch z nich ma reputację zawodowych zabójców, a jeden długą historię producenta ładunków wybuchowych, dlatego też nieistniejąca służba wywiadowcza ma ich bez przerwy na oku. Ich samochód jest śledzony, chociaż o tym nie wiedzą.

– Gdzie są teraz?

– Simon początkowo myślał, że jadą do Dublina, ale już minęli Mad Cow i z ostatnich otrzymanych informacji wynika, że parkowali w



Kildare pod Harte's Bar and Grill.

– W porządku. Podejrzewam, że nawet płatni zabójcy muszą jeść. Będzie nas informował o ich dalszych krokach?

– O tak, na pewno. Minutę po minucie. Ale nieistniejąca służba bezpieczeństwa już zaalarmowała Specjalną Jednostkę Wywiadowczą Gardy i ci wystali uzbrojonych ludzi, którzy jadą za tymi trzema, od kiedy przekroczyli granicę. Nie chcą ich jeszcze zatrzymywać, bo wolą sprawdzić, czy kierują się do Cork, a jeśli tak, to z kim mają powiązania.

– Zapewne z Davym Dorganem. Ale to dobrze, że nie chcą ich zbyt wcześnie zatrzymywać. Gdybyśmy ich teraz zwinęli, Dorgan miałby czas zorganizować kolejny zamach. A jeśliby zrezygnował, nigdy nie udałoby się nam udowodnić, co zaplanował, jeżeli rzeczywiście coś planował.

– Oczywiście. I chcemy zwinąć tyłu z Autentycznej IRA, ilu się da. W Gurra jest parę takich twarzyczek, które z wielką radością obejrzałbym przez kraty.

– Dobra robota, Tony. Informuj mnie na bieżąco. Idę na dół zobaczyć, jak radzą sobie O'Donovan i Scanlan. Przesłuchują narzeczonego dziewczyny, którą zastrzelono na strychu Toirneach Damhsa. Ale mówisz, że to prawie pewne, że Dorgan za tym stoi? Za zastrzeleniem tych dwojga i pożarem? Teraz pozostaje nam tylko dowiedzieć się, kto jeszcze jest w to zamieszany, a potem dowieść, że tak było.

Mulliken złożył kartkę z notatnika.

– Zaczynam mieć wrażenie, że jedno z drugim się zazębia, i mam nadzieję, że się nie mylę, pani nadkomisarz. Puzzle zaczynają trafiać na swoje miejsca. Nagle masz kawałek nieba, potem drzewa i zanim się obejrzyysz, jest połowa ogrodu.

\* \* \*

Douglas Cleary płakał. Siedział na krześle w kącie pokoju przesłuchań, zasłaniając ręką usta, a łzy spływały mu po policzkach i palcach. Gdy weszła Katie, detektyw Scanlan właśnie podsuwała mu

pudełko z chusteczkami.

– Douglas jest nadal załamany po tym, co spotkało Saoirse – wyjaśniła, gdy Katie usiadła obok niej.

– Gdzie O’Donovan? – spytała Katie.

– Poszedł po jakieś papiery, których zapomniał.

Skinęła głową.

Raczej po papier, owinięty wokół tytoniu. Detektyw O’Donovan prawie na pewno wyskoczył na szybkiego macha. Nie miała do niego pretensji. Byli pod wystarczającą presją od czasu pożaru w studiu tańca, a jutro czekał ich pogrzeb Dooleya. Komenda na Anglesea Street nie tylko żyła w napięciu, lecz nadal miała czas żałoby.

Douglas Cleary był chudym młodym człowiekiem w modnym, bardzo dopasowanym brązowym garniturze. Miał nos ostry niczym wskaźnik zegara słonecznego i bródkę à la van Dyck. Cicho kwilił, zastaniając się ręką, i od czasu do czasu rozdzierająco szlochał.

– Wiedziałem, że między nami jest coś nie tak – wymamrotał. – Nie wiem skąd, ale wiedziałem. Do zeszłego miesiąca Saoirse i ja byliśmy sobie bardzo bliscy, rozumie mnie pani? Ale potem... nie wiem... Zacząłem odnosić wrażenie, że coś innego chodzi jej po głowie. Albo, jak się okazało, ktoś inny. Ale cokolwiek było... nigdy nie życzyłem jej śmierci. Nigdy bym nie życzył jej śmierci, nawet gdybym ją stracił.

– Oczywiście, że nie – powiedziała współczująco Scanlan, gdy wyjął kolejną chusteczkę z pudełka i zaczął wycierać nos. – Musiałeś być jednak zły, że zrobiła się taka chłodna.

– Zły? Nie, nie byłem zły. Raczej skołowany. Nie rozumiałem, co naprawdę się z nią dzieje. Zadzwoiłem, kiedy byłem w Manchesterze, i powiedziałem, że musimy trochę pogadać, jak wrócę, ale oczywiście...

Znów zaczął płakać jak chłopczyk.

– Znałeś tancerzy z Toirneach Damhsa? – spytała Scanlan.

– Niektórych, ale nie za wielu. Koleżankę Saoirse, Catrionę, i faceta, który nazywał się Brendan.

– A Ronana Barretta, mężczyznę, którego znaleziono z Saoirse?

– Nie. No... znałem go z widzenia. Widziałem go w studiu, ale

rozpoznałem go dopiero wtedy, kiedy zobaczyłem jego zdjęcie w telewizji.

– I nie podejrzewałeś, że między nim i Saoirse coś iskrzy? Nie wiemy tego na pewno, ale znaleziono ich razem na strychu. Choć to niekoniecznie znaczy, że coś ich łączyło.

Cleary odetchnął głęboko, żeby się uspokoić.

– Czy ktoś wie na pewno, dlaczego byli razem na strychu, a nie tańczyli z innymi w sali niżej?

– Nie, Douglas, tego nie wiemy – odparła Katie. – Na razie mamy tylko teorie.

– Czy znależ instruktora tańca, Nicholasa O’Grady’ego? – zapytała Scanlan.

Skinął głową.

– Co o nim myślałeś?

Wzruszył ramionami.

– Co pierwsze przyszłoby ci do głowy, gdybyś miał opisać go komuś, kto go nie znał?

– Pewnie „gej”. Nie żebym był uprzedzony wobec gejów czy coś takiego. Jeśli o mnie chodzi, jak ktoś chce być gejem, to jego sprawa. Był trochę taki hop-do-przodu, prawda?

– Chcesz powiedzieć „ekstrawagancki”?

– Właśnie. Ale według Saoirse był fantastyczny. Najlepszy instruktor tańca, jakiego miała.

– Poznałeś Danny’ego Coffeya, właściciela studia?

– Wpadłem na niego kilka razy, kiedy odbierałem Saoirse po próbach.

– I jak byś go opisał?

– W porządku gość, powiedziałbym. Z gatunku ponuraków, ale może nigdy nie spotkałem go, kiedy miał dobry dzień.

– Gej?

Douglas Cleary chwilę się zastanawiał.

– Nie wiem. Pamiętam, że załatywało od niego tak, jakby wylał na siebie połowę butelki wody po goleniu, i nosił w uchu złoty kolczyk. Ale znam wielu takich facetów, którzy nie są gejami.

– Czy widziałaś, żeby między tą dwójką, Coffeyem i O’Gradym, doszło kiedyś do jakichś starć?

– Nigdy nie widziałem ich na tyle długo. Jedyne, co pamiętam, to raz po próbie Coffey powiedział O’Grady’emu: „No, kiedy ten twój mąż się objawi? Muszę zamykać!”. Trochę mnie zdziwiło, że gość ma męża. Pierwszy raz w ogóle słyszałem, żeby ktoś tak mówił.

– Czy Saoirse kiedykolwiek wspominała, że się kłócili?

Cleary zaprzeczył ruchem głowy.

– Saoirse większość czasu mówiła o tym, jaki ślub by chciała mieć i gdzie polecimy na miesiąc miodowy. W kółko mówiła o Gran Canarii. W każdym razie jeszcze parę tygodni przed śmiercią. Potem jakby przepadła we własnym świecie.

– Jak dobrze znasz Davy’ego Dorgana? – spytała Katie.

– Kogo? Nie znam nikogo, kto by się tak nazywał.

– Jesteś pewien? Jak często pijasz w Templegate Tavern?

– Nigdy tam nie byłem. To w Gurra? Mieszkam na rogu Watercourse Road, tuż obok Constellation. Czemu miałbym jeździć do Gurra?

– I nigdy nie poznałeś Davy’ego Dorgana? A może Davy’ego Jepsona?

– Nie. Nie znam żadnego z tych gości.

– Więc na razie to wszystko, Douglas – zakończyła przesłuchanie Scanlan. – Może będziemy musieli z tobą porozmawiać w ciągu następnych dni, więc nie opuszczaj kraju, dobrze? Poproszę techników, żeby wpadli i zdjęli ci odciski palców, i wzięli próbkę DNA. To nic poważnego, żadnego klucia palca jak przy braniu próbki krwi. Tylko wezmą na wacik trochę śliny.

– W porządku – powiedział Cleary. Ale gdy Katie wstała, spytał: – Dlaczego nie próbowała się wydostać na zewnątrz? Tamta dziewczynka się wydostała. Dlaczego Saoirse nie próbowała się uratować?

– Musiała być jakaś przyczyna – powiedziała Katie. – Wszystko się wyjaśni, obiecuję.

– Po prostu nie rozumiem, dlaczego nie próbowała się wydostać.

Po tym, jak zostawiły Cleary'ego z jednym z techników Billa Phinnera, wróciły do gabinetu Katie.

– Co powiesz? – spytała Katie.

– Uczciwie mówiąc, nie wydaje mi się, żeby miał z tym coś wspólnego. Bardzo mnie przekonało, kiedy spytał, dlaczego Saoirse nie próbowała uciec z pożaru. Gdyby wiedział, że ją zastrzelono, mało prawdopodobne, żeby o to pytał, nawet gdyby sam to zrobił albo wynajął płatnego zabójcę.

– Chyba przychyliam się do twojego zdania. Albo jest świetnym aktorem, albo jest zbyt miękki, żeby kogokolwiek zabić.

– Przy okazji. Dziś po południu, kiedy pani wyjechała, dzwonił kolega Roberta, Kenny MacCarty. Dowiedział się od pani Dooley, że chcemy z nim porozmawiać o szarpaninie Danny'ego Coffeya i Nicholasa O'Grady'ego w Roundy.

– I?

– Potwierdził niemal słowo w słowo to, co mówiła pani Dooley. Również to, że facet z akcentem z Belfastu wpadł do środka i zaatakował Danny'ego Coffeya, i barmani musieli go wyrzucić. Wysłałam mu mailem zdjęcie Davy'ego Dorgana, licząc na to, że go rozpozna. Obejrzał je, ale powiedział, że nie jest pewny, bo w lokalu było ciemno i bardziej słyszał szamotaninę, niż widział.

– Matko Boża, mam wrażenie, że jak otworzę w domu lodówkę, to wyskoczy z niej Davy Dorgan. On jest jak choroba wściekłych krów.

– Wie pani, jaki jest na to sposób? Zastrzelić, a potem spalić.

## ROZDZIAŁ 32

Kyna spóźniła się do pracy pół godziny i kiedy dotarła do Templegate Tavern, Davy Dorgan był już na miejscu. Siedział tam gdzie zwykle, z lewą nogą grubo obandażowaną do kolana, osłoniętą białym nieprzemakalnym ochraniaczem. Para kul opierała się o drewniane przepierzenie obok.

Wokół rozsiedli się Liam, Murtagh i Billy, a także Kevan, ten, co opalał się przez durszlak, i Alroy, już tak zalany, że język mu się plątał na najprostszych słowach.

Tego wieczoru Kyna postarała się o znacznie mniej prowokacyjne ubranie. Miała na sobie prostą, czarną sukienkę do kolan, czarne rajstopy i poza pierścionkami i kolczykami w uszach tylko naszyjnik z błyszczących srebrnych kulek wielkości niemal piłek golfowych.

– Może byś podrzuciła tu jakieś drinki?! – zawołał Davy. – Miejsze litość nad biednym niepełnosprawnym.

– Zasraniec – zamruczał pod nosem barman Patrick, ale Kyna wyszła zza lady, podeszła do Davy’ego i spytała, czego się chce napić.

– Jak zwykle MiWadi, laluniu, i to, czego ci dżentelmeni zażądatają. Co pijesz, Alroy?

– Będe pił pi... pi... piwo, ...wiście. Wadda Padda ooo... ego.

– Duże murphy dla niego i kieliszek paddy’s, dobra? Och... i jeszcze jeden drobiazg, laluniu, zanim się ulotnisz.

W tonie głosu miał coś takiego, że Kyna dostała gęziej skórki na ramionach. Patrzył na nią i uśmiechał się, ale był to najbardziej morderczy uśmieszek, jaki kiedykolwiek widziała u kogokolwiek – jak u żmii w Disnejowskiej Księdze dżungli.

Wie, pomyślała. Wie, że Liam mi powiedział.

Zerknęła na Liama, ale kiedy tylko poczuł na sobie jej wzrok, odwrócił się. Co za menda, pomyślała. I pomyśleć, ile się

narzygałam, żeby wyciągnąć z niego jakieś informacje.

– Mam mnóstwo roboty – powiedziała Davy’emu. – O co chodzi?

Davy nadal miał na ustach lodowaty, pozbawiony wesołości uśmiezek.

– Czasem młodzi chłopcy dają się pociągnąć za język i wydają tajemnice, którymi nie powinni się dzielić, wiesz o tym?

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

– Och, wiesz, uwierz mi. Od czasu do czasu jakaś brudna zdzira umie tak się przymilić, że chłopak powie więcej, niż może mu to wyjść na zdrowie, rozumiesz mnie?

– Przykro mi. Nie mam pojęcia. A teraz pójdę po te drinki.

Davy nagle rzucił się w jej kierunku, chcąc złapać ją za nadgarstek, ale Kyna odsunęła się w bok i ze swoją obandażowaną nogą mało nie spadł z krzesła.

– Nie próbuj mnie wkurwić, laluniu! – zasyczał. – Wiem, w co pogrywasz! Albo jesteś pies, albo z Prawdziwej IRA, albo węszysz dla tego Gerry’ego Monaghana! No więc? Jak jest naprawdę?

– Jesteś stuknięty – powiedziała Kyna. – Zjeżdżaj do czubków, już!

Davy chciał coś powiedzieć, ale się opanował i usiadł wygodniej, chociaż uniósł palec i wycelował go w Kynę, jakby miał na końcu języka: „Spokojna głowa, dopadnę cię. Niech ci się nie zdaje”.

Kiedy wróciła z drinkami i stawiała je na stoliku, Davy się nie odzywał, ale nie spuszczał z niej oczu, nawet nie mrugnawszy. Ona w ogóle nie popatrzyła na Liama. Domyślała się, dlaczego ocknąwszy się rano, uznał, że lepiej zrobi, spowiadając się Davy’emu z gadatliwości. Gdyby Davy dowiedział się o tym, kiedy byłoby za późno na zmianę planów, Liam skończyłby w Lee wykastrowany i z podeźniętym gardłem.

Kyna wróciła do baru.

– Muszę skoczyć poprawić makijaż – powiedziała Patrickowi. – To nie potrwa nawet minuty.

Wyszła przez zaplecze, ale nie do toalety. Chwyciła z wieszaka swój krótki, czerwony płaszcz i udała się na tyły pubu zastawione skrzynkami i beczkami z piwem. Bramę zawsze zamykano na klucz,

ale ustawiła cztery skrzynki jedną na drugiej, zdjęła szpilki i weszła na prowizoryczne rusztowanie. Zachwiało się, ale udało jej się zeskoczyć i pobiegła przed siebie zaułkiem za pubem. Przecięła na ukos Cathedral Road, pokonała St Brigid's Road i McSwiney's Villas.

Nie przestała biec, dopóki nie dotarła do baru w dole wzgórza, Glenryan Tavern. Dysząc, schroniła się w wejściu i wyjęła z kieszeni płaszcz komórkę. Rozejrzała się po ulicy, upewniając się, że nikt jej nie śledzi, i zadzwoniła do Katie.

– To ja, pani nadkomisarz! Jestem w Glenryan Tavern, w Gurra!

– Co tam robisz?

– To przez Liama. Powiedział Dorganowi, że wiem o zamachu na Iana Bowthorpe'a. Dorgan nie wie, czy jestem z Gardy, czy z prawdziwej IRA, czy z innego jej odłamu, ale jasno dał do zrozumienia, że chce mnie dopaść!

– Powtórz, gdzie jesteś?

– Glenryan Tavern. To poniżej McSwiney's Villas.

– Chyba wiem, gdzie to jest. Słuchaj, przyjadę i zabiorę cię. Zostań na miejscu, ale dobrze się ukryj. Jesteś pewna, że nie śledzono cię, od kiedy wyszłaś z Templegate?

– Nikogo nie widziałam. Powiedziałam, że idę do toalety, i pewnie zdążyłam wyjść, zanim Dorgan zdał sobie sprawę, że nie wrócę.

– W porządku. W tej chwili jestem już na górze Sommerhill, więc nie zajmie mi więcej niż dziesięć minut.

Dwóch mężczyzn w głośno szeleszczących nieprzemakalnych kurtkach przecisnęło się obok Kyny w wejściu.

– Wchodzisz, skarbie, czy wychodzisz?

– Och, przepraszam. Czekam na przyjaciółkę.

– Co powiesz na szklaneczkę dla zabicia czasu? Obiecujemy, że nie będziemy ci prawić morałów.

– To naprawdę miłe z waszej strony, chłopaki, ale jestem na diecie.

– Pewnie, skarbie, tak samo jak my! – Jeden z nich uśmiechnął się szeroko i klepnął po brzuchu. – Jedziemy na diecie wszech czasów: guinness, chipsy i kaszanka! Po takich cudach obwód w pasie masz jak marzenie!



\* \* \*

Katie przyjechała po dokładnie dziesięciu minutach. Zaparkowała naprzeciwko wejścia do pubu i pochyliła się, otwierając drzwi pasażera, tak że Kyna mogła przebiec ulicę i jednym skokiem znaleźć się w środku. Katie pospiesznie odjechała, spoglądając w lusterko wsteczne.

– Jak się czujesz? – spytała. – Zapnij pas. Nie chcę, żebyś wyleciała przez szybę.

– Jestem roztrzęsiona – wyznała Kyna. – Ten Dorgan to kawał gnoja. Nikt nigdy nie doprowadził mnie do takiej dygotki, nawet Bobby Quilty mu nie dorównywał. Jezu! On tak na ciebie patrzy, jakby nie zawahał się rozkroić cię od pasa po gardło i jeszcze sprawiłoby mu to rozkosz.

– W każdym razie najlepiej będzie, jeśli więcej się tam nie pokażesz. – Jechały w dół Upper John Street, w kierunku rzeki. – Gdyby Dorgan się nie dowiedział, że wiesz, byłoby inaczej. Wtedy zaczęłyby coś podejrzewać, gdybyś nie pojawiła się tam dzisiaj... Ale to kompletny świr.

– Teraz na pewno zmieni plan, skoro wie, że ja wiem. Może się nam poszczęści. Odwoła całą akcję i nie będzie próbował zastrzelić Bowthorpe'a.

– Jego ekipa zabójców jeszcze nie przyjechała. Zatrzymali się na noc w Kildare u niejakiego Tomasa O'Bruadaira. Według naszej Specjalnej Jednostki Wywiadowczej to wywrotowiec. Po przekroczeniu granicy są śledzeni przez GPS, ale teraz mają jeszcze ogon, na wypadek gdyby próbowali zmienić samochód. U tego O'Bruadaira pokazali się około wpół do jedenastej i od tamtej pory się nie ruszają.

Jechały wzdłuż rzeki. Kyna przyłożyła rękę do brzucha, a drugą do czoła.

– Jest ci niedobrze? – spytała ją Katie. – Chcesz, żebym się zatrzymała?

Dziewczyna pokręciła głową.

– Nie... nie, dzięki. To opóźnione skutki spotkania z Davym Dorganem. Naprawdę mnie wystraszył.

– Co mam zrobić? Chcesz, żebym zawiozła cię prosto do domu? Jak masz ochotę, możesz pojechać na chwilę do mnie, ale tę noc spędzę z Conorem w Gabriel House.

– Och, daj spokój. Nie mów, że chcesz, żebym zwała się wam na głowę. Po prostu zawieź mnie do domu.

– Spójrz, w jakim jesteś stanie, dziewczyno. Biała jak płótno. Przynajmniej wpadnij na drinka i uspokój się.

Kyna się zastanawiała.

– W porządku – ustąpiła, gdy skręciły w MacCurtain Street. – Ale tylko na chwilę. Nie jesteś moją matką. Nie musisz mnie niańczyć.

Katie poklepała ją po udzie, nie mogąc się powstrzymać od śmiechu.

\* \* \*

Gdy weszły, Conor siedział w ciemnoniebieskim szlafroku, oglądając program telewizyjny o kłusownikach nosorożców.

– Con... Kyna najadła się sporo strachu, mówiąc skromnie. Wpadła tylko na drinka, żeby pogadać i uspokoić się.

– Pewnie, nie ma sprawy – rzucił, wyłączając telewizor. – Co się stało? A może nie powinienem pytać.

– Powiedzmy, że jej grożono. Wolałbyś nie mieć do czynienia z ludźmi, z którymi się zetknęła. Wystarczy użeranie się z Zezowatym McManusem.

– Na co masz ochotę, Kyno? – spytał Conor. – Jeśli chcesz, mam trochę single malt West Cork. Zwykle jedna albo dwie szklaneczki tego nektaru wystarczą, żeby poczuć się błogo.

Dziewczyna zdjęła płaszcz i usiadła na kanapie, podczas gdy Katie zajęła miejsce obok niej i wzięła ją za rękę.

– Whiskey... brzmi idealnie – powiedziała Kyna. – Przepraszam, że rujnuję wam wieczór... Wygląda na to, że wchodzi mi to w nawyk.

– Wszystko jest okay – zapewnił ją Conor. – Jak się chce być z detektyw nadkomisarz, trzeba umieć znosić wszystkiego rodzaju

przeszkody, przynajmniej tego się nauczyłem. Zawsze znajdzie się ktoś, kto wejdzie ci w drogę, mordując kogoś, kiedy wy jesteście w połowie kolacji. Jak nie zabójca, to handlarz narkotyków zatrzymany z dziesięcioma kilogramami kokainy ukrytymi obok frytek w food trucku właśnie wtedy, kiedy nabraliście ochoty na spacer po plaży. Poza tym – podszedł i wręczył jej wysoką kryształową szklankę z whiskey – wiem, że czujecie do siebie miętę. Nie jestem ślepy ani głuchy.

Katie podniosła na niego wzrok. Wiedziała, że Conor wie, ile znaczy dla niej Barney, ale o jej stosunku do Kyny nigdy nie rozmawiali. Poczła ulgę. Już nie musiała udawać, że uroda tej dziewczyny nie robi na niej wrażenia. Kyna pewnie poczuła coś podobnego, bo podniosła szklankę, powiedziała: *Sláinte chugat!* i uśmiechnęła się.

Rozmawiali o Davym Dorganie i zabójcach z Autentycznej IRA jadących do Cork. Rozmawiali też o Cissy Dorgan. Opieka społeczna miała ją przejąć, więc Katie zamierzała pojechać do szpitala i spotkać się z dziewczynką ostatni raz przed wypisaniem jej stamtąd.

– Wciąż musimy się dowiedzieć, co robiła na strychu – powiedziała. – I czy widziała, co spotkało Ronana Barretta i Saoirse MacAuliffe. Sęk w tym, że ta mała strasznie boi się brata.

– Nie ona jedna. – Kyna westchnęła ciężko.

Rozmawiali także o Maggie Dennehy i możliwych okolicznościach jej śmierci. Doktor Kelley powiadomiła Katie SMS-em, że przeprowadzi sekcję jutro mniej więcej w porze lunchu. Potem Katie i Conor zrelacjonowali Kynie akcję przeciwko Zezowatemu McManusowi.

– W ogóle nie powinnam go była aresztować – przyznała Katie. – Należało trzymać się z dala, obserwować i zbierać dowody. Tak jak doradzał mi inspektor Carroll. McManus zignorowałyby nas i przeprowadził walki. Ma gdzieś prawo i inspektorów ISPCA. Tak jak inni, którzy organizują te psie pojedynki. Ale nie mogłam się powstrzymać. Za bardzo lubię psy, to jest mój problem. Kiedy zobaczyłam te wszystkie biedne stworzenia, nie mogłam pozwolić, żeby porozrywały się na strzepy. Wiem, że są niebezpieczne, i

większość pewnie należałoby uspić, ale nie muszą się tak męczyć, zwłaszcza że cierpią tylko po to, by napęścić kieszeń McManusa.

– Myślisz, że uda ci się postawić go przed sądem? – spytała Kyna.

– Nie wiem. Mam nadzieję, że tak. To zależy od determinacji Carrolla i przebiegłości adwokatów McManusa.

Kyna pogładziła ją po włosach.

– Nie zdręczaj się tym. Zrobiłaś, co mogłaś, i oszczędziłaś cierpień wielu psom.

– Ale tylko na chwilę. – Katie westchnęła. – McManus prawdopodobnie znów będzie urządzał walki.

Conor nalał im następną whiskey i rozmowa zesłała na pogrzeb Dooleya zaplanowany na następny dzień. Na chwilę umilkli, po czym rozmawiali o sobotnim konkursie i stepie irlandzkim. Zarówno Katie, jak i Kyna, miały coś do opowiedzenia o szkolnych zajęciach z tańca.

– Siostra Bridget zawsze powtarzała, że wyglądam jak Bambi, ale tańczę jak muł – wyznała Katie.

– Och, a ja byłam za skoczna, to mi przeszkadzało – powiedziała Kyna. – „Ludzie pomyślą, że skaczesz na trampolinie”, mówił mi nauczyciel tańca.

\* \* \*

Usłyszeli bijące w oddali dzwony.

– Boże, która godzina? – spytała Katie.

– Druga – odparła Kyna, jako ostatnia kończąc whiskey. – Muszę jechać do domu – dodała, wstając. – Zadzwońię po taksówkę.

Kiedy sięgała po płaszcz, lekko się zatoczyła. Conor podtrzymał ją pod łokieć, a Katie zaproponowała:

– Słuchaj, może zostaniesz? Jesteś zbyt wstawiona, żeby samej jechać do domu. Przepraszam, to moja wina. Nie powinniśmy w ciebie wlewać tyle whiskey.

– Nie, to nie twoja wina. Moja wina, że piłam. A zresztą wypiliście tyle samo co ja. Gdzie mój telefon? Zadzwońię po taksówkę, nie przejmujcie się.

Znalazła w kieszeni płaszczka iPhone'a i nagle opadła na kanapę.

Wpatrując się w ekran, powtarzała:

– Gdzie ona jest... Gdzie aplikacja do dzwonienia po taksówkę? Zniknęła! Gdzie to jest?

Conor popatrzył na Katie i uniósł brwi.

– Ja nie mam nic przeciwko temu – powiedział. – Wtedy u ciebie zastanawiałem się, czy nie powinienem do was dołączyć. Łóżko jest wystarczająco szerokie.

Katie wiedziała, że sama sporo wypła i że to, co sugeruje Conor, jest sprzeczne ze wszystkimi moralnymi i religijnymi zasadami, jakie zawsze jej wpajano... a także z regulaminem Gardy. Kiedy wstępowała do służby, przysięgła „nie nawiązywać żadnych relacji, które mogłyby wywołać sprzeczność interesów, ani relacji, które mogłyby wynikać z nadużycia zaufania lub władzy”.

Ale czy jej stosunki z Kyną miałyby wynikać z nadużycia zaufania lub władzy? Może stała wyżej w hierarchii służbowej, lecz pod względem erotycznym i emocjonalnym Kyna miała nad nią równą władzę. I teraz potrzebowała tej dziewczyny tak samo mocno jak Conora, a Kyna potrzebowała jej.

Poza tym uświadomiła sobie, że Conor jest podniecony myślą o tym, że pójdą razem do łóżka.

Kyna nadal walczyła z telefonem, więc Katie odwróciła się do niej i łagodnie wyjęła go z jej rąk.

– Zostań – powiedziała, po czym pochyliła się i pocałowała dziewczynę w usta.

Odchyliła się na oparcie kanapy i uśmiechnęła. Znów pocałowała Kynę, a ta tym razem rozsunęła wargi i polizała czubek jej języka. Gdy Kyna zamknęła oczy, Katie wsunęła palce w delikatne blond włosy dziewczyny. Całując ją, czuła whiskey, ale też słodczy, i miała wrażenie, że całuje i pieści *Aes Sidh*, baśniową wróżkę.

Sięgnęła za plecy Kyny i rozpięła zamek błyskawiczny jej prostej czarnej sukienki. Pocałowała ją jeszcze kilka razy, po czym wstała i pomogła dziewczynie wstać.

Kyna roześmiała się; jej oczy błyszczały.

– To szaleństwo, wiesz? – powiedziała. – Wszyscy jesteśmy zalani i

to jest szaleństwo! Ale cudowne szaleństwo!

Zrzuciła buty; jej sukienka opadła na podłogę. Bez butów była tylko o sześć centymetrów wyższa od Katie. Niemal straciła równowagę, ale oparła się o Katie, kładąc ręce na jej ramionach, i znów się pocałowały; tym razem pocałunek był głębszy i namiętny.

Conor chwilę stał tuż za plecami Katie, ale w końcu podszedł do łóżka, odrzucił na bok ciemnoczerwoną kapę i odchylił kołdrę. Usiadł i patrzył, jak kobiety, całując się, nadal się rozbierają.

Kyna miała na sobie czarny koronkowy biustonosz i czarne rajstopy, ale nie nosiła majtek. Katie obeszła ją, by rozpiąć biustonosz. Kiedy opadł na podłogę, ujęła w dłonie jej drobne piersi i zaczęła je masować, drażniąc brodawki. Kyna odchyliła głowę i zamknęła oczy. Katie całowała jej włosy i uszy i powiedziała:

– Aleś ty piękna...

Zsunęła do połowy bioder rajstopy dziewczyny, po czym ta zdjęła je całkowicie. Odstłoniła się mała kępka blond włosów łonowych i niewielki tatuaż w kształcie słowika po prawej stronie sromu. Katie sięgnęła w dół ręką i opuszką palca pogładziła intymne zakątki ciała Kyny.

– Jest taka piosenka *Wytatuowany ptaszek*, prawda? – powiedziała. – *Skarbie, tatuaż mam... to ptaszek na moim ramieniu... on nigdy nie śpiewa, nigdy nie fruwa, wspomina o twoim istnieniu...*

– The Fenian Five to śpiewali – powiedział Conor.

Kyna rozpięła guziki białej bluzki Katie i pasek dopasowanych czarnych spodni. Kiedy zdjęła jej biustonosz, uniosła ciężkie piersi Katie, jakby przyjmowała niespodziewany podarunek. Pieściła je i całowała, patrząc rozświetlonym wzrokiem w oczy Katie.

– Jeśli macie ochotę, możecie do mnie dołączyć – zaproponował Conor. Sięgnął nad szafką nocną i wyłączył główne światła, tak że na łóżko padał tylko blask dwóch lampek z różowymi abażurami.

Katie usiadła, by zdjąć spodnie, a potem różowe koronkowe stringi. Kiedy wstała, Kyna objęła ją i znów pocałowała. Nie przestając się całować, nagie, trzymając się za ręce, podeszły do łóżka. Conor podniósł się i zdjął szlafrok, pod którym był nagi. Gdy Katie pierwszy

raz zobaczyła go rozebranego, z ciemną brodą i tej samej barwy zarostem na piersiach, pomyślała, że wygląda jak Jezus albo któryś z jego uczniów. Miał pięknie ukształtowane dłonie i stopy, długie palce u rąk i nóg jak na ukrzyżowaniach pędzla El Greca.

Jego członek był tak sztywny, że sterczał niemal pionowo. Katie wzięła go do ręki jak grubą purpurową pałkę, zaczęła ją masować posuwistymi ruchami i pocałowała Conora w usta. Przesunął się na bok, żeby zrobić na łóżku miejsce dla obu kobiet.

Kyna wyciągnęła rękę i dotknęła ramienia Conora.

– Muszę przyznać, że jesteś pięknym mężczyzną, naprawdę. Więcej, jesteś idealny. Gdybym była inna, powiedziałabym, że nie widziałam piękniejszego ciacha.

– Hm, dzięki za komplement. – Uśmiechnął się. – A ja myślę, że jesteś najbardziej kobiecą kobietą, jaką poznałem, z wyjątkiem pani detektyw nadkomisarz Maguire.

– Musicie wiedzieć jedno: w łóżku nie żądam trzymania się hierarchii służbowej – zapewniła ich Katie. Pocałowała Conora, a potem Kynę.

– Z mojej strony nie licz jednak na pocałunki, Conor – zastrzegła Kyna. – Musiałam całować Liama i przysięgłam sobie, że nigdy więcej nie pocałuję mężczyzny, przenigdy. Tfu!

Wszyscy troje śmiali się tak, że Katie zabrakło tchu. Wiedzieli, że są pijani i że nie powinni być razem w łóżku, ale czuli się tak szczęśliwi, że nie zważali na to, co powinni, a czego nie. Po stresie, jaki ostatnio przeżywali, czuli bezmierną ulgę, mogąc się bez reszty oddać fizycznym rozkoszom miłości.

Katie i Kyna znów zaczęły się całować i pieścić nawzajem piersi. Światło lampek wydobywało miedziany blask z włosów Katie i czyste złoto z włosów Kyny; perfumy kobiet – Daisy Blush i Exclamation – mieszały się. Conor sięgnął do słoika z niveą i otworzył go jedną ręką. Nabrał kremu i rozsmarował go między pośladkami Katie. Miała już zwilżony srom, tak że jej naturalne soki mieszały się z kremem.

Trzymając członek w dłoni naparł na odbył Katie i stopniowo

wchodził głębiej. Drgnęła, bo początkowo poczuła ból, ale wiedziała, że sekret polega na tym, żeby przeć od siebie i nie zaciskać odruchowo mięśni.

Conor powoli, trzymając Katie za biodra, wchodził coraz głębiej, aż poczuł, że włosami łonowymi łaskocze jej pośladki, a jądra wcisnęły się między jej uda. Teraz mogła rytmicznie zaciskać odbył i jej podniecenie rosło z każdym skurczem. Zaczęła urywanie dyszeć i jeszcze mocniej na niego napierać, chociaż nie mógł już wepchnąć się głębiej.

Ujął ją za ramiona i łagodnie odchylił się do tyłu, nadal penetrując ją najgłębiej, jak się dało. Rozchyliła jeszcze bardziej uda i obiema rękami rozsunęła gładkie wargi sromowe. Kyna uklękła między nogami Conora, pochyliła się i zaczęła lizać jej łechtaczkę.

– Och, Boże, jesteście aniołami! – wydyszała Katie. – Och, Boże, jesteście aniołami!

Kyna lizała coraz szybciej i szybciej, od czasu do czasu wsuwając język w waginę. Lizała też jej krocze, rozciągnięty pierścień odbytu, omijając pomarszczone jądra Conora.

Ale on i tak wkrótce szczytował. Katie, która sama już była na krawędzi, czując jednocześnie język Kyny i konwulsyjne drgawki Conora, miała wrażenie, jakby świat pękał na kawałki. Nigdy jeszcze nie miała tak gwałtownego orgazmu, przenigdy. Niemal zemdląca; myślała, że już nie przestanie się trząść, a jej pośladki będą drzeć do końca świata.

Potem długo leżeli spoceni, bez ruchu. W końcu Kyna opadła na bok, a Katie powoli ześlizgnęła się z Conora i położyła obok niej, obejmując ją.

– Dobrze ci? – spytała Katie. – Ale nie doszłaś, prawda?

Kyna uśmiechnęła się marzycielsko.

– Lepiej niż dobrze. Jestem w niebie. Wciąż czuję twój smak.

Conor pocałował Katie w szyję i między łopatkami. Zadrżała.

– Nigdy wcześniej nie zauważyłem, że masz piegi. Tu, w kształcie Syriusza.

– Syriusza? To znaczy?



– To gwiazda w konstelacji Wielkiego Psa. Wcześniej się zastanawiałem, czy nie nazwać mojej agencji Syriusz. W końcu jednak doszedłem do wniosku, że niezbyt wielu Irlandczyków skojarzy, o co chodzi, i nazwałem ją Szósty Zmysł. Ale Syriusz, Katie, to najjaśniejsza gwiazda w Układzie Słonecznym. Jak ty.

Leżeli, gładząc jedno drugie i od czasu całując, a ciepło i poczucie więzi były niepodobne do niczego, co Katie dotąd przeżyła. Wiedziała, że podobna noc może się nigdy nie powtórzyć i że będzie musiała na serio przemyśleć swoje zawodowe relacje z Kyną. Ale jutrzejsze słońce jeszcze nie weszło i mogła zapomnieć o kłopotach związanych z pracą, dopóki się nie prześpi i nie otrząśnie po wypiciu whiskey West Cork. We trójkę opróżnili całą butelkę.

Bardzo delikatnie gładziła wewnętrzną stronę ud Kyny i nuciała:

– *Nigdy nie wiesz, co życie przyniesie... czy smutki, czy cierpienia...  
ale me serce jak ptaszek śpiewa... gdy znów wynurzysz się z cienia...*

Po czym razem zaśpiewały refren:

– *Skarbie, tatuaż mam... to ptaszek na moim ramieniu... on nigdy  
nie śpiewa, nigdy nie fruwa, wspomina o twoim istnieniu...*

## ROZDZIAŁ 33

Gdy rano Katie dojechała do szpitala, świeciło słońce. Najpierw poszła do kostnicy, chociaż wiedziała, że doktor Kelley jeszcze tam nie dotarła. Ale zastała jednego z jej asystentów – wiecznie zmartwionego młodego człowieka w malutkich okularkach i czapce chirurga. Zapytała, czy może obejrzeć ciało Maggie Dennehy.

Asystent wysunął zwłoki z lodówki i podniósł zielone prześcieradło. Katie długo patrzyła na zmarłą. Poza głębokim wgłębieniem wokół szyi miała niewielkie ciemne siniaki, zwłaszcza na udach.

Gwałt, pomyślała Katie. Widziała podobne siniaki na wielu kobiecych udach. Archipelag cierpień.

– W porządku, bardzo dziękuję – powiedziała i asystent przykrył ciało, po czym wsunął je z powrotem do lodówki.

Kiedy poszła na górę zobaczyć się z Cissy, zastała pod drzwiami mundurowego. Jadł kanapkę z bekonem. Szybko się poderwał i schował ją za plecami, ale Katie machnęła ręką.

– Świetna robota – rzuciła. – Nie przejmuj się. Cierpię na niedowidzenie kanapek z bekonem.

Cissy siedziała na krześle, trzymała na kolanach Bindy i oglądała *Kanciasoportego*, ale zachowywała przy tym wyraz niezwyklej powagi. Ubrano ją w brązową sztruksową sukienkę, kremowy wełniany sweter z wzorem w warkocze i podobnego koloru rajstopy. Na łóżku leżała brązowa budrysówka, obok mała torba podróżna. Cissy była już gotowa na przyjazd pracownicy opieki społecznej, która miała ją zabrać do rodziny zastępczej.

Katie podeszła i położyła dłoń na jej ramieniu.

– Cissy.

Dziewczynka podniosła głowę i jej oczy wypełniły się łzami.

– Tak, wiem, jak naprawdę się nazywasz – powiedziała Katie. – Nie denerwuj się, proszę. Nie ma powodu się bać. Teraz, kiedy czujesz

się dużo lepiej, naprawdę mili ludzie zaopiekują się tobą.

– Mój brat strasznie się zezłości – załkała rozpaczliwie dziewczynka.

– Nie martw się bratem. Teraz będziesz miała nowe życie. Miły nowy dom, w którym będziesz mieszkać, nową szkołę, nowe koleżanki i kolegów. Możesz zapomnieć o tych wszystkich złych rzeczach, które cię spotkały. Skończyły się na zawsze.

Katie usiadła na łóżku przy Cissy i pogładziła ją po włosach.

– Pani McCabe powiedziała nam, jak się nazywasz. Mam wrażenie, że bardzo z niej miła pani.

Cissy kiwnęła główką.

– Jest miła. To ona kupiła mi na urodziny Bindy. Czasem Davy nie przychodził do domu i byłam sama, wtedy szłam do jej domu na herbatkę.

– Hm... ci ludzie, którzy od tej pory będą się tobą opiekowali, będą tak samo mili jak pani McCabe. A ja też będę miała z tobą kontakt, żeby mieć pewność, że jesteś szczęśliwa. Patrz, co ci przywiozłam.

Katie otworzyła czarną skórzaną torebkę i wyjęła pudełko z iPhone'em. Otworzyła je i wręczyła telefon Cissy, mówiąc:

– Już go naładowałam i zanim pójdę, ustawię ci wszystko. Nie musisz się martwić płaceniem, bo jest przypisany do mojego rachunku. Używaj go śmiało, kiedy będziesz chciała. Jest tylko jeden warunek: dzwonisz do mnie przynajmniej raz w tygodniu i mówisz mi, jak się czujesz. Gdyby kiedyś coś szło nie tak jak trzeba, gdybyś się martwiła albo była nieszczęśliwa, wystarczy, że do mnie zadzwonisz, a ja postaram się, żeby znów wszystko było dobrze.

Cissy mocno ścisnęła telefon i uśmiechnęła się przez łzy.

– Dziękuję – wyszeptała.

Katie chwilę odczekała, zanim odezwała się znowu:

– Jest parę pytań, które muszę ci zadać, Cissy. Myślę, że wiesz, co to za pytania.

Dziewczynka wpatrywała się w nią w milczeniu. Katie zdała sobie sprawę, że zapewnianie małej, że jej brat nigdy więcej się nie pokaże, że nie będzie jej groził, nic nie da. Mimo to musiała się dowiedzieć, co Cissy robiła na strychu, kiedy w studiu tańca wybuchł

pożar, i czy była świadkiem tego, co spotkało Ronana Barretta i Saoirse MacAuliffe.

– Po co poszłaś na strych w Toirneach Damhsa? – zaczęła. – Czy kiedy tam weszłaś, tych dwoje tancerzy już tam było? Gdy zobaczyłaś ich na strychu, czy oni jeszcze żyli?

Cissy bez słowa opuściła główkę.

– Jeśli jeszcze żyli, kiedy ich zobaczyłaś, to czy widziałaś, kto ich zastrzelił? A może już nie żyli, jak tam weszłaś? A jeżeli już nie żyli, to dlaczego nie zeszłaś na dół i nie powiedziałaś o tym Nicholasowi O’Grady’emu?

Mała nadal milczała.

– Cissy, skarbie, to bardzo ważne, żebyśmy się dowiedzieli, jak oni zginęli. Ktoś ich zabił i podłożył ogień pod studium tańca, żeby te wszystkie biedne tancerki spaliły się na śmierć. Nie możemy pozwolić, żeby tym, którzy to zrobili, uszło to na sucho. Oni mogą znowu zrobić to samo komuś innemu. Mogą zrobić coś dużo gorszego.

Dziewczynka odwróciła głowę i patrzyła w telewizor. Kanciastoparty złamał drewnianą łopatkę, której używał podczas grillowania hamburgerów, i robił jej sztuczne oddychanie.

– Czy jak byłaś na strychu, widziałaś tam kogoś jeszcze? A jeśli tam ktoś był, to czy widział ciebie? Jeślibym ci pokazała zdjęcia różnych panów, mogłabyś przynajmniej kiwnąć główką, gdybyś zobaczyła kogoś ze strychu?

Katie wyjęła fotografie Danny’ego Coffeya, Stevena Joyce’a, Douglasa Cleary’ego i Tadhga Brennana. Jedną po drugiej podsuwała pod oczy Cissy, ale dziewczynka nie reagowała. Albo nie widziała na strychu nikogo z podejrzanych, albo była zbyt wystraszona, by kogoś rozpoznać.

– Jesteś absolutnie pewna, że żadnego tam nie było? – spytała Katie.

Mała odwróciła się od telewizora, by na nią spojrzeć, ale jej wyraz twarzy był nieprzenikniony i nadal się nie odzywała.

– W porządku – powiedziała Katie, wstając. – Teraz muszę iść.

Muszę jechać na wyjątkowo smutny pogrzeb. Nie gniewam się na ciebie, Cissy. Wiem, że w tej chwili za bardzo się boisz, żeby opisać, co się stało tamtego dnia. Mam tylko nadzieję, że znajdziesz sposób, żeby mi powiedzieć... Chodzi o to, że teraz możesz mi to napisać, możesz do mnie zadzwonić, skoro masz swoją własną komórkę. Czy napisać albo powiedzieć przez telefon będzie ci łatwiej?

– Nie wiem – odparła Cissy tak cicho, że Katie ledwo ją usłyszała w huku wybuchów dobiegających z telewizora.

Pochyliła się i uściskała małą.

– Kochanie, będzie dobrze, sama się przekonasz. Tylko nie zapomnij do mnie dzwonić.

\* \* \*

Pogrzeb państwowy detektywa Dooleya odbył się w południe i przemierzający Patrick's Street i Grand Parade orszak żałobny liczył ponad trzy tysiące umundurowanych funkcjonariuszy z całego kraju. Słońce świeciło i orkiestra Gardy grała marsz żałobny *Caoineadh*. Chodniki na całej drodze do kościoła Świętej Trójcy były wypełnione tysiącami żałobników. Przyglądali się w milczeniu, pogrążeni w smutku.

Tego dnia z szacunku dla zmarłego odwołano posiedzenia parlamentu, rządu oraz posiedzenia wszystkich komisji obu izb.

Za karawanem szła komendant główna Gardy Nóirín O'Sullivan w towarzystwie wicepremier Frances Fitzgerald, ministra sprawiedliwości Josepha McNulty'ego i zastępcy komendant głównej Franka Magoriana.

Katie maszerowała w granatowym mundurze galowym, obok komendanta Denisa MacCostagáina i nadkomisarza Michaela Pearse'a. Za nimi szedł zespół jej detektywów. Brakowało tylko Kyny. Katie zakazała jej uczestnictwa w pogrzebie, bo był w całości transmitowany przez telewizję i nie chciała, by Davy Dorgan rozpoznał Kynę i zdał sobie sprawę, że służy w Gardzie.

Miała wrażenie, że ta żałobna uroczystość jest kompletnie nierzeczywista. Był taki jasny dzień – białe chmury jak rozprute

poduszki przewalały się po niebie – i nie mogła uwierzyć, że karawan, za którym idą, wiezie koszmarnie spalone ciało młodego Roberta Dooleya.

Trumnę, na której udrapowano pomarańczowo-biało-zieloną flagę i na wierzchu położono czapkę mundurową Gardy, wnieśli do kościoła bracia zmarłego i koledzy z wydziału.

Podczas mszy Katie siedziała blisko ołtarza, ale dla tysięcy zgromadzonych na zewnątrz przygotowano wielkie ekrany, by mogli śledzić ceremonię. Pełne powagi kazanie wygłosił ojciec Hurley, proboszcz parafii Świętego Finbarra, do której należał Dooley, słowo pożegnalne – komendant główna O’Sullivan.

– Zbyt wiele serc złamano i żywotów zmiażdżono – powiedział ojciec Hurley. – W tym dniu mówię z głębi serca, że w naszym społeczeństwie nie ma miejsca dla przemocy. Przemoc jest złem, zawsze.

– Nie zapomnijmy, że Robert Dooley był nie tylko funkcjonariuszem Garda Síochána – zaznaczyła komendant główna – był też synem i bratem, i młodym człowiekiem mającym przed sobą wspaniałe, satysfakcjonujące życie, które tak okrutnie mu odebrano.

Po mszy Katie wyszła na dwór i długą chwilę stała samotnie nad rzeką, myśląc o Dooleyu. Niemal się spodziewała, że pojawi się obok ze swoim szelmowskim uśmiechem, i powie, że ten uroczysty pogrzeb to tylko jeden z jego starannie zaplanowanych żartów. Niemal słyszała jego głos: „A co pani sobie myślała, pani nadkomisarz? Wszyscy dali się nabrać, no nie? Nawet ta stara zrzęda MacCostagáin!”.

Sierżant Begley podszedł i spytał:

– Wszystko w porządku, pani nadkomisarz?

Orkiestra grała marsz żałobny *Brón*. Katie kiwnęła głową i Begley dołączył do reszty pogrążonych w smutku kolegów.

\* \* \*

Była prawie piąta po południu, gdy wróciła na komendę. Wcześniej w siedzibie władz hrabstwa Cork odbyło się przyjęcie dla ministrów i

wyższych funkcjonariuszy i Katie mogła porozmawiać z komendant główną o postępach w śledztwie w sprawie pożaru w Toirneach Damhsa. Z powodu śmierci Dooleya ten wątek był na pierwszych stronach ogólnokrajowych gazet.

– Frank Magorian jest głęboko przekonany, że zamknie pani to śledztwo w ciągu kilku następných dni – powiedziała komendant główna. – Muszę przyznać, że wyrażał się o pani w samych superlatywach. Dobrze słyszeć, że wasza współpraca układa się tak znakomicie.

Katie miała na końcu języka kilka kąśliwych słówek na temat ich współpracy, ale uznała, że mądrzej będzie skwitować słowa szefowej milczeniem i uśmiechem. Miała wystarczająco dużo innych kłopotów.

Inspektor Mulliken przyszedł do gabinetu Katie, zanim zdążyła zmienić mundur na cywilne ubranie. On też nadal był w mundurze.

– Właśnie dostaliśmy najświeższe informacje od zespołu śledzącego. Tych trzech gości z Irlandii Północnej cały dzień przebywało w domu Tomasa O’Bruadaira, ale odjechało jakiś kwadrans temu, tym samym samochodem. Teraz znów kierują się na południe, ale nie trzymają się M siedem, tylko jadą przez Kilkenny i Callan. Sierżant dowodzący powiedział, że próbowano namierzyć ich telefony, ale jak do tej pory bez sukcesu.

– Gdzie jest teraz Dorgan?

– Nadal z rodziną przy Mount Nebo Avenue. Jedyne rozmowy telefoniczne, które udało się nam przejąć z tego miejsca, to kilka od Christy’ego, dotyczących kół zapasowych od O’Reilly’ego, i jakieś pięć tysięcy od Tashy, siostrzenicy Dorgana, plotkującej ze szkolnymi koleżankami na temat Zayna, ktokolwiek to jest.

– Starajmy się nie spuszczać oka z Dorgana. Z rozkoszą bym go zwinęła, ale jeszcze brakuje nam wystarczających dowodów. Mamy tylko informacje, które Ni Nuallán wydobyła od tego typka, Liama, a gdybyśmy go postawili przed sądem, wszystkiemu by zaprzeczył. Zbyt się boi, żeby zacząć sypać.

– Możesz się nie niepokoić, nie spuścimy oka z Dorgana. A

Specjalna Jednostka Wywiadowcza jest z nami w stałym kontakcie, więc będziemy mogli razem śledzić tych gości, kiedy tylko przyjadą do Cork. Mamy pełny opis pojazdu. To volvo V siedemdziesiąt cross country T, kolor żółte safari, na kradzionych dublińskich blachach.

Po wyjściu Mullikena weszła Moirin. Kartonowy segregator trzymała pod pachą, dzięki czemu mogła dostarczyć Katie cappuccino i zapiekankę z wołowiną i warzywami.

– Musisz być jasnowidzem! – wykrzyknęła z ulgą Katie. – W hrabstwie przygotowali bufet, ale byłam zbyt zajęta rozmowami z tymi wszystkimi szychami, żeby coś zjeść.

– Nie ma sprawy – powiedziała Moirin. – Kupowałam dla siebie i pomyślałam, że jeśli pani nie będzie głodna, bez problemu zjem drugą porcję.

Podczas gdy Katie jadła i piła kawę, nadrabiała zaległą korespondencję elektroniczną i listową. Dostała trzy SMS-y od Conora, na widok których się uśmiechnęła. *Nie mogę przestać myśleć o ostatniej nocy!!! Jesteś fantastyczna!!! Kocham Cię, nadkomisarz Maguire!!!* Każdemu SMS-owi towarzyszył emotikon z innym psem.

Zanim Katie wyjechała z komendy, poszła do MacCostagáina. Nadal miał na sobie mundur i garbił się w świetle lampy na biurku, jakby stracił siły. Katie nigdy nie widziała tylu zmarszczek na jego twarzy. Od ostatniego spotkania postarzał się i posiwiął o dziesięć lat.

– Wychodzisz już, Katie? – spytał ją. Mówił takim tonem, jakby zaschło mu w ustach i musiał odchrząknąć.

– Za chwilę, panie komendancie. Najpierw muszę zamienić kilka słów z Michaelem Pearse’em. Czy Tony Mulliken informował pana o tej sprawie z Ianem Bowthorpe’em?

MacCostagáin skinął głową i zaraz po tym nią pokręcił.

– Muszą mieć nierówno pod sufitem, ci faceci z Autentycznej IRA. Czy oni naprawdę myślą, że będą mogli zbliżyć się choć na kilometr do brytyjskiego ministra obrony, żeby sobie postrzelać?

– No cóż, zespół śledzący Specjalnej Jednostki Wywiadowczej może ich zatrzymać i zgarnąć już teraz. Ale jeśli pozwolimy im się połączyć



z Davym Dorganem i resztą jego ekipy, będziemy mogli ich zatrzymać pod zarzutem zмовy, zwłaszcza Dorgana za to, że kierował całą akcją.

– Myślisz, że gra jest warta świeczki?

– Przede wszystkim zależy mi na Dorganie. Jego zmarły ojciec był w Larne zabójcą i terrorystą pełną gębą, a synek przerósł tatusia.

Komendant podniósł rękę na znak przyzwolenia.

– W takim razie powodzenia – rzucił.

Katie zawahała się, bo wyczuła, że chciał powiedzieć coś całkiem innego.

– Czy to wszystko, panie komendancie? – spytała.

Popatrzył na nią żałośnie.

– Wiesz, to boli, kiedy tracimy jednego ze swoich. Nie ma znaczenia, w jakim są wieku, jednak Dooley był taki młody. Ale pożegnanie urządziliśmy mu na poziomie, prawda? Co za pożegnanie! Nikt nie robi takich pogrzebów państwowych jak my! Mimo to wolałbym, żebyśmy nie musieli ich urządzać.

– Tak, panie komendancie. Też bym tak wolała.

Zostawiła go siedzącego za biurkiem, wpatzonego w przestrzeń.

\* \* \*

Kiedy otworzyła frontowe drzwi, dzwonił telefon. Musiała się przepchnąć obok Barneya, który witał ją serdecznie, biegnąc jak szalony w tę i we w tę korytarzem, i zanim dobiegła do aparatu w salonie, przestał dzwonić.

Oddzwoniła, zrzucając z ramion płaszcz. To była Corinne Daley z opieki społecznej.

– Witam! Pani nadkomisarz Maguire? Przepraszam, że zawracam pani głowę w domu. Próbowalam się dodzwonić na komendę, ale powiedzieli mi, że pani już wyjechała, a nie chciałam dzwonić, kiedy pani prowadzi samochód.

– Och, nie ma sprawy. Jak się ma mała Cissy? Polubiła nową rodzinę?

– W tej sprawie dzwonię. Myślałam, że jest u was, przy Anglesea

Street.

– Co...?! Skąd to pani wpadło do głowy? Nie odebrała jej pani do tej pory? Proszę mi nie mówić, że nadal jest w szpitalu.

– Nie, nie ma jej tam. Pojechałam ją odebrać około jedenastej przed południem. Spóźniłam się jakieś pół godziny, bo miałam trochę kłopotów z naszym innym dzieckiem, straszny z niego urwis. Ale kiedy przyjechałam do szpitala, nie było ani jej, ani waszego strażnika przed drzwiami. Recepcjonistka powiedziała, że zabrali ją dwaj funkcjonariusze Gardy, bo chcieliście jej zadać jeszcze dodatkowe pytania.

Katie poczuła zimny dreszcz.

– Nie posłałam po nią żadnych funkcjonariuszy, Corinne. Myślałam, że to opieka społeczna się nią zajmie.

– Jest pani tego pewna? Recepcjonistka powiedziała mi, że ci funkcjonariusze pokazali jej legitymacje. A Adeen była cała w skowronkach, że z nimi jedzie. No i pani asystentka zadzwoniła do mnie i powiedziała, że podrzuci pani małą do naszego biura w Blackpool w porze podwieczorku.

– Och, Boże.... Moja asystentka wcale do pani nie dzwoniła, Corinne.

– Zaczęłam się nad tym zastanawiać, kiedy Cissy się nie pokazała. A to mnie pani zmartwiła. Jak pani myśli, kto ją zabrał?

– Corinne... to nie twoja wina. Jest tylko jedna osoba, która mogłaby zadać sobie tyle zachodu, żeby ją zabrać, i myślę, że wiem, kto nią jest. Porozumiem się ze strażnikiem, który był przed jej pokojem, i ze szpitalem. Mają całodobowy monitoring, wewnątrz i na zewnątrz, i stałe patrole ochrony na korytarzach.

– Tak mi przykro, pani nadkomisarz. Przysięgam, że uwierzyłam, że kazała pani przywieźć ją na komendę, bo chciała się pani dowiedzieć więcej o jej życiu... wie pani, żeby zastępczy rodzice lepiej zrozumieli, czego potrzebuje. Tak powiedziała pani asystentka... czy raczej ta kobieta, która udawała pani asystentkę.

– Dzięki, Corinne. Odezwę się, jak tylko będę miała jakieś wieści.

Natychmiast po skończeniu rozmowy Katie zadzwoniła do sierżanta

Begleya. Wiedziała, że tego dnia ma wieczorną zmianę i jest w bliskim kontakcie z szefem ochrony szpitala.

– Myśli pani, że to Davy Dorgan ją zabrał? – spytał. – No, ale to nie mógł być on osobiście, bo nie wychodził dzisiaj z domu. Sprawdzę tego mundurowego, który miał służbę pod drzwiami tej dziewczynki, i zobaczę, co wykażą nagrania z monitoringu. Jak ci faceci zabrali ją samochodem, to też będzie na taśmach, chyba że zaparkowali kawałek od szpitala.

– Najpierw sprawdzmy, czy możemy zidentyfikować tych, którzy ją zabrali – powiedziała Katie. – Jest coś jeszcze. Dałam jej iPhone’a, żeby była ze mną w kontakcie. Poczekaj, podam ci numer. Dopóki go nie wyłączy, nie wyjmie baterii albo nie wyrzuci, będziemy mogli ją namierzyć. Jeśli się to nie uda, oddzwon i powiem nadkomisarzowi Pearse’owi, żeby natychmiast zarządził poszukiwania na pełną skalę. Nie chcę stracić nawet minuty, Michael. Ta mała wie rzeczy, których nie powinna wiedzieć. Jej życiu może grozić niebezpieczeństwo.

– Rozumiem, pani nadkomisarz. Buckley i Markey są ze mną. Zaraz się do tego weźmiemy. Będzie pani w domu?

– Na razie tak. Ale gdybym była potrzebna, wrócę na komendę.

Katie odwiesiła płaszcz i wróciła do salonu. Barney wszędzie jej towarzyszył. Dałaby wszystko za dużą wódkę – po części z powodu stresu, a po części, by uporać się z kacem po whiskey, który powrócił. Ale Cissy przepadła, a trzech zabójcy z Irlandii Północnej zbliżali się coraz bardziej do Cork, wiedziała więc, że będzie musiała się obejść puszką dietetycznej coca-coli.

Rozebrała się, włożyła koszulę nocną i szlafrok, ale została w salonie i oglądała Peggy Sue wyszła za męża. Barney położył się obok, z łbem na jej kolanie, i od czasu do czasu go podnosił, jakby sprawdzał, czy nie jest zbyt zdenerwowana.

O pierwszej trzydzieści siedem znów zadzwonił telefon domowy. To była Kyna; wydawała się zmartwiona.

– Przejrzałam szpitalny monitoring, pani nadkomisarz. Ci dwaj, którzy przyjechali po Cissy, to pacholki Davy’ego Dorgana. Jeden to był Liam, a drugi Murtagh. Bóg wie, jak wzięto ich za

funkcjonariuszy, chociaż Murtagh potrafi się całkiem elegancko wyświadczyć, mimo że trudno w to uwierzyć.

– To ten sam Liam, który...

– Tak, on. I aż mi się niedobrze zrobiło, jak go zobaczyłam. Ale z nagrania widziałam, że obaj się wyszykowali, mieli identyfikatory.

– Wiesz równie dobrze jak ja, że sfałszowane identyfikatory Gardy można kupić w internecie. Co z telefonem Cissy? Udało się go zlokalizować?

– Nie, jak do tej pory nie udało mi się. Albo jest wyłączony, albo Dorgan go znalazł i rozbił.

– Może tym ze Specjalnej Jednostki Wywiadowczej udałoby się go namierzyć. Mają symulatory stacji bazowych telefonii komórkowej, Stingraye. Co z tymi trzema z Irlandii Północnej?

– Dostaliśmy aktualizację ich położenia jakieś dziesięć minut temu. Znów się zatrzymali, tym razem w domu przy Knockpogue Avenue, prawie naprzeciwko Fairfield Tavern. Nieruchomość należy do gościa z Autentycznej IRA, Joego Keenana.

– Och, Keenan. Tak, pamiętam go. Jeden z twardzieli Bobby'ego Quilty'ego. Specjalizował się w łamaniu palców ludziom, którzy weszli na odcisk jego szefowi, o ile pamiętam. Joe Kłykciolamacz Keenan.

– Więc jaki jest plan, pani nadkomisarz? – spytała Kyna. Miała tak poważny ton, że Katie trudno było uwierzyć, że rozmawia z tą samą młodą kobietą, z którą kochała się ostatniej nocy.

– Czy Sean Begley jest nadal obok ciebie?

– Tak. Siedzi obok mnie.

– Szukanie Cissy zaczynajcie od domu Dorgana. Jeśli jej tam nie ma, możecie go aresztować za porwanie, chociaż ta mała jest jego siostrą. Jak jej nie będzie, powiedzcie mu, że wiem, że to jego siostra, i że musi nam powiedzieć, gdzie ją wywiózł. Jeśli zaprzeczy, powie, że nic nie wie, zwińcie go za utrudnianie śledztwa. Jak go nie będzie, może być u Liama, przy St Anne's Road. Albo w mieszkaniu Murtagha. Zdaje się, że to gdzieś przy górnej części Wellington Road. Kyno, musicie ją znaleźć. To sprawa życia i śmierci.

## ROZDZIAŁ 34

Katie szybko włożyła wąskie, czarne dżinsy i ciemnozielony sweter z golfem. Sprawdziła, czy rewolwer jest naładowany, i zawiesiła kaburę u pasa, po czym narzuciła na siebie czarną kurtkę przeciwdeszczową z kapturem.

Przed wyjściem nalała Barneyowi wody do miski i zamknęła go w kuchni. Rano zadzwoni do Jenny Tierney i poprosi ją, by zabrała go na spacer i zajęła się nim do jej powrotu.

– To nie to, że cię nie kocham, Barney – powiedziała, drapiąc go za uszami. – Ale muszę ratować przerażoną małą dziewczynkę i złapać kilku okropnych łotrów. Obiecuję, że wyrównam ci to całe zamykanie, zabiorę cię w niedzielę po południu do Marlogue Woods i będziesz mógł się przedzierać między drzewami i biegać po plaży ile dusza zapagnie.

O tej porze nocny ruch na N8 w kierunku centrum ograniczał się do kilku samochodów dostawczych, dzięki czemu Katie mogła przez większość drogi przekraczać dziewięćdziesiątkę i dotarcie na Lower Glanmire Road zajęło jej mniej niż kwadrans. Kiedy jechała Horgan's Quay i rzeka poniżej migotała czernią, zadzwoniła komórka.

To był Begley.

– Nie ma go tu, pani nadkomisarz.

– Możesz powtórzyć? Kogo nie ma gdzie?

– Davy'ego Dorgana, pani nadkomisarz. Właśnie przeszukaliśmy dom Dorganów przy Mount Nebo. Nie ma Davy'ego ani jego siostry.

– Jak może go nie być? Mieliśmy ten dom pod obserwacją całą ostatnią dobę.

– Jego samochód wciąż stoi przed domem, ale jego nie ma w środku. Musiał się jakoś wymknąć. Albo przez tylne podwórko, albo się przebrał za własną ciotkę. Ostatnia zmiana, która go pilnowała, mówi, że jakaś starsza pani wyszła z domu około dziewiętej i nie

wróciła.

– A co z tymi dwoma, którzy zabrali Cissy ze szpitala? Pojechaliście do nich?

– Tak, do Liama O'Breena i Murtagha McCourta. Barman w Templegate podał nam ich nazwiska i adres McCourta przy Wellington Road. Ale jak przyjechaliśmy, ani O'Breena, ani McCourta nie było w domu. Właścicielka domu, w którym mieszka O'Brien, nie widziała go ani nie słyszała od wczoraj rano, a młody człowiek, który mieszka na tym samym piętrze co McCourt, powiedział, że ostatni raz widział go wychodzącego o wpół do ósmej.

– Dobrze. Będę na komendzie za parę minut. Musimy zorganizować systematyczne poszukiwania na pełną skalę, zaczynając od każdego znanego nam członka bandy Dorgana. Musimy sprawdzić też wszystkie nagrania z kamer w okolicach Wilton mniej więcej z tego czasu, kiedy porwano Cissy. Niech Mathew McElvey ogłosi w mediach, że szukamy każdego, kto mógłby ją widzieć.

Przerwała, bo właśnie skręcała na parking przy Anglesea Street, ale po chwili spytała:

– Nie sądzisz, że Dorgan mógł pojechać do domu Joego Kłykciołamacza, żeby się tam spotkać z tymi zabójcami z Irlandii Północnej?

– Przemknęło mi to przez głowę, pani nadkomisarz, ale zespół śledzący ma ich stale na oku i nie było śladu Dorgana.

– Sean, my też mieliśmy go stale na oku, mimo to się nam wymknął. Czy jesteśmy pewni, że nie udało mu się prześlizgnąć przez tylne podwórko lub frontowymi drzwiami przebranemu za dziwkę z Fair Hill albo za... zakonnicę?

– Myślę, że zespół śledzący ma oko na oba wejścia. Zapewnili mnie, że od przyjazdu tych trzech z Irlandii Północnej nikt nie wchodził ani nie wychodził, nawet matka przełożona czy miejscowa prostytutka.

– Hm... Teraz, kiedy Dorgan wie, że Ni Nuallán orientuje się co do jego planu zastrzelenia Bowthorpe'a, prawdopodobnie opracował całkowicie inny plan. Ni Nuallán uważa, że mógł odwołać zamach,

ale ja bym nie była tego taka pewna. Wygląda na to, że Dorgan ślepo trzyma się swoich poglądów politycznych i nie obchodzi go, kto ucierpi, byle tylko on osiągnął swój cel. Może gdyby wiedział na pewno, że Ni Nuallán jest z Gardy i że go podejrzewamy, dobrze by się zastanowił, ale nie sądzę. Znam łotrów jego pokroju. Są niebezpieczni, nawet jeśli nie walczą o żadną sprawę. Przypomnij sobie Bobby'ego Quilty'ego.

Katie zamknęła samochód i ruszyła na komendę, nadal trzymając telefon przy uchu.

– Co dalej robimy? – spytał Begley.

– Nie wydaje mi się, byśmy mieli zbyt wielki wybór. Straciliśmy z oczu Davy'ego Dorgana i nie mamy pojęcia, w jakim stopniu zmienić plany zamachu na Iana Bowthorpe'a... a nawet, czy w ogóle je zmienić... więc musimy się do tego zabrać na całego. Może nadal będzie próbował załatwić Bowthorpe'a w Operze dziś wieczorem... może znalazł w budynku jakiś niewidoczny punkt obserwacyjny, idealny dla snajpera. Albo rozważa zastrzelenie Bowthorpe'a, gdy ten będzie po południu wizytował Haulbowline lub jechał po konkursie tańca na kolację w Hayfield Manor. Kto wie?

– Czy to oznacza, że zamierza pani teraz aresztować tych facetów z Irlandii Północnej?

– Jak mówię, Sean, nie widzę innej możliwości. Wolalabym przyłapać Dorgana na gorącym uczynku z nimi i całą resztą jego ekipy, całą sieć tych zgniłych ryb, ale myślę, że musimy się zadowolić ratowaniem Iana Bowthorpe'a. Dorgana możemy wyśledzić potem. Nie może wiecznie uciekać. Z czasem i przy odrobinie szczęścia zbierzemy więcej dowodów przeciwko niemu, które sąd uznałby za wystarczające.

– Zacznę organizować poszukiwanie, pani nadkomisarz. Mamy sporo zdjęć tej małej, prawda?

– Jasne. Każę Scanlan wybrać najlepsze i zrobić odbitki. A ja tymczasem pogadam z sierżantem odpowiedzialnym za zespół śledzący i obudzę nadkomisarza Pearse'a. Chciałabym przystąpić do akcji i zgarnąć te typy, zanim zrobi się jasno.

– W takim razie, pani nadkomisarz... ma pani dokładnie cztery godziny i dwadzieścia sześć minut.

\* \* \*

Nadkomisarz Pearse przez całą noc cierpiał na niestrawność po curry na wynos i nie mógł spać, więc zbytnio nie marudził, gdy Katie do niego zadzwoniła i powiedziała, że organizuje nalot na dom Joego Keenana.

– Miałem już do czynienia z tym gościem. To będzie przyjemność i może przestanę myśleć o tym przeklętym vindaloo, które zjadłem. Ile tabletek alka-seltzer można łyknąć naraz?

– Hm, nie przesadzałabym z tym, Michael. Chyba nie chciałbyś w środku nalotu szukać miejsca, do którego król piechoty chodzi?

– Więc o której...?

– Piąta trzydzieści, jeśli zebrałbyś oddział na piątą zero zero. Zaraz skontaktuję się z sierżantem Boyle'em z zespołu śledzącego i skoordynuję akcję. Ma sześciu ludzi, oczywiście wszystkich pod bronią.

– W porządku. Niech pomyślę. Knockpogue Avenue na wysokości Fairfield Avenue. Myślę, że cztery wozy powinny załatwić sprawę, w sumie ośmiu funkcjonariuszy. Zaraz się porozumiem z sierżantem Mulroneym.

– Możesz się upewnić, że będziemy mieli w gotowości karetkę? Tylko na wszelki wypadek.

Następnie Katie zadzwoniła do sierżanta Boyle'a. Potwornie chrypiał, jakby zaczynało mu się przeziębienie.

– Nie widzieliśmy znaku życia od około wpół do pierwszej w nocy – wycharczał. – Przechwyciliśmy sporo połączeń komórkowych, ale żadne nie dotyczyło Iana Bowthorpe'a. Jasne, że idealnie byłoby zgarnąć za jednym zamachem tego Dorgana i resztę jego bandy. Ale... zgadzam się z panią, pani nadkomisarz, bezpieczeństwo brytyjskiego ministra obrony ma priorytet. Może sobie pani wyobrazić dyplomatyczną wrzawę, gdyby został zastrzelony, siedząc w Operze i patrząc na step irlandzki. Jezu Nazareński.



– Za kilka minut skontaktuje się z tobą nadkomisarz Pearse – powiedziała Katie. – Ja też będę na miejscu. Chcę zobaczyć tych facetów z bliska, poczuć, co z nich za ludzie i do czego są zdolni.

– Z mojego doświadczenia, pani nadkomisarz, to tylko banda oszustów. Nie potrafiliby powiedzieć, na czym polega ich wielka sprawa, nawet gdybym wsadził każdemu korkociąg w dupę i przekręcił... Przepraszam za swój język.

\* \* \*

Sierżant Begley kilka minut później wrócił na komendę. Towarzyszył mu detektyw Ó Doibhilin. Byli dobre kilka godzin po służbie, ale obaj zgłosili się na ochotnika na Fair Hill.

– Wiem. – Uśmiechnęła się. – Zależy wam tylko na nadgodzinach. Ale nie wydaje mi się, żebym mogła je wam wypłacić, nie teraz, kiedy wszyscy w Gardzie dostali podwyżki.

Tak naprawdę nie musiała osobiście nadzorować aresztowania zabójców z Autentycznej IRA. Mundurowi Pearse'a świetnie nadawali się do wykonania tego zadania, zwłaszcza że mieli za towarzystwo uzbrojony zespół śledzący. Była świadoma, że krytyka Franka Magoriana jest w jakiejś mierze uzasadniona. Za często wtrącała się w codzienną działalność operacyjną. Ale widziała zbyt wielu wysokich stopniem funkcjonariuszy Gardy niemających pojęcia o realiach służby operacyjnej i poświęcających cały czas na czynności administracyjne, konferencje w komendzie głównej w Phoenix Park lub kolacje łóż masońskich. Jak ojciec nie wierzyła, że zdoła skutecznie egzekwować prawo, nie znając przestępców równie dobrze jak swoich ludzi z Gardy i nie będąc na bieżąco ze wszystkimi nowymi przekrętami, sposobami wymuszania pieniędzy, sprzedaży narkotyków, stręczycielstwa lub kradzieży czego się tylko dało – od emerytur starsuszków po kombajny rolnicze.

„Muszę spojrzeć w te ich złe ślepie – mówił ojciec. – Muszę być tak blisko, żeby wywąchać ukradzione pieniądze w ich portfelach i cuchnący oddech, jakiego się nabawili, wygłaszając te swoje kłamstwa”.

Gdy jechali nieoznakowaną toyotą prius w górę Fair Hill, niebo zaczynało się przejaśniać. Kiedy dotarli do rogu Fairfield Avenue i Knockpogue, wydawało się, że wszędzie panuje spokój i nic nie wskazywało na to, że w tym miejscu ma się odbyć nalot Gardy. Zaparkowali przed frontonem zamkniętego baru z rybami i frytkami, w zatoczce postojowej dokładnie naprzeciwko domu Joego Keenana. Sierżant Begley sprawdził czas.

– Czerwony Pierwszy na pozycji – zameldował do mikrofonu na ramieniu.

– Odebrałem – wycharczał sierżant Boyle.

– Odebrałem – potwierdził sierżant Mulroney z zespołu nadkomisarza Pearse’a.

Siedzieli i czekali. Czas powoli mijał i niebo stopniowo bladeło. Zapowiadałby się ładny dzień, gdyby nie niskie ciemne zwały chmur na południowym zachodzie.

Szeregowy dom Joego Kłykciółamacza Keenana był po lewej stronie, ostatni z trzech. Wykończony tynkiem kamyczkowym, pomalowany na łososiowo, ze szkarłatnymi drzwiami. Zasłony zaciągnięto, chociaż w salonie zwisały na środku, tam gdzie zerwały się z żabek. Pod domem parkowały dwa samochody: szare bmw i volvo kombi barwy żółte safari, w którym zabójcy Autentycznej IRA przyjechali z Irlandii Północnej.

– Można by pomyśleć, że wybiorą mniej rzucający się w oczy wóz, no nie? – odezwał się Ó Doibhilin, pochylając się na siedzeniu. – To cud, że nie zwalili się vanem do sprzedaży lodów, podzwaniając.

Dokładnie o piątej trzydzieści sierżant Boyle zakaszał i wychrypiał:

– Dajemy, dajemy, dajemy!

Dwa czarne audi sedany z piskiem opon wypadły zza zakrętu Fairfield Avenue i wyhamowały pod domem Joego Keenana, blokując podjazd. Drzwi aut się otworzyły i wyskoczyło sześciu mężczyzn w czarnych kurtkach i kominiarkach. Dwa radiowozy Gardy wyjechały zza rogu i zaparkowały za audi, błyskając kogutami. Kolejne dwa radiowozy przyjechały szybko Knockpogue Avenue i hamując poślizgiem, zatrzymały się jakieś trzydzieści metrów od

domu i zablokowały ulicę. Ze wszystkich samochodów wyskoczyli funkcjonariusze w kamizelkach kuloodpornych, ale zachowali bezpieczną odległość. Ich zadaniem było odcięcie podejrzanym drogi ucieczki i powstrzymanie osób postronnych przed wkroczeniem na teren akcji. Katie wysiadła z samochodu i stanęła tak, że mogła obserwować nalot zza toyoty.

Usłyszała pukanie do drzwi frontowych i krzyk:

– Garda! Jesteśmy uzbrojenie! Garda! Jesteśmy uzbrojeni! Otwierać natychmiast!

Niemal zaraz po tym zadudnił taran.

Jednak gdy drzwi ustąpiły z hukiem, usłyszała wewnątrz strzały, trzy, jeden po drugim, a następnie serię z pistoletu maszynowego. Niewyraźnie zobaczyła, jak jeden z mężczyzn ze Specjalnej Jednostki Wywiadowczej pada na wznak na podjazd, za bmw. Inni skulili się i wycofali. Niecałe dwa metry za głową Katie dwa pociski wybiły gwiaździste otwory w oknie baru, a inny trafił w drzwi toyoty od strony kierowcy.

Katie nie trzeba było mówić, by przykucnęła. Wyjęła z kabury rewolwer i trzymała go wysoko.

Słyszała krzyki i dudnienie biegnących stóp, po czym nagle rozległa się długa seria wystrzałów z broni. Kiedy umilkły, ostrożnie wychyliła głowę i zobaczyła, że jedno z górnych okien domu Joego Keenana otworzyło się i zza zasłony wysunęła się lufa karabinka automatycznego, prawdopodobnie AK47 lub czeskiego vz. 52. Ludzie ze Specjalnej Jednostki klęczeli za niskim frontowym murkiem. Za każdym razem, gdy usiłowali się wyprostować, jeden z bandziorów z Autentycznej IRA oddawał strzał z sypialni i różowy beton rozpryskiwał się we wszystkich kierunkach.

Katie dała znak Begleyowi, który kulił się za przednim kołem toyoty.

– Każ Boyle’owi się wycofać – rozkazała. – I Mulroneyowi też. Niech całkowicie się wycofają.

– Co...?!

– Wygląda na to, że jeden z naszych dostał, Sean, i kto wie, ile

potrwa, zanim będziemy mogli go odciągnąć. Może się wykrwawić na śmierć.

– Nie mówi pani poważnie. Chce pani, żebyśmy się wycofali i pozwolili tym gnojom odjechać wolno?

– Słuchaj, to nie miejsce ani czas na oblężenie. Kto wie, ile broni i amunicji mają ze sobą ci faceci? Równie dobrze mogą mieć materiały wybuchowe. Skoro stoi za tym Dorgan, mogą też dysponować materiałem zapalającym TPA. Obok mieszkają ludzie i w tym domu poza trzema bandytami są też inni.

– No, to pewne. Jest też dobry, kochany Joe Keenan Kłykciotamacz. Gdyby miało mu się coś przytrafić, to chciałbym, żeby to było coś złego. Tyle tylko powiem. Ostatnim razem, jak dostarczyliśmy go do sądu, wywinął się od zabójstwa.

– Sean, nieważne, jaki z niego skurwysyn, jest żonaty, więc jego żona pewnie również tam jest. I popatrz w bok od garażu.

Begley zerknął na drugą stronę ulicy i zobaczył, o co jej chodzi. Za bmw stał prawie niewidoczny dziecięcy rowerek na trzech kołach.

– I widzisz to też? – spytała Katie. – To okienko nad werandą?

Kiedy słońce weszło, ukazał się wzór na zasłonach – bładoniebieskich w cyrkowe słonie.

Strzelanina ustała, ale ludzie ze Specjalnej Jednostki nadal kryli się za murkiem. Sierżant Boyle pomachał Begleyowi i krzyknął:

– Jaki jest plan B?!

Begley odwrócił się do Katie.

– Jaki jest plan B? Odpuszczamy i co dalej?

– Jedziemy za nimi, nie narzucając się, dopóki nie oddalą się od osób postronnych. Wtedy ich przyskrzyniamy.

– A jeśli ich zgubimy? Wystarczy, że znikną choćby na sekundę albo dwie. Mogą porzucić samochód i nigdy więcej ich nie zobaczymy... no, może nie nigdy. Dopóki nie strzelą do naszego przyjaciela Iana Bowthorpe'a.

– Sean... nie chcę więcej rannych. Wiem, jakie są podręcznikowe zalecenia na wypadek oblężenia, ale tu mamy do czynienia z Davym Dorganem, a on nie popełnia podręcznikowych przestępstw.

Wycofujemy się, pozwalamy im odjechać i dopiero potem dobieramy się do nich.

– W porządku, pani nadkomisarz, skoro tak chce pani to załatwić.

Begley porozumiał się przez radio z Boyle'em i Mulroneym. Przekazał im rozkaz Katie. Słyszając długą ciszę, która zapadła, nim odpowiedzieli, zrozumiała, jak bardzo nie podoba im się ten pomysł.

Usłyszała, jak Boyle wychrypiał:

– Poważnie?

Ściągnął kominiarzkę i zmarszczywszy brwi, z wyrazem głębokiego zwątpienia wpatrywał się w Katie przez ulicę. Odwróciła się. Czuła, że jeśli pozwoli na dalsze obłączenie, skończy się to tragedią. Najwyższy czas, by jej koledzy płci męskiej przyswoili sobie maksymę, że czasem dowodem prawdziwej siły jest pozwolenie sobie na pozory słabości.

Sierżant Begley zawezwał karetkę czekającą przy Close's Green, za rogiem i poza polem ostrzału. Pojawiła się w kilka sekund z błyskającą lampą, ale bez syreny.

Begley podbiegł do niej zgarbiony, minimalizując cel strzelcom w domu. Przez chwilę rozmawiał z ratownikami, po czym wrócił przez ulicę, machając białą poszewką zabraną z noszy.

– Słuchajcie! – wrzasnął w kierunku okna sypialni. – Odjeżdżamy! Zostawiamy was w spokoju! Nie chcemy tu więcej strzelaniny, słyszycie?!

Stał niczym nieosłonięty na podjeździe, machając pościelą. Po długiej ciszy lufa karabinka zniknęła i okno sypialni zostało zamknięte. Zaraz po tym czterej ludzie ze Specjalnej Jednostki przebiegli do karetki, żeby eskortować dwóch ratowników do wąskiego przejścia między ogrodowym murkiem a bmw, gdzie leżał ich kolega.

Katie wyszła zza toyoty i pogoniła resztę mundurowych do radiowozów.

– Gazem, chłopcy, szybko, no już! Ale nie rozjeżdżajcie się dalej niż kwartał. Do Upper Fairhill na zachodzie, Farranferris Green na południu, Fair Green na północy i do Rathpeacon Road na

wschodzie. To wystarczy, żeby zniknąć im z oczu, ale będziecie na tyle blisko, żeby nie dać im się wymknąć. Chłopcy ze Specjalnej Jednostki mogą jechać bliżej.

Podszedł do niej sierżant Boyle. Miał kwaśną minę.

– Jak twój podwładny? – spytała Katie.

– Powierzchnowa rana prawego ramienia i koszarne siniaki na klatce piersiowej. Ale kamizelka uratowała mu życie, co do tego nie ma wątpliwości. Nowy model PPSS, fantastyczna. Prawie nie czujesz, że masz coś na sobie, dopóki ktoś w ciebie nie walnie.

– Dzięki Bogu. To prawdziwa ulga.

Boyle spojrzął na okno sypialni i na drzwi frontowe. Leżały ukosem na podłodze, ale w korytarzu nie było widać żywej duszy.

– Naprawdę pani uważa, że tak należy to załatwić? – spytał. – To całkowicie wbrew procedurom i temu, co mi serce podpowiada.

– Wiem, że to strasznie kuszące runąć do ataku i grzać ze wszystkich luf, kiedy krew wali do głowy – powiedziała Katie. – Ale zastanów się. Ci bandyci nie mają dokąd uciec. Jaki sens do nich strzelać i ryzykować życie innych mieszkańców? Tam jest co najmniej jedna kobieta.

– Naprawdę pani myśli, że są na tyle głupi, żeby uciekać?

– Nie wiem. Mam nadzieję, że pójdą po rozum do głowy i poddadzą się.

Sierżant Boyle chwilę myślał.

– W porządku – dał w końcu za wygraną. – Ale co się stanie, kiedy nie uciekną, nie poddadzą się i zostaną w domu?

– To ulsterczycy – wtrącił się Begley. – Jak się zdecydują zostać, po prostu czekamy na dworze, dopóki nie skończy im się herbata.

Chociaż dowcipkował, był jednocześnie śmiertelnie poważny i wszyscy wiedzieli, co naprawdę myśli. Ci z Autentycznej IRA mieli tylko dwa wyjścia: wynurzyć się z podniesionymi rękami albo spróbować ucieczki. Niezależnie od tego, jaką podejmą decyzję, nie mogli kontynuować zadania, musieli zostawić lana Bowthorpe'a w spokoju.

Wozy patrolowe rozjechały się w różnych kierunkach, gazując

silnikami i piszcząc oponami, ile wlaźło, tak że ci z Autentycznej IRA nie mogli nie usłyszeć, że zniknęły. Ludzie ze Specjalnej Jednostki wrócili do nieoznakowanego czarnego audi i wsiedli, trzaskając drzwiami. Katie, Begley i detektyw Ó Doibhilin ruszyli za samochodem sierżanta Boyle'a. Skręcił za róg, w Fairfield Avenue, lecz przejechał tylko jakieś sto metrów, po czym zawrócił do Knockpogue Avenue. Begley, który siedział za kierownicą, trzymał się blisko niego.

Odczekali pół godziny, ale nic nie wskazywało, że ich cele mają zamiar opuścić dom. Katie na chwilę przymknęła oczy. Ogarnęło ją zmęczenie i poczuła głód. Oddałaby miesięczną pensję za cappuccino.

– Bardzo przepraszam, pani nadkomisarz – odezwał się nagle Ó Doibhilin – ale strasznie mnie ciśnie.

– To idź pod tamten murek – poradziła mu Katie.

Wysiadł z samochodu, szybkim krokiem podszedł do murku przy przystanku autobusowym i stanął przy nim odwrócony plecami.

– Dzisiaj to dzieciaki. – Begley się skrzywił. – Kiedy ja byłem w Templemore, pierwsze, co nas uczyli, to wytrzymać dwadzieścia cztery godziny, nawet jak pęcherz pękał.

Katie nic nie odpowiedziała. Sama nie miała by nic przeciwko temu, by skorzystać z toalety, więc wołała o tym nie myśleć.

Ó Doibhilin podciągnął suwak rozporka i wracał do radiowozu, gdy nagle usłyszeli przez radio warknięcie Boyle'a:

– Zmywają się! Dają dyla!

Jego audi obudziło się z rykiem i z piskiem opon odskoczyło od krawężnika. Równocześnie żółte volvo kombi wyskoczyło z Knockpogue Avenue, przecięło Fairfield Avenue i zniknęło, kierując się na południe, do centrum Cork.

Audi ostro skręciło za róg i pognało za nim jak lew za gazelą. Ó Doibhilin wskoczył do toyoty i nim zdążył zatrzaskać drzwi, Begley już uruchomił silnik i wbił w podłogę pedał gazu. Nikt nie odezwał się słowem, gdy ślizgiem wjechali w Knockpogue Avenue i popędzili za audi z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Katie

mocno trzymała się uchwytu na drzwiach. Po obu stronach ulicy parkowały samochody, tak że przy tej szybkości było niebezpiecznie wąsko i ich samochód z hukiem skasował boczne lusterko range rovera.

Przemykając obok Farranferris Green, zobaczyli czekający radiowóz Gardy, ale było widać, że volvo jedzie za szybko, by mógł je zatrzymać, nie ryzykując, że dojdzie do fatalnej w skutkach kolizji. Jednak gdy tylko volvo go minęło, radiowóz natychmiast włączył koguta i ucpeł się ich zderzaka.

– Na litość boską, dlaczego oni sobie nie odpuszczają?! – wykrzyknął Begley, gdy wóz w wóz z piskiem opon okrążali niewielkie rondo. Volvo jeszcze przyspieszyło, gdy runęli w dół Fair Hill.

Katie widziała, jak raz za razem uderza o parkujące po obu stronach samochody. Fruwały migoczące kawałki lusterek. Było oczywiste, że ci mężczyźni są zdesperowani, ale równie oczywiste było to, że nikt nie będzie w stanie ich zatrzymać. Nic nowego. Kryminaliści z długą kartoteką wolą raczej śmiertelną kulę podczas próby ucieczki niż powrót za kraty na następne dziesięć lat.

Kiedy zbliżali się do centrum i rzeki, ulice się zwężyły i stały się jeszcze bardziej spadziste, ale żółte volvo nadal podskakiwało i zataczało się między sklepami i domami mieszkalnymi z tą samą szaloną prędkością co dotychczas, a czarne audi sierżanta Boyle’a trzymało się zaledwie kilka metrów dalej. Katie słyszała, jak zawieszenie łomoce i dzwoni, gdy trafiali na wyboje w asfalcie.

Jakimś dziwnym zrzędzeniem losu dojechali do podnóża Shandon Street przy Farren’s Quay, tuż obok zabitej deskami skorupy, która pozostała ze studia tańca Toirneach Damhsa. Hamulce volvo zadymiły, gdy zahamowało z poślizgiem. Jednak gdy próbowało skręcić w lewo, wyrosła przed nim wielka ciężarówka Guinnessa, trąbiąca jak rozjuszony stoń.

Farren’s Quay to jednokierunkowa ulica biegnąca w kierunku zachodnim i volvo nie miało jak wyminąć ciężarówkę, mimo że próbowało precyzyjnie się chodnikiem. Kierowca odwrócił się i usiłował wycofać się na wstecznym, ale audi Boyle’a wyjechało zza



rogu i uderzyło w volvo tuż za tylnym kołem, obracając samochód bokiem.

Ludzie ze Specjalnej Jednostki natychmiast otworzyli tylne drzwi, ale w tym samym czasie otworzyły się również drzwi volvo od strony pasażera. Mężczyzna w czarnym swetrze i dżinsach podniósł karabinek maszynowy i wystrzelił w audi trzy krótkie serie, rozbijając przednią szybę i boczną tylną. Ludzie Boyle'a schylili się, chowając się za drzwiami, na co bandzior z Autentycznej IRA wskoczył do volvo, zatrzasnął drzwi i wycofał się z piskiem opon, potrącając audi.

Sierżant Begley zwolnił nieco, dojeżdżając do Farren's Quay, a gdy tylko usłyszał serię z karabinka maszynowego, wcisnął hamulec i zaczął się cofać. Kiedy wjechał za narożną kwiaciarnię, Katie wyskoczyła z toyoty, wyciągając rewolwer z kabury. Przez szyby kwiaciarni ostrożnie sprawdziła, co się dzieje.

Volvo wbiło się w balustradę na Griffith Bridge. Niewątpliwie utknęło, bo Katie słyszała wizg opon i widziała chmury czarnego dymu z palącej się gumy. Ludzie ze Specjalnej Jednostki wykorzystali sytuację i strzelali z karabinków Heckler & Koch w grill i przednie koła volvo. Trzaski, łomoty brzmiały jak podczas pokazu sztucznych ogni.

Szyba od strony pasażera w volvo opadła, bandyta z Autentycznej IRA wystawił karabinek i oddał kolejną serię. Pociski rykoszetowały we wszystkich kierunkach, grzechocząc na chodniku i rozbijając fasadę zakładu pogrzebowego. Nagle silnik volvo zawył na najwyższych obrotach i samochód zadygotał konwulsyjnie raz za razem między barierkami mostu. W końcu uwolnił się z piskiem metalu, samochód ruszył i po raz drugi staranował audi. Funkcjonariusze Specjalnej Jednostki skupili ogień na drzwiach, pokrywie silnika i zbiorniku paliwa volvo. Oszczędzali okna – mieli rozkaz zabić podejrzanych jedynie w ostateczności.

Szyby kwiaciarni osłoniły Katie, gdy wybuchł zbiornik paliwa. Rozległo się basowe łŁAAMM i potoczyła się wielka, pomarańczowa kula ognia, która szybko zmieniła się w gęsty czarny dym. Nawet za rogiem Katie czuła falę ciepła.

Prawie jednocześnie nastąpiła druga eksplozja, dziesięć razy potężniejsza niż wybuch zbiornika paliwa. Katie owionął powiew przegrzanego powietrza. Witryna kwiaciarni popękała jak poruszona tafla lodu i runęła na ziemię.

Dwaj ludzie ze Specjalnej Jednostki padli na plecy, ale Katie nie mogła oderwać wzroku od volvo. Płonęło jak gigantyczny staromodny piec kuchenny rozpalony do białości. W żarze widziała jedynie sylwetki trzech mężczyzn z przodu i jednego z tyłu. Wymachiwali rękami jak gigantyczne marionetki.

Kierowca volvo ostatnim rozpaczliwym odruchem zdołał wrzucić wsteczny i wcisnąć pedał gazu. Płonący samochód, zygzakując, wspiął się na chodnik i przeciskał przez balustradę mostu z rozdzierającym zgrzytem metalu, od którego Katie rozboleły zęby. Volvo kilka sekund balansowało na obrzeżu mostu, po czym spadło tyłem do rzeki i wylądowało w wodzie z hukiem zdwojonym chlupotem i ogłuszającym sykiem. Chmury dymu i pary kłębiły się w powietrzu, roznosząc smród benzyny i stopionego plastiku.

Katie i Begley podbiegli do mostu i spojrzeli w wodę. Trwał przyptyw, więc stan rzeki był wysoki, ale nawet woda nie potrafiła ugasić ognia. Jej lustro szaleńczo kipiało, kłębiło się, a pod nim migotały na zielono zarysy volvo. Nadal płonęło. Katie była pewna, że widzi człowieka siedzącego na miejscu pasażera. Konwulsyjnie wymachiwał wystawionym przez okno ramieniem.

Ó Doibhilin podszedł, zatrzymał się za plecami Katie i wpatrywał w przedziwnie błyszczącą rzekę i samochód, który nadal gorzał pod powierzchnią wody.

– No to jest, kurde, niemożliwe – wyszeptał.

– Możliwe – powiedziała Katie. – To najpewniej TPA, ta sama substancja, której użyto do spalenia studia. Wybuchający zbiornik paliwa posłużył za zapalnik. TPA płonie w każdych warunkach, jak magnez, nawet w próżni albo pod wodą.

Sierżant Begley wzywał właśnie straż pożarną i karetkę.

– Powiedzieli, że będą najpóźniej za pięć minut – powiedział, gdy skończył. – Ale szczerze mówiąc, nie wiem, co za sens wzywać

jednych i drugich. Jak straż ugasi ogień pod wodą i jak ratownicy pomogą trzem gościom, którzy się spalili, utopili, a na dodatek zaliczyli parę kulek?

## ROZDZIAŁ 35

Dwie godziny później Katie zwołała nieformalną konferencję prasową na stopniach komendy przy Anglesea Street. Świeciło słońce, ale wiał zimny wiatr, tak że płaszcze wszystkich łopotały jak pranie na sznurku.

Fionnuala Sweeny z *Ireland AM* nadawanego w stacji RTÉ bardzo chciała wykorzystać powyginaną balustradę Farren's Quay jako tło, ale Katie nakazała odgrodzić północne nabrzeże rzeki Lee w kierunku zachodnim, od John Redmond Street do Shaky Bridge.

– Na tym etapie mogę tylko powiedzieć, że w pojeździe, który śledziliśmy od pewnego czasu, znajdowało się trzech podejrzanych. Byli podejrzani o posiadanie broni palnej i materiałów wybuchowych i nasze podejrzenia okazały się słuszne.

– Czy znacie ich tożsamości? – spytał Dan Keane z „Examinera”.

– Wierzymy, że tak, ale ich ujawnienie byłoby przedwczesne. Muszę podkreślić, że dzisiejsze poranne wydarzenia były tylko częścią toczącego się szerokiego śledztwa.

– A czego dokładnie dotyczy to szerokie śledztwo, pani nadkomisarz?

– Nie mogę jeszcze przekazać tej informacji.

– Czy ci trzech podejrzani... byli związani z jakimś gangiem lub organizacją polityczną? Chodzi mi o to, pani nadkomisarz, czy rozmawiamy tu o zwykłym przestępstwie, czy o terroryzmie?

– Dan, powtórzę, że gdybym w tym momencie powiedziała cokolwiek więcej, mogłoby to poważnie zaszkodzić dochodzeniu.

– Były dwie strzelaniny: jedna na Fair Hill i druga tu, przy Farren's Quay – zauważyła Fionnuala Sweeney. – Zakładam, że był między nimi związek.

– Bez komentarza.

– Kto strzelał? Czy można powiedzieć, że w obu wypadkach w

wymianie ognia uczestniczyli ludzie z Regionalnej Jednostki Wsparcia? Czy ze Specjalnej Jednostki Wywiadowczej?

– Niestety, nie jestem upoważniona do podawania takich szczegółów tej operacji, Fionnualo. W stosownym czasie wygłoszę oświadczenie, ale na razie to wszystko.

– Co z tym samochodem, który wpadł do rzeki? – spytał Dan Keane. – Rozmawiałem z kilkoma świadkami zdarzenia i niektórzy twierdzą, że kiedy był już pod wodą, nadal płonął. Jak to możliwe?

– Na razie bez komentarza.

– Ale ci świadkowie twierdzą, że wciąż się palił, chociaż był cały pod powierzchnią.

– Bez komentarza, Dan. Wezwaliśmy z Haulbowline pływaczów marynarki wojennej, żeby wyciągnęli trzy ciała, a potem dźwig wydobył z dna rzeki pojazd. Kiedy to nastąpi, laboratorium kryminalistyczne będzie mogło przeprowadzić dokładne badania zarówno ciał, jak i pojazdu.

– Czy to śledztwo ma jakikolwiek związek z dzisiejszą wizytą w Cork brytyjskiego ministra obrony?

Katie posłała pytającemu lodowaty uśmiech i zakończyła konferencję słowami:

– To wszystko na razie. Dziękuję państwu za przybycie. Mathew McElvey skontaktuje się z wami, kiedy... jeśli będzie coś więcej do przekazania.

\* \* \*

Gdy wróciła do gabinetu, od razu przyszła Moirin, przynosząc cappuccino. Katie zdjęła kurtkę, usiadła na kanapie i zrzuciła z nóg buty do kostek.

– Matko Boska, ale jestem wykończona – jęknęła.

– No, widziałam panią w telewizji – powiedziała Moirin. – To był straszny odgłos, jak ten samochód wpadł do rzeki.

– Nie najszcześniejszy początek dnia. Ale teraz naprawdę muszę trochę się przespać, choćby kilka godzin.

– Przynieść pani coś do jedzenia?

– Nie, może później, Moirin. Powieki same mi opadają.

Kiedy tylko dojechała na komendę, zadzwoniła do Mullikena, by przekazać mu najświeższe informacje. Przed południem miała wystąpić o nakaz aresztowania Joego Kłykciołamacza Keenana pod zarzutem uczestnictwa w nielegalnym spisku. Dom Keenanów już zabezpieczono, czterej mundurowi stali na zewnątrz i nikogo nie wypuszczali ani nie wpuszczali.

Tymczasem w całym mieście podjęto poszukiwania Davy’ego i Cissy Dorganów. Ponad trzydziestu funkcjonariuszy chodziło od domu do domu, do każdego znanego członka Autentycznej IRA i bandy przemytników papierosów Davy’ego Dorgana; sprawdzali każde zgłoszenie.

Ani Liam O’Brien, ani Murtagh McCourt nie wrócili do domu i żaden z nich nie był widziany, od kiedy zabrano Cissy ze szpitala.

Na polecenie Katie sierżant Begley miał zdać MacCostagáinowi pełną relację z nieudanego oblężenia przy Knockpogue Avenue i wymiany ognia przy Farren’s Quay. Dla niej najważniejsze teraz było poznanie tożsamości trzech martwych mężczyzn z volvo, a także tego, jakiego rodzaju broni i materiałów wybuchowych używali. Następnie czekała ją odprawa, na której należało przedyskutować, jakiego rodzaju działania trzeba podjąć w dalszej kolejności. Potrzebowała nie tylko opinii podwładnych, ale też ludzi ze Specjalnego Biura Śledczego, odpowiedzialnych za bezpieczeństwo Iana Bowthorpe’a. Obawiała się, że skoro Davy Dorgan wciąż przebywa na wolności, może planować inny zamach, chociaż teraz, kiedy zawodowi zabójcy z Ulsteru zostali wyeliminowani, było to o wiele mniej prawdopodobne.

Położyła się na kanapie, zamknęła oczy i w parę minut zasnęła. Śniła, że spaceruje z Barneyem po lesie, ale pies ciągle się gubił. Wołała go i wołała, lecz kiedy się zjawił, wyglądał jakoś inaczej; jego ruda sierść straciła blask i wybałuszał ślepią.

„Nie jesteś Barneyem – powiedziała we śnie. – Jesteś innym psem”.

Znów gdzieś pobiegł i tym razem nie wrócił. Katie przedzierała się

przez zarośla, ale były coraz bardziej kłujące i splątane i po chwili kolczaste gałązki tak pokryły jej kurtkę, że nie mogła się ruszyć.

„Gdzie jesteś?! – wołała psa. – Nie wiem, gdzie jesteś!”.

– Jestem tutaj – usłyszała kobiecy głos.

Otworzyła oczy. Nad nią z uśmiechem na twarzy pochylała się doktor Kelley, zastępczyni anatomopatologa krajowego. Rozbawiona, unosiła cienko wyskubane brwi.

– Och, przepraszam. – Katie usiadła. – Kompletnie mnie zaćmiło. Ostatniej nocy w ogóle nie spałam.

– Przepraszam, że panią obudziłam, ale pomyślałam, że przyjdę osobiście – powiedziała doktor Kelley. – Skończyłam sekcję Dennehy i spieszę się na pociąg o dwunastej dwadzieścia do Dublina.

– Och. Kiedy pani wraca? Będziemy pani potrzebować w poniedziałek.

– Słyszałam rano przez radio, że z rzeki wyciągnięto trzech martwych gości, ale będzie musiał przyjechać i zająć się nimi doktor Mulready. Mam urodziny i wzięłam kilka dni urlopu na wyjazd do Włoch w przyszłym tygodniu, do Werony.

Katie wstała i podeszła do biurka. Jej cappuccino nadal stało, ale całkowicie wystygło i pianka opadła.

– A więc... co z tą Dennehy? Wyglądało mi na to, że została zgwałcona.

– Trafiła pani w dziesiątkę. Zgwałcona i był to gwałt zbiorowy. Na szczęście dla nas nie zrobiła tego, co odruchowo robi większość kobiet, gdy zostają zgwałcone, to znaczy nie umyła się. Odnoszę wrażenie, że chyba chciała zostawić dowody rzeczowe.

– Ilu było tych gwałcicieli?

– Dokładnie trudno powiedzieć, ale test na obecność fosfatazy kwaśnej i test choinkowy... nazywamy go tak z powodu barwników, które stosujemy; kwaśny indygo karmin barwi witkę i szyjkę plemników na zielono, podczas gdy czerwień jądrowa barwi główki na szkarłatno... W każdym razie testy bezsprzecznie wykazały, że płyn w pochwie Dennehy to nasienie.

– Tak. – Katie wiedziała, o czym mowa, ale zawsze uważała tego

rodzaju żartobliwą terminologię za niewłaściwą, biorąc pod uwagę okoliczności, które zmuszały do wykonania testów.

– Komórki spermy uległy znacznemu rozkładowi od czasu gwałtu – ciągnęła doktor Kelley – ale w pochwie zwykle okres przetrwania jest dłuższy. Oceniając po ilości, jest to nasienie więcej niż jednego mężczyzny, możliwe, że trzech lub czterech. Przeciętny wytrysk to trzy i pół mililitra, a znalazłam prawie trzy razy tyle. Część wytrysków nastąpiła w głębi pochwy, ale znalazłam część nasienia przy samych wargach sromowych, a nawet na nich, więc da się odróżnić poszczególne próbki.

– Jezu... Biedna kobieta.

– Jest jeszcze coś, co wyraźnie wskazuje, że napastników było kilku. Ilość plemników w próbkach ejakulatu znacznie się różni. Palenie i picie alkoholu dramatycznie obniża zagęszczenie plemników, a w przynajmniej jednej próbce stwierdziłam oligospermie lub całkowity brak plemników. Podejrzywałam, że gwałtocieli mogło być nawet więcej niż czterech i któryś z nich w ogóle nie miał wytrysku, dlatego przeprowadziłam również test na specyficzny antygen gruczołu krokowego. Z tym jednak należy zachować ostrożność, bo ten antygen jest również wytwarzany przez gruczoły większości kobiet w okolicy cewki moczowej. Może nawet być obecny w mleku matki.

– Wysłała pani testy DNA Billowi Phinnerowi?

– Oczywiście. Sama przywiozłam je na komendę i przekazałam mu, zanim przyszłam do pani.

– Przyczyna zgonu?

– Uduślenie przez powieszenie z użyciem sznura. Stwierdzenie, czy mamy do czynienia z samobójstwem, czy nie, należy już do koronera. Ja tylko zaznaczę, że wielu samobójców wyściela sznur, żeby uniknąć bólu. – Przerwała zasmucona i dodała: – Ale może ona chciała, żeby bolało. Z tym też się już spotkałam.

– Dziękuję, pani doktor.

Doktor Kelley podała Katie plastikową różową teczkę.

– Tu jest pełny raport i DVD ze wszystkimi zdjęciami. Poza siniakami nie miała żadnych wyraźnych znaków na ciele, jedynie



niewielki tatuaż na lewym barku.

– Co miała wytatuowane?

– Ptaszka. Chyba słowika.

Odbierając kopertę, Katie poczuła, że się rumieni.

*Skarbie, tatuaż mam... to ptaszek na mym ramieniu...*

\* \* \*

Wzięła prysznic i włożyła ciemnozielony kostium. Moirin przyniosła jej świeżą kawę i kanapkę z jajkiem.

Właśnie jadła, kiedy Frank Magorian wszedł bez pukania do gabinetu. Miał na sobie czarny garnitur i krawat, jakby właśnie wrócił z pogrzebu.

– No, można powiedzieć, że spartoliłaś to od początku do końca – oznajmił, podchodząc do biurka i stojąc z ramionami skrzyżowanymi na piersiach.

– Och, dzień dobry, panie komendancie – odparła na to Katie, opuszkami palców zbierając z ust okruszki chleba.

– Dostałem dziś oficjalną skargę z Harcourt Street. Byli bardziej niż trochę urażeni twoim sposobem pokierowania akcją oblężenia na Fair Hill i zlekceważeniem dowódcy ich grupy. Co do tego pokazu ogni sztucznych nad rzeką... Na świętą Joannę, co to było? Mój telefon od rana nie przestaje dzwonić.

Katie wzięła głęboki, uspokajający oddech.

– Panie komendancie... z pełną świadomością zdecydowałam, że należy się wycofać sprzed domu Keenana, ponieważ jeden z funkcjonariuszy Specjalnej Jednostki Wywiadowczej został postrzelony i zraniony, i nie chciałam oglądać więcej strat. Mieszkańcy domu i sąsiedzi byli narażeni na wielkie ryzyko. Wymiana ognia była tak gęsta, że nawet ewakuacja groziła niebezpieczeństwem.

– Więc w tej sytuacji zdecydowałaś się na szaleńczy pościg po centrum Cork i jak mi przekazano, gigantyczne fajerwerki? To twoja mniej ryzykowana alternatywa, tak?

Katie spojrzała mu prosto w oczy.

– Było bardzo wcześnie rano i chodniki były puste. „Fajerwerki” zostały spowodowane materiałami wybuchowymi, które podejrzani przewozili w pojeździe. Tylko oni ponieśli śmierć. Biorąc pod uwagę, że strzelali do nas z broni maszynowej, można powiedzieć, że sami ściągnęli na siebie zgubę.

– Nie o widowiska nam tu chodzi. Jesteśmy w Cork, Katie, nie na Dzikim Zachodzie.

Już chciała mu wygarnąć, że tak naprawdę z równowagi wyprowadziło go to, że reżyserem widowiska była kobieta. Prośba inspektora Mullikena, by Specjalne Biuro Śledcze śledziło trzech podejrzanych, musiała zgodnie z procedurą przejść przez biuro zastępcy komendant głównej, więc gdyby akcja na Fair Hill zakończyła się sukcesem, możliwe, że zasługę przypisano by Magorianowi.

– Około drugiej mam naradę, na której trzeba będzie zdecydować, jakie dalsze działania powinniśmy podjąć wobec Davy’ego Dorgana i reszty jego bandy. Zawiadomię pana o dokładnej godzinie i będzie nam bardzo miło, jeśli weźmie pan w niej udział.

– Dam znać, czy będę mógł. Czekam lunch w Maritime College. Z kontradmirałem Tullym, burmistrzem i brytyjskim ministrem obrony.

– Mam nadzieję, że lunch się uda, panie komendancie. – Kusilo ją dodać: „Tylko niech pan nie przyleci błagać o pomoc, jak oś łosia utknie panu w gardle”, ale i tym razem nic nie powiedziała, tylko się uśmiechnęła.

Zjadła kanapkę i poszła do nadkomisarza Pearse’a, bo chciała poznać ostatnie ustalenia w sprawie wieczornego konkursu w Operze.

– Spodziewamy się kompletu, to znaczy tysiąca osób – powiedział Pearse. – Rozstawimy pięćdziesięciu funkcjonariuszy wokół Emmett Place i Lavitt’s Quay. Następnym razem dwudziestu wewnątrz budynku Opery i oczywiście Bowthorpe będzie miał pięciu własnych ochroniarzy.

– Spadłby mi kamień z serca, gdybyśmy do wieczora mogli

wyśledzić Davy'ego Dorgana – wyznała Katie. – Ale... wszyscy twoi ludzie mają jego zdjęcia, prawda? I zdjęcia tych typów z jego najbliższego otoczenia?

– Tak, oczywiście. Rano przeprowadziliśmy staranne przeszukanie budynku od piwnic po dach. Powtórzymy to przed otwarciem drzwi, żeby się upewnić, że nie pozostawiono żadnego podejrzanego pakunku. Poza tym będzie obowiązywał całkowity zakaz wchodzenia za kulisy, nieobejmujący tylko tancerzy i kierowników grup tanecznych.

– Wspaniale, Michael, dziękuję.

Kiedy wróciła do gabinetu, zastała siedzącą przy oknie Kynę. Miała na sobie szary, krótki żakiet bez kołnierza i szarą skromną spódniczkę; usta pomalowała ciemnoczerwoną, lśniąca pomadką. Wstała, gdy zjawiała się Katie, ale nie podeszła, nie pocałowała jej, bo drzwi do pokoju Moirin były otwarte.

– Jaki plan na dziś wieczór, pani nadkomisarz? – spytała.

– Będziesz miała największe pole do popisu, kiedy zmieszasz się z tłumem podczas konkursu w Operze – powiedziała Katie. – Widziałaś większość ekipy Dorgana w Templegate, prawda? Jeśli rozpoznasz kogoś, nie wahaj się. Najpierw aresztuj, potem wyjaśnij.

Kyna skinęła głową. Milczała.

– Musimy pogadać, prawda? – odezwała się po długiej chwili.

– Tak. Ale nie teraz. I nie dzisiaj. Najpierw musimy zdjąć Dorgana i dowiedzieć się, co się stało z Cissy. Potrzebuję cię teraz, Kyno. Znasz lepiej tych sukinsynów niż ktokolwiek z nas.

Zaczęła jej opowiadać o wynikach sekcji zwłok Maggie Dennehy, gdy pojawił się Bill Phinner, niosąc w uniesionej ręce przezroczystą plastikową torebkę na materiał dowodowy, jakby to była wygrana na jarmarku złota rybka. W torebce był czarny samopowtarzalny pistolet marki Glock, który znaleziono po strzelaninie pod domem Dorganów.

– Możemy na chwilę odłożyć nasze sprawy, Kyno? – spytała. – Bill, mam nadzieję, że przynosisz mi jakieś wyniki!

– Jeśli szczęście dopisze, pani nadkomisarz – odparł, jak zawsze znużonym tonem.

– Właśnie mówiłam sierżant Ni Nuallán o próbkach, które doktor Kelley pobrała ze zwłok Dennehy. Zbiorowy gwałt, nie ma wątpliwości.

– Właśnie sprawdzamy te próbki. Sporo spermy różnego pochodzenia, nic tylko się i płakać, ale badanie DNA pozwoli nam ją rozróżnić.

Położył pistolet na biurku Katie.

– Ciekawy egzemplarz. Glock siedemnaście C trzeciej generacji, wyprodukowany w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym. Zrobiliśmy próby balistyczne i nie ma żadnych wątpliwości, że z tej broni zastrzelono Ronana Barretta na poddaszu studia tańca i prawdopodobnie też Saoirse MacAuliffe – i że jest to ta sama broń, której użyto do zastrzelenia Nialla Gleesona. I, oczywiście, do rozwalenia szczęk Berniego Dennehy’ego.

– Użyto go we wszystkich przypadkach? Udało ci się zidentyfikować właściciela?

– Widzi pani, jak głębokie są żłobienia na chwycie, więc nawet z pomocą Live Scanu zdjęcie odcisków palców jest prawie niemożliwe. Na prawym boku są jednak trzy bardzo wyraźne odciski, a na lewym odcisk kciuka. Jest też odcisk na języku spustowym i chociaż został częściowo zatarty, odpowiada jednemu z tych na prawym boku.

– Udało ci się go zidentyfikować?

– Tak. Davy Dorgan miał go w rękach, jak sam się do tego przyznał. Odcisk na spuście jest jego. Ale inne należą do Berniego Dennehy’ego. Jeśli ta broń była własnością Davy’ego Dorgana, to jak mogły się na niej znaleźć odciski Berniego Dennehy’ego?

– Ile pocisków jest w magazynku?

– Trzy na możliwych osiem. Ale tu pojawia się inne pytanie. Odciski palców na pociskach w magazynku odpowiadają tym na dwóch łuskach, które znaleźliśmy we frontowym ogródku Dorganów, ale żaden z nich nie należy do Dorgana ani do Dennehy’ego. Żaden z tych dwóch nie ładował tej broni.

– Może mamy w bazie danych odciski tego, który to zrobił?

Bill Phinner pokręcił głową.

– Można oszaleć – rzuciła Katie. – Ktoś załadował ten pistolet i użył go do zastrzelenia dwójki tancerzy. Inspektor Mulliken skłania się do przypuszczenia, że w studiu tańca strzelał Dorgan, ponieważ to on mógł wejść w posiadanie chemikaliów, które wywołały pożar. Z drugiej strony, to Dennehy miał motyw, by zabić Gleesona, bo ten sypiał z jego żoną. Ale jeśli pistolet należał do Dennehy'ego, z jakiego powodu miałby zabijać tancerzy? I co nim kierowało, kiedy próbował zastrzelić Dorgana? I kto załadował broń?

– I kim byli uczestnicy zbiorowego gwałtu na Maggie Dennehy? – wtrąciła Kyna.

Katie popatrzyła na leżący na biurku pistolet.

– Myślę, że kiedy się tego dowiem, wszystko inne znajdzie swoje miejsce w tych puzzlach. Taką przynajmniej mam nadzieję. Puzzle to pomysł inspektora Mullikena, ale jeśli chcecie znać moją opinię, ktoś upuścił je na podłogę i wszystkie się rozsypały.

– Jeżeli znajdziemy w bazie danych DNA choćby jednego gwałtociela, będę mógł dojść, kim byli pozostali – powiedział Bill Phinner.

– Znalezienie Dorgana i Cissy to też byłoby coś. Modlę się, żeby nic złego nie spotkało tej małej. Dorgan nie zawaha się poświęcić siostry, żeby uratować własną skórę.

## ROZDZIAŁ 36

Gdy Katie i Kyna podjechały pod lśniący szklany fronton budynku Opery, Emmett Place był już zatłoczony, chociaż kolejka dopiero zaczęła powoli mijać obrotowe drzwi. Obie miały pod płaszczami przeciwdeszczowymi wieczorowe kreacje. Katie – nową bordową sukienkę od Rolanda Moureta, kupioną w zeszłym miesiącu na wyprzedaży w domu towarowym Brown Thomas; Kyna – granatową ołówkową sukienkę, którą znalazła w Cork Vintage Quarter.

Po obu stronach Emmett Place i wzdłuż nabrzeża rozmieszczono mundurowych. Co najmniej sześciu stało w foyer; przepuszczali gości przez bramkę z detektorem metali i szybko obszukiwali tych, przy których czujniki się uaktywniły. W pobliżu siedział policyjny czarny labrador, obwąchując przechodzących. Mimo zastosowania wielu środków bezpieczeństwa foyer rozbrzmiewało gwarem głosów i śmiechem. Z głośników dolatywał *Banshee Reel*, co jeszcze bardziej podgrzewało atmosferę.

– Powinam iść do baru i pokazać się VIP-om – powiedziała Katie, gdy zostawiły w szatni płaszcze. Żeby pokonać hałas, musiała prawie krzyżeć.

– W porządku, pani nadkomisarz – odparła na to Kyna. – Ja wmięszam się w tłum i zobaczę, może kogoś rozpoznam.

Przelotnie uściśnęła dłoń przełożonej i zniknęła w tłumie.

Katie poszła na górę do baru Blue Angel, już pełnego dygnitarzy w strojach wieczorowych. Za szklanymi ścianami migotała rzeka. Katie widziała, że otwarto już dla ruchu Camden Quay, chociaż na rogu Griffith Bridge, tam gdzie volvo przebiło balustradę, nadal błyskały pomarańczowe światła ostrzegawcze i stały barierki.

Ian Bowthorpe stał w głębi baru, rozmawiając z burmistrzem i dwoma parlamentarzystami z Cork. W pobliżu stali Frank Magorian – wyróżniający się swą dużą głową, przystojny i elegancki – i

komendant MacCostagáin w przyciasnym smokingu, jakby nie wkładał go od przywitania nowego tysiąclecia. Był spocony i wyraźnie skrępowany.

W pobliżu brytyjskiego ministra kręciło się pięciu dobrze zbudowanych mężczyzn w smokingach. Żaden się nie uśmiechał i nie uczestniczył w rozmowie. Nieustannie omiatali wzrokiem gości w barze, chociaż Katie nie przypuszczała, by Bowthorpe'owi groziła napaść ze strony siwowłosego Eibhlina O'Reilly'ego z An Coimisiún Le Rinci Gaelacha – jednego z sędziów Komisji Tańca Irlandzkiego w Cork, który musiał mieć co najmniej osiemdziesiąt lat – czy eleganckiej dyrektorki Opery Feeny McGrath lub innych specjalnie zaproszonych gości.

Ian Bowthorpe był wysoki, prawie tak jak Frank Magorian, ale nie licząc piwnego brzucha, był niezwykle szczupły, miał orli nos i wąskie ramiona. Przypominał flaminga. Miał wystające zęby, a na policzkach płonęły mu drobne plamy rumieńców. Mimo że Katie stała po drugiej stronie baru, słyszała jego manieryczną wymowę, gdy cedził słowa.

Udało jej się przebić przez tłum i gdy znalazła się blisko Bowthorpe'a, MacCostagáin dokonał prezentacji:

– Panie ministrze, proszę pozwolić przedstawić sobie detektyw nadkomisarz Kathleen Maguire, jedną z najjaśniejszych gwiazd Cork.

Ian Bowthorpe schylił głowę.

– To niezwykła przyjemność, pani nadkomisarz. Z wielkim uznaniem widzę, że kobiety stopniowo zajmują coraz wyższe stanowiska w irlandzkich siłach policyjnych. Mają znacznie więcej zdrowego rozsądku, jak to panie, i nie puszczają nikomu niczego płazem. Przynajmniej tak jest w przypadku mojej żony!

– Bardzo się cieszę, że mogę pana poznać, panie ministrze – powiedziała Katie.

– Może zdoła pani mi odpowiedzieć na pytanie, które zawsze mnie fascynowało. – Ian Bowthorpe się uśmiechnął. – Czy jeżeli powie pani komuś w Irlandii, że jest aresztowany, a ten ktoś zna tylko irlandzki, to czy aresztowanie przebiega zgodnie z prawem?

Katie zdawała sobie sprawę, że jest obiektem żartu, ale zachowała poważny wyraz twarzy.

– Och, tak, panie ministrze. Zawsze mówię każdemu podejrzanemu: *An dtuigeann tú go mbeidh tú bheith i do chónaí ar aon rud ach arán agus uisce as seo amach?* Dzięki temu od razu wie, że został przyskrzyniony.

– Rozumiem. To rozwiewa moje wątpliwości.

– Mam nadzieję, że tańce będą się panu podobać, panie ministrze  
– powiedziała Katie, zanim miał szansę poprosić ją o przetłumaczenie. – Myślę, że się pan przekona, że tancerze z Cork, choć młodzi, należą do najlepszych w Irlandii.

– Z góry się na to cieszę. Ale co...

Katie już się wycofywała, lecz Bowthorpe podniósł rękę, jakby chciał ją zatrzymać.

Feena McGrath weszła między nich ze słowami:

– Naprawdę musimy iść zajmować miejsca, panie ministrze. Tańce zaczną się za kilka minut.

Kiedy dyrektorka Opery i ochroniarze prowadzili Iana Bowthorpe'a na widownię, ten odwrócił się do Katie i bezsilnie wzruszył ramionami.

– Proszę mi wysłać maila! – zawołał.

– Czyżbyś przygruchała sobie nowego znajomego, Kathleen? – spytał MacCostagáin. – To musiał być najszybszy podryw w historii!

Frank Magorian rzucił jej jednak pełne irytacji spojrzenie, jakby zde gustowany żartowaniem z VIP-a.

Przyszedł czas zajmować miejsca na stromej, półkolistej widowni. Dwunastoosobowa orkiestra Quarry Yard Martyrs już piłowała, szarpała i dęła czym i w co się dało, strojąc skrzypce, banjo, flażolety, irlandzkie dudy i bodhrány, irlandzkie bębny obręczowe. Katie zdecydowała się na pierwszy lewy balkon, z którego miała dobry widok na niemal całą salę. Zabrała ze sobą lornetkę, dzięki czemu mogła dokładnie przyjrzeć się widzom.

Detektywi O'Donovan i Markey też się stawili; Katie zobaczyła, że zajęli miejsca po przeciwległej stronie parteru, przy scenie.



Kiedy światła przygasły, reżyser konkursu, Kevin Moloney, wyszedł na scenę, błyszcząc łysiną, ubrany w pokryty cekinami zielony strój.

– Panie i panowie, będziemy świadkami naprawdę wyjątkowego wydarzenia: dorocznego konkursu tańca, w którym weźmie udział piętnaście grup tanecznych. Zwycięski zespół otrzyma Trofeum McGoldricka, przyznawane dla najlepszych specjalistów stepa irlandzkiego w Regionie Południowym. Tegoroczny konkurs jest szczególnie ważny z powodu obecności pana Iana Bowthorpe’a, brytyjskiego ministra obrony, który przybył do Irlandii, i do Cork, by pokazać nam, że po brexicie nasze dwa kraje nadal łączą silne więzi. Jak wszyscy wiemy, Wielka Brytania i Irlandia nie zawsze pały do siebie sympatią, zwłaszcza jeśli chodzi o nas, Hrabstwo Buntowników. Ale dziś wieczorem poprzez muzykę i taniec wyrażamy to, co nas łączy, nie to, co nas dzieli.

Rozległy się oklaski i gwizdy. Orkiestra zagrała *Garden of Daisies*. Kurtyna poszła w górę i na scenę wbiegło szesnaście dziewcząt ze Szkoły Tańca Kilpatrick. Kędzierzawe loki peruk fruwały w górę i w dół, diademy i krótkie czerwone spódniczki błyszczały, podeszwy butów łomotały o deski sceny.

Światła reflektorów były oślepiające, ale tancerki nałożyły sztuczną opaleniznę na twarze i kolana, żeby nie świecić bladością.

Niemal w tym samym momencie, gdy dziewczyny zaczęły tańczyć, zawibrował iPhone Katie. Dzwoniła jej sąsiadka, Jenny Tierney. Katie nie odebrała połączenia, ale podniosła się i ruszyła do wyjścia. Przepraszała wszystkich, którzy musieli wstać, by ją przepuścić.

Opuściła widownię i oddzwoniła do Jenny. Mundurowy stojący przy balustradzie schodów nie mógł oderwać od niej wzroku. Niewątpliwie wiedział, kogo ma przed sobą, ale w sukni wieczorowej i z długimi kryształowymi kolczykami prezentowała się oszałamiająco.

Jenny Tierney płakała.

– Katie, nie wiedziałam, do kogo najpierw dzwonić... do ciebie czy na miejscowy komisariat. W końcu uznałam, że ty będziesz najlepiej wiedziała, co zrobić.

– Co się dzieje, Jenny?

– Byłam na spacerze z Barneyem i szliśmy obok Dock Cottages, kiedy zatrzymała się przy nas furgonetka. Wyskoczyło czterech mężczyzn. Jeden tak mnie złapał, że nie mogłam nic zrobić, żeby ich powstrzymać. Inni złapali Barneya i wrzucili do samochodu. Szczekał i szarpał się, ale mocno trzymali go za obroźę i nie mógł się im wyrwać. Zatrzasnęli z hukiem drzwi i odjechali. To wszystko stało się tak potwornie szybko.

Katie miała wrażenie, że powoli zamienia się w lodowy posąg. Musiała zatkać ucho, bo muzyka była tak głośna, a widownia wiwatowała i klaskała do rytmu.

– Kiedy to się stało, Jenny?

– Jakieś dziesięć minut temu. Mówię ci, całą drogę do domu biegłam na złamanie karku.

– Czy któryś z nich coś powiedział?

– Ani słówka. Żaden. Tylko się zatrzymali, złapali Barneya i odjechali.

– Nie zrobili ci żadnej krzywdy?

– Nie. Okropnie mnie to przeraziło. Serce mało mi nie stanęło. Ale kiedy tylko wsadzili Barneya do furgonetki, facet mnie puścił.

– Możesz ich opisać, tych mężczyzn?

– Nie. Wszyscy byli strasznie wielgachni, ale mieli kominiarki, więc nie widziałam twarzy.

– A ta furgonetka?

– Nie wiem, co to była za marka, ale była ciemna.

– Jaka... czarna? Szara? A może granatowa?

– Nie mogę powiedzieć na pewno. Latarnie świecą w tym miejscu, że pożałuj Boże.

– Widziałaś tablice rejestracyjne?

– Nie, nie widziałam. Nawet nie jestem pewna, czy w ogóle mieli tablice.

– W porządku, Jenny. Przykro mi słyszeć, że przeszłaś taki wstrząs, ale cieszę się, że nie wyrządzili ci krzywdy. Możesz zrobić mi przysługę i zadzwonić na komisariat w Midleton? Która to godzina?

Myślę, że w Cobh będzie już zamknięty. Powiedz im, kim jestem, i opisz dokładnie, co się wydarzyło. I spróbuj sobie przypomnieć jak najwięcej szczegółów odnośnie do tych ludzi i pojazdu. Jenny, na razie jestem uwiązana tu, w Operze, i po prostu nie mogę przyjechać, ale zrobię to, kiedy tylko będę mogła.

– Biedne psisko. Musiał być strasznie przestraszony. Modłę się do Boga, żeby te zbiry nie zrobiły mu krzywdy. Jak myślisz, dlaczego go porwali?

– Nie wiem, Jenny. Może przeze mnie... Może ktoś z jakiegoś powodu chciał się na mnie zemścić. Albo to, albo po prostu dlatego, że jest pięknym psem i chcą zarobić na nim pieniądze. Porwali go jako rozplodowca, do walk albo na sprzedaż, kto wie?

– Zaraz zadzwonię na komisariat w Midleton. Mogę potem oddzwonić?

– Pewnie, Jenny. W każdej chwili.

Po tym, jak Jenny się rozłączyła, Katie przez chwilę nie ruszała się z miejsca; mundurowy nadal się jej przyglądał. Orkiestra grała teraz *King of the Fairies*; okrzyki i tupanie nie ustawały. Katie miała dziwne zawroty głowy i rozpaczliwie żałowała, że nie może wyjść z budynku i pojechać prosto do domu, do Cobh, chociaż wiedziała, że nic by to nie dało. O tej porze Barney już nie żył albo był dziesiątki kilometrów stąd, zależnie od tego, jaki cel przyświecał porywaczom.

Wiedziała, że choćby funkcjonariusze w komisariacie w Midleton byli nie wiadomo jak sumienni, nie uznają porwania psa za zbrodnię stulecia. Barney wiele dla niej znaczył. Dostała go od Johna, kiedy jej pierwszy pies, seter irlandzki, został zabity. John też już nie żył. Pomyślała też o tym, jak Conor jest przywiązany do Barneya, a Barney do niego. I w tym momencie uzmysłowiła sobie, jak ważny jest dla niej Conor. Był jak stworzony dla niej.

Uśmiechnęła się smutno do mundurowego i wróciła na widownię.

## ROZDZIAŁ 37

W przerwie Kyna poszła do baru i powoli się przechadzała, wypatrując znajomych twarzy. Chodziła z kieliszkiem wina jak zwykły widz, który krąży w tłumie, szukając znajomych. Prawie wszyscy mężczyźni posyłali jej uśmiechy i puszczały do niej oko, gdy prześlizgiwała się, lekko się o nich ocierając, a niemal wszystkie kobiety patrzyły na nią wilkiem. Zważywszy na to, co czuła do mężczyzn, nie mogła nie uśmiechać się w duchu.

Miała nadzieję na spotkanie z Katie, ale ta stała po drugiej stronie, przy oknie, zajęta rozmową z Magorianem i MacCostagáinem. W barze było zbyt głośno, a Kyna znajdowała się za daleko, by usłyszeć jej słowa, ale z jakiegoś powodu Katie wyglądała na zaniepokojoną. MacCostagáin położył jej dłoń na ramieniu, jakby w geście współczucia i wsparcia; nawet Magorian wydawał się przejęty. Jeśli Kyna chciała się dowiedzieć, o czym rozmawiają, musiała poczekać, i wcale nie była pewna, że Katie zechce się tym z nią podzielić. Przecież miała stopień nadkomisarza, a Kyna tylko sierżanta i było wiele tematów zawodowych, których nigdy z nią nie omawiała.

Rozległ się dzwonek kończący przerwę. Za chwilę miała się rozpocząć druga część konkursu i widzowie ruszyli na widownię. Kyna odstawiła kieliszek na kontuar baru i poszła za resztą, na parter. Ian Bowthorpe i jego ochroniarze nie zajęli jeszcze miejsc w pierwszym rzędzie, chociaż dwaj funkcjonariusze Gardy stali przy swoich fotelach i jeden mówił coś do mikrofonu.

Drugą część programu rozpoczynał występ Laethanta na Rince, grupa prowadzona przez Stevena Joyce'a. Maszyniści wykorzystali przerwę na rozłożenie pięćdziesięciu dębowych drzwi – w dziesięciu rzędach po pięć skrzydeł – tak że niemal całkowicie zakryły scenę.

Muzycy z Quarry Yard Martyrs znów zaczęli mordować instrumenty; jeden z nich zagrał na flażolecie kilka taktów *Lonesome*

*Boatman*, budząc spontaniczny aplauz.

Ian Bowthorpe i jego ochrona z pośpiechem zajęli miejsca w chwili, w której przygasły światła. Orkiestra zagrała *Job of Journeywork* i członkowie Laethanta na Rince tanecznym krokiem wybiegli z kulis i zajęli na scenie wyznaczone pozycje. Ich buty zadudniły na drzwiach o wiele głośniej niż poprzednich tancerzy, co przywitano gwizdami i entuzjastycznymi okrzykami.

Kyna nie zajęła swojego miejsca. Powoli przeszła bocznym przejściem, starannie omiatając wzrokiem twarze, rząd za rządem. Dostrzegła siedzących na widowni detektywów O'Donovana i Markeya, a oni ją, ale nie dali po sobie poznać, że się znają.

Przyszło jej do głowy, że zapędzając zabójców z Autentycznej IRA do rzeki, Katie może na dobre położyła kres spiskowi Davy'ego Dorgana. A może Dorgan wcale nie traktował poważnie planu zabicia brytyjskiego ministra, tylko zwyczajnie przechwalał się przed swoim gangiem w Templegate Tavern.

Część widzów wstała i wznosiła okrzyki na cześć tancerzy Laethanta na Rince, którzy tańczyli w kole, coraz mocniej i szybciej tłukąc butami o drewniane drzwi, wykonując coraz bardziej skomplikowane kroki. Tymczasem Kyna dotarła na koniec widowni i odwróciła się, żeby popatrzeć na tańczących. Kątem oka zobaczyła przeszklone drzwi wyjściowe i przechodzącego maszynistę sceny. Zadrżała, bo rozpoznała w nim Liama O'Breena.

Tego wieczoru cała obsługa sceny Opery nosiła identyczne T-shirty ze złożonymi wielkimi napisami Oireachtas McGoldrick, lecz Kyna wszędzie rozpoznałaby odstające uszy i rude kręcone włosy Liama.

Uniosła nieco dół sukni i na wpół biegnąc, na wpół się potykając, ruszyła przez foyer. Dostrzegła, że prawe drzwi foyer powoli się zamykają, więc dopadła ich i otworzyła szeroko. Miały napis TYLKO DLA PRACOWNIKÓW i prowadziły do bielonego korytarza na tyłach budynku. Obejrzała się. Przy głównym wejściu stali trzech mundurowi, którzy rozmawiali z kasjerką w budce, ich labrador cierpliwie siedział obok. Wszyscy w Operze zostali już sprawdzeni, więc mężczyźni zupełnie nie zwracali uwagi na Kynę. Słyszając odgłos kroków w

korytarzu, podkasła sukienkę jeszcze wyżej i pognała za Liamem.

Zrównała się z nim, kiedy otwierał szerokie metalowe drzwi prowadzące pod scenę. Łomot butów tancerzy był tu ogłuszający, a do tego dochodziło bębnienie drzwi o deski podłogi oraz dźwięki skrzypiec i dud.

– Liam!!! – wrzasnęła. – Liam!!!

Obejrzał się zszokowany. Dźwigał brązową drelichową torbę. Była wypchana i chyba bardzo ciężka.

– Roisin?! Co tu, kurwa, robisz?

– Powinnam zapytać cię o to samo. – Podeszła bliżej i stanęła między nim i drzwiami.

– Roisin.... Weź, zejdź mi, z drogi, kurwa. Zjeżdżaj... spierdalaj!

– Nie nazywam się Roisin, Liam, i nie jestem kelnerką z baru.

– Powiedziałem, won, kurwa, szmato. Inaczej ci przywalę, przysięgam.

– Co jest w tej torbie?

Złapała nylonowe uszy torby i spróbowała ją wyrwać, ale Liam zamachnął się lewą ręką i trafił Kynę tuż poniżej ucha. Padła na podłogę. Uderzyła ramieniem o metalową ościeżnicę, mimo to znów spróbowała odebrać torbę. Torebka Kyny spadła przy tym na podłogę, bo rozerwał się złoty łańcuszek.

– Na litość boską, czy ty się odpiardolisz, Roisin, czy mam ci przyłożyć między nogi?

– Mówiłam ci, hołoto, że nie nazywam się Roisin. Jestem detektyw sierżant Ni Nuallán, a ty jesteś aresztowany!

– Kto ty jesteś, kurwa?

– Jestem z Gardy, Liam, a ty jesteś aresztowany! Więc puszczaj tę torbę i idziemy! Chyba że wolisz spędzić resztę młodości w więzieniu Portlaoise!

– Co...?! Jaja sobie robisz, nie? Kurwa, nie wierzę!

Znów spróbowała wyrwać mu torbę, ale tym razem uderzył ją pięścią w czoło, poprawił w kość policzkową, a gdy poleciała na wznak, kopnął w biodro. Spróbowała się podnieść, lecz kopnął ją w goleń, a potem w rzepkę kolanową. Przetoczyła się na bok, na co

uniósł wysoko nogę i wbił jej piętę w krzyż.

Nie odezwał się więcej, wszedł za metalowe drzwi i mocno zatrzaskał je za sobą. Kyna przez chwilę leżała na betonowej podłodze, dysząc z bólu. W końcu się pozbierała, ale gdy spróbowała otworzyć drzwi, okazało się, że są zablokowane od wewnątrz. Oparta o ścianę szukała wzrokiem torebki – miała w niej smartfona – zdała sobie jednak sprawę, że podczas szarpaniny musiała polecieć daleko i teraz jest za metalowymi drzwiami.

Kulejąc, wróciła najszybciej jak mogła korytarzem, przyciskając rękę do kręgosłupa, bo potwornie ją bolało. Kiedy tylko znalazła się w foyer, krzyknęła do pilnujących wejścia mundurowych.

– Opróżnić budynek! Wyprowadzić wszystkich jak najszybciej! Tu może być bomba!

Dwaj mundurowi wybałuszyli zdumione oczy – nie poznali jej w granatowej sukni wieczorowej – ale trzeci, sierżant, spotkał ją na ostatnim treningu na strzelnicy i zadziałał natychmiast.

– Pożar! – krzyknął do kasjerki. Odwrócił się do kolegów. – Harvey, parter! Fagan, balkon! I to miגיem, ale bez paniki!

Odpiął przypięty do poły kurtki mikrofon i nadał wezwanie do funkcjonariuszy Specjalnej Jednostki Śledczej, którzy chronili Iana Bowthorpe’a, i do rozstawionych na dworze mundurowych.

Kiedy rozległo się ostre zawrođenje alarmu pożarowego, Kyna podeszła do niego i krzyknęła mu do ucha:

– Musimy natychmiast oczyścić scenę! Bomba może być dokładnie pod sceną! Podejrzany ma torbę i jest w T-shircie z McGoldrickiem!

Sierżant dał jej znak uniesionym kciukiem i znów odezwał się do mikrofonu. Odczekała, aż skończy mówić, po czym szybko podała dokładny rysopis Liama i powiedziała, gdzie widziała go ostatni raz. Siedmiu funkcjonariuszy, w tym trzech uzbrojonych, wpadło głównym wejściem do Opery i sierżant skierował ich do drzwi prowadzących na zaplecze.

Kyna pobiegła schodami na pierwszy balkon. Musiała się upewnić, że Katie jest bezpieczna.

\* \* \*

Katie poderwała się na pierwszy dźwięk alarmu, lecz orkiestra nie przestała grać, a tancerze tańczyć.

– Pożar! – krzyknęła. – Wszyscy wyjść, szybko!!! Ale zachować spokój!

Orkiestra wciąż grała, tancerze tańczyli, kiedy jednak Katie spojrzała na dół, zobaczyła, że ochroniarze Bowthorpe’a szybko wyprowadzają go z parteru, a Magorian pomaga wstać burmistrzowi.

Część widzów zaczęła się podnosić; rozglądali się zdezorientowani. Nie było dymu, płomieni, a Katie wiedziała, że tłum niemal zawsze ignoruje alarm pożarowy, dopóki nie zobaczy albo nie poczuje czegoś, co skłoni go do ewakuacji. Musiałaby wypychać ludzi i krzyżeć, by pojęli, że naprawdę grozi im niebezpieczeństwo.

Rozdzwonił się jej iPhone. Właśnie miała odebrać połączenie, gdy ogłuszyła ją najgłośniejsza eksplozja, jaką słyszała w życiu. Podmuchał ją bokiem na starszą parę w rzędzie za nią, która dopiero zaczęła wstawać. Cała trójka potoczyła się na podłogę. Katie gruchnęła policzkiem o poręcz fotela.

Na środku sceny została wyrwana piętnastometrowa dziura, a wszystkie dębowe drzwi rozpadły się na dziesiątki tysięcy zabójczych odłamków. Niektóre miały tylko kilka centymetrów, lecz wiele miało długość włóczni i były zabójczo ostre. Spod sceny buchnęła pierzasta chmura szarego dymu i zniknęła w wieży wyciągowej; w tym samym czasie wielokrążki i liny z łomotem i brzękiem spadły na pobojuwisko w dół.

Katie udało się dźwignąć na nogi, w uszach jej dzwoniło. Kiedy popatrzyła na parter, zobaczyła, że Bowthorpe leży w przejściu twarzą w dół i ma krew na kołnierzyku białej koszuli. Dwóch ochroniarzy leżało nieco bliżej sceny; Katie dostrzegła metrowej długości kawał dębiny sterczący z karku jednego z nich.

Wielu widzów dostało odłamkami. Nawet ogłuszona słyszała krzyki i zawodzenia. Niektórzy oślepli, a ich twarze zamieniły się w krwawe czerwone maski. Dwumetrowy oszczep, który wbił się tuż poniżej



mostka jednego z jurorów, przyspilił go do fotela.

Mężczyzna machał rękami niczym małe dziecko usiłujące wydostać się z fotelika. Pęcherzyki krwi pękały mu na ustach.

Rany widzów były przerażające, ale potworność tego, co działo się na scenie, była nie do opisania. Prawie wszyscy członkowie Laethanta na Rince zginęli lub odnieśli ciężkie rany. Katie widziała leżącą na scenie niespełna piętnastoletnią dziewczynę. Głowę zadarła w górę, obie ręce straciła do barków, a całą jej twarz pokrywały drobne, ostre drzazgi. Młody tancerz zawisł na nierównym brzegu dziury, którą wybuch wydarł w deskach podłogi. Zaciśnął na nich ręce, ratując się przed stoczeniem w ciemność poniżej, ale stracił nogi i biodra, a jelita zwisały mu od pasa długimi, bladymi pętami, które ginęły w dole.

Dwie dziewczyny musiały tańczyć blisko siebie w chwili wybuchu, bo splątały się nie do rozróżnienia. Wyglądały niczym czworonoga istota o dwóch głowach, z których jedna rozdziawiała usta jak do krzyku.

O ramę sceny wspierały się stojące niemal pionowo połamane drzwi. Pozbawione bocznych paneli tworzyły coś, co przypominało dwa krzyże, jeden na drugim, na których wisiał tancerz z rozłożonymi ramionami i głową w koronie z drzazg.

Alarm pożarowy zawodził i zawodził przenikliwie. Kakofonia krzyków, wrzasków i jęków rosła. Katie przeleciało przez głowę, że widownia przypomina scenerię widowiska operowego, którego akcja rozgrywa się w piekle.

Chociaż sama nadal nie otrząsnęła się z szoku, zaczęła kierować ludzi do wyjścia. Wiedziała, że musi jak najszybciej wyprowadzić ich z budynku, bo na widowni mógł być umieszczony kolejny ładunek wybuchowy. Nie było to jednak łatwe; byli jak porażeni, część kobiet wpadła w histerię, część zemdląta.

Kiedy prowadziła ludzi do drzwi, pojawiała się Kyna. Z zaciętą miną podeszła do Katie i szybko ją uściskała.

– To robota Dorgana – rzuciła. – Jestem pewna. Wystał Liama z torbą pełną Bóg wie czego. Widziałam go na dole i próbowałam

zatrzymać, ale zamknął się pod sceną.

– Wysadził się? – spytała Katie. – Jak zamachowiec samobójca?

Kyna się skrzywiła.

– Nie wydaje mi się. Pewnie kombinował, że ma tylko podrzucić ładunek i wiać gdzie pieprz rośnie. Ale zakładam, że kiedy Dorgan usłyszał alarm pożarowy, zdalnie zdetonował ładunek.

– Wyprowadźmy stąd tych biedaków – powiedziała Katie. – Dorganem będziemy się martwić potem.

Kiedy zniknął z Mount Nebo Avenue, wysłała za nim list gończy i kazała pilnować lotniska w Cork i stacji kolejowych w Kent, Ringaskiddy i Rosslare. Ale jeśli to on zdetonował bombę, to znaczy, że był gdzieś niedaleko.

Kyna popatrzyła w dół, na masakrę na scenie i krwawe ofiary na parterze.

– Chyba już nigdy nie uda mi się zasnąć – powiedziała. – Nie po tym.

## ROZDZIAŁ 38

Było późne przedpołudnie, gdy wyniesiono ostatnią ofiarę z budynku Opery. Katie zorganizowała tymczasową kwaterę główną w restauracji Luigi Malone's po drugiej stronie Emmett Place, a technicy Billa Phinnera postawili duży niebieski namiot przed Crawford Art Gallery.

Sznur karetek przez kilka godzin okupował Lavitt's Quay. Dwudziestu trzech ludzi zginęło na miejscu, w większości tancerze Laethanta na Rince i widzowie siedzący w pierwszych rzędach parteru. Ian Bowthorpe miał wstrząśnienie mózgu i głęboką ranę na karku, a jeden z jego ochroniarzy był w stanie krytycznym po uszkodzeniu mózgu.

W sumie blisko dwieście osób odniosło rany, a co najmniej piętnaście straciło słuch. Katie nadal słyszała uparte dzwonięcie, mimo że starała się go pozbyć, wierząc palcami w uszach.

Siedząc przy stoliku przy oknie restauracji, poleciła detektywom O'Donovanowi i Markeyowi sprowadzić na przesłuchanie wszystkich znanych członków gangu Davy'ego Dorgana, których uda im się znaleźć. Mieli im sprawdzić ręce i ubranie na obecność materiałów wybuchowych i pobrać próbki DNA.

Rozmawiała przez telefon z doktorem Mulreadym, anatomopatologiem, kiedy saper z Collins Barracks wszedł kaczym krokiem do restauracji, nadal w żółtym kombinezonie przeciwołamkowym, chociaż już bez hełmu.

– Zadzwoiłam do profesor Cassidy i poinformowałam ją, ile mamy przypadków śmiertelnych – powiedziała do komórki Katie. – Tak, obiecała przysłać doktora Williamsa. Najszybciej jak to możliwe udzieli panu pomocy. Rozumiem, że będzie pan miał pełne ręce roboty, doktorze, ale nigdy, powtarzam, nigdy nie mieliśmy zdarzenia o podobnej skali. Musimy się z tym uporać.

Saper podszedł do jej stolika.

– Jeśliby się dało, wydoiłbym litrową coca-colę, pani nadkomisarz. Ten kombinezon to przenośna łaźnia turecka. Waży osiemnaście kilogramów, i to bez hełmu.

Katie poprosiła kelnerkę o colę, po czym zwróciła się do sapers:

– Żadnych innych materiałów wybuchowych?

– Żadnych. Zupełnie żadnych. Dokładnie przeszukaliśmy podscenie i tyły budynku, wykorzystując do tego psy. To musiał być wybuch, jakich mało. Myślę, że więcej niż dwa i pół kilograma C cztery. Proszę, to wasz podejrzany.

Wyjął aparat fotograficzny i podsunął go Katie, by mogła obejrzeć zdjęcia. Początkowo nie rozumiała, co ma przed oczami. Widziała tylko pozwijany kłęb ozdobnego czerwonego sznurka prezentowego leżący na nagiej podłodze. Dopiero kiedy saper się pochylił i wskazał niebieski but do biegania, zrozumiała, że kłęb sznurka to rozerwany wybuchem Liam.

\* \* \*

Była prawie dziewiąta wieczór, kiedy wróciła na komendę. Dzwonienie w uszach ustało, ale nadal było jej niedobrze i w ogóle nie czuła głodu. Kelnerka w restauracji przyniosła jej wegetariańską pizzę. Katie wzięła do ust kęs, ale nie mogła go przełknąć i dyskretnie wypluła w papierową serwetkę.

W swoim gabinecie usiadła i włączyła lampę na biurku. Siedziała, wpatrując się w notatki i dokumenty, które miała przed sobą, lecz nie potrafiła się skupić. O'Donovan zostawił jej listę dziewięciu członków bandy Davy'ego Dorgana, których on i Markey zdołali zlokalizować i przywieźć na komendę, ale gdy zerknęła na nią, dowiedziała się, że wszyscy odmówili odpowiedzi na pytania.

Siedziała beczynn timer prawie dziesięć minut, aż zadzwonił telefon. Sięgnęła po słuchawkę.

– Nadkomisarz Maguire.

– Och, jesteś w końcu – usłyszała ochryply męski głos. – Dzwonię nie wiem który już raz.

– Widziałeś wiadomości? – spytała go Katie. – Byłam kompletnie uwiązana, skromnie mówiąc.

– Ładunek w Operze... O tak, widziałem. Grubo pojechali, nie? Byłaś tam? Wszyscy ci młodzi tancerze rozwaleni na kawałki. Żal dupę ściska.

– Chcesz ze mną o czymś pomówić?

– No pewnie, że chcę. Konkretnie to chodzi o tego twojego psa.

– O Barneya? Masz go? Kim jesteś?

– Tak, mamy go. Ale żyje mu się u nas jak u pana Boga za piecem. Niech cię o niego głowa nie boli, koleżanko nadkomisarko Maguire.

– Kim jesteś?

– Jakbym ci powiedział, cała sprawa by się rypta, no nie? Dobrałabyś mi się do dupy i nie miałbym jak cię naciskać.

– O jakim nacisku mowa? O czym ty mówisz?

– Daj spokój, rusz trochę głowę. Kogoś ostatnio zwinęła, kto jest teraz na krótkiej smyczy i kto czeka na wniesienie oskarżenia? No, gdzie tu jest pies pogrzebany?

– Dzwonisz w interesie Zezowatego McManusa.

– O niego biega. Brawo!

– Więc chcesz mi powiedzieć, że jak załatwię wycofanie oskarżenia przeciwko McManusowi, oddacie mi Barneya.

– Chryste na osiołku! Nic dziwnego, że robisz w dochodzeniówce! Trafiłaś w dychę! Jak zapomnisz o zarzutach przeciwko Zezowatemu, twój Barney wróci do ciebie zdrów jak ryba, i po sprawie. Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr, i na całej planecie zapanuje pokój i miłość między ludźmi i paroma psami na dokładkę.

Katie nagle poczuła podnoszącą się do gardła falę mdłości i musiała zakryć ręką usta. Tylko nie Barney, przeleciało jej przez głowę. Na miłość boską, niech Barneyowi nie stanie się nic złego.

– Jesteś tam, koleżanko nadkomisarko Maguire? – spytał mężczyzna.

– Tak, jestem. Ale w tej chwili nie mogę ci dać odpowiedzi. Dokumentacja już przeszła do wydziału spraw z oskarżenia publicznego.

– No pewnie, ale co to za problem? Wystarczy tylko, że im powiesz, żeś się trochę zagalopowała i że Zezowaty jest czyściutki jak łaźnia. Możesz go z kimś pomyliła. No... może jednak nie. Cholernie trudno pomylić z kimś Zezowatego. Ale coś wymyślisz, jestem pewien. Przecież chcesz odzyskać tego psa, nie?

Katie cała się trzęsała. Tylko najwyższym wysiłkiem woli powstrzymywała się od tego, żeby nie wrzasnąć na faceta, że jeśli dotknie jednego włoska ze lśniącej, rudej sierści Barneya, znajdzie go, choćby miała go szukać całe życie, a wtedy on pożałuje, że w ogóle się urodził.

– Jak mogę się z tobą skontaktować? – spytała.

– Po pierwsze, nie próbuj wysledzić tego połączenia, bo niczego nie wyśledzisz. Oddzwonię jutro koło drugiej, co ty na to? Będziesz miała dość czasu wszystko uporządkować, co?

– Tak. Zadzwoń koło drugiej. Ale na razie, proszę, nie róbcie nic Barneyowi. Postarajcie się, żeby miał co jeść i pić i żeby miał wygodne miejsce do spania. Jeśli to zrobicie, nie będziecie mieli z nim żadnych problemów, obiecuję wam.

– Niech cię piękna główka nie boli, koleżanko nadkomisarko. Znasz nas. Mamy lata doświadczeń z psami.

Od razu zadzwoniła do Greelaya z łączności i poprosiła go, żeby sprawdził połączenie, chociaż nie miała najmniejszych wątpliwości, że rozmówca używał komórki na kartę i zmieniał numer albo miał zastrzeżony. Potem zadzwoniła do Conora i opowiedziała mu, co się stało. Po wybuchu w Operze połączyła się z nim na chwilę, by mu przekazać, że jest cała. Teraz opowiedziała mu o porwaniu Barneya.

– Nie płacz, Katie – poprosił. – Wystarczy tylko, że wycofasz zarzuty przeciwko McManusowi.

– Nie mogę. – Załkała i otarła oczy rękawem sukienki. – To byłoby ugięcie się pod szantażem, i pomyśl o tych wszystkich psach, które on będzie krzywdził, jeśli pozwolimy, żeby mu to uszło na sucho.

– Ale tu w grę wchodzi Barney.

– Conor, wiem tylko, że jak wycofam oskarżenie przeciwko McManusowi, inspektor Carroll będzie chciał wiedzieć, dlaczego to

zrobiłam, Frank Magorian też, i będę winna złamania etyki zawodowej.

Milczał chwilę.

– No, naprawdę nie wiem – odezwał się w końcu. – Muszę to przemyśleć. Sprawdzę, czy któryś z moich znajomych lewych weterynarzy nie orientuje się, dokąd go mogli zabrać.

– Dziękuję. Przekaż im, że mogą się spodziewać nagrody.

– Zrobię to. Jak się teraz czujesz? Śledziłem wszystko, co mówili w telewizji o zamachu.

– Szczerze mówiąc, jestem wstrząśnięta. Pewnie wezmę coś na spanie i zobaczę, czy uda mi się zamknąć oczy.

– Katie...

– Tak. Wiem, co chcesz powiedzieć. Pogadamy jutro, jak dojdę do siebie.

\* \* \*

Chociaż wzięła dwie pigułki nasenne, prawie nie zmrzyła oka. Najdziwniejsze było to, że była sama i że Barney nie spał w koszu w kuchni. O piątej trzydzieści wstała z łóżka i zrobiła sobie kubek mocnej kawy i grzankę z masłem, nic więcej. Stała w salonie i wpatrywała się w deszcz, czując pustkę.

Na komendę wróciła o siódmej piętnaście. Zabrała się do zaległej roboty papierkowej, ale równocześnie miała włączony telewizor, by na bieżąco śledzić wiadomości o wczorajszym zamachu bombowym.

Cały kraj był wstrząśnięty. Parlament wystosował oświadczenie, że to największa tragedia Irlandii w tym stuleciu, a biskup Cork i Ross celebrował mszę za dusze zabitych, opłakujących ich krewnych i za szybkie wyzdrowienie rannych. W nocy następnych dwoje tancerzy zmarło z powodu ran.

Właśnie skończyła czytać zaległe SMS-y i maile, gdy wszedł detektyw O'Donovan. Włosy nadal miał mokre po prysznicu i trochę przesadził z wodą toaletową Lynx Iced Musk and Ginger.

– Och, Patrick, co się dzieje? – spytała Katie. – Przejrzałam twoją listę koleśków Dorgana. Nie wydaje się, żeby byli szczególnie

pomocni.

– No tak. A czego pani oczekiwała? Nie maczali palców w wysadzeniu Opery, ale zajmowali się innymi nielegalnymi czynnościami, kiedy się to stało. Jednego nakryliśmy, jak przeliczał w kuchni osiem tysięcy bułgarskich papierosów, więc i tak dostanie zarzuty. Odmówili odpowiedzi na wszystkie pytania, do czego oczywiście mają prawo.

– Ale...? Wyglądasz, jakbyś był z czegoś zadowolony.

O'Donovan podniósł bezbarwną plastikową teczkę.

– Bill Phinner pięć minut temu dał mi te wyniki DNA. Czterech z dziewięciu aresztowanych członków gangu Dorgana zostawiło ślady płynów ustrojowych w ciele Maggie Dennehy.

– Poważnie? Teraz to wszystko zaczyna znowu mieć sens.

– Nie tylko czterech, może być piąty. Doktor Kelley wzięła próbkę DNA ze śladów na twarzy Maggie Dennehy i najprawdopodobniej jest zgodna z DNA jednego z członków bandy. Ale Phinner musi powtórzyć test, bo próbka uległa poważnemu rozkładowi.

– Więc to jednak gang Dorgana zgwałcił żonę Dennehy'ego, tak jak podejrzewaliśmy. Może ją zamordowali, a może popełniła samobójstwo, bo została zgwałcona. Tak czy siak, jeśli to nie był motyw, który skłonił Berniego Dennehy'ego do zaatakowania Dorgana, to nie wiem, co mogłoby go do tego popchnąć.

– Scanlan wybiera się pogadać ze znajomymi i sąsiadkami Maggie Dennehy, żeby sprawdzić, czy zwierzyła się którejś z tego, co ją spotkało. Nigdy nie wiadomo.

– Dobra myśl. I niech porozmawia z rodziną, siostrami albo braćmi, zwłaszcza z siostrami.

Nadal rozmawiali, gdy wszedł MacCostagáin. Jak wszyscy na komendzie wyglądał, jakby w ogóle nie spał, i miał przekrzywiony krawat.

– Jak leci, Kathleen? – spytał.

– Pod jednym względem chyba mamy postęp, panie komendancie – odparła Katie. – Gdybym tylko mogła wyśledzić Davy'ego Dorgana, to wydaje mi się, że zamknęlibyśmy tę sprawę.



– Właśnie miałem na głowie Mathew McElveya z biura prasowego. Wygląda na to, że po południu media szykują się popędzić nam kota. Wszyscy pytają, jak zamachowcowi mimo naszych środków bezpieczeństwa udało się przemyścić do gmachu Opery tyle materiałów wybuchowych. Jezu, Kathleen, przecież mieliśmy detektory metali, psy tropiące i tylu funkcjonariuszy wokół budynku, że to przechodzi pojęcie ludzkie.

– Wiem, panie komendancie, ale nadal nie mam pojęcia, jak udało mu się przenieść ładunek do Opery. Wciąż próbujemy do tego dojść. Sam zamachowiec to młody gość z otoczenia Davy’ego Dorgana. Więcej, to ten sam młody człowiek, który przekazał sierżant Ni Nuallán informację o zabójcach z Autentycznej IRA jadących z Larne.

– Wiesz, w jak fatalnym świetle nas to stawia? Czy myślisz, że jakkolwiek obcy rząd zaufa nam w przyszłości, że ochronimy ich VIP-ów?

– Panie komendancie, proszę mi wierzyć, dowiemy się, jak to się stało, i nic podobnego nigdy więcej się nie powtórzy. – Zgadywała z tonu MacCostagáina, że tylko powtarza to, co Frank Magorian mu wyrzeszczał.

– W porządku... no... to świetnie, Kathleen, ale zrób wszystko, co możliwe, żeby wyjaśnić to, co wydarzyło się wczoraj. Wielu ważnych ludzi zadaje koszmarnie dziwne pytania, nie tylko media. Mieliśmy też telefon od premiera... to znaczy Frank Magorian miał. Jak myślisz, jak to wygląda? Zapraszamy brytyjskiego ministra obrony, żeby podjąć wspólne ustalenia co do obronności, i gość mało nie ląduje na łonie Abrahama.

## ROZDZIAŁ 39

Tuż przed lunchem Conor przyjechał na komendę, żeby zobaczyć się z Katie.

– Na pewno nie dasz się namówić, żeby wyjść coś zjeść? – spytał.

– Nie, dzięki. Zupełnie nie mam apetytu. Gdybyś widział tych wszystkich młodych tancerzy rozerwanych na strzępy.

– I jesteś całkowicie pewna, że to Davy Dorgan za tym stoi?

– Wśród odszczepieńców z IRA jest paru szaleńców, ale nie wydaje mi się, żeby któryś był na tyle zwariowany, żeby zrobić coś takiego. Opera to duma i radość naszego miasta. Najlepszy i największy budynek tego typu w Irlandii. I nawet nie udało im się zabić człowieka, o którego im chodziło.

Conor usiadł przy oknie. Katie pomyślała, że ze swoim prostym nosem, ciemną brodą i oczami czystymi jak kryształ Waterford wygląda w szarym świetle deszczowego poranka niczym jeden z irlandzkich romantycznych poetów, Yeates lub Kavanagh.

– Obdzwoiłem kilku facetów niecieszących się najlepszą opinią – mruknął, obgryzając kciuk. – Przykro mi, ale wszyscy mówią to samo. Żaden na razie nie wie, gdzie Barney mógłby zostać zabrany, chociaż paru powiedziało, że mogłoby się dowiedzieć. Problem w tym, że chodzi o Zezowatego i nikt nie ma dość odwagi go zakablować.

– Przekazałeś im, że będą coś z tego mieć?

Skinął głową.

– Mimo to nie byli zainteresowani. Jeden z nich powiedział: „Chciałbym wiedzieć, co mi przyjdzie z pieniędzy na cmentarzu Świętego Józefa? Niczego tam nie kupię”.

– Więc wygląda na to, że zostały nam tylko dwie możliwości.

Conor wstał, podszedł do Katie i położył dłonie na jej ramionach.

– Tej decyzji nie mogę podjąć za ciebie. Wiem, ile Barney dla ciebie

znaczy. Ja też za nim przepadam. Ale rozumiem też problem zawodowy, przed którym stoisz. Jeśli detektyw nadkomisarz wycofuje zarzuty wobec przestępcy tylko dlatego, że ukradziono jej psa... Hm... wyobrażam sobie, co „Irish Times” by z tego zrobił.

– Naprawdę sądzisz, że nie uda ci się go znaleźć?

– Mam jeszcze kilka kontaktów do sprawdzenia. Niezbyt wiarygodnych, ale bez względu na wszystko, spróbuję. Jeżeli nie dowiem się czegoś do drugiej, kiedy ten gość zatelefonuje, sprawdź, czy nie uda ci się przedłużyć terminu. Ale muszę ci coś wyznać... Jeśli mnie nie uda się znaleźć Barneya, to nie wydaje mi się, żeby ktoś inny coś osiągnął.

– Wiem – rzuciła prawie szeptem. – W każdym razie dzięki, że próbowałaś.

\* \* \*

Pojechała do Opery. Emmett Place było odcięte i dwa wozy straży pożarnej nadal parkowały przed budynkiem, a także trzy ciężarówki z otwartymi kontenerami na gruz załadowanymi połamanymi fotelami, deskami scenicznymi i roztrzaskanymi oprawami lamp.

Idąc przez widownię, zbliżyła się do kanału orkiestrowego, gdzie Bill Phinner rozmawiał z zastępcą komendanta straży pożarnej, Matthew Whalenem.

Ten drugi, widząc nadchodzącą Katie, wyciągnął dłoń.

– Znów się spotykamy, pani nadkomisarz, i o wiele za wcześnie, stwierdzam ze smutkiem.

– Jesteśmy głęboko przekonani, że to C cztery – powiedział Phinner. – Sierżant Nuallán przekazała, że zamachowiec niósł torbę, która mogła zawierać do trzech kilogramów materiałów wybuchowych.

– Trzy kilogramy spowodowałyby takie zniszczenia? – spytała.

– Och, z łatwością – zapewnił ją Whalen. – C cztery eksploduje z prędkością ośmiu tysięcy metrów na sekundę i pierwotny wybuch wzbudza podciśnienie, tak że ludzkie ciało nie ma żadnej szansy przetrwania.

– Wszędzie mamy kawałki folii mylarowej, zwykle używanej do owijania ładunków C cztery. Przeprowadziliśmy też na szybko wstępne testy z tymolem krystalicznym i kwasem siarkowym. Zmieszane z C cztery przybierają różowy kolor. Oczywiście zabierzemy więcej próbek do laboratorium, żeby przeprowadzić badania rentgenowskie i cienkowarstwową chromatografię cieczową. Ale to prawie na pewno C cztery.

– Wciąż się zastanawiam, jak zamachowiec to wniósł – powiedziała Katie. – C cztery jest do wyśledzenia jeszcze przed wybuchem, prawda?

– Przeważnie tak, ponieważ większość C cztery używanego przez irlandzkie grupy terrorystyczne pochodzi ze Stanów, a amerykańskie środki wybuchowe niemal zawsze są mieszane z substancjami znakującymi, takimi jak DMDNB, dzięki czemu psy tropiące mogą je wywąchać. Pies wyczuwa zapach DMDNB, nawet przy jego stężeniu jeden do dwóch miliardów.

Katie, słuchając Whalena, starała się nie myśleć o Barneyu.

– Nawet gdyby C cztery owinięto w tę folię i dobrze opakowano, nie ma możliwości, by został wniesiony przez nasze bramki kontrolne? – spytała.

– Będziemy mogli powiedzieć więcej, kiedy przeprowadzimy pełny zakres testów – odparł Phinner. – Ale tak. To mało prawdopodobne, pani nadkomisarz. Graniczące z niemożliwością.

\* \* \*

Zanim wróciła na Anglesea Street, trzech z czterech podejrzanych o gwałt na Maggie Dennehy aresztowano i doprowadzono na komendę. Katie zeszła na dół, do pokoju przesłuchań, gdzie czekali na swoich adwokatów. Przyjrzała im się, nie przedstawiając się – Billy’emu, Darraghowi, Kewanowi i Alroyowi – bo chciała po prostu zobaczyć, co to za ludzie.

Spoglądali na nią niepewnie, ale żaden się nie odezwał. Trudno było jej sobie wyobrazić coś gorszego niż być zgwałconą przez tych ohydnych, zapuszczonych, szczeciniastych mężczyzn, cuchnących

alkoholem, papierosami i potem.

Gdy wróciła do gabinetu, czekała na nią Kyna. Katie wolała, żeby nie było jej w pokoju przesłuchań, bo nie chciała, by mężczyźni rozpoznali w niej kelnerkę Roisin. Ich adwokaci mogliby wnieść skargę z powodu prowokacji policyjnej i złożyć wnioski o oddalenie oskarżenia.

Było po drugiej, a porywacz nadal nie zadzwonił w sprawie Barneya. Katie starała się nie myśleć o psie, ale nie mogła się powstrzymać, by co kilka minut nie spoglądać w stronę zegara na biurku.

– Pojechałam z O'Marą do mieszkania Liama i przeszukaliśmy je – zameldowała Kyna. – Jedyne, co znalazłam, to parę magazynów porno, nic ciekawego. Niczego łączącego go z Davym Dorganem. Liam śmiertelnie bał się Dorgana, ale nie wydaje mi się, by był gotowy pójść na misję samobójczą.

– Masz rację – zgodziła się z nią Katie. – Autentyczna IRA to może wariaci, ale nie ISIS.

Obie zamilkły. Kyna odezwała się pierwsza:

– W tej chwili mam w głowie jeden chaos, pani nadkomisarz. Zostanę na Anglesea Street do końca śledztwa, ale potem złożę podanie o przeniesienie do Dublina, tak jak chciałam wcześniej.

– Daj sobie trochę czasu, Kyno – poradziła jej Katie. – Sama mówisz, że w tej chwili wszyscy jesteśmy w szoku, więc będzie dla ciebie lepiej, jeśli na razie odłożysz wszelkie ważne decyzje. Obiecuję nie poddawać cię jakiegokolwiek presji. Wiesz, jak bardzo cię cenię, ale zawsze będę potrzebować w moim życiu mężczyzn, więc decyzja, czy odejdziesz, czy zostaniesz, należy do ciebie.

Kyna wydeła usta, pochyliła się i zacisnęła usta. Na teczkę, którą trzymała, zaczęły skapywać łzy.

– Kocham cię, Katie – powiedziała żałośnie. – Tak bardzo cię kocham.

Katie wstała, by podać jej chusteczkę higieniczną, ale w tym momencie zadzwonił telefon. Z ciężko bijącym sercem podniosła słuchawkę.

– Nadkomisarz Maguire.  
– To ja – usłyszała szept małej dziewczynki.

– Kto?

– Ja, Cissy.

– Cissy! Gdzie się podziewasz? Nic ci nie grozi?

Zapadła tak długa cisza, że Katie przestraszyła się, że straciła połączenie. W końcu jednak dziewczynka powiedziała:

– Jestem z bratem.

– Z Davym.

– Tak, z Davym.

– Gdzie jesteście?

– Przy Pana.

– Jesteście przy Patrick's Street? Gdzie przy Patrick's Street?

– Nie wiem, który numer, ale na piętrze.

Katie zakryła mikrofon i przekazała Kynie:

– To Cissy Dorgan. Dałam jej komórkę. Mówi, że jest z Davym gdzieś przy Patrick's Street.

– Powiem szefowi i inspektorowi Mullikenowi – powiedziała Kyna. Otarła łzy, rzuciła teczkę na biurko i wybiegła.

– I zadzwoń do Regionalnej Jednostki Wsparcia! – zawołała za nią Katie, po czym zwróciła się do małej: – Jesteś tam, skarbie?

– Jestem, tak.

– Cissy, powiedz mi, czy w ogóle widzisz coś z okna?

– Muszę się pilnować. Davy śpi.

– Davy jest tam teraz z tobą?

– Tak. I nie wolno mi go budzić. Trzymam telefon w torbie... on nie wie, że mam telefon.

– Świetnie, skarbie, bądź cicho jak myszka, ale spróbuj się rozejrzeć i powiedz mi, co widzisz przez swoje okienko.

Znów zapadła długa cisza, po czym rozległy się ciche odgłosy stóp.

– Widzę sklep – odezwała się wreszcie Cissy. – Nazywa się Mr Big Man.

Katie dokładnie wiedziała, o czym mowa. W grę wchodził zachodni koniec St Patrick's Street, tuż przed tym, jak zakręcając na południe,

przechodziła w Grand Parade. Na ile potrafiła to sobie zwizualizować, po drugiej stronie ulicy, przy księgarni Waterstone'a, był pusty budynek do wynajęcia.

– Potrafisz sobie wyobrazić, na którym jesteś piętrze? – Katie spytała Cissy.

– Nie wiem. Nie potrafię.

– Popatrz na sklep naprzeciwko. Widzisz, które piętro jest na wysokości twojego piętra?

– Jest The Big Man, a potem jeszcze piętro i znowu piętro tak samo wysoko, jak to piętro, na którym jestem.

– W takim razie to drugie piętro. Dobra robota, Cissy. Świetna dziewczyna z ciebie. Posłuchaj... przyjdziemy do ciebie już za parę minut. Nie mów o tym Davy'emu, to ważne. W którym jest pokoju? Przy drzwiach wejściowych czy dalej?

– Dalej – wyszeptała Cissy. – Śpi na swoim materacu z...

– Z kim, Cissy? – Mała nie odpowiedziała. – Cissy, słyszysz mnie? Z kim?

Po drugiej stronie połączenia zapadła cisza. Telefon został wyłączony albo przez Cissy, albo przez kogoś innego. Katie nie śmiała do niej zadzwonić, obawiając się, że Davy nadal śpi i odgłos dzwonka mógłby go zbudzić.

Otworzyła zamek szuflady, wyjęła rewolwer i włożyła go do kabury. Zdjęła z wieszaka kurtkę i popędziła bez tchu na dół. Czekał już na nią inspektor Mulliken razem z Kyną i trójką detektywów: O'Donovanem, Ó Doibhilinem i Scanlan.

– Zawiadomiłem nadkomisarza Pearse'a – poinformował ją Mulliken. – Wysłano już pieszy patrol na Patrick's Street. Mają przypilnować Dorgana.

– Powiedz im, że jest na drugim piętrze budynku do wynajęcia, dokładnie naprzeciwko Mr Big Mana. Niech mają też oko na tyły domu. Wydaje mi się, że jest tam uliczka wychodząca na Paul Street.

– Będziemy wspierani przez trzy radiowozy i RSU, kiedy tam dotrą. Zjechali windą na parking.

– Nie wiem na pewno, czy Dorgan jest uzbrojony – powiedziała

Katie. – Ale biorąc pod uwagę jego dotychczasowe wyczyny, nie zamierzam ryzykować.

– Jeśli to on zdetonował ładunek w Operze, to raczej wyjechałby z Cork najdalej, jak się da? – zauważył Mulliken.

– Schował się pod latarnią. Widziałam to już wiele razy. Oni myślą, że ostatnie miejsce, w którym przyjdzie nam do głowy szukać, jest pod naszym nosem. Pamiętacie tamtego złodzieja samochodów... Jak on się nazywał? Nie Hegarty? Tego gościa, który wynajmował mieszkanie przy Market Tavern po drugiej stronie ulicy i co rano paradował do roboty dokładnie przed naszymi drzwiami? Minęło prawie pół roku, zanim jakiś sierżant wpadł na niego i go rozpoznał.

\* \* \*

Deszcz nadal gęsto padał, gdy dotarli na St Patrick's Street, więc Katie naciągnęła na głowę kaptur kurtki przeciwdeszczowej. Trzymała pod ręką iPhone'a, ale mała już się nie odezwała. Katie modliła się, by Davy nie odkrył telefonu, który dała Cissy. Owszem, była jego młodszą siostrą, ale skoro potrafił wysadzić w powietrze członka własnego gangu, to na co było go stać, gdyby uznał, że go zdradziła?

Zaparkowali za rogiem przy Grand Parade, poza zasięgiem wzroku Davy'ego. Dwa radiowozy zaparkowały podobnie przy St Peter's and Paul's Place, a trzeci na tyłach kwartału przy Paul Street, na wypadek gdyby Dorgan spróbował uciekać tamtędy.

Gdy Katie i inspektor Mulliken szli do budynku, dowiedziała się od sierżanta Croy'ego, że sześciu ludzi z RSU<sup>18</sup> również zaparkowało przy St Peter's and Paul's Place. Obeszli róg, na którym mieścił się oddział Bank of Ireland. Mieli na sobie czarne mundury, kamizelki kevlarowe i hełmy, dwóch było uzbrojonych w karabinki.

Zanim wyważyli frontowe drzwi, Katie uniosła rękę i powiedziała:

– Słuchajcie... jest tu dziewięcioletnia dziewczynka, prawdopodobnie w pokoju od frontu na drugim piętrze. Zróbcie, co możecie, żeby jej nie zranić ani nie przestraszyć. Podejrzany, Davy

---

18 RSU, Regional Supports Units (Regionalne Oddziały Wsparcia).



Dorgan, może być w jednym z pokoi na tyłach. Kiedy ostatni raz o nim słyszałam, spał, możliwe, że z kimś, ale oczywiście mógł się już obudzić, a poza tym i tak go zbudzimy, wdzierając się do środka.

Na parterze był kiedyś sklep odzieżowy, więc górne dwie trzecie frontowych drzwi były przeszkłone. Jeden funkcjonariusz z RSU miał ręczną piłę do szkła, dzięki czemu wycięto cały panel, nie hałasując bardziej niż mruczący kot. Mężczyzna odstawił szkło na bok, sięgnął do środka i otworzył zamek.

Jego uzbrojeni koledzy szybko i cicho pobiegli na górę, na drugie piętro. Mieli krzyknąć: „Garda. Jesteśmy uzbrojeni!”, bo Katie nie chciała, żeby Davy Dorgan zaczął strzelać, a potem twierdzić, że wzięt ich za kryminalistów, którzy włamywali się, by go obrabować.

Wyjęła rewolwer i pobiegła na górę za O'Donovanem i Ó Doibhilinem. Kyna i Scanlan deptały jej po piętach.

Schody były ciemne, cuchnęły wilgocią i starym linoleum. Gdy Katie, dysząc, dotarła na drugie piętro, dwóch ludzi z RSU sforsowało już drzwi pokoju, którego okno wychodziło na ulicę, i stali nad Cissy, zapewniając jej ochronę.

Dziewczynka siedziała na poplamionej aksamitnej poduszce, w skarpetkach z grubej wełny i grubym, czerwonym płaszczku z guzikami imitującymi białe, płaskie czekoladki. Była brudna. Włosy obcięto jej krótko i zakryto brudną czapką z białej wełny. Tuliła lalkę, którą nazwała Bindy.

Na widok Katie zerwała się na nogi, podbiegła i przytuliła się do niej.

– Cześć, Cissy, mówiłam ci, że przyjedziemy po ciebie, prawda? – powiedziała Katie. – No, pst, pst, nie płaczemy! Dzielna z ciebie dziewczynka, zadzwoniłaś!

W dalszej części mieszkania rozległy się krzyki i nie dało się nie poznać akcentu z Larne Davy'ego Dorgana.

– To ty, łamago! To ty! Bo kto inny? Parszywego psa bym ci nie zostawił do potrzymania, ty!

Katie przyklękła i powiedziała Cissy:

– Muszę sprawdzić, co się dzieje z twoim bratem. Zostaniesz tu z

tymi dwoma panami. Dobrze się tobą zaopiekują, obiecuję.

Cissy kurczowo trzymała się jej kurtki, ale Katie łagodnie oderwała od niej rączki dziewczynki.

– Zaraz wrócę, skarbie – obiecała. – Ale muszę się upewnić, że wszystko załatwiono jak należy. Jakbym była nauczycielką.

Cissy cofnęła się z ociąganiem i jeden z funkcjonariuszy RSU łagodnie położył na jej ramieniu dłoń w czarnej rękawicy. W tym momencie Kyna pokonała resztę schodów i wbiegła do pokoju.

– Ach! – zawołała Katie. – Cissy, to jest moja koleżanka, Kyna. Zaopiekuje się tobą. Kyno, to jest Cissy, a to Bindy.

Kyna zamierzała coś powiedzieć, gdy rozległ się wrzask Dorgana.

– Wiesz, co przez ciebie teraz się ze mną stanie? Utknę w mamrze do końca życia, kurwa! Ile ci zapłacili, ty psie gównu? No, gadaj, ile ci zapłacili? Nie mów, że ci nie płacili! Bo inaczej, jak, kurwa, dowiedzieliby się, że tu jestem?

– To wcale nie ja! – piskliwie zaskrzeczał jakiś mężczyzna. – Przysięgam na Boga, Davy, to wcale nie ja!

– Odłóżcie broń na podłogę! – rozległ się inny głos. – Odłóżcie broń, ręce na głowę i pod ścianę!

Katie ostrożnie wyszła na korytarz. Trzej ludzie z RSU stali w drzwiach pokoju, unosząc karabinki. Byli tak wysocy, a ich ochronne stroje były tak pokaźne, że zasłaniały widok tego, co się działo w pokoju, dopóki jeden z nich nie ukląkł, przyjmując postawę strzelecką. Wtedy Katie zobaczyła Davy'ego Dorgana. Włosy sterczały mu na wszystkie strony, miał na sobie tylko brązową koszulę w kratę. W wyprostowanych rękach trzymał pistolety automatyczne i celował w kogoś w pokoju. Nie widziała tej drugiej osoby, jedynie rękę trzymającą pistolet automatyczny, celującą niemal z przystawienia w Davy'ego Dorgana.

– Kompletny impas, kurde – powiedział mundurowy stojący blisko Katie. – Mamy ich na muszce, ale oni też mają jeden drugiego na muszce!

– Powiedziałem, odłóżcie broń na podłogę – powtórzył jeden z tych z RSU. – Żaden z was nie ma jak się stąd wydostać, więc przestańcie

zachowywać się jak para świrów i wyjdźcie z nami, póki mamy cierpliwość.

Długo nikt się nie odzywał. Jedyne szeleściły trące o ścianę nylonowe kurtki uzbrojonych funkcjonariuszy i deszcz dzwonił o szyby. Katie usłyszała za plecami trzaśnięcie. Kiedy się obejrzała, zobaczyła Kynę wyprowadzającą Cissy po schodach. Stąpały niemal na palcach. Posłała Cissy całusa.

– Do zobaczenia potem – powiedziała bezgłośnie.

Nagle huknęły dwa ogłuszające wystrzały, jeden po drugim. Katie aż podskoczyła. Zwieńczenie czaszki Davy’ego Dorgana otworzyło się jak pokrywka puszki na herbatę i krew zalała sufit. W tym samym momencie ludzie z RSU otworzyli ogień z karabinków; rozległy się krótkie grzechoczące salwy. A potem dwa głucho, dudniące dźwięki.

Pokój wypełnił kwaśny szary dym. Uzbrojeni funkcjonariusze jeden przez drugiego pchali się do środka. Katie nic nie widziała. Odczekała na podeście, aż jeden z mężczyzn dał jej znak i powiedział:

– Wszystko gra, pani nadkomisarz.

Wsunęła rewolwer do kabury i poszła za nim do pokoju. O’Donovan i Ó Doibhilin ruszyli za nią.

– Przerwane, pani nadkomisarz – rzucił Ó Doibhilin. – Przepraszam... Chryste na wielbłądzie, chciałem powiedzieć.

Davy Dorgan leżał rozciągnięty na podłodze, z zamglonymi oczami. Z głową na jego nodze leżał kościsty, blady i ubrany tylko w białe slipy od Calvina Kleina młody mężczyzna o rzadkich blond wąsach i podobnej brodzie. Po prawej stronie brzucha miał ranę wlotową, a drugą na piersiach. Pocisk musiał trafić go w serce. Obaj mężczyźni byli złani krwią.

– Tadhg Brennan – powiedziała Katie. – Mąż Nicholasa O’Grady’ego. Na miłość boską, co on tu robi?

Nadal wpatrywała się w niego, gdy podszedł funkcjonariusz z RSU.

– Proszę pójść ze mną i rzucić okiem, pani nadkomisarz. Myślę, że to odpowie na całą masę pytań.

Poszła za nim do innego pokoju, którego okno zabito deskami. Unosił się w nim smród oleju do konserwacji broni, benzyny i innych

chemikaliów. Wzdłuż całej ściany za drzwiami piętrzyły się bursztynowe paczki C4, około stu. Pod drugą ścianą, na długim stole na krzyżakach, leżało co najmniej trzydzieści karabinków AK47, a także wachlarz srebrzystych pistoletów automatycznych z ośmionabojowymi przedłużonymi magazynkami.

Uwagę Katie przyciągnął jednak leżący na boku pośrodku podłogi duży sześcioramienny pomalowany na czarno dron. Wyglądał jak potężny pająk.

– To DJI pięć tysięcy dziewięćset – powiedział mężczyzna, który ją tu przyprowadził, dumny ze swojej wiedzy. – Jeden z moich kuzynów ma mniejszą wersję. Fotografuje nim z powietrza domy. To coś może się unosić w powietrzu dwadzieścia minut bez przerwy, ma do trzech kilo udźwigu.

– Co sugerujesz? – spytała Katie, ale jednocześnie zdała sobie sprawę, do czego urządzenie mogło posłużyć. – Nie mów. Wiem! Gdybym chciała dostarczyć trzy kilo materiałów wybuchowych do budynku strzeżonego przez wyszkolone psy i ochronę zabezpieczającą wszystkie drzwi...

– Zgadza się, z dachu na dach – powiedział O'Donovan, który przed chwilą wszedł do pokoju i usłyszał słowa Katie. – Powiedzmy z dachu parkingu przy Tesco na dach Opery, po tym, jak przeszukano ją od piwnic po dach i sprawdzono wszystkich obecnych. Lot zajęłoby tylko kilka sekund.

– Prawdopodobnie masz rację – zgodziła się z nim Katie, zerkając w stronę pokoju, w którym leżały ciała. Dym po wystrzałach nadal się stamtąd wydobywał. – Ale teraz Dorgan nie żyje. Nigdy nie dowiemy się na pewno, jak było.

O'Donovan wzruszył ramionami.

– Pani nadkomisarz, a kiedy w tym życiu wiemy coś na pewno?

## ROZDZIAŁ 40

Minął tydzień, zanim psycholog dziecięcy z opieki społecznej pozwolił Katie – i tylko jej – na odwiedzinę i rozmowę z Cissy. Dziewczynka nadal oswajała się z nową rodziną w Douglas i nie była jeszcze gotowa na spotkania z nieznajomymi.

Austinowie mieszkali w przyjemnym wolno stojącym domu z pięcioma pokojami przy Riverside, cichej ślepej uliczce wychodzącej na południowy brzeg Lee. Oboje państwo Austinowie byli koło czterdziestki i mieli dwie własne nastoletnie córki. On pracował w firmie ubezpieczeniowej, miał pozbawiony emocji głos i mówił niemal bez przerwy. Ona siedziała obok męża i entuzjastycznie potakiwała wszystkiemu, co powiedział, sama prawie się nie odzywając.

Był świeży, szary poranek, dość chłodny, więc Katie i Cissy przeszły przez ulicę, żeby usiąść nad rzeką i przyglądać się kaczkom. Jakaś kobieta wyprowadziła na spacer rudego setera irlandzkiego i Katie poczuła ostry przyptyk tęsknoty za Barneyem. Mimo obietnicy porywacz więcej się nie odezwał i musiała przyjąć, że straciła Barneya na zawsze. Pozostała tylko nadzieja, że użyto go do rozplodu – przecież był rasowy. Modliła się, by nie wykorzystano go na przynętę lub do walk.

– Pogrzeb Davy’ego jest we środę – powiedziała. – Na cmentarzu w Togher.

Cissy poświęcała uwagę koronkom we włosach Bindy.

– Nie jadę – zapowiedziała.

– Nie musisz.

– Po tym, co zrobił, nie chcę więcej słyszeć jego imienia. Ani go widzieć, ani o nim czytać. Nawet na nagrobku.

Katie sięgnęła do kieszeni, wyjęła papierową torebkę z żelkami Oatfield Rosey Apples i poczęstowała dziewczynkę. Ta włożyła

jednego do buzi i obracała go językiem.

– Wiesz, że zamierzam zadać ci kilka pytań, Cissy, prawda? To te same pytania, które chciałam ci zadać wcześniej, tyle że za bardzo się bałaś Davy’ego, żeby mi na nie odpowiedzieć.

– Davy’ego nie ma. Davy siedzi w piekle.

– Naprawdę tak myślisz?

– Pewnie, że siedzi w piekle. Zabił te tańczące dziewczynki. Smaży się i gotuje.

– Cissy... co się stało na strychu Toirneach Damhsa? Widziałaś tam Ronana i Saoirse?

Rudy seter pogonił kaczki i Cissy pokazała go palcem, śmiejąc się głośno. Potem nagle spowaźniała, odwróciła się do Katie i powiedziała:

– Tak.

– Co tam robili?

– Davy zawsze chodził do studia tańca. Prawie codziennie. Czasem zabierał mnie ze sobą, bo ciocia Abbey wychodziła z domu. Potem zśliśmy do McDonalda. Lubiłam z nim chodzić, bo mogłam posiedzieć i popatrzeć na te tańczące dziewczynki. Nicholas obiecał, że też nauczy mnie tańczyć. Lubiłam Nicholasa. Davy też go lubił. Mówił o nim cały czas, ale coś się stało. Chyba się pokłócili. Chyba o Danny’ego Coffeya, ale nie wiem dokładnie, o co chodziło. Davy dalej tam chodził, ale on i Nicholas byli dla siebie jacyś tacy dziwni.

– Jak to dziwni?

– Nie wiem... Boczyli się na siebie. Nicholas chyba bał się Davy’ego i pewnie dlatego nie powiedział mu, żeby już więcej tam nie przychodził.

– Ale dlaczego Davy tak często chodził do studia? To znaczy, co tam robił, jak przychodził?

– Szedł na strych z Nicholasem, a czasem szedł z nimi Tadhg... ale potem się pokłócili. Davy dalej tam chodził, ale już tylko z Tadhgem.

– To dlatego tam poszłaś, żeby się dowiedzieć, co tam robią?

Cissy skinęła głową. Pani Austin zabrała ją do fryzjera, żeby zrobić porządek z przyciętą byle jak fryzurką, i teraz miała bardzo krótkie

włosy, ale układające się na karku. W zielonej kurtce i zielonych rajstopach wyglądała jak elf.

– Jak tam weszłaś? – spytała ją Katie.

– Davy i Tadhg nosili na strych jakiegoś kartony z samochodu Davy’ego. Zajęcia miały być dopiero później, więc powiedziałam bratu, że się nudzę i że pójdę do domu. Często tak robiłam. Ale wtedy odczekałam, aż znowu poszli do samochodu, wślizgnęłam się na strych i schowałam w wielkiej drewnianej skrzyni z papierami, fotografiami i różnymi rzeczami.

– Opowiadaj dalej.

– Davy i Tadhg przynieśli następny karton i otworzyli go. Pod pokrywą tej skrzyni, w której się schowałam, była szpara, więc mogłam patrzeć.

Cissy pocmokała resztkę żelka i oblizała się. Nawet po śmierci brata bała się opowiadać o wydarzeniach, których była świadkiem.

– I co było w tym kartonie, Cissy? Śmiało, mnie możesz powiedzieć. Nikt inny się nie dowie, co mi opowiedziałaś.

– Pistolety. W kartonie były pistolety Pamiętasz te pistolety, które mieli ci panowie, kiedy mnie uratowali? Ich pistolety wyglądały jak tamte.

– Więc Davy i Tadhg mieli na strychu kryjówkę na pistolety?

Cissy znów skinęła główką. A potem wyjęła z ust resztkę żelka, jakby nie potrafiła jednocześnie mówić i jeść.

Kiedy się odezwała, mówiła zupełnie płaskim, pozbawionym emocji tonem, niemal jak jej przybrany ojciec omawiający programy motywacyjne dla pracowników.

– Davy wziął jeden pistolet, złapał Tadhga za kołnierz koszuli, przyciągnął blisko do siebie, przystawił mu pistolet do głowy i powiedział: „Pocałuj mnie”.

– I Tadhg go pocałował?

– Tak.

– Tak troszkę czy tak na poważnie? Przepraszam, że cię o to pytam, Cissy, ale to bardzo ważne. Wiele tańczących dziewczynek już nigdy nie zatańczy i musimy wiedzieć dlaczego.

- Na poważnie. Jak dziewczyny się całują z chłopakami.
- I co się stało dalej?
- Davy... Davy opuścił spodnie. Opuścił spodnie, wyjął siusiaka, wycelował pistolet w Tadhga i powiedział: „Obciągnij mi”.
- Rozumiem. Myślisz, że Tadhg się bał?
- Cissy pokręciła głową. Nie patrzyła na Katie – patrzyła za rzekę i Katie domyślała się, że odtwarza w głowie to, co tamtego dnia widziała na strychu.
- Tadhg się śmiał. Obaj się śmiali. Tak jakby bawili się w jakąś grę.
- I czy Tadhg wziął do buzi jego siusiaka?
- Tak. A Davy wciąż powtarzał: „Mocniej! Mocniej! Bo ci łeb rozwalę!”.
- Długo to trwało?
- Długo. Ale wtedy Ronan i Saoirse weszli na strych i zobaczyli, jak oni to robili.
- I co na to powiedzieli?
- Tylko się gapili... – W tym momencie Cissy wytrzeszczyła oczy i rozdziawiła usta.
- I co dalej?
- Zaczęli się obracać, żeby zejść na dół, ale Davy wycelował do nich z broni i krzyknął, żeby się nie ruszali, i zostali na miejscu. Podnieśli ręce, i Ronan powiedział, że Davy nie powinien się przejmować, że nie zależy im, żeby komuś opowiedzieć, co widzieli.
- A Davy? Co wtedy zrobił?
- Davy powiedział, żeby lepiej nie opowiadali, bo zamieni ich życie w piekło, jak opowiedzą. Ronan obiecał, że nie pisną słowa, i Saoirse też obiecała. Ale wtedy Nicholas zawołał z dołu, że musi już jechać i że Davy ma zejść i przesunąć swój samochód, żeby on mógł odjechać.
- Mów dalej – zachęciła ją Katie. – Świetnie ci idzie do tej pory, Cissy. Jestem z ciebie naprawdę dumna.
- Dziewczynka kurczowo ścisnęła Bindy i gładziła ją po włosach.
- Davy kazał Tadhgowi otworzyć karton i wyjąć pistolet, a potem otworzyć inny karton, wyjąć pociski i załadować pistolet.



– Jaki to był pistolet?

– Taki mały.

– Mały pistolet?

– Davy nie dałby mu dużego, bo Tadhg nie wiedziałby jak z niego strzelać, tak powiedział Davy. Kazał Tadhgowi wycelować w Ronana i Saoirse i nie pozwolić im zejść ze strychu, dopóki on nie wróci, jak przesunie samochód.

– Więc Tadhg załadował pistolet i trzymał Ronana i Saoirse na muszce?

– Tak. A Davy poszedł na dół. Jak go nie było Ronan obiecywał Tadhgowi, że nie pisną słówka Nicholasowi, że przyłapali go z Davym, ale Tadhg zaczął świrować. Krzyczał, że im nie wierzy i że teraz jego małżeństwo z Nicholasem jest zrujnowane. Naprawdę dziwnie mówił... bełkotał jak ludziki z kreskówki. Ronan powiedział: „Daj spokój, jeszcze zrobisz nam krzywdę”. Podeszedł do niego, żeby zabrać broń i wtedy właśnie Tadhg go zastrzelił. Mało nie krzyknęłam, ale się ugryzłam w rękę i nie wrzasnęłam.

Na chwilę przerwała. Zasapała się i musiała złapać oddech. Zanim Katie zdążyła ją poprosić, by mówiła dalej, powiedziała:

– Saoirse... płakała. Krzyczała „Nie! Nie! Nie!”. Pobiegła i uklękła obok Ronana. I wtedy Tadhg wycelował w nią broń i ją też zastrzelił.

– Co zrobił potem?

– Tylko stał i czekał, aż wróci mój brat. A jak Davy przyszedł na strych i zobaczył, że Tadhg ich zastrzelił, Ronana i Saoirse, wcale się na niego nie pogniewał. Zabrał pistolet i powiedział tylko: „Musimy wynieść stąd cały ten kram, zanim Nicholas wróci”. Prawie nie popatrzył, jak leżeli tam nieżywi.

– Więc zanieśli na dół wszystkie kartony z bronią?

– I trochę innych kartonów też. Nie wiem, co w nich było. A potem, jak już je wynieśli, Davy wrócił sam i strasznie długo przy czymś grzebał, ale nie mogłam zobaczyć, co robił. Dopiero kiedy wyszedł, poczułam, że jakoś tak dziwnie pachnie.

– Nie próbowałaś zejść ze strychu, kiedy Davy i Tadhg już poszli?

– Bałam się, że są wciąż na dole. Gdyby mnie zobaczyli, jak schodzę

ze strychu, wiedzieliby, że ich widziałam. Zostałam na górze i czekałam. Usłyszałam, jak muzyka gra na próbie, a potem jak ktoś krzyczy, i wtedy cały strych zrobił jakby WIUUUM...! – Poderwała rękę, by opisać wybuch TPA.

Katie wzięła dziewczynkę za rękę i uśmiechnęła się do niej.

– Byłaś cudowna, Cissy. Ty jedna widziałaś, co się stało, ale teraz, kiedy mi opowiedziałaś, wiem na pewno, kto zabił Ronana i Saoirse, i te tańczące dziewczynki. Nagrałam to, co mówiłaś, więc nigdy nie będziesz musiała tego powtarzać, przenigdy. Wiem, że to zostanie w twojej głowce na długo, bardzo, bardzo długo, ale staraj się myśleć, że to tylko zły sen.

Siedzieli obok siebie, przyglądając się kaczkom kłócącym się blisko brzegu. Po chwili zaczęły padać delikatny deszczyk. Wstały i wróciły do nowego domu Cissy, zostawiając ducha Adeen nad rzeką.

\* \* \*

Katie wróciła do domu o zmierzchu i po drodze zabrała z pensjonatu Conora. Łagodny deszczyk nadal sięgał, więc krajobraz miał zatarte kontury.

Conor położył rękę na jej udzie, gdy prowadziła.

– Nic nie mówisz – powiedział.

– Przepraszam. Nie chodzi o ciebie. Opowiem ci, kiedy dojedziemy. Musiałam dziś przyswoić sobie masę rzeczy i w dalszym ciągu wałkuję je w głowie.

– Nie ma to jak dobre wałkowanie, zawsze to mówię.

Pacnęła go w rękę i powiedziała:

– Czy ty kiedyś spoważniejesz?

– Zawsze jestem poważny. To reszta świata zwariowała.

Gdy dojechali do domu i Katie zaglądała do lodówki, sprawdzając, co mogą zjeść na kolację, jej komórka odegrała *Fear a' Bháta*.

– Nadkomisarz Maguire – rzuciła, wyjmując dwa grube płyty wędzonej szynki.

– To znowuż ja, koleżanko nadkomisarko Maguire.

– Powiedziałaś, że zadzwonisz tydzień temu.

– No, powiedziałem. Ale zmieniłem zdanie, chwytasz, co mówię? Pomyślałem: albo baba wycofa oskarżenie przeciwko Zezowatemu, albo nie wycofa. Niech sama zdecyduje, pomyślałem se.

– Jak się ma Barney?

– Właśnie o niego mi się rozchodzi, koleżanko nadkomisarko. Pomyślałem se, że jak babie wcale się nie uśmiecha wycofać oskarżenie przeciwko Zezowatemu ani teraz, ani nigdy, to co se mam zawracać głowę dzwonieniem i stwarzaniem jej okazji, żeby mnie dopadła.

– Jak się ma Barney? Nie zrobiłeś mu krzywdy, prawda?

– Twój Barney to twardy zawodnik, muszę mu to przyznać.

– Jeśli go skrzywdziłeś...

– Nie wycofasz oskarżenia przeciwko Zezowatemu, co?

Katie długo milczała, ale w końcu szepnęła:

– Nie. Nie zamierzam.

– Tak se pomyślałem i zadziałałem. Ale się nie łam. Twój Barney wróci do ciebie, nim powiesz: „Życie to kurwa, a potem się umiera”.

Rozłączył się i Katie stała na środku kuchni, trzymając iPhone’a i czując się tak, jakby cały jej świat nagle stanął. W kącie kuchni był kosz Barneya, jego koc i miski.

Conor wszedł do kuchni i od razu zobaczył, jak jest roztrzęsiona.

– Chodzi o Barneya, tak? – spytał, obejmując ją. – Dowiedziałaś się czegoś o Barneyu?

Skinęła głową, usiłując się nie rozplakać.

\* \* \*

Jakieś dwadzieścia minut potem usłyszeli samochód hamujący z piskiem opon przed domem. Katie wstała, ale zanim zdążyła podejść do okna i cokolwiek zobaczyć, samochód odjechał.

Podeszła do drzwi frontowych i otworzyła je, ale Conor położył jej dłoń na ramieniu i powstrzymał ją przed wyjściem z domu.

– Ja pójdę – powiedział.

Wyszedł na ulicę i widziała, jak się schyla. Kiedy wrócił, niósł na rękach Barneya – jego ruda sierść była pokryta krwią, błotem i

ostami. Ślepia miał na wpół przymknięte, język – wywalony.

Katie odwróciła się, przygryzając wargę. Nie takiego chciała go zapamiętać. Chciała go pamiętać biegającego brzegiem morza, z powiewającymi uszami, wskakującego w spienione fale i wyskakującego z nich, najszcześliwszego psa, jaki kiedykolwiek żył.

## GRAHAM MASTERTON

Popularny angielski pisarz. Urodził się w 1946 r. w Edynburgu. Po ukończeniu studiów pracował jako redaktor w miesięcznikach, m.in. „Mayfair” i w angielskim wydaniu „Penthouse’a”. Autor licznych horrorów, romansów, powieści obyczajowych, thrillerów oraz poradników seksuologicznych. Zdobył Edgar Allan Poe Award, Prix Julia Verlanger i był nominowany do Bram Stoker Award. Debiutował w 1976 r. horrorem Manitou (z ekranizowanym z Tonym Curtisem w roli głównej). Jego dorobek literacki obejmuje ponad 80 książek – powieści i zbiorów opowiadań – o całkowitym nakładzie przekraczającym 20 milionów egzemplarzy, z czego ponad dwa miliony kupili polscy czytelnicy. Wielką popularność pisarza w Polsce, którą często odwiedza, ugruntował cykl poradników seksuologicznych, w tym wielokrotnie wznawiane Magia seksu i Potęga seksu. W ostatnim czasie Graham Masterton skupił się na kontynuacji cyklu kryminałów z Katie Maguire, do którego należy osiem powieści: Białe kości, Upadłe anioły, Czerwone światło hańby, Uznani za zmarłych, Siostry krwi, Pogrzebani, Martwi za życia i Tańczące martwe dziewczynki.